



SUSAN ABULHAWA

Wiatr z północy



Przełożyła: Magdalena Moltzan-Małkowska

Natalie i Seifowi

UWERTURA

Dżenin 2002

Amal chciała spojrzeć głębiej w oczy żołnierza, lecz uniemożliwiła jej to lufa jego karabinu przyciśnięta do czoła. Z dzielącej ich niewielkiej odległości widziała, że mężczyzna nosi szkła kontaktowe. Wyobraziła sobie, jak przed wciągnięciem munduru nachyla się do lustra, aby je włożyć. Dziwne, pomyślała, co też przychodzi człowiekowi do głowy na granicy życia i śmierci.

Zastanawiała się, czy władze wyrażą ubolewanie z powodu „przypadkowego” zabicia jej, obywatelki Stanów Zjednoczonych. Czy może zostanie ono włączone w poczet „zniszczeń i strat wśród ludności”.

Po twarzy żołnierza spłynęła kropla potu. Zamrugał, skępowany jej spojrzeniem. Zabijał nieraz, lecz nigdy patrząc ofierze prosto w oczy. Nie uszło to uwagi Amal, która wyczuła jego udrekę pośród otaczającej ich rzezi.

Dziwne, pomyślała znowu. Nie boję się śmierci. Być może dlatego, że miała jej uniknąć, jak wynikało z mrugania żołnierza.

Odrodzona przymknęła oczy, wciąż czując na czole zimny dotyk stali. Wspomnienia poniosły ją wstecz i jeszcze dalej, do domu, którego nigdy nie знаła.

I EL-NAKBA (katastrofa)

1. ZBIORY

1941

W odległych czasach, zanim historia przemaszerowała po wzgórzach, miażdżąc teraźniejszość i przyszłość, zanim wiatr porwał skraj ziemi i otrząsnął go z charakteru i nazwy, przed narodzinami Amal, mała wioska na wschód od Hajfy żyła sobie spokojnie, mając pod dostatkiem fig i oliwek wśród otwartych granic i blasku słońca.

Było jeszcze ciemno, spały tylko niemowlęta, gdy mieszkańcy Ein Hod przygotowali się do porannej sałat, pierwszej z pięciu codziennych modlitw. Księżyc wisiał nisko jak klamra spinająca niebo z ziemią, ledwie skrawek od pełni. Ludzie prostowali zaspane członki, zmywając z twarzy resztki snu i otwierając z nadzieją oczy. Wudu, rytualne oczyszczenie przed sałat, niosło w poranną mgłę pomruki shehadeh*, kiedy setki szeptów głosiły jedność Allana oraz hołd dla jego proroka Mahometa. Dziś modlono się na dworze i ze szczególnym nabożeństwem ze względu na rozpoczynające się zbiory oliwek.

* **Szehadeh - muzułmańskie wyznanie wiary.**

W tak doniosłej chwili lepiej wejść na skaliste wzgórze z czystym sumieniem.

Przy wtórce grania świerszczy i pierwszych ptasich treli - a niebawem i piania kogutów - postacie wieśniaków kładły się cieniem z dywaników do modlitwy. Większość błagała po prostu o odpuszczenie grzechów, niektórzy odmówili dodatkową ręką. Każdy na swój sposób szeptał: „Panie mój, Allahu, niech stanie się dziś Twoja wola. Oddaję Ci mój hołd i wdzięczność”, a następnie kierował się na zachód ku oliwnym gajom, unosząc wysoko nogi, aby nie zahaczyć o kaktus.

Co roku w listopadzie tydzień zbiorów tchnął w Ein Hod nowe życie i Jehja, Abu Hasan, czuł to w kościach. Wcześniej wyszedł z synami, mając ich również coroczną nadzieją na wyprzedzenie sąsiadów. Ale sąsiedzi wpadli na ten sam pomysł i zbiory niezmiennie rozpoczynały się około piątej rano.

Jehja z zakłopotaniem zwrócił się do Basimy, swojej żony, która niosła na głowie kosz z pledami i nieprzemakalnym płótnem.

- Um Hasan, w przyszłym roku zdążymy przed nimi. Chcę wyprzedzić o godzinę Salema, tego starego bezzębnego łajdaka. Chociaż o godzinę - obiecał.

Basima przewróciła oczami. Odgrażał się tak co roku.

Gdy mroczne niebo ustępowało miejsca światłu, ze spłóziałych od słońca wzgórz Palestyny niosły się odgłosy zbiorów. Trzask kijów trącających gałęzie, szelest rozedrganych liści, szmer oliwek spadających na koce i stare ceraty rozłożone u stóp drzew. Kobiety śpiewały przy pracy ballady o minionych stuleciach, a małe dzieci dokazywały i obrywały od matek za plątanie się pod nogami.

Jehja przerwał pracę, by rozmasować kark. Dochodzi południe, pomyślał, zerkając na słońce. Stał spocony na swojej ziemi, przysadzisty mężczyzna w czarno-białej keffii na głowie, z rąbkiem sukmany zatknietym za pas jak na fellahina* przystało. Rozejrzał się po przepychu dokoła. Trawa w odcieniu mszystej zieleni spływała po zboczach, okalając kamienie i drzewa. Zapory, z których część naprawiał ze swoim dziadkiem, opasywały wzgórze. Jehja przeniósł wzrok na Hasana i Darwisza, prężących muskuły z każdym zamachem kija strącającego oliwki. Moi chłopcy! Duma wezbrała mu w sercu. Hasan nabiera sił mimo kłopotów z płucami. Allahowi niech będą dzięki.

* **Fellahin - wieśniak.**

Synowie pracowali po przeciwnych stronach kolejnych drzew, a matka podążała za nimi, odsuwając ceraty z oliwkami do późniejszego tłoczenia. Jehja widział Salema zajętego zbiorom w sąsiednim gaju. Bezzębny stary łajdak. Jehja uśmiechnął się pod nosem, chociaż Salem był młodszy od niego. Prawdę powiedziawszy, sąsiad zawsze emanował mądrością i ojcowską cierpliwością, bijącą z twarzy noszącej ślady wielu żniw. Zwano go Hadż Salem po pielgrzymce do Mekki i tytuł ten dodatkowo sprawiał, że Jehja czuł się młodszy od niego. Wiezorami palili razem hukah*, wyklócając się o to, kto haawał najciężej i czyi synowie są najsilniejsi.

* **Hukah - nargile.**

- Szeźniesz w piekle za te kłamstwa, staruchu - mówił Jehja, podnosząc fajkę do ust.

- Staruchu? Jesteś starszy ode mnie, stary przyku - odpowiadał Salem.

- Przynajmniej mam wszystkie zęby.

- Niech ci będzie. Wyciągaj planszę, to pokażę ci raz jeszcze, kto jest lepszy.

- Jak sobie życzysz, ty kłamliwy, bezzębny, cherlawy synu swego ojca.

Partyjka trik-traka przy fajce rozstrzygała ów coroczny konflikt, więc z uporem grali dopóty, dopóki żony nie posłały po nich parę razy.

Zadowolony z porannego tempa Jehja odmówił thohr sałat i usiadł na kocu, gdzie Basima postawiła soczewicę oraz maklubeh* z jagnięcina i sosem jogurtowym. W pobliżu przygotowała drugi posiłek dla najemnych parobków, którzy przyjęli go z wdzięcznością.

* **Maklubeh** - tradycyjna palestyńska potrawa z jagnięcia, ryżu i bakłażana z kminem i cynamonem.

- Obiad! - zawołała do Hasana i Darwisza, którzy właśnie odmówili drugą sałatę tego dnia.

Rodzina usadowiona wokół parującej tacy z ryżem oraz mniejszych naczyń z sosem i kiszunkami czekała, aż Jehja przełamie chleb w imię Allaha.

- Bismillah arrahman arrahim* - zaczął, a chłopcy za nim, ochoczo sięgając po ryż i mieszając go z jogurtem.

* **Bismillah arrahman arrahim** - W imię Allana Litościwego, Miłosiernego.

- Summa, nikt nie gotuje tak pysznie jak tyj - Liztis Darwisz umiał wkupić się w łaski Basimy.

- Niech cię Allah błogosławi, synu. - Z uśmiechem przysunęła mu kruchy kęs mięsa.

- A ja? - zaproponował Hasan.

Darwisz nachylił się do ucha starszego brata.

- Ty nie masz podejścia do kobiet - szepnął kpiąco.

- Proszę, kochanie. - Basima urwała drugi kruchy kawałek mięsa dla Hasana.

Szybko uwinęli się z posiłkiem, bez zwykłego marudzenia nad halawem* i kawą. Czekają jeszcze dużo pracy. Basima napełniała wielkie kosze, które parobcy mieli zanieść do tłoczni. Obaj chłopcy musieli wytłoczyć swoją całodzienną porcję oliwek, inaczej oliwa mogła mieć zjełczały posmak.

* **Halaw** - słodycze.

Ale przed powrotem do pracy odmówili modlitwę.

- Przede wszystkim podziękujmy Allahowi za jego hojność. - Jehja wyjął z kieszeni diszdaszy* stary Koran. Święta księga należała do jego dziadka, który pielęgnował te gaje przed nim. Chociaż Jehja nie potrafił czytać, lubił patrzeć na ładną kaligrafię, recytując surę* z pamięci. Chłopcy pochylili głowy ze niecierpliwieniem, słuchając głosu ojca, po czym za jego zgodą zbiegli po wzgórzu w stronę tłoczni.

* **Diszdasza** - tradycyjna długa szata arabska noszona zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety.

* **Sura** - rozdział z Koranu.

Basima postawiła na głowie kosz z oliwkami, ujęła w każdą dłoń siatkę pełną naczyń i resztek jedzenia, a następnie zeszła na dół z innymi kobietami, objuczonymi podobnie i wyprostowanymi jak struny.

- Allan z tobą, Um Hasan! - zawołał za żoną Jehja.

- I z tobą, Abu Hasan! - odkrzyknęła. - Nie siedź za długo. Jehja został sam i odwróciwszy się do wiatru, dmuchnął w ustnik nye*, czując, jak muzyka wypływa

z dziurek pod palcami. Dziadek nauczył go grać na starym flecie i melodie dawały mu poczucie więzi z przodkami, przywoływały pamięć niezliczonych zbiorów, ziemi, słońca, czasu, miłości oraz wszystkiego, co dobre. Jak zawsze z pierwszym brzmieniem Jehja podniósł brwi ponad przymkniętymi powiekami, jakby zdziwiony majestatem płynącym z małej fujarki za sprawą jego oddechu.

*** Nye - tradycyjny flet arabski o charakterystycznym brzmieniu.**

Kilka tygodni po zbiorach stara ciężarówka Jehji była : wypełniona po brzegi. Znajdowało się na niej trochę oliwy, lecz głównie migdały, figi, cytrusy i warzywa. Hasan położył winogrona na wierzchu, żeby się nie pogniotły.

- Wiesz, że wolałbym, byś nie jechał taki kawał do Jerozolimy - powiedział mu Jehja. - Tulkarem leży tylko parę kilometrów stąd, a benzyna droga. Nawet do Hajfy bliżej, a tamtejsze bazyliki też są niczego sobie. Poza tym nigdy nie wiadomo, jaki syjonista czyha w krzakach i czy brytyjskiemu szubrawcy nie przyjdzie do głowy cię zatrzymać. Po co gnać tak daleko? - Ale z góry znał odpowiedź. - Chcesz się spotkać z Arim?

- Jaba*, dałem mu słowo, że przyjadę - odpowiedział Hasan błagalnym tonem.

- No cóż, jesteś już mężczyzną. Uważaj na drodze. Daj ciotce, co będzie chciała z towaru, i powiedz, że chętnie byśmy ją

*** Jaba - tata.**

niedługo odwiedzili - uzupełnił Jehja, po czym zawołał do kierowcy, doskonale wszystkim znanemu, o twarzy zdradzającej ich wspólny rodowód: - Jedź pod opieką Allaha, synu.

- Niech Allah obdarzy cię długim życiem, Ammo Jehja. Hasan ucałował rękę ojca, a następnie jego czoło na dowód szacunku, który napełnił Jehję miłością i dumą.

- Niech Allah spogląda na ciebie z uśmiechem i chroni cię do końca twoich dni, synu - rzucił na pożegnanie, kiedy Hasan wspiał się na tył ciężarówki.

Kiedy odjeżdżali, Darwisz jechał obok na Ganuszu, swoim ukochanym koniu arabskim.

- Pościgajmy się. Dam ci fory, bo masz wyładowaną ciężarówkę! - zawołał do brata.

- Ścigaj się z wiatrem, Darwisz, to dla ciebie godniejszy przeciwnik niż ten kawał złomu. Jedź, spotkamy się w Jerozolimie w domu Amto Salmy.

Hasan patrzył, jak młodszy brat odjeżdża na oklep z hattą owiniętą ciasno wokół głowy. Jej luźne końce powiewały w tyle na wietrze. Darwisz był najlepszym jeźdźcą w okolicy, może nawet w całym kraju, a Ganusz najszybszym koniem, jakiego Hasan kiedykolwiek widział.

Wzdłuż polnej drogi ziemia wznosiła się w leśnej ciszy, przesiąknięta wonią cytrusów i dzikich hennowych krzewów. Hasan otworzył woreczek, który matka napełniała codziennie, urwał kawałek lepkiej substancji i podniósł go do nosa. Głęboko wciągnął powietrze, na miarę możliwości astmatycznych płuc. I pokrzepiony dopływem tlenu do żył otworzył książkę, którą w tajemnicy kazała mu przeczytać pani Perlstem, malką Ariego.

2. ARI PERLSTEIN

1941

Ari czekał przy Bramie Damasceńskiej, gdzie po raz pierwszy spotkali się przed czterema laty. Był synem niemieckiego profesora, który uciekł przed nazizmem i osiedlił się w Jerozolimie, gdzie jego rodzina wynajmowała nieduży dom od jakiejś palestyńskiej osobistości.

Chłopcy zaprzyjaźnili się w 1937 roku za wózkami pełnymi świeżych owoców i warzyw oraz wgniecionymi puszkami z oliwą na targu Babel Amond, gdzie Hasan siedział pogrążony w lekturze poezji arabskiej. Podszedł do niego mały Żyd o wielkich oczach i niepewnym uśmiechu. Utykał z powodu źle zrosniętej nogi i Brunatnej Koszuli, która ją złamała. Kupił dużego, czerwonego pomidora, wyjął scyzoryk i przekroiwszy go na pół, podzielił się z Hasanem.

- Ana ismi Ari. Ań Perlstein - powiedział. Zaintrygowany Hasan przyjął połówkę pomidora.

- Gu day sa! Szalom). - Spróbował jedyne go znanego mu niearabskiego słowa i kiwnął na chłopca, żeby usiadł.

Chociaż Ari usiłował improwizować, żaden z nich nie znał języka drugiego. Ale wkrótce znaleźli wspólny, obaj bowiem czuli się równie niepewnie.

- Ana ismi Hasan. Hasan Jehja Abulhedża.

- Salam alajkom - odpowiedział Ari. - Co czytasz? - spytał po niemiecku, wskazując.

- Książkę. - Po angielsku. - This, book.

- Tak. - Też po angielsku. - Kitab. - Książka, po arabsku. - Tak.

Roześmiali się i wgryźli w pomidora.

I tak zrodziła się przyjaźń w cieniu nazizmu w Europie i rosnących podziałów między Arabami i Żydami, skonsolidowana niewinnością ich dwunastu lat, poetyczną samotnością lektur i obojętnością wobec polityki.

Dziesięciolecia od czasu, gdy wojna rozdzieliła obu przyjaciół, Hasan opowiedział swemu najmłodszemu dziecku, dziewczynce imieniem Amal, o przyjacielu z dzieciństwa.

- Był dla mnie jak brat - oznajmił, zamykając książkę podarowaną przez Ariego na jesieni ich młodych lat.

Chociaż Hasan rósł jak na drożdżach, w wieku dwunastu lat był chorowitym chłopcem, któremu płuca świszczą przy każdym oddechu. Kłopoty z oddychaniem zepchnęły go na margines ścisłej chłopięcej grupy rówieśniczej i

zabaw. Kalectwo Ariego również stanowiło przedmiot ciągłych kpin rówieśników. Obaj dorastali w aurze wyobcowania, którą bezbłędnie rozpoznali w sobie nawzajem, obaj też, w młodym wieku oraz we własnym świecie i języku, szukali ucieczki w słowach poetów, eseistów i filozofów.

Uciążliwa dawniej podróż do Jerozolimy stała się wyczekiwaną cotygodniową wyprawą, Hasan bowiem zawsze zastawał na miejscu Ariego i godzinami uczyli się nawzajem arabskich, niemieckich i angielskich odpowiedników „jabłka”, „pomarańczy” i „oliwki”. „Cebule są po piastra za funt, proszę pani”, ćwiczyli. Zza stert owoców i warzyw naśmiewali się skrycie z młodych Arabów, których wyszukana mowa i ubiór zdradzały jedynie bezkrytyczny podziw dla Brytyjczyków.

Ari zaczął nawet nosić tradycyjny arabski strój w soboty i niedziele i często wracał do Ein Hod z Hasanem. Zanurzony w melodie arabskich pieśni i języka oraz smaki i aromaty arabskich napojów i potraw, posiadał znajomość mowy i kultury przyjaciela, czemu po części zawdzięczał wiele lat później tytuł profesora na Uniwersytecie Hebrajskim. Hasan z kolei nauczył się niemieckiego, przebrnął przez niektóre z angielskich książek z księgozbioru doktora Perlsteina i docenił tradycje judaizmu. Pani Perlstein kochała Hasana i była wdzięczna, że przyjaźni się z jej synem, a Basima traktowała Ariego z równie matczynym entuzjazmem. Chociaż nigdy nie spotkały się osobiście, poznały się za pośrednictwem synów i zawsze odsyłały chłopców do domu z naręczem wiktuałów i innych darów, czego obaj mieli czasem powyżej uszu.

W wieku trzynastu lat, rok przed ukończeniem szkoły, Hasan poprosił ojca o pozwolenie na naukę z Arim w Jerozolimie. W obawie, że dalsze wykształcenie odciągnie syna od ziemi, którą miał odziedziczyć i uprawiać, Jehja odmówił.

- Książki staną tylko między tobą a ziemią. Nie zgadzam się na naukę z Arim i nie chcę więcej o tym słyszeć. - Jehja był pewien słuszności swej decyzji. Jednak po latach z żalem i konsternacją wyrzucał sobie tak nieprzejednane stanowisko. Któregoś dnia, gdy koczowali na łasce pogody w pobliżu domu, do którego mieli nigdy nie wrócić, poprosi za to syna o wybaczenie. Jehja, zgrzybiały uchodźca pośród zawieruchy wygnania, miał zapłakać we wspaniałomyślnych ramionach Hasana.

- Wybacz mi, synu, bo ja nie umiem wybaczyć sobie - szlochał.

Z powodu tej decyzji ojca oraz wynikających z niej żalu i zgryzoty Hasan zawziął się, by wykształcić swoje dzieci, co okupił ciężką pracą za psie wynagrodzenie. Z powodu tej decyzji powie kiedyś swej małej Amal:

- Habibti, moja kochana, zostało nam tylko wykształcenie. Obiecuj, że przyłożysz się do nauki.

I dziewczynka obiecała to ojcu, którego uwielbiała.

Chociaż Hasanowi nie dane było wyjść poza ósmą klasę, otrzymał gruntowne wykształcenie od pani Perlstein, która co tydzień odsyłała do domu sumiennego ucznia obładowanego książkami, zeszytami i zadaniami domowymi. Korepetycje wymyśliły Basima i pani Perlstein w ramach osłodzenia Hasanowi goryczy po ojcowskim zakazie dalszej nauki.

„Hej, bracie!” - Młodzi mężczyźni objęli się, złączyli ręce i ucałowali w oba policzki na arabską modłę. Rozładowali ciężarówkę, pozostawiając kierowcę wśród pozostałych ulicznych sprzedawców. Lawirując wąskimi, brukowanymi ulicami starego miasta, przed udaniem się do domu Arieto tradycyjnie ruszyli w stronę El-Kijameh. Z okolicznych sklepów napływały aromaty glinianych słoików, melasy i pachnących olejków, gdy sprzedawcy wołaniem zachęcali przechodniów do oglądania towaru. Skręcili na Chan el-Zeit, ocierając się głowami o skóry i jedwabie wiszące na ścianach sklepów. Jeszcze kilka kroków i znaleźli się w kawiarni El-Mahfuz.

- Dwie porcje miodowo-jabłkowego, poproszę - zwrócił się do sprzedawcy Hasan.

- To ci szkodzi na płuca, Hasan - ostrzegł Ari. - Czy wujek Jehja wie, że palisz?

- Jasne, że nie!

Hasan zaniósł do Perlsteinów dwie tacki ze słodyczami: halaw i knafe*.

- Mama przesyła pozdrowienia - powiedział po niemiecku.

- Dziękuję - odrzekła pani Perlstein, przyjmując słodycze.

* **Knafe - serowy przysmak w syropie.**

Była powściągliwą kobietą o długich kończynach, której wygląd, zdaniem Hasana, nie zdradzał drzemiących w niej pokładów życzliwości. Na jej widok zawsze odruchowo kierował wzrok na przypiętą do piersi matki przyjaciela pamiątkę rodzinną. Jedna, dwie, trzy, cztery... osiemnaście. Gdy sprawdzała jego zadanie domowe, liczył z przyzwyczajenia perełki w jej broszce.

W miarę upływu czasu Hasan okazał się pilnym i pojętnym uczniem. Lekcje z panią Perlstein trwały dopóty, dopóki wraz z Arim w 1943 roku nie „skończył” szkoły. Ich drogi rozeszły się na jakiś czas, kiedy Ari nawiązał kilka szkolnych przyjaźni, a Hasan zakochał się w młodej Beduinie imieniem Dalia, która ukradła Ganusza, konia jego brata.

3. NIC NIEWARTA BEDUINKA

1940-1948

W przeciwieństwie do większości ówczesnych małżeństw związek Hasana z Dalią zrodził się z zakazanej miłości. On pochodził od założycieli Ein Hod i miał odziedziczyć kawał ziemi uprawnej, sady oraz pięć bujnych gajów oliwnych. Dalia zaś była córką Beduina, którego plemię co rok zjawiało się w wiosce w czasie zbiorów, by wreszcie osiąść tam na dobre.

Najmłodsza z dwunastu sióstr, Dalia, była uparta i nie zawracała sobie głowy konwenansami. Chociaż ojciec trzymał ją krótko, nie zawsze pamiętała o noszeniu hi-dżabu i rozpuszczała włosy na wiatr. W przeciwieństwie do porządnych dziewcząt potrafiła zakasać sukienkę, by pogonić jaszczurkę, brudząc błotem materiał w jaskrawe beduińskie wzory i zahaczając go o kaktusy. Często zapominała powyjmować z kieszeni uzbierane w ciągu dnia robaki, za co dostawała w skórę od matki. Ale zew natury znów kazał jej robić swoje. Uwielbiała towarzystwo swych sześć- i ośmionożnych tajemnic, dopóki nie zyskała czworonożnej, konia zwanego Ganusz.

Zdarzyło się pewnego razu, że jego młody pan, chłopiec, którego znała jako Darwisza, syna Jehji Abulhedży, zaproponował jej przejażdżkę. Nie mogła jechać na koniu z chłopcem. Dostałaby łanie, gdyby ojciec się o tym dowiedział.

- Nie. - Okazała stanowczość, jak na jedenastolatkę przystało, jednak z chwilą gdy wypowiedziała to słowo, jej twarz złagodniała w wyrazie „być może”.

- Pójdę przodem - zaproponował życzliwie Darwisz - i przysięgam na mój honor, że na ciebie nie spojrzę.

Budził zaufanie, poza tym jak okiem sięgnąć wokół nie było żywej duszy. Dziewczynka jednak rozejrzała się na wszelki wypadek. Miała czyste serce.

- Jak na niego wsiądę?

- Spójrz, jak ja to robię, a potem spróbuj, kiedy się odwrócę - odpowiedział Darwisz.

Ganusz pozwolił małej osóbcie zasiąść na swoim grzbiecie i z wolna ruszył naprzód. Nagle ogarnął ją strach, że zostanie przyłapana z chłopcem i jego rumakiem. Zażądała, aby stanął, po czym zeskoczyła z konia, i tyle ją widzieli.

Po paru tygodniach wróciła w to samo miejsce, by zaczekać na swoją wspaniałą czworonożną tajemnicę, aż zjawił się ze swym panem Darwiszem, i ponownie doświadczyła magii. Sekret trwał ponad dwa lata i w końcu Dalia nauczyła się jeździć samodzielnie. Darwisz spełniłby każde życzenie dziewczynki,

gdyby tylko przyszło jej do głowy poprosić. Nie licząc pierwszego dnia, nie zamienili nigdy ani słowa. Widząc, że Dalia nadchodzi, Darwisz na znak szacunku odwracał wzrok, po czym stawał tyłem i przytrzymywał konia, gdy wsiadała na jego grzbiet z podkasaną sukienką i odjeżdżała. Darwisz czekał, aż wróci, i ponownie odprawiał swój rytuał skromności.

W oczach mieszkańców wsi Dalia była dzikuską, zrodzoną z beduińskiej poezji i barw zamiast z ciała i krwi. Niektórzy uważali ją za wcielenie diabła i przekonywali matkę, aby sprowadziła szejka, który odczytałby nad nią wersy z Koranu. Większość jednak była zdania, że dziewczynka po prostu z tego wyrośnie. Wreszcie wszyscy zgodnie doszli do wniosku, że Dalię trzeba „złamać”. Osiągnęła prawie czternasty rok życia i należało wybić jej z głowy dziecięcą lekkomyślność.

- Złam ją, zbij, daj jej nauczkę - poradziła inna Beduinka. - Patrz, jak je pomarańczę! Co za hańba dla rodziny. Wszyscy chłopcy na nią patrzą.

Dalia stała się obiektem powszechnej niechęci. Kobietom przeszkadzał brzęk bransoletek na jej kostkach. Co więcej, nienawidziły jej obojętności na słowa krytyki. Bezwstydną siłą, bijącą z jej skóry i włosów, przypominała im na zawsze utraconą beztroskę, której się dobrowolnie wyrzekły. Wulgarna lekkomyślność Dalii miała wymiar seksualny, zwłaszcza że dziewczynka nie zdawała sobie z tego sprawy.

Basima, Um Hasan, uznała Dalię za bezecną złodziejkę, gdy ta „skradła” konia Darwiszowi, by odetchnąć ukradkiem od żmudnej monotonii zbiorów oliwek. Nikt nie dowiedziałby się o tym, gdyby Dalia nie spadła i nie złamała sobie kostki, budząc skandal, który zwrócił uwagę Hasana. W całej wiosce zawrzało. Darwisz chciał ją usprawiedliwić, ale czuł, że jego ingerencja ściągnęłaby na głowę dziewczyny jeszcze większe gromy.

Skompromitowany ojciec dziewczyny postanowił raz na zawsze ukrócić zuchwalstwo najmłodszej córki. Chcąc odzyskać honor, przywiązał Dalię do krzesła pośrodku wioski i wymusiwszy na niej wyznanie, która ręka jest odpowiedzialna za kradzież, przyłożył do niej rozżarzone żelazo.

- Ta? Dawaj ją tu, żeby się dobrze przypiekła - pnił się ojciec, kiedy Dalia podała mu prawą dłoń. - I nie waż się krzyknąć, bo przypalę drugą - dodał, zwracając się do tłumu gapiów w poszukiwaniu aprobaty.

Dalia nawet nie pisnęła, gdy rozżarzony metal dotknął skóry. Gapie wstrzymali oddech.

- Jacy okrutni ci Beduini! - rzuciła jakaś kobieta, a kilka osób błagało ojca Dalii o litość w imię Allaha, bo Allah jest miłosierny. Al Rahma. Ale to mężczyzna, jest panem w domu.

- Nie pozwolę plamić swego honoru. Cofnijcie się, to moje prawo - zażądał Beduin. To było jego prawo. La hawla wala kuwatta ella billah.

Dalia wciągnęła ból do wewnątrz, a ohydny fetor palonej skóry strawił w niej życie. Jej harmonia z naturą, intymność włosów na wietrze, brzęk bransoletek z monetami na kostkach, słodki zapach potu, gdy pracowała, i cygańskie kolory - wszystko to zamieniło się pod błękitnym niebem w garstkę popiołu. Gdyby krzyknęła, może ogień nie wniknąłby w nią tak głęboko. Ale nie krzyknęła. Wyśledziła wzrokiem zająca i oboje zastygli w czasie unieruchomieni mocą jej spojrzenia. Zamknęła w dłoni ból i przytrzymała go tam z zaciśniętymi zębami, gdy łzy popłynęły jej po twarzy.

Do końca życia miała zwyczaj bezwiednego pocierania palcami wnętrza dłoni i zgrzytania przy tym zębami, jakby coś za wszelką cenę próbowało wydostać się z jej uścisku.

Basimę oburzała zaciętość młodej Beduinki i nie życzyła jej sobie „w rodzinie”, dobrze widziała bowiem urzeczony spójrzania Hasana podążające za dziewczyną, gdy pracowała we wsi i na polach.

Dla Basimy Dalia była „nic niewartą Beduinką”, która mogła ściągnąć na spokojną wioskę jedynie kłopoty. I rzeczywiście, najgorsze obawy kobiety potwierdziły się, kiedy syn, młody Hasan Jehja Abulhedża nie oparł się zuchwałej urodzie Dalii oraz jej dzikiej naturze i postanowił wziąć ją za żonę.

Z determinacją, która miała go cechować przez całe życie, i z ostrożnym błogosławieństwem ojca Hasan przedstawił matce swoją decyzję.

- Przecież małżeństwo to nie grzech - perswadował, siląc się na pojednawczy ton.

- Nie, nie, nie, nie, nie! - Basimaomal nie odeszła od zmysłów. Dramatycznie wymachiwała rękami, szarpała się za thobe, śląc modły do Allaha, grzmotnęła się w pierś i uderzyła w twarz. Lamentowała nad taką zniewagą i przeklinała dzień, kiedy „ta Beduinka” postawiła nogę w Ein Hod. Jej zakłopotanie przerodziło się we wstyd, gdy była zmuszona zanieść wieść o buncie syna i jego odmowie poślubienia własnej kuzynki, z którą był zaręczony.

- Ja Abu Hasan, co ludzie o nas powiedzą? - perswadowała mężowi.

Jehja usiłował przemówić jej do rozsądku.

- Niech robi, co chce, Urn Hasan. Jest dorosły, nie możemy go zmusić.

Ale ona mówiła dalej, jakby w ogóle się nie odezwał:

- Ze nasze słowo nic nie znaczy? Ze obiecujemy go dziewczynie, a potem pozwalamy na nieposłuszeństwo? Za jakie grzechy moja niewinna siostrzenica ma ustąpić miejsca brudnej beduińskiej złodziejce?

- Taka jest wola Allaha. Przestań że już, kobieto! Syjoniści przewracają ten kraj do góry nogami, a ty się złościś, bo twój syn chce poślubić ładną dziewczynę, której nie cierpisz. Czy nie słuchasz wiadomości? Syjoniści dzień w dzień mordują Brytyjczyków i Palestyńczyków! Pozbywają się Brytyjczyków, a my jesteśmy następni w kolejce, ale wszyscy są zbyt głupi, aby przejrzeć na oczy i coś z tym zrobić. - Jehja chwycił jedną ręką swoją trzcinę, drugą flet i wyszedł na dwór pełen niesmaku wobec własnych obaw, podsycanych codziennymi niemal doniesieniami BBC o aktach przemocy, dokonywanych przez coraz liczniejsze bandy uzbrojonych syjonistów.

Na marmurowych schodach domu Jehja wypuścił powietrze przez ustnik, poruszył palcami i unióśł brwi na pierwszy dźwięk fletu. Grał dla swoich drzew, by przywrócić pokój i prostotę.

- Przestań! - Basima wymaszerowała na ganek, zaprojektowany i własnoręcznie pokryty kafelkami przez męża. Kipiała ze złości. - Jeszcze trochę, a złamię ten flet - mruknęła pod nosem, żeby sąsiedzi nie usłyszeli, i odeszła w obawie, że przesadziła. Mamrocząc z niezadowoleniem, przeszła po perskich dywanach korytarza pod wykafelkowanym łukiem sufitu do pokoju rodzinnego, gdzie opadła na kolana, aby przysiąc na chwilę na jednej z rozrzuconych po podłodze poduszek. Przed laty Jehja chciał kupić sofę, jak Brytyjczycy, lecz nie wyraziła na to zgody; obecnie była zdania, że może rzeczywiście nadawałyby się lepiej. Niespokojnie rozłożyła matę do modlitwy, by powierzyć się Allahowi. Po odmówieniu dwu rukai podniosła się i po kolejnych dywanach, przykrywających marmurową podłogę, przeszła do kuchni, gdzie rozejrzała się po niebieskozielonych kafelkach, ułożonych przez Jehję. Uparty jak osioł, ale to artysta, pomyślała. Jehja, jak ty możesz zgadzać się na ten ślub!

Groźby i zaklęcia Basimy nie wywarły na synu żadnego wrażenia. Tylko Darwisz rozumiał opór, z jakim Hasan sprzeciwił się matce, bo sam też kochał Dalię. I gdy rodzina poszła prosić o jej rękę, płakał w towarzystwie umiłowanych Ganusza i Fatumy, arabskiej klaczy i ukochanej Ganusza, z białą strzałką między oczami.

Ojciec Dalii z ulgą pozbył się balastu w postaci najmłodszej córki i dwa dni później, zgodnie z obyczajem, otrzymał dary. Dalia podglądała przez siatkę w oknie, jak grupa mężczyzn przynosi ojcu złoto i pieniądze, co poruszyło ją mniej niż widok Darwisza idącego między nimi.

Nie miała nic do powiedzenia, choć podobała jej się myśl o zostaniu arusą, tak jak dziewczynce podoba się przebieranie za dorosłą - lecz wolałaby zostać arusą Darwisza.

W dzień ślubu kobiety z rodziny Dalii - matka, ciotki, zameżne siostry i kuzynki - wyszorowały do czysta każdy skrawek jej ciała. Nogi, uda, ramiona, brzuch i pośladki smarowano aida, którą następnie zrywano szarpnięciem, od czego prąd ją przeszywał. Dalia za każdym razem wyciągała szyję, by obejrzeć usuwane przy tym kępki czarnego owłosienia. Między nogami bolało najbardziej.

- Już dobrze, córko - powiedziała matka, szeroko rozsuwając jej kolana. Bismillah arrahman arrahim. Z wprawą i zręcznością akuszerki pozbawiła córkę włosów łonowych (z których Dalia była taka dumna) jednym ruchem, aż dziewczynka zerwała się na równe nogi. Kobiety roześmiały się dobrodusznie.

- Chodź, córko. Wejź do świata kobiet. - A gdy jedna z ciotek zobaczyła wilgoć na udach Dalii, zawołała do siostry: - Zdaje się, że z twojej córki będzie dobra żona. - I znowu się roześmiały, jakby Dalia była uległym widzem własnej przemiany.

Patrzyła w lustrze, jak uwodzicielsko obrysowują jej oczy czarnym ołówkiem, domalowując na twarzy wiek i dojrzałość, których nie miała. Była arusą, ozdobą swej kultury, i wszystkie małe dziewczynki wpatrywały się w nią, jak ona niegdyś przyglądała się pannie młodej przygotowywanej do obrzędu.

Ocieżała od migoczących darów, opasujących szyję i czoło oraz zawieszonych na nadgarstkach, kostkach i uszach, czternastoletnia Dalia poślubiła Hasana Jehja Abulhedżę. Stało się to w czasie hucznej uroczystości, jak to wypadało ojcu Dalii, przy rozgryczeniu Basimy i posmutniałym sercu Darwisza.

Obwieszona złotem ważącym połowę tego, co ona sama, mała panna młoda siedziała cichutko, bez przerwy pocierając dłoń, ze szczęką jakby unieruchomioną na sztywnych zawiasach, nawet gdy przyjmowała życzenia.

Mężczyźni najpierw świętowali oddzielnie, składając w ofierze baranka, tańcząc i radując się pieśnią i muzyką. Darwisz ze złamanym sercem poprowadził Dalke* dla brata, a następnie wznosił toast z miłością i tajonym smutkiem, pogodzony z wolą Allaha.

- Inszalla, teraz twoja kolej, bracie - odparł szczerze Hasan, obejmując Darwisza.

- Inszalla. - Jeśli Bóg da.

W ciągu dziesięciu miesięcy po ślubie Dalia podbiła serca mieszkańców wioski, rodząc syna, któremu dała na imię Jusef. I tak od piętnastego roku życia nazywano ją z szacunkiem „Urn Jusef”, a Hasana „Abu Jusef”.

* **Dabke - taniec ludowy, popularny w Palestynie, Syrii, Libanie i Jordanii.**

Basima przekonała się do synowej jeszcze przed narodzinami wnuka. Nie mogła nie docenić tego, jak sumiennie dziewczyna przykłada się do swoich zajęć, jak pomaga matce odbierać porody we wsi, i że mąż wpatrzony jest w nią jak w

obrazek. Poza tym rodziny ustaliły, że Darwisz ożeni się z siostrzenicą porzuconą przez Hasana, toteż honor Basimy był uratowany.

Brak doświadczenia Dalii skłonił matczyne instynkty teściowej, by wprowadzić beduińską synową w świat macierzyństwa, nauczyć ją karmienia piersią i sposobów na kolkę. Przekazała jej tajemnice odzyskania jędrnej skóry oraz wtajemniczyła w sztuczki mające zapewnić zainteresowanie męża po położeniu.

- W końcu wszystko siada: piersi, uda lecą w dół - powiedziała Basima. - Cały sekret tkwi w oliwie z oliwek. - Zmrużone oczy Basimy zalśniły konspiracyjnie, kiedy przysunęła się bliżej i zaczęła opisywać właściwości specyfików własnego autorstwa. - To kobiece sekrety, które przekażę tylko tobie i, inszalla, żonie Darwisza, gdyż nie dane mi było urodzić córki.

Basima poprowadziła Dalię wśród grządek z ziołami, zdradzając zastosowanie poszczególnych roślin. Nauczyła już Dalię, jak przygotowywać lekarstwo na płuca Hasana.

- Ale dla urody główny składnik to oliwa z oliwek - szeptała. - Rozgnieć w niej miętę z bazylią i natrzyj ciało, by ujędrnić skórę, i włosy, aby dodać im blasku.

Podczas takich chwil Basima i Dalia nauczyły się kochać siebie nawzajem i powoli połączyła je czułość i więź, jakich dotychczas nie znały.

Dziesięć miesięcy po narodzinach Jusefa Dalia powiła martwe dziecko, co kosztowało ją wiele cierpienia, i zasklepiła się w bólu. Pewna mściwa kobieta, chcąc wkupić się w łaski Basimy, wykorzystwała tragedię jako dowód złej natury dziewczyny.

- Wcale się nie dziwię. Wiadomo że Beduini nie stronią od czarnej magii. Jak inaczej Dalia złapałaby takiego mężczyznę jak Hasan?

- Wynocha z mojego domu! - Basima wyrzuciła kobietę za próg i poszła do Dalii. - Koniec żałoby, moja droga. Wyhodujmy nowe róże, na nowy początek - zaproponowała, kładąc tym samym kres zgryzocie synowej.

Trzy lata później, kiedy drzewa oliwne zatracaly srebrzystozielony odcień, w okolicy wybuchła bomba.

- Piekielni syjoniści! Czego, u licha, od nas chcą? - wrzasnęła Basima w stronę słupa dymu, pojawiwszy wreszcie obawy męża. Strach zacisnął szpony w jej piersi, w sercu, aż zakreśliło jej się w głowie, nogi odmówiły posłuszeństwa i upadła wśród krzewów róż, chwytając się za prawy bark. Jeszcze żyła, kiedy Dalia podbiegła do niej, w samą porę, by usłyszeć ostatnie słowa: Binti, binti. Moja córko, moja córko.

Po śmierci Basimy opieka nad różami przypadła Dalii, która krzyżowała je dla zapachu i koloru, jak nauczyła ją teściowa, powiększyła ogród i zasadziła na jej grobie nakrapiane bielą czerwone róże, Basimy ulubione. Co tydzień zabierała

Jusefa na cmentarz i pielęgnowała je. A po paru miesiącach, gdy na świat przyszedł Ismael, jej drugi syn, zanosila go tam na plecach.

Gdy jednak wzroslo zagrozenie nalotami syjonistow, chodzila na cmentarz sama, pozostawiajac dzieci raz na tydzien pod opieka krewnych i wioski. W takich wlasnie okolicznosciach doszlo do wypadku, ktory na zawsze pozostawil slad na twarzy Ismaela.

Wszyscy w rodzinie mieli wlasna groteskowa wizje rany. Jusef, jedyny swiadek zdarzenia, nigdy o niej nie mowil, nawet zapytany wprost.

Jusef mial wtedy cztery lata, jeszcze nie istniało państwo Izrael, a Ismael liczył sobie prawie pół roku. Tego dnia marudził, płacząc w tej samej kołysce, w której niegdyś sypiał jego ojciec. Mimo że była stara i podniszczona, Basima nalegała, aby Dalia kładła w niej dzieci, gdyż została pobłogosławiona przez syryjskiego szejka, znanego z uzdrawiania chorych i dokonywania cudów.

Gdy Dalia była w ciąży z Ismaelem, Basima osobiście wzmocniła barierki drewnem cedrowym, które przybiła gwoździami. I kupiła nowy spód, który też przybiła gwoździami. Kiedy Ismael leżał, płacząc, a Dalia wracała z grobu Basimy, Jusef wyłuskał niemowlę z białej pościeli, której Basima nie zdążyła wykończyć przed śmiercią. Dziecko okazało się nadspodziewanie ciężkie, więc je upuścił. Po drodze zahaczyło o wystający gwóźdź, który rozorał mu policzek aż do prawego oka.

Pozostała po tym blizna, która na zawsze naznaczyła twarz Ismaela i w końcu doprowadziła go do prawdy o sobie.

4. KIEDY ODESZLI

1947-1948

Ari Perlstein wyjechał na studia medyczne tuż po ślubie Hasana i Dalii, lecz chociaż ich drogi się rozeszły, przyjaciele nie stracili ze sobą kontaktu. Po śmierci Basimy Ari zwolnił się ze szkoły, aby opłakiwać z Hasanem w Ein Hod odejście matki.

Po południu w dzień zakończenia oficjalnej żałoby, która trwała czterdzieści dni, powietrze było rześkie i czyste. Hasan i Ari ruszyli w stronę gajów oliwnych, pozostawiając za sobą hipnotyczne recytacje Koranu, dobiegające z domu Abulhedżów.

- Jest bardzo źle, Hasanie - powiedział Ari. - Syjoniści mają cały arsenał. Werbują Żydów, którzy przyplływają każdego dnia. Nie znasz całej prawdy. Mają nawet uzbrojone samoloty i pojazdy.

Hasan rozejrzał się po gospodarstwie, które miał odziedziczyć w przyszłości. Znosi się na obfite żniwo. Nad drzewami zawirował dźwięk fletu i Hasan odruchowo przeniósł wzrok w stronę cmentarza, wypatrując ojca. Nie zobaczył nikogo. To była tylko melodia, wydrążona w środku i wypełniona ciszą, jakby flet szlochał.

- Będą zabierać ziemię, Hasanie. Rozpoczęli ogólnoswiatową kampanię, nazywając Palestynę „ziemią bez ludu”. Zrobią z niej ojczyznę Żydów.

- Ojciec zapowiada to od lat, ale zawsze myślałem, że przesadza - odparł Hasan.

- To się dzieje naprawdę, Hasanie. Wiesz, że ONZ zbiera się w listopadzie; wszyscy mówią, że rozparceluje ziemię. Jest dobrze przygotowana; pamiętasz, jak Brytyjczycy rozgromili Arabów po rewolcie przed laty. Część ortodoksyjnych Żydów w mieście organizuje kampanię antysyjonistyczną; ich zdaniem tworzenie realnego państwa Izrael to świętokradztwo. Lecz wpływowi ludzie w Ameryce uwzięli się, by przekonać Trumana do uznania i poparcia państwa żydowskiego tutaj. - Ari był wyraźnie wstrząśnięty.

- A ty co o tym sądzisz? O tym, żeby założyli tu państwo żydowskie? - spytał Hasan, ściskając oliwkę między palcami, by ocenić listopadowy plan. Zbiory złagodzą cierpienie ojca.

- Sam nie wiem, Hasanie. - Ari opuścił wzrok, przysiadł na kamieniu i począł grzebać palcami w ziemi. - Jestem Żydem. To znaczy, moim zdaniem, źle się dzieje. Ale nie wiesz, jak było kiedyś. - Zadrżał mu głos. - To, co się stało, zabiło

nas, chociaż uciekliśmy. Czy widziałeś, jaki moja matka ma pusty wzrok? W środku jest martwa. Ojciec także. Naprawdę nie wiesz, jak było, Hasanie. A teraz nie mamy pewności, czy nic nam nie grozi. Ojciec podkreśla, że tamci postępują źle i on nie chce mieć z tym nic wspólnego. Ale przestało tu być już dla nas bezpiecznie. Podobno Brytyjczycy chcą się wycofać. To nieuniknione. Syjoniści uparli się, żeby zrobić tu państwo żydowskie. Ale myślę, że jeśli Arabowie pogodzą się z tym faktem, wszystko dobrze się skończy i będziemy żyć razem. Hasan usiadł na ziemi obok Ariego.

- Przecież powiedziałeś, że im chodzi o państwo „żydowskie”.

- Tak. Ale zdaje mi się, że pozwolą Arabom zostać. - Słowa wymknęły się, nim Ari zdążył je powstrzymać.

- Zatem ci imigranci pozwolą mi zostać na mojej własnej ziemi? - Hasan podniósł głos.

- Nie o to mi chodziło, Hasanie. Jesteś dla mnie jak brat. Zrobiłbym wszystko dla ciebie i twojej rodziny. Ale to, co się stało w Europie... - Słowa Ariego ustąpiły miejsca strasznej wizjom obozów koncentracyjnych, o których obaj wiedzieli.

Hasan ścisnął kolejną oliwkę, jakby próbował wydusić słowa Ariego z powietrza, w którym zawisły jak zdrada.

- Właśnie, Ari. W Europie. Nie u Arabów. Zawsze mieszkali tu Żydzi. To dlatego tyłu ich tu ściga, prawda? I kiedy my wierzyliśmy, że szukają ucieczki i chcą po prostu spokojnie żyć, oni potajemnie gromadzili broń, by wypędzić nas z domów. - Na przekór własnym słowom Hasan nie był zły, rozumiał ból Ariego. Czytał o komorach gazowych, obozach, masowej zagładzie. Faktycznie: oczy pani Perlstein wyglądały tak, jakby życie spakowało się i opuściło je dawno temu. Jedna, dwie, trzy... osiemnaście ślicznych perełek.

Przewidując nadciągający konflikt, dodał:

- Jeśli Arabowie przejmą władzę nad Starym Miastem, idźcie do mojej ciotki Salmy. Wiesz, gdzie mieszka. Ma duży dom, możecie się tam ukryć.

Irgun, Hagana i Banda Sterna. Brytyjczycy nazywali ich terrorystami. Arabowie Jahudimi, Żydami, Syjonistami, Psami, Sukinkotami, Mętami. Świeżo upieczona populacja żydowska określała ich mianem Bojowników o Wolność, Żołnierzy Boga, Wybawców, Ojców, Braci. Jakkolwiek ich zwał, byli uzbrojeni po zęby, świetnie zorganizowani i przeszkoleni. Postawili sobie za cel wykurzyć inne nacje - najpierw Brytyjczyków, poprzez lincze i bombardowania, a następnie Arabów, mordując, zastraszając i przesiedlając. Nie było ich wielu, lecz strach, jaki budzili, położył się cieniem na cały rok 1947 i nie wróżył dobrze na

przyszłość. W 1947 i 1948 roku przybyli do Ein Hod co najmniej czterokrotnie, kiedy Palestyna wciąż znajdowała się pod mandatem brytyjskim.

Pierwszy atak nastąpił w żydowskie święto Chanuka, dwunastego grudnia 1947 roku. Wybuch zatrzęsł powietrzem i Dalia uciekła z cmentarza z krzykiem. Na dźwięk eksplozji Hasan pośpieszył do domu. Nie zastawszy tam żony, popędził na cmentarz i spotkali się w połowie drogi. Rzuciła mu się w ramiona.

- Żydzi idą! Żydzi idą!

Hasan zaprowadził Dalię do domu, gdy z sąsiedniej wioski Al-Tira wzbiły się kłęby dymu i na placu zebrała się grupa podnieconych i przestraszonych mieszkańców Ein Hod. Weszli do domu, Hasan ostrożnie położył żonę na łóżku i zaczął ocierać jej krew ze stóp.

- Co ci się stało? - spytał, oglądając krwawiącą nogę.

- Podlewałam róże na grobie Basimy - odrzekła bez tchu. - Nagle usłyszałam wybuch, z grobu wyskoczyła ręka i złapała mnie za nogę. Ale uciekłam i nikt mnie nie gonił.

Przyszedł Jehja z zaniepokojonym małym Jusefem na rękach.

- Są wszyscy? Darwisz poszedł zajrzeć do koni, jego żona ma Ismaela. Skąd ta krew?

Niewiele rzeczy przerażało Jusefa bardziej niż krew.

- Mamo! Mamo! - rozplakał się żałośnie. Dalia objęła synka i ucałowała go w główkę.

- To tylko draśnięcie, mój ty bohaterze.

- Pójdę sprawdzić, co się, u licha, stało! - wrzasnął na odchodne Jehja.

- Nie masz bransoletki na kostce! - wykrzyknął Jusef do matki.

- Nie, zgubiłam ją.

- Nie będziesz dzwoniła! Skąd mam wiedzieć, że idziesz?

- Jest jeszcze druga... - Dalia pomachała nogą - ...widzisz?

Jehja wpadł z powrotem.

- Przeklęci Żydzi! Wysadzili dom w Al-Tirze i uciekli do ciężarówki czekającej w gaju oliwnym nad cmentarzem. Musieli zauważyć Dalię. Całe szczęście, że jej nie złapali. Allah wie, czym by się to skończyło.

Gniew i frustracja mężczyzny przybierały na sile, a gestykulujące ręce przemawiały równie donośnie jak głos, gdy mężczyzna krążył po pokoju.

- Potrzebna nam broń! Gdzie są wojska arabskie, kiedy te psy wyrzynają kolejne wioski? Co my, do licha, zrobiliśmy tym sukinkotom? Czego od nas chcą?

- Wzniósł ręce do sufitu i pokonany opadł na krzesło, wiedząc, że nie pozostaje mu nic innego, jak czekać z oczyma zwróconymi do Boga. - Niech się dzieje wola

mądrygo Allaha - uciął, podnosząc się do wyjścia. –Hisbija Allah wa niaamal wakil - szeptał raz po raz, by odpędzić zło.

Ale nie ruszył się, żeby pomóc tym w Al-Tirze. Hisbija Allah wa niaamal wakil Ale podobnie jak przeklinane przez niego kraje arabskie, nie pośpieszył na pomoc skrzywdzonym sąsiadom. Po cichu uważał, że jeśli mieszkańcy nie będą się mieszać, Ein Hod ujdzie cało. Jego zdaniem szczery sojusz z Żydami zapewniłby im bezpieczeństwo.

- Ojciec, czy Żydzi nas też zbombardują? - Pytanie Jusefa przeszło serce jego ojca.

- Allah będzie nas chronił, synku. A ja będę chronił cię, twoją mamę i brata - zapewnił Hasan, patrząc przy tym na Dalię. Jego oczy kryły bezmiar miłości do niej, i tamtego dnia, po pięciu latach małżeństwa, kiedy Hasan oburącz trzymał jej stopy i składał dziecku obietnicę, Dalia zrozumiała, jak bardzo kocha męża.

Niespełna dwa tygodnie po incydencie w Al-Tirze w pobliskiej wiosce Balad Al-Szajch doszło do masakry Palestyńczyków. Wiatr przyniósł do Ein Hod zawołane ostrzeżenie. Kiedy wieści o kolejnych okropnościach dotarły do wioski, mieszkańcy truchleli na myśl o tym, co zbliżało się nieuchronnie. W przeczuciu kolejnych ataków kobiety z Ein Hod przedwcześnie zrywały figi i winogrona, susząc je na rodzynki i syrop, a także marynowały warzywa na wypadek oblężenia przez snajperów.

W maju 1948 roku Brytyjczycy opuścili Palestynę i uchodźcy żydowscy, którzy masowo napływali do kraju, ogłosili powstanie państwa żydowskiego, zmieniając nazwę z Palestyny na Izrael. Lecz Ein Hod sąsiadowała z trzema wioskami, tworzącymi trójkąt nie do pokonania wewnątrz nowego państwa, toteż jej mieszkańcy dzielili los około dwudziestu tysięcy Palestyńczyków, którzy jeszcze pozostali w swoich domach. Odpierali ataki i nawoływali o rozejm, chcąc jedynie mieszkać na swej ziemi jak zawsze. Przeżyli wielu panów - Rzymian, Bizantyjczyków, krzyżowców, Turków, Brytyjczyków - narodowość nie grała roli. Przywiązanie do Boga, ziemi i rodziny stanowiło istotę ich egzystencji; tego bronili i taki stan rzeczy pragnęli zachować.

Wreszcie zawarto rozejm i Ein Hod odetchnęła z ulgą.

- Wyprawimy ucztę w geście pojednania, na dowód naszych dobrych intencji - ogłosił mieszkańcom Jehja w imieniu rady starszych. I pełen nadziei uścisnął dłoń Hadż Salema w modlitwie, którą obaj rozumieli bez słów.

Oficerowie nowego państwa przybyli w identycznych beżowych mundurach, ostentacyjnie na przekór lipcowym upałom. Gorące wiatry szeleściły paprykami rozwieszonymi do wysuszenia i brzęczały garnki, kiedy uzbrojeni w karabiny izraelscy żołnierze, dumni z niedawno odniesionego zwycięstwa, przemaszerowali

przez wioskę. Słońce grzało niemiłosiernie, a upajający zapach jagnięciny i kminu próżno usiłował zagłuszyć strach.

Jusef, obecnie prawie pięcioletni, trzymał się matczynej thobe, spoglądając zza bioder Dalii na jasnoskórych cudzoziemców w hełmach. Wśród żołnierzy znajdował się mężczyzna imieniem Mosze, który wierzył, że wypełnia bożą misję. Jadł, nie spuszczać wzroku z Dalii z Ismaelem przy piersi i Jusefem płaczącym się jej pod nogami, kiedy podawała jedzenie. Uparcie wracał do niej spojrzeniem, a jego myśli wypierały wszystkie odgłosy oprócz brzęku bransolet na jej kostce.

Po uczcie żołnierze odjechali w wyniosłym milczeniu, które towarzyszyło im podczas posiłku, pozostawiając za sobą ogon wzgardy. Zdjęci złym przeczuciem, mieszkańcy Ein Hod modlili się przez resztę dnia, razem i oddzielnie, powierzając swój los woli Allaha przed udaniem się na spoczynek, którego tej nocy nie dane im było zaznać. Następnego ranka, dwudziestego czwartego lipca, Izrael przeprowadził atak artyleryjski i nalot na wioski. Wiadomości agencyjne donosiły, że izraelskie samoloty i piechota złamały rozejm palestyński nieuzasadnionym atakiem, i gdy Dalia biegła od schronu do schronu z przerażonym Jusefem i płaczącym Ismaelem, bomby padały z nieba jak grad.

Wioskę zrównano z ziemią i Dalia straciła wszystkich oprócz dwu sióstr. Zwęglone szczątki ojca, który przypalił jej rękę, spoczywały na tym samym placu, gdzie wymierzył jej karę. Wystarczyło kilka godzin, aby świat stanął do góry nogami, a Ismael zapłakał się prawie do nieprzytomności. Dalia przyciskała synka do piersi, bojąc się odłożyć go choćby na chwilę, chociaż mdlały jej ręce. Podobnie jak ona, reszta mieszkańców również potykała się niby we mgle. Panował nienaturalny spokój, wolny od wściekłości, miłości, rozpacz, a nawet strachu. Dalia patrzyła na ziemię, wypaloną i bez życia. Czuła, że swędzi ją pod lewym kolaniem; skupiła się na tym doznaniu, lecz nie miała siły się podrapać.

Gdy rozpoczęto bombardowanie, Hasan był w stajni i czym prędzej pobiegł na pomoc rodzinie. Zastał Dalię nieruchomą niczym słup soli, w głuchej ciszy, która potem zapadła. Jej zastygła postać, szklisty wzrok i ręka ciasno opasująca Ismaela napełniły go trwogą.

- Dalia! - krzyknął, podbiegając bliżej. Nawet nie drgnęła.

Hasan ukląkł i przeniósł wzrok tam, gdzie Jusef stał na niepewnych nogach, wczepiony w thobe Dalii.

- Tata! - wykrzyknął z ulgą na widok ojca. Jego głos w ciszy sprawił, że Dalia zamrugała powiekami.

- Chodź tu, habibi. - Hasan wziął syna i podniósł się z klęczek z lękiem, bo Dalia wciąż stała nieruchomo jak zaklęta. Jusef otoczył ramionami szyję ojca i Hasan zobaczył, że chłopczyk narobił w spodnie.

- Darwisz! Ojczy! - Hasan zawołał na pomoc brata i Jehję, ale Hadż Salem zjawiał się pierwszy.

- Hisbija Allah wa niaamal wakil, niech Bóg ich za to przeklnie. Niech diabeł porwie Żydów. - Na widok Dalii Hadż Salem nie zdobył się na więcej niż szept. - Zęby sobie połamię, jak będzie nimi tak zgrzytać. Daj chłopca i weź żonę, Hasanie.

Ale Jusef nie chciał go puścić. Ani otworzyć oczu. Ręce, nogi, strach i zabrudzone spodnie chłopca przywarły do Hasana, jego ostoji. Wtedy zjawiał się Darwisz i Hasan zawołał do niego:

- Bracie, zanieś Dalię. Wschodnie skrzydło domu jest nadal nietknięte.

Darwisz podniósł Dalię z Ismaelem przy piersi. Mrugała powiekami, chłonąc widok czystego, błękitnego nieba – jakie ładne i czyste - dopóki Darwisz nie wniósł jej do środka, gdzie zobaczyła tylko tynk na suficie swego domu. Ismael jest bezpieczny w moich ramionach. Jusef jest bezpieczny u ojca. Zły sen, prawda?

Nie upłynął dzień, jak do wioski powrócili izraelscy żołnierze. Ci sami mężczyźni, którzy jeszcze niedawno przyjęli poczęstunek, maszerowali teraz przez wioskę, mierząc z karabinów do ludzi, którzy ich ugościli. Hasanowi, Darwiszowi i innym kazano wykopać masowy grób na trzydzieści nowych ciał. Rozpoznali wszystkie prócz dwóch. Hasan posepnie spisał nazwiska zabitych przyjaciół i rodaków na rękawie swej diszdaszy, kopiąc ziemię tak otępiały z bólu, że nie mógł ich opłakiwać. Odmawiał fatihę. I w proch się obrócisz...

Oszołomieni - czy to sen ? - na skraju załamania nerwowego, wśród płaczu dzieci, mieszkańcy wioski nie stawiali oporu.

- Weźcie wartościowe rzeczy i zbierzcie się przy wschodniej studni. Szybciej! To tylko tymczasowe. Idźcie do studni - dyrgował głos z głośnika, niczym niewidzialny bóg, rozdzielający przeznaczenie. Niebo dalej było bezkresne. Słońce bezlitosne. Dalia schowała złoto w kieszeni na piersi i, zgodnie z poleceniem, wzięła to, co dla niej najcenniejsze, Ismaela na lewe biodro, Jusefa po prawej stronie.

- Mamo, chcę, żeby ojciec mnie poniósł - poprosił Jusef.

- Idź, habibi. Niech Allah będzie z nami wszystkimi. - Dalia puściła małą rączkę i chłopiec skoczył do ojca. Niech Allah będzie z nami wszystkimi.

Wokół studni roilo się od twarzy, zaniepokojonych i ściągniętych grymasem ze strachu. Gdyby nie on, wyglądałoby tak, jak przed rozpoczęciem zbiorów. Zbiory, pomyślał Jehja.

- I co teraz? - zastanawiał się Hadż Salem. Darwisz i jego brzemienna żona przybyli na końcu. On zgarbiony, wlokąc nogę za nogą i prowadząc zrozpaczoną

klacz, Fatumę. Ganusz, duma Darwisza i nieodłączny towarzysz Fatumy, koń, przez którego Dalia niegdyś złamała kostkę, padł w czasie strzelaniny i Fatuma z trudem dała się odciągnąć od jego wielkich zwłok. I co teraz?

Od studni, wymachując pałkami, żołnierze popędzili przerażony tłum po zboczu. Wóz obciążony dobytkiem kilku rodzin zakołysał się na drodze, wzbijając tumany kurzu. Stara kobieta upadła i ktoś ją podniósł.

- Idźcie, idźcie! - popędzał głos z głośnika. Zgroza wypełniła serca ludzi, kołując w górze jak rój ptaków. Ćwir, ćwir.

Dalia przyciskała Ismaela do piersi, a Hasan jedną ręką niósł Jusefa, trzymając w drugiej naprędcę spakowany dobytek. Jehja dźwigał na plecach kosz z prowiantem i - bez wody - wieśniacy, potykając się, szli ku wzgórzom pod spieczonym niebem.

- Zatrzymajcie się tutaj - przykazał bóg z głośnika. - Bagaż tam. Jutro go odbierzecie. Zostawcie wszystko, pieniądze i biżuterię. Bo będę strzelał. Rozumiecie?

Idźcie. Zatrzymajcie się. Rozumiecie? Wróćcie. Jutro. Bezpiecznie. Jehja kurczowo trzymał się poszczególnych słów. Jusef trzymał się ojca, a Dalia Ismaela, którego blizna wciąż była czerwona, ale się goiła. Może jest nadzieja. Dlatego zostawili bagaże - złotą biżuterię, która ciążyła Dalii w dzień ślubu, żywność, ubrania i koce. Sekator Basimy. Po co w ogóle go zabierałam, zachodziła w głowę Dalia.

Darwisz zdjął z Fatumy worki przytroczone do siodła i wyłożył ich zawartość obok złota oraz innych wartościowych rzeczy.

- Koń! Zostaw konia - rozkazał żołnierz. Nie bóg z głośnika, ale pewnie jego pomocnik.

- Nie, proszę! - Darwisz porzucił resztki dumy.

O Fatumę warto było błagać, lecz błagania zirytowały żołnierza.

- Stul pysk!

- Proszę!

- Stul pysk, powiedziałem!

- Proszę.

Żołnierz strzelił dwa razy. Raz między oczy Fatumy, prosto w białą strzałkę. Od razu padła martwa. Drugi raz w pierś Darwisza. Jego brzemienna żona, siostrzenica Basimy porzucona przez Hasana, podniosła lament, kiedy ludzie odnieśli jej zakrwawionego męża na bok, ktoś wyjął słoik miodu, aby zapobiec infekcji, po czym zabandażowano go strzępami jego własnej odzieży. Kula utkwiała w kręgosłupie, skazując go na bezruch i ciągłe odleżyny, a jego żonę na

kierat u boku męża żywego tylko od klatki piersiowej w górę, z głową pełną wspomnień o koniach i wietrze.

Strzały wzbudziły panikę i w miejsce ptaków trwogi pojawiły się chmury, które obudziły w Jehji nadzieję na deszcz. Nie przyszła jeszcze pora deszczowa, ale jego drzewa potrzebowały wody. Zdarzało się, że w Ein Hod deszcz był wszystkim, innym razem był tylko cenny. Potem ujrzał swego syna Darwisza i wszystko przestało się liczyć. Do diabła z deszczem. Jehja zrzucił kosz z pleców i rozplakał się nad swoim silnym chłopcem, nad niezrównanym jeźdźcem i ukochanym synem.

Dalia jeszcze ich nie dogoniła. Wzburzony tłum rozdzielił ją i Hasana, ale wciąż widziała kefię na jego głowie. Przewyższał wzrostem większość mężczyzn, zawsze jej się to podobało. Boże, co się dzieje! Chmury rozwiały się tak nagle, jak się pojawiły. Słońce kłuło niczym skorpion. Kurz wzbijał się wysoko do góry, kaktusy rosły nisko i Dalia pomyślała o wodzie.

W jednej chwili.

W jednej chwili sześciomiesięczny Ismael tkwił na jej piersi, w matczynych ramionach. W drugiej zniknął.

Chwila potrafi zmiażdżyć mózg i odmienić bieg życia, bieg historii. Dalia latami wielokrotnie powracała w myślach do tego ułamku sekundy w poszukiwaniu wskazówki, czegoś, co dawałoby choćby mgliste pojęcie o losie, jaki spotkał jej syna. Nawet gdy zagubiła się w sobie, wypatrywała w chaosie umysłu twarzy Ismaela.

- Ibni! Ibni! - Mój syn, mój syn, krzyknęła Dalia, wypatrując oczy za dzieckiem. Z kurzem przy twarzy, kaktusami u stóp. - Ibni! Ibni! - Rozejrzała się po ziemi, podniosła wzrok, lecz wysoka postać Hasana gdzieś znikła. - Ibni! Ibni! - Jacyś ludzie próbowali jej pomóc, ale huknęły strzały i tłum porwał ją naprzód. Czy to sen! Wszystko zdawało się nierzeczywiste, ponieważ nie mieściło się w głowie. Dla pewności raz jeszcze spojrzała na swoje ręce. Może wpełzł mi pod ubranie. Obmacała klatkę piersiową. Nie ma. Jej syn zniknął.

Dalia stanęła i czas również. Krzyknęła, jak nie krzyczała, kiedy ojciec przypalał jej rękę. Był to rozdzierający, przenikliwy, obłąkańczy wrzask zrozpaczonej matki, płynący z najgłębszego pragnienia, aby cofnąć czas, choćby o parę minut. Jeżeli Bóg istnieje, usłyszał lament Dalii. Hasan przybiegł do niej i począł przetrząsać tłum równie desperacko jak ona. W obawie o starsze dziecko mocno przyciskał do siebie Jusefa. Jusef ścisnął go jeszcze mocniej, zbyt przerażony, by wydobyć głos. Dzięki sile i woli Hasana wszyscy troje znaleźli się wreszcie w bezpiecznym miejscu, ale bez Ismaela.

Mieszkańcy wsi usiedli na ziemi w dolinie. Okolica była piękna i spokojna jak zawsze. Drzewa, niebo, wzgórza i skały trwały w niezmienionej postaci, a wieśniacy w niemym oszołomieniu, oprócz Dalii. Szalała z niepokoju, wypytując ludzi i zaglądając w twarze cudzych dzieci w nadziei, że ujrzy chłopca z blizną na prawym policzku i wokół oka. Szukała, pełna jak najgorszych przeczuć, chociaż Jehja przekonywał, że ktoś musiał podnieść dziecko i na pewno niedługo znów będą razem. Na pewno nie można polegać na słowach, pomyślał.

Dalia traciła resztki sił na łyzy, rozpamiętując każdą sekundę tamtej chwili, klatka po klatce. Mały Jusef, nieświadomy piekła, które nagle spadło na wioskę, zgodził się puścić ojca i siedział na kolanach Dżiddo Jehji, równie otumaniony i płaczący jak on.

Hasan krążył niezmordowanie między rannym bratem, niepokieszoną żoną, przerażonym synem a osłupiałym ojcem, aż wreszcie uległ zmęczeniu i zasnął na ziemi wśród bezlitosnych komarów, z głową opartą o kamień. Ale nawet sen nie ukoił jego sumienia. Nie ochronił rodziny. Nie zapewnił jej bezpieczeństwa ani nie mógł odnaleźć Ismaela.

- Dżiddo, czy możemy wrócić do domu? - spytał dziadka Jusef.

Jehja nie mógł kłamać ani też powiedzieć prawdy. Ucałował wnuka, przysunął go bliżej i przycisnąwszy mocniej do piersi, rzekł:

- Odpocznij, ja habibi, odpocznij, ja habibi. - Mój synu, mój kochany.

Następnego dnia chcieli wrócić, ale karabiny im na to nie pozwoliły. Przez trzy dni i dwie noce krążyli w górę i w dół po bezlitosnych wzgórzach, pod okiem słońca oraz niewidzialnych, ale niezawodnych snajperów. Chory na cukrzycę chłopiec i jego babcia przewrócili się i umarli. Jedna z kobiet poroniła, a odwodnione ciała dwojga niemowląt zwiotczały w matczyńskich ramionach. Mogli dotrzeć jedynie do Dżenin i odpoczywali, gdzie tylko było miejsce w powodzi uchodźców napływających z innych wiosek. Tamci pomagali im, jak mogli, dzieląc się prowiantem, kocami oraz wodą i zapewniając dach nad głową na miarę swoich możliwości. Niebawem Jordania, Irak i Syria przysłały kilka namiotów i w Dżenie w wyrósł obóz dla uchodźców; tam mieszkańcy Ein Hod mogli stawać na wzgórzach i spoglądać w stronę domów, do których nie dane im było wrócić.

Tym sposobem, osiem stuleci po jej założeniu przez armię generała Sałamina w 1189 roku, Ein Hod została wyzuta ze swych palestyńskich dzieci. Jehja usiłował odtworzyć liczbę pokoleń, które żyły i umarły w wiosce, i doliczył się czterdziestu. Nie było to trudne dzięki sposobowi, w jaki Arabowie nadają imiona dzieciom, zawierając w nich swą genealogię pod postacią pięciu lub sześciu imion przodków w linii prostej, w odpowiednim porządku.

W ten sposób Jehja doliczył się czterdziestu pokoleń, z których ich okradziono. Czterdzieści pokoleń narodzin i pogrzebów, ślubów i tańców, modlitwy i podrapanych kolan. Czterdzieści pokoleń grzechu i miłosierdzia, gotowania, ciężkiej pracy oraz lenistwa, przyjaźni, wzajemnej niechęci i paktów, deszczu i miłosnych uniesień. Czterdzieści pokoleń wraz z ich wspomnieniami, tajemnicami i skandalami. Wszystko rzucone na wiatr z powodu roszczeń innych ludzi, którzy postanowili wypełnić lukę i zagarnąć wszystko dla siebie - wszystko, co zostało w domach, sadach, studniach, kwiatkach - jako dziedzictwo żydowskich cudzoziemców, którzy napłynęli z Europy, Rosji, Stanów Zjednoczonych oraz różnych zakątków ziemi.

W smutku palonej żywcem historii rok 1948 w Palestynie wypad! z kalendarza, nie wiadomo dokąd trafił i zatracił rachubę miesięcy i dni, stając się nieskończone mglistym wspomnieniem jednej chwili w historii. Wiatr zdmuchnął dwanaście miesięcy tamtego roku, aż zawirowały bezładnie w sercu Palestyny. Starzy mieszkańcy Ein Hod mieli umrzeć na uchodźstwie w obozie, przekazując potomnym wielkie, żelazne klucze do domów przodków, sfatygowane akty własności gruntów, wystawiane przez Turków, akty własności z okresu panowania brytyjskiego oraz wspomnienia, miłość do ziemi i żarliwe postanowienie, że nie porzucą ducha czterdziestu pokoleń, zniewolonych propagandą złodziei.

5. „IBNI! IBNI!”

1948

I na kilka dni przed atakiem pod koniec lipca 1948 roku gorące wiatry El-Naquab pofrunęły w stronę Jerozolimy, gdy izraelscy żołnierze przybyli do wioski zawrzeć rozejm. Wrzesień był za pasem, a on zawsze przynosił ze sobą suche południowe wiatry i strugi deszczu.

Deszcz, choćby jego zapowiedź, przypomniiał o nadziei. A uczta, myśleli wieśniacy, wyznaczy spokojny początek.

Gdy żołnierze Izraela jedli, jeden z nich, imieniem Mo-sze, obserwował Arabkę. Pod nogami plątał jej się mały chłopiec. Jedną ręką podtrzymywała niemowlę przytulone do piersi, wolną podawała jagnięcinę Moszemu i jego towarzyszom. Jakaż to niesprawiedliwość, pomyślał żołnierz, że arabska wieśniaczka może posiadać dzieci, podczas gdy jego biedna Jolanta, która wycierpiała potworności ludobójstwa - nie. I coś w nim załkało.

Tak bardzo pragnął, żeby Jolanta była szczęśliwa. Marzyła o dziecku, lecz jej ciało zostało spustoszone przez nazistów, którzy zmusili ją do zaspokajania lubieżnych apetytów SS, kiedy była jeszcze nastolatką. Ów koszmar ocalił jej życie, ale skazał na bezpłodność. Straciwszy całą rodzinę w obozach zagłady, Jolanta po wojnie przyplłynęła samotnie do Palestyny. Nie wiedziała nic o Palestynie ani Palestyńczykach: uległa czarowi syjonizmu, skuszona obietnicami mleka i miodu. Chciała uciec od rzeczywistości, zapomnieć o spoconych Niemcach plugawiących jej ciało, zepsuciu i głodzie. Uciec od wycia śmierci w snach, ucichłych pieśniach rodziców, braci i sióstr, niekończących się krzyków konających Żydów.

Mosze rozumiał jej ból. Widział go w oczach osieroconych, owdowiałych, zdruzgotanych Żydów, których setki dzień w dzień przybijały do wybrzeży Palestyny. Lecz Jolanta była inna niż wszyscy, taka krucha i śliczna. Zakochał się w niej i po dwóch miesiącach od jej przyjazdu wzięli ślub.

- Jesteś już bezpieczna, Jolanto - zapewnił żonę podczas ich pierwszej wspólnej nocy.

- Skąd możesz to wiedzieć, Mosze? - wyszłochała w jego ramionach.

- Doczekamy czasów, gdy ziemia pomiędzy wybrzeżem śródziemnomorskim a rzeką Jordan będzie zamieszkaana wyłącznie przez Żydów. - Przytulił ją mocniej. - Palestyna będzie nasza. Zobaczysz. Razem stworzymy rodzinę. Rozpoczynamy

nowe życie. A teraz śpij i niech ci się przyśnią nasze dzieci, kochanie. Nikt nie będzie nas więcej prześladował.

Trzymając żonę w objęciach, Mosze snuł plany wykurzenia Brytyjczyków.

Najpierw Brytyjczycy, pomyślał, potem Arabowie.

Miał rację. Syjoniści skutecznie pozbyli się Brytyjczyków i większości Arabów. On i Jolanta ujrzeli narodziny

Izraela. Ba, Mosze asystował przy tym porodzie nowego państwa, państwa żydowskiego, powstałego z popiołów Europy. Tylko dziecka wciąż nie mogli się doczekać.

Mosze opuścił Ein Hod wraz z towarzyszami, ale nie mógł uwolnić się od wspomnienia tamtej Arabki i jej dzieci. Jolanta tyle wycierpiała; dlaczego Bóg odmawiał jej podstawowego daru, czyli macierzyństwa, dając przy tym tyle zdrowych dzieci Arabom, których i tak było na pęczki? niesprawiedliwość tego wszystkiego utwierdziła go w przekonaniu, by odebrać - choćby siłą - to, co mu się słusznie należy.

Następnego dnia po bombardowaniu w tłumie uciekinierów dostrzegł znajomą Arabkę z niemowlęciem przyciśniętym mocno do piersi i bransoletką ostentacyjnie brzęczącą na kostce, równie piękną jak ona sama.

Mosze przepchnął się przez tłum, zachodząc ją od tyłu. Nim znaleźli się blisko siebie, rozkołysany motłoch na tę jedną, pamiętną chwilę wyrwał jej dziecko. On chwycił je w mgnieniu oka, wepchnął do żołnierskiego worka i ruszył naprzód, nie oglądając się do tyłu. Usłyszał jej okrzyk: „Ibni! Ibni!”, i przyszło mu do głowy, że spostrzegła, co zrobił.

Ale nie. Tłum ruszył dalej, huknęły kolejne strzały i kobieta popłynęła wraz z tłumem.

Niemowlę płakało. Kierując się w stronę swego dżipa, z dala od oczu towarzyszy, Mosze czuł, jak dziecko szamocze się w worku. Arabowie opuścili już centrum wioski. Wpadł na pomysł, by zamroczyć dziecko alkoholem przeznaczonym do świętowania zwycięstwa jeszcze tego samego wieczoru w Ein Hod. Wlewając mu po kropelce dżin do buzi, zauważył bliznę przecinającą policzek. Była jeszcze czerwona, a oko spuchnięte.

- I po Arabach! - krzyknął jakiś żołnierz. Mieszkańcy Ein Hod zostali usunięci ze swojej ziemi.

Przyszła pora świętowania i nadarzyła się okazja, by ukryć dziecko.

- Zostawiłem szkło. Zaraz wracam! - krzyknął Mosze. Umieściwszy dziecko w worku na tylnym siedzeniu dżipa, pomknął w stronę kibucu, w którym Jolanta najprawdopodobniej spała. Jego zdaniem za wiele spała. Za mało jadła. I ostatnio prawie w ogóle się nie uśmiechała.

Opieka nad małą istotką przywróci ją z powrotem do życia.

Małą istotką był Ismael, syn Dalii i Hasana, fellahin z palestyńskiej wioski Ein Hod. Mosze nie znał ich imion i nigdy ich nie pozna, tak samo Jolanta. Twarz Arabki i jej okrzyk: „Ibni! Ibni!” będą go prześladować latami, a jego własne straszne czyny nie pozwolą mu zaznać spokoju do końca. Lecz na razie to miłość kazała Mosze ukraść dziecko. Wypędzać musiał, tak nakazywał mu niepodważalny edykt. Ziemia bez ludzi dla ludzi bez ziemi. Tak często powtarzał te słowa, że uwierzyłby w nie na pewno, gdyby nie tamta Arabka.

Gdyby nie Dalia.

Twarz Jolanty rozkwitła niczym wiosenny kwiat. Instykt macierzyński wziął górę nad depresją, rozpaczą i upiorami przeszłości. Trzymała w rękach drogocenne dziecko, na wpół zamroczone, brudne oszpecone. Przeląła na nie swe pokłady czułości, obojętna na jego arabskie pochodzenie. Tamtego dnia dowiedziała się pierwszej rzeczy na temat Arabów: że obrzezują chłopców.

Zakochała się w nim od razu.

- Jest taki piękny, Mosze. - Aż drżała z zachwytu.

- On... ten mały... jego rodzice... - Mosze nie był pewien, co chce powiedzieć i odetchnął, kiedy mu przerwała.

- Przestań. Nie chcę o niczym wiedzieć. Powiedz mi tylko, czy to nasz syn, Mosze?

- Tak, ukochana. Potrzebuje matki.

- W takim razie nazwę go Dawid, na cześć mojego ojca - postanowiła Jolanta, a Mosze wrócił do Ein Hod z alkoholem, bezbrzeżnie szczęśliwy. Czuł się spełniony.

Najpierw Brytyjczycy, potem Arabowie.

A teraz Jolanta miała dziecko.

Po wysiedleniu mieszkańców Ein Hod Mosze i jego towarzysze strzegli i łupili opustoszałą wioskę. Kiedy Dalia leżała otępiała z bólu po stracie Ismaela, Jolanta kołysała Dawida do snu. Kiedy Hasan walczył o przetrwanie swojej rodziny, Mosze upijał się na gruzach jego domu. I gdy Jehja i pozostali zrozpaczeni coraz bardziej oddalali się od swojej ziemi, uzurpatorzy śpiewali swój hymn, Hatikwę, i krzyczeli: „Niech żyje Izrael!”.

6. POWRÓT JEHJI

1948-1953

Podczas gdy cudzoziemska mniejszość w 1948 roku budowała nowe państwo, wypędzając Palestyńczyków i okradając ich domy oraz banki, pięć najważniejszych mocarstw - Związek Radziecki, Francja, Wielka Brytania, Chiny i Stany Zjednoczone - wyznaczyły mediatora ONZ w celu złagodzenia konfliktu.

- Jest Szwedem - oznajmił Jehja grupie mężczyzn, którzy co rano zbierali się w pobliżu jego namiotu, spragnieni najnowszych wieści.

- Kto? - spytał jakiś przechodzień.

- Przymknij się, Hasan czyta nam gazetę - odwarknął jeden z ze słuchaczy.

Jehja skinął synowi głową.

- Czytaj dalej.

I Hasan przeczytał;

„Występujący z ramienia ONZ szwedzki mediator hrabia Folke Bernadotte wygłosił następujące oświadczenie: «Byłoby pogwałceniem elementarnych zasad sprawiedliwości, gdyby niewinnym ofiarom konfliktu odmówiono prawa powrotu do własnych domów, tymczasem żydowscy imigranci napływają do Palestyny, grożąc wysiedleniem Arabom, którzy zamieszkiwali ją od stuleci»”.

Zapadła cisza nabrzmiała nadzieją powrotu, nim któryś, z mężczyzn ponownie się odezwał:

- Najwyższy czas, żeby ktoś potępił drani.

- Mam nadzieję, że Żydzi nie zniszczyli zanadto mojego domu.

- Mnie tam wszystko jedno. Naprawię uszkodzenia, byle tylko móc wrócić.

- Lecę powiedzieć rodzinie. Um Chalil bardzo się ucieszy. Martwi się o swoje cytryny i drzewka migdałowe.

Lecz gdy mężczyźni zaczęli się rozpraszać, zatrzymał ich głos pięciolatka.

- Dżiddo - mały Jusef spojrzął na dziadka - czy możemy już wrócić do domu?

Wszyscy uczynili takie założenie, lecz w obliczu tego pytania nie byli pewni, co odpowiedzieć. Dlatego odwrócili się do Jehji i Hadzi Salema siedzących obok. Jehja spojrzął na Hasana, po czym przeniósł wzrok na wnuka i rzekł:

- Prawdę powiedziawszy, Jusefie, tego jeszcze nie wiemy. Musimy poczekać, ja habibi. - Mój kochany.

Słuchanie wiadomości stało się w obozie dla uchodźców porannym rytuałem. Kobiety tworzyły własne grupy, podobnie jak dzieci. Jednak dla mężczyzn był to najważniejszy punkt dnia. W tym miejscu i czasie odzyskiwali nadzieję na powrót.

Nawet gdy niezmiennie spełzała na niczym. Nawet gdy starcy zaczęli wymierać. I nawet gdy nadzieja gasła, oni dalej gromadzili się pod hasłem Prawa do Powrotu.

Kilka dni po informacji o szwedzkim mediatorze gruchnęła kolejna wieść.

Hasan przeczytał:

„Szwedzki mediator z ramienia ONZ, hrabia Folke i Bernadotte, został zamordowany przez żydowskich terrorystów”.

Izrael nie zamierzał umożliwić im powrotu, więc rodzina czekała na uwięzi w owym roku bez końca, z jego surrealistycznym zakrętem losu i umownym zwieńczeniem roku, który trwał i trwał, każdego ranka rozpoczynając się na nowo porcją kolejnych wiadomości.

Jehja postarzał się bardzo w ciągu owych chaotycznych miesięcy, które przerodziły się w lata, aż pewnego dnia w 1953 roku uświadomił sobie, że jego nędzny namiot w Dzeninie obrósł gliną. Owa symboliczna stałość lokum była ponad jego siły. Po stokroć wolał mieszkać pod przeciekającą płachtą brezentu na uklepanej ziemi, która potwierdzała tymczasowy charakter wygnania.

W latach koczowania w mieście namiotów Jehja budził się na adan i beczynn timerze spędzał dzień, grając na flecie w przerwach między racjonowanymi posiłkami i pięcioma codziennymi modlitwami. Czerpał pewną otuchę z miłości bliskich i codziennych partyjek trik-traka z Hadż Salemem i Jackiem O'Malleyem, ONZ-owskim koordynatorem działań w Dzeninie. Trzej mężczyźni byli nierozłączni od popołudnia do co najmniej ósmej wieczorem, w zależności od tego, jak szła im gra i jak smakowały hookiah.

Ale w ciągu ponad sześćdziesięciu lat życia Jehja przywykł do swej rolniczej samowystarczalności i związanych z nią zajęć. Przymusowe lenistwo niewoli warzyło mu humor i przyginało plecy. Ciąg złamanych obietnic i postanowień ONZ, niewartych papieru, na którym uzasadniali żądania powrotu, gryzł go od środka i odbierał chęć do rozmowy, toteż snuł się w aurze człowieka pokonanego oczekiwaniem oraz żądzą znalezienia sobie jakiegokolwiek zajęcia.

Coś w glinie nowego lokum, która - wbrew jego woli - osadzała go na miejscu, wytrąciło Jehję z marazmu. Pewnego ranka, na początku listopada 1953 roku, wręczył Dalii parę sztuk odzieży.

- Ja binti - powiedział - spróbujesz to wybielić?

Dalia wzięła ubrania i włożyła je do mydlin. Nachylając się nad balią, by uprać rzeczy, uniosła głowę i przez kosmyki włosów, które wymknęły się jej spod chusty, odprowadziła teścia wzrokiem. Odzyskał humor, Allahowi niech będą dzięki.

Jehja usiadł na kamieniu przed swoją lepianką w długich białych kalesonach i białym podkoszulku, a następnie wystawił twarz do wiatru. Ostrożnie nabrał

powietrza w płuca, przymknął oczy i dmuchnął w fujarkę, wygrywając nową melodię. Nie była to smętna muzyka oczekiwania ani znane od zawsze tradycyjne melodie. Ściągnęła uwagę przechodniów, trafiając prosto do ich serc, tak że nagle pochylili głowy. Grał na flecie cały ranek, rzadko otwierając oczy, z uniesionymi brwiami. Kiedy skończył, wszedł do namiotu i powrócił z przyborami toaletowymi: brzytwą, skórzanym paskiem i odłamkiem rozbitego lustra. Usiadł prosto, zakotwiczony starymi, zgrubiałymi stopami w ziemi. Oliwki dojrzały.

Ogolił się. Zakręcił wasy w dwa sterzące zawijasy i utrwalił je żywicą gумы arabskiej.

Winogrona i figi na pewno już spadły i gniją na ziemi.

Ubrał się ze staroświecką starannością, włożył najlepszą diszdaszę, zbyt obszerną marynarkę i kefię w czerwoną kratkę.

Październikowe deszcze na pewno zruszyły ziemię.

I wyszedł z namiotu jako dumny człowiek.

Domyśliwszy się, co knuje, Hadż Salem próbował przywołać go do rozsądku.

- Ja Abu Hasan - błagał - wiem, co chcesz zrobić. Jest listopad i wszyscy czujemy to samo. Ale to zbyt niebezpieczne. Wahhid Allah!

- La ellaha ella Allah - odparł Jehja jak należało, ale nie chciał słuchać.

Jack O'Malley wiedział, że próżno go zatrzymywać. Położył białą, gąbczastą dłoń na jego ramieniu i ostrzegł ze swym irlandzkim akcentem:

- Bądź ostrożny, bracie. Twoje krzesło i hookah będą na ciebie czekać w kawiarni Beit Dżawad, więc nie zabaw długo.

Kiedy Hasan próbował go powstrzymać: „Ojczy, proszę. Oni cię zabiją...”, Jehja rzucił mu nieustępliwe spojrzenie arabskiego patriarchy. Następnie odwrócił się i ruszył jak kiedyś, pewnie, z dumą - chociaż o lasce - w kierunku pochyłej dróżki, biegnącej skrajem obozu, poza jego granice, poza granice wiecznego roku 1948, w głąb terytorium o nowej nazwie Izrael - do krainy znanej mu lepiej niż linie na dłoni - by w końcu znaleźć się u celu.

Wrócił po szesnastu dniach, obszarpany i brudny, ze spletaną brodą i w szampańskim humorze. Kefię, którą wyruszając, miał na głowie, teraz niósł przerzuconą przez ramię i związaną w wypchany węzełek, udając, że ugina się pod jego ciężarem. Dotarł do Ein Hod niezauważony przez żołnierzy.

- Mam tę ziemię we krwi! - oznajmił. - Znam każde drzewo i każdego ptaka. A oni nie.

Całymi dniami krążył po swoich polach, witając się z drzewami, zrywając figi i strąki chleba świętojańskiego z entuzjazmem człowieka na nowo połączonych z rodziną. Spał smacznie w cieniu drzew, jak to czynił przez całe życie w czasie popołudniowej sjeisty. Stara studnia, przy której żołnierz postrzelił Darwisza i

zabił Fatumę, wciąż stała na swoim miejscu, więc zrobił prowizoryczny czerpak z wiadra i pędów kapryfolium. Odwiedził grób żony, gdzie nakrapiane białą czerwone róże wciąż kwitły na przekór zniszczeniom. Odmówił fatihę za duszę Basi-my i - zaklinał się na wszystkie świętości - porozmawiał z jej duchem.

Blisko trzydzieści lat później, z wąsem identycznie zakręconym jak dziadek, Jusef przypomni sobie żółtą glinę na jego zębach po powrocie z szesnastodniowej wyprawy w przeszłość. Jehja opuścił obóz z całym namaszczeniem, w najlepszym ubraniu, a powrócił obszarpany jak żebrak, niosąc tyle owoców i oliwek, ile zdołał napchać do kefii, kieszeni i unieść w rękach. Mimo sponiewieranego

wyglądu kipiał entuzjazmem i powitano go jak bohatera, który przechytrył bezlitosnego wroga i dokonał tego, co nie udało się pięciu mocarstwom. I powrócił. Jakkolwiek krótki i niepewny był to powrót, Jehja dopiął swego.

Jego zuchwały wyczyn tchnął życie w uchodźców, którzy zmęczeni się obietnicami ONZ, a po upokorzeniach 1948 roku, roku bez końca, zapadli w letarg. Dla Jusefa, który nie miał jeszcze wówczas dziesięciu lat, eskapada dziadka stanowiła ziarno zasiane w jego wspomnieniach tamtego strasznego wysiedlenia, które kiedyś zakiełkuje przekorą. W najszcześniejszych chwilach swego życia, jakieś trzydzieści lat po śmiałej wyprawie Jehji, Jusef opowie swojej siostrze Amal o dziadku, którego nigdy nie znała.

- To był niezapomniany widok - powie Jusef. - On dosłownie promieniał. Rozwinął pośrodku osiedla węzełek z figami, cytrynami, winogronami, strączkami chleba świętojańskiego i oliwkami, jakby przyniósł milion złotych denarów. I bez przerwy się uśmiechał. Nasz dżiddo był wspaniałym człowiekiem.

- Jak ojciec - odpowie Amal.

- Tak. Jak nasz ojciec.

Po powrocie Jehji starszyzna urządziła nocą uroczyste czuwanie. Podzielili się owocami i zjedli je z nabożeństwem, pozwalając oliwkom zatańczyć z językiem przed przyjęciem sakramentu. Owoc pracy czterdziestu pokoleń smakował jak esencja Palestyny, jak nektar stuleci.

-Posmakuj mojej ziemi, Jack! Posmakuj! Ta kupka jest specjalnie dla ciebie i hadża! - Jehja miał gest, Wielki Powrót nastroił go wspaniałomyślnie.

Wieśniacy jedli, śmiali się, płakali, tańczyli i śpiewali smutne i wesołe ballady o dawnych czasach, porównując wspomnienia z opisami Jehji na temat nowego stanu rzeczy. Domy na wschodnim i zachodnim skrzydle Ein Hod jeszcze stały, lecz nikt w nich nie mieszkał, a pozostawione przed pięciu laty słoje z marynatami i dżemami nadal wypełniały spiżarnie. Jehja uszczknął tego i owego. „Lepiej je zjeść niż zostawić Żydom”. Co prawda, to prawda. Widział też w domach ubrania. Porozrzucane tu i ówdzie zabawki. Meczet pośrodku wioski zamieniono w burdel,

powiedział, na co kobiety wymamrotały przekleństwa, a mężczyźni z odrazą pokręcili głowami. Aha, a w domu Hadze Magidy, niech odpoczywa w pokoju, zaległy się mrówki - a tak ich nie znosiła! „Gdyby to widziała!” - wszyscy się roześmiali.

- Niech odpoczywa w pokoju. - Tak, niech odpoczywa w pokoju. Nikt nie korzystał z tłoczni oliwy, jedynie wieszano w niej obrazy. Urządzili tam galerię sztuki. I jeszcze stoi wielki dąb, który wyrósł dziko pod koniec XIX wieku. „Ba, jasne, że stoi”. Gaje oliwne też są, ale potrzebują fachowej ręki.

- Ci ludzie nie mają bladego pojęcia o oliwkach. To cudzoziemscy gogusie bez przywiązania do ziemi. Gdyby umieli ją wyczuć, rozbudziłyby w nich miłość do oliwek - oznajmił Jehja, spoglądając na dłonie, którymi jeszcze przed kilkoma godzinami pieścił majestatyczne, ukochane drzewa. Stare spracowane ręce skrywały prawdę o tych wzgórzach. Prawdę, że gałąź oliwna zakwita tylko raz, a jeśli jej nie przyciąć, wypuści pączki, z których do zimy wyrosną nowe, wiotkie gałązki. Prawdę, że najgorszym wrogiem oliwek jest mała mucha o ażurowych skrzydełkach i że warto trzymać owce, bo zasilają glebę potrzebnym azotem. Ręce Jehji zaczerpnęły tę wiedzę z życia poświęconego drzewom i ziemi.

- Niech ich cholera weźmie! - krzyknęła jakaś kobieta w tłumie. - Nie musieli nas wyrzucać z domu. Pozwoliliśmy tak wielu z nich osiedlić się na naszej ziemi. I dawaliśmy im oliwki z naszych zbiorów.

Wszyscy westchnęli, kobiety dalej mamrotały przekleństwa, a mężczyźni z odrazą kręcili głowami, podjadając z rozkoszą figi. Potem Jehja wyjął flet i popłynęły dźwięki czasu, a kobiety kołysały się i śpiewały smutne ballady dopóty, dopóki ktoś nie krzyknął: „Nie to! Zagraj nam Dał'Unę!”. I Jehja zagrał, a żywe tempo poderwało artretyczne ciała i zebrani odtańczyli niezdarnie dabke wokół ogniska. Ktoś zaimprovizował coś w rodzaju tabli*, dodając do fletu perkusję.

*** Tabla - nieduży, środkowowschodni bębenek.**

Jusef, jedyne dziecko, które jak dotąd dostąpiło zaszczytu siedzenia z dorosłymi o tak późnej porze i któremu oczy się zamykały, ożywił się nagle nieoczekiwaną odmianą nastroju. Po wielu latach, w Bejrucie, razem ze swoją siostrą Amal, będzie wspominał bezzębne uśmiechy, śmiech wstrząsający starymi, znużonymi ciałami oraz chichoty podrostków raczej niż dziadków, a także spiralny dym miodowo-jabłkowego tytoniu z nargili i fajki Hasana.

Skoczne dźwięki wypełniły powietrze i ludzie świętowali, upojeni smakiem owoców, które rodziły się nieprzerwanie, przenikając chmurę wygnania. Mijał czas i do biesiadników dołączali kolejni. Część kobiet pięknie się wystroiła, a dzieci, podniecone perspektywą siedzenia do późna, obiegiły Jusefa i urządziły własną uroczystość w poświęceniu ogniska.

Kolejne dni ostudziły zapał, ponownie ustępując miejsca męce oczekiwania i przykrościom codziennego życia. Zwłaszcza dla Jehji był to zawód nie do zniesienia. Dlatego dwa tygodnie później raz jeszcze poprosił Dalię o wypranie białej odzieży.

Ogolił się i ubrał, ponownie odprawiając ten sam cichy rytuał co poprzednio. Jednak tym razem działał metodycznie i z wprawą, przestrzegając poszczególnych etapów obrządku. Jusef siedział obok niego w słońcu, obserwując miarowy ślizg brzytwy na dziadkowym podbródku, oślepiiony blaskiem bijącym od ostrza. Patrzy! na brudną białą pianę w miseczce, pobrużdżone ręce Jehji, brud pod jego paznokciami. I zapisał w pamięci staranność, z jaką dziadek przyszywał przyprószone siwizną czarne wąsy, usztywniając zawijasy na końcach. Atrybut patriarchy.

Nikt nie wiedział dokładnie, kiedy umarł Jehja, ale zanim Czerwony Krzyż uzyskał od władz izraelskich zgodę na wydanie jego ciała, Dalia zdążyła znowu poronić. Wszyscy w obozie podzielali zdanie, że Jehja musiał wiedzieć, iż jeśli ponownie przekroczy granicę wiecznego roku 1948, odejdzie na zawsze. Hadż Salem nie miał wątpliwości, że Jehja poszedł umrzeć tam, gdzie powinien, a kiedy ludzie rozmawiali o jego śmierci, twierdzili, że zmarł na chorobę złamanego serca.

Prawdziwym powodem śmierci była rana postrzałowa. W Ein Hod osiedlali się żydowscy artyści z Francji i wioska zasłynęła jako rajskie zacisze. Jeden z żydowskich osadników zauważył Jehję za pierwszym razem i powiadomił żołnierzy, którzy byli już przygotowani na jego powrót i zastrzelili go za najście.

Myjąc ciało Jehji przed pochówkiem, rodzina znalazła w jego dłoni trzy oliwki i parę fig w kieszeniach. Twarz mężczyzny zastygła w uśmiechu, co dowodziło, zdaniem wszystkich, że do nieba męczenników odszedł szczęśliwy. Dlatego mimo smutku mieszkańcy obozu w Dzeninie oplakiwali śmierć Jehji, wspominając jego życie, odwagę, jaką wykazał, oraz miłość do ziemi. Jack O'Malley dał pracownikom wolny dzień i wszyscy wzięli udział w pogrzebie.

Hasan szedł w milczeniu w tłumie uroczystych żałobników, pomagając nieść okryte całunem ciało ojca, a jego brat Darwisz jechał obok na wózku inwalidzkim. Nikt nie zauważył rozpaczony na twarzy młodego Jusefa i nikt tej nocy nie zmrużył oka. Śmierć Jehji odsłoniła prawdę, która nie pozwoliła nikomu zasnąć, ciężąc kamieniem na sercach. Jak to możliwe, że człowiek nie ma prawa wejść na własny grunt, odwiedzić grobu żony i najeść się owoców pracy czterdziestu pokoleń, nie płacąc za to najwyższej ceny? To naiwne pytanie do tej pory jeszcze nie przemknęło do świadomości uchodźców, którzy zagubili się w bezkresnym oczekiwaniu, znużeni abstrakcyjnymi rezolucjami międzynarodowymi, oporem i ciągłymi zmaganiem z rzeczywistością. Lecz gdy opuszczali ciało Jehji do grobu,

oczywista prawda ich położenia wychynęła na światło dzienne i tej nocy nie było im dane zaznać snu.

Następnego ranka wzburzenie ustąpiło miejsca konkluzji, że stopniowo znikają z mapy świata, z jego historii i przyszłości. Mężczyźni i kobiety tworzyli oddzielne grupy, z których poczęli się wyłaniać przywódcy. Prawie w każdej kwestii zasięgano rady Hasana, gdyż był najbardziej spośród nich wykształcony, tak więc zadanie pisania listów i negocjowania z przedstawicielami ONZ spoczęło na jego kompetentnych barkach. Nawet palestyńscy rodacy z niepodbitych jeszcze wiosek Zachodniego Brzegu Jordanu traktowali ich z góry jako „uchodźców”.

- Skoro musimy być uchodźcami, nie będziemy żyć jak psy - postanowili.

Śmierć Jehji zesłała na obóz oprzytomnienie. Dżenin ogarnęła gorączka dumy i wszczęto kampanię o zinstytucjonalizowanie edukacji, zwłaszcza dziewcząt. W ciągu roku społeczność uchodźców postawiła kolejny meczet i trzy szkoły, Hasan zaś odegrał w tym wszystkim kluczową, acz dyskretną rolę, trzymając się na uboczu codziennego życia, ale opracowując kolejne listy i dokumenty. Zrywał się przed świtem, odmawiał pierwszą modlitwę sałat i czytał, błędząc wolną ręką między filiżanką kawy a fajką napełnioną miodowo-jabłkowym tytoniem. Następnie wychodził do pracy, zanim jeszcze rodzina wstawała z łóżek, stamtąd udawał się na wzgórze ze swoimi książkami i wracał, kiedy wszyscy już spali. Wstydził się lichej pensji, którą przynosił do domu. Wstydził się, że dzień w dzień wraca bez Ismaela. W niektóre dni odkładał książki i pracował przy samochodach, czym zaraził się od Ariego Perlsteina. Hobby to zaowocowało założeniem warsztatu, dzięki któremu zarobił dość, aby posłać Jusefa do college'u.

Nagłe odejście dziadka pozostawiło Jusefowi pustkę w sercu. Patrzył z oddali, jak Hadż Salem i Jack O'Malley bez przekonania grają w trik-traka, z pustym krzesłem dziadka między nimi.

- Mamo... - zaczął, przetykając łzy, ponieważ Dalia upierała się, że ma być silny. Siedział u stóp matki i bawił się ocalałą bransoletką na jej kostce. Mama dzwoni na każdym kroku - .. .chcę, żeby dżiddo wrócił.

Nie wiedział, co powie, dopóki tego nie zrobił. Dalia oparła dłoń na głowie syna. Nie mogła uwierzyć, jak urósł. Licząc monety na bransoletce, Jusef lubił przesuwając je pod palcami. Jedna, dwie, trzy, cztery... osiemnaście złotych monet. Dalia wiedziała, że zaniedbywała Jusefa po zaginięciu Ismaela. Staram się jak mogę, Boże, naprawdę się staram. Ismael miałby dzisiaj pięć lat. Ciekawe, jak by wyglądał.

Kiedy odgarniała Jusefowi włosy z czoła, zastanawiał się, czy mu coś odpowie. A może rozczarował ją swoją głupotą, marząc, aby dziadek powstał z martwych.

Nauczę się grać na flecie, postanowił i odszedł bez słowa.

7. AMAL PRZYCHODZI NA ŚWIAT

1955

Cztery lata po tym, gdy ONZ sfinansowała ceglany dom, który Hasan wybudował dla swojej rodziny, w Dżeninie powstała również przez nią sfinansowana szkoła dla chłopców. Jack O'Malley zaproponował mu posadę nauczyciela, ale Hasan odmówił.

- Inni mają większe kwalifikacje. To im przysługuje pierwszeństwo - powiedział. I przyjął posadę woźnego.

Po pierwszej wypłacie obsypał Dalię prezentami, które przyjęła z zachwytem, otrząsając się nieco ze smutku. I dziewięć miesięcy później, w skwarze lipca 1955 roku, urodziło się ich trzecie dziecko, córka Amal.

Do tego czasu Dalia wciąż nosiła żałobną szatę, okryta po kostki stóp i nadgarstki. Wyprowadzka z zawilgłego namiotu, nowa praca męża oraz łazienka i kuchnia, które miały zastąpić wiadra i miednice, oczekiwanie na powrót do normalności stało się dla Dalii znośne. Zamieniła wysłużony czarny szal na śnieżnobiały, z prawdziwego jedwabiu.

Mówiono, że narodziny kolejnego dziecka wskrzesiły w niej cień dawnego żywiołowego temperamentu. I choć żar Dalii wygasł już dawno, widziała jego wcielenie w małej Amal, jakby wir życia przybrał postać jej córki.

Niebawem Dalia dostrzegła w córce niewyczerpaną ciekawość świata; jej czarne oczy zdawały się nie mieć dna. Dziewczynka jakby zrodziła się z alchemicznych zaklęć i beduińskiej poezji: zachowywała się, jakby należała do niej cały świat, a kiedyś Dalia zauważyła nawet, jak jej niegrzeczne dziecko popycha inne małe dzieci do zacienionej alei, krzycząc. „To słońce mojego ojca, wynoście się!”.

Nie minęło wiele czasu, a już zaludniła świat wyimaginowanymi przyjaciółmi, którzy tolerowali jej dziką naturę - to znaczy, dopóki nie odnalazła innej samotnej duszy imieniem Huda.

Uległość i bierność Hudy obudziły w Amal odruch współczucia. Stanowiły osobliwą parę, ale były przyjaciółkami i w obozie rzadko widywano je oddzielnie.

Jeszcze długo po rozpoczęciu nauki w szkole podstawowej Amal pozostawała uparta i kapryśna; inaczej zachowywała się tylko wobec ojca, którego widywała rzadko, jako że do późna przesiadywał w pracy. Traktowała go niemal jak boga i patrzyła na niego z uwielbieniem, które przejmowało go do głębi. Gdy Hasan tulił swoją małą dziewczynkę, czynił to z największą czułością. Często, zanim

przejmowała go na własność, zwracała ku matce szatańskie spojrzenie, Dalia bowiem uchodziła w jej oczach za największą rywalkę o jego względy.

Dalia nie czuła się na siłach wymierzać córce kar cielesnych, jak to jej się zdarzało w przypadku Jusefa. Pozostawiła Amal własnym kaprysom, kontemplując jej naturę niczym piekący ból w ręce sprzed lat, który po stokroć objawił się w córce. Była to istna ironia losu, gdyż Dalia nie umiała się bronić przed wybuchami takiej witalności.

Nauczyła się zachowywać spokój, sygnalizując żądania i pieszczoty za pośrednictwem przeróżnych odmian milczenia. Dziewczynka odpowiadała na to uporem i humorami, które przeplatały się z wybuchami czułości i żarliwym pragnieniem, aby sprowokować matkę. Miłość **Dalii** znajdowała ujście, kiedy dziewczynka spała. Gładziła wówczas jej włosy i obsypywała ją pocałunkami, które skrywała w zanadrzu za dnia.

II EL NAKSA (klęska)

8. JAK OCEAN ZE WSZYSTKIMI RYBAMI

1960-1963

W młodości często próbowałam wyobrazić sobie mamę jako Dalię, Beduinę, która kiedyś ukradła konia, hodowała róże i dźwięczała przy każdym kroku. Matka, jaką znałam, była twardą kobietą, władczą i surową, która całymi dniami harowała przy sprzątaniu, gotowaniu, pieczeniu i haftowaniu ubrań. Kilka razy w tygodniu wzywano ją do rodzącej kobiety. Odbierała porody tak, jak robiła wszystko: na chłodno, z wprawą i opanowaniem.

Miałam osiem lat, kiedy po raz pierwszy pomogłam jej przyjąć dziecko na świat.

- To bardzo odpowiedzialne zadanie. Musisz być poważna, Amal - przykazała i przed wyjściem obmyła się jak zawsze. - Wudu i sałat. Rób to, co ja - poleciła.

Podawałyśmy sobie mydło domowej roboty. Obserwowałam ją, naśladowując każdy szczegół, każdy ruch. Ochlapywanie twarzy wodą, mycie rąk, łokci i stóp. Mamrotanie modlitw do Allaha. Poruszałam się jak jej lustrzane odbicie.

Umyłyśmy się, pomodliłyśmy, potem zaplotła mi włosy. Przed wyjściem wyparzyła nad ogniem specjalne nożyczki i zawinęła je w szmatkę „w imię Allana, Miłosiernego, Litościwego”.

W domu rodzącej byłam jak mama, poważna i opanowana. Podawałam jej ręczniki, stałam obok z nożyczkami i trzymałam nerwy na wodzy (oraz śniadanie w żołądku), gdyż ostrzegała mnie: „Bądź wytrzymała i nie zwymiotuj”. Twarda jak stal. „Cokolwiek czujesz, trzymaj to w środku”.

Dobrze pamiętam tamten dzień. Powolne ruchy grzebienia w ręku mamy, sunącego od czubka mojej głowy aż po końce długich, czarnych włosów. Aprobata na jej twarzy, gdy przezornie podałam jej ręcznik, zanim mnie o to poprosiła. Siła i kompetencja, oto dwie cechy, które Dalia ceniła najbardziej. Wszystko inne, uściski i pocałunki, o których tak marzyłam, chowała za zaciśniętymi zębami i w palcach pocierających o prawą dłoń. Cokolwiek czujesz, trzymaj to w środku.

Wieczorem pozwoliła mnie i Hudzie, mojej najlepszej przyjaciółce, spać na dachu.

„Dziękuję, mamó”, „Dziękuję, Um Jusef”, rzuciłyśmy z przejęciem.

Nie odpowiedziała, tylko bez słowa odwróciła głowę i przystąpiła do wieczornego sprzątnia. Tamtego wieczoru Huda i ja patrzyliśmy z dachu, jak czeka, aż ojciec wróci z warsztatu. Krzątała się z miotłą, w radiu śpiewała Um Kalthum, a mama zamiatała próg, aż nie zostało na nim nic prócz blasku księżyca.

Nigdy nie tańczyła na weselach i rzadko odwiedzała znajomych. Kiedyś zbudziłam się późną nocą i poczułam, że czule gładzi mnie po włosach. Potem pocałowała mnie - była to jedna z tych nielicznych chwil na wagę złota - i rzekła: „Śpij, a binti”.

Wczesne dzieciństwo w obozie dla uchodźców w Dżeninie upłynęło mi pod znakiem takich odkryć. Jak wówczas, kiedy miałam cztery lata i zobaczyłam penis Jusefa. Ubierał się i nie widział, że patrzę. Rozmyślałam o nim całym dniami, badając własne ciało, podglądając mamę w kąpielni i umierając ze strachu, że z moim bratem dzieje się coś niedobrego. Koniec końców wywołałam skandal, gdy nie zważając na sąsiadów, złapałam go za krocze, a on przyłożył mi z całej siły. Roz-wrzeszczałam się histerycznie, ale wszyscy świadkowie tego zdarzenia uznali, że Jusef postąpił słusznie. Oprócz mamy.

- Dalio, to nie przystoi dziewczynce, nawet jeśli ma cztery lata - perswadowała jej sąsiadka. - Lepiej zawczasu wybić małej z głowy diabelskie nawyki.

Złam ją, zbij, daj jej nauczkę.

- Skąd wiesz, że nie zrobi tego ponownie? - zapytała druga sąsiadka, a jeszcze inna dodała: - On jest starszym bratem i ma prawo uderzyć siostrę, jeśli źle postąpiła.

Ale mama wzięła moją stronę i złażała Jusefa.

- Nigdy nie waż się bić siostry. Przenigdy - przykazała, a ja, triumfując, gotowa byłam rzucić się jej w ramiona. Lecz na to również nie pozwoliła. - Przestań płakać, Amal - poleciała, bez złości, wyrzutu, a nawet stanowczości. Szorstko, rzeczowo i konkretnie, jak zawsze.

Pewnego ranka w kwietniu, miesiącu kwiatów, odkryłam ojca, jakiego jeszcze nie znałam. Pracował tak dużo i tak rzadko go widywałam, że aż do tego dnia wielbiłam go z oddali. Miałam pięć lat. Obudziłam się przed świtem przerażona, że nasiusiałam do łóżka, więc czym prędzej pobiegłam do łazienki. Ku mojej zgrozie i zawstydzeniu, gdy wyszłam, ojciec czeka! na mnie na korytarzu. Bardziej niż kary obawiałam się jego rozczarowania.

Tamten dzień stanowi jedno z najżywszych wspomnień z mojego dzieciństwa. Ojciec bez słowa pomógł mi włożyć suchą piżamę i oderwałam się od ziemi, lądując w jego rozłożystych ramionach. Zniósł mnie po schodach z głową ukrytą na jego szyi, po czym usiedliśmy, ja na jego kolanach, na kamiennym, wykafelkowanym tarasie pod baldachimem winorośli - stanowiącym żarliwą

próbę odtworzenia przez mamę jej przepysznego ogrodu w Ein Hod. Było jeszcze ciemno, lecz pamiętam skapaną w półmroku połąć kwitnących drzew owocowych. Kiedy ojciec czytał mi pierwszy raz w blasku woskowej świecy, kwitły brzoskwinie, granaty i drzewa oliwne.

Jeszcze długo potem potrafiłam wykrzesać z pamięci słodkie aromaty wiosny, które zaczarowały powietrze. Fajka z drewna oliwnego sterczała ojcu z kącika ust, śląc kłęby wonnego dymu.

- Posłuchaj, co ci przeczytam - powiedział. - To czysta magia.

Usilnie próbowałam zrozumieć klasyczną prozę arabską, lecz dla dziecięcego umysłu brzmiała jak w obcym języku. Miała jednak kojący rytm, a głos ojca brzmiał niby kołysanka. Zasnęłam w jego ramionach.

Nikomu nie wspomniałam o tym incydencie i przeżyłam dzień w oczekiwaniu na noc, zmrok tuż przed świtem, w nadziei, że ojciec znów znajdzie dla mnie miejsce w swoim poranku.

Idealnie pasowałam do kolan ojca. Obejmował mnie mocno, a ja kładłam głowę w zagłębieniu jego obojczyka. Potem znowu mi czytał.

Stójcie, przyjaciele, razem dziś zapłaczmy Nad wspomnieniem mojej najmilszej. Mieszkała na skraju piaszczystej pustyni, Między Dakhul i Howmal.

Ślady jej obozu

Zachowały się dziś jeszcze.

Bo gdy wiatr z południa sypie piaskiem,

Wiatr z północy go zwiewa.

Dawnego domu obejście Spustoszył czas;

Zaściełają go odchody dzikich zwierząt Gęsto jak nasiona papryki.

Rankiem naszego rozstania

Było, jakbym stał w ogrodach naszego plemienia,

Śród akacji, gdzie oczy moje

Łzami się zasnuły

Od piekącej woni kałokwinty.

Słyszałam chrobotanie w jego piersi, protest płuc wobec ilości wdychanego dymu.

- Tatusiu, kogo bardziej kochasz, mnie czy Jusefa?

- Habibti... - zaczął. Musiałam się uśmiechnąć, kiedy mnie tak nazywał. - Oboje was kocham tak samo.

- A jak bardzo kochasz mnie?

- Jak ocean ze wszystkimi rybami. Jak niebo ze wszystkimi ptakami. Jak ziemię ze wszystkimi drzewami.

- A wszechświat ze wszystkimi planetami? Zapomniałeś o tym.

- Nie dałaś mi skończyć. Cierpliwości - upomniał, pociągając fajkę. Wydmuchał dym. - Kocham cię bardziej niż wszechświat ze wszystkimi planetami.

- Jusefa też?

- Tak. Jak ocean... ale bez ryb.

Serce wezbrało mi na myśl, że ojciec kocha mnie tę odrobinę bardziej.

- A niebo i ziemia? Czy kochasz go bez ptaków i drzew?

- Tak. Ale nikomu ani słowa.

- Nie powiem, przysięgam. - Serce wezbrało mi teraz ptakami. - A wszechświat?

- Nie bądź taka zachłanna. - Mrugnął. - Muszę biec do pracy, habibti. Jutro.

Habibti. Jutro.

Ciężko było budzić się tak wcześnie, więc zasypiałam w ramionach ojca. Wreszcie przywykłam do wstawania przed słońcem, co zostało mi na długo. Codziennie skoro świt, kiedy ojciec czytał na tarasie naszego ceglanego domku, patrzyliśmy, jak słońce zalewa ziemię, ożywiając wszystko, czego dotknęło.

Wiele nocy osnuło mnie całunem

Rozpaczy bezdennej,

Ogarnęło jak fala morza,

Poddając próbie melancholii.

Rzekłem do nocy,

Gdy powoli przetaczała się nade mną,

A jej członki przygniotły mnie Nim odpłynęła daleko:

„Ach, długa nocy, nadejdzie świt,

Lecz nie będzie jaśniejszy bez mojej miłości.

Cudem jesteś, z gwiazdami jak świece

Przytwierdzone do skały sznurami z konopi”.

Innym razem napełniałem bukłak

I szedłem na pustynię, by

Kroczyć pustką w dal, a wilk wył

Jak gracz, którego rodzina głodem przymiera.

- Ziemia i wszystko, co się na niej znajduje, może zostać odebrane, ale nikt nie odbierze ci wiedzy ani ocen, na które zasłużysz. - Miałam wówczas sześć lat i dobre stopnie w szkole stały się walutą, którą wymieniałam na jego aprobatę, ważniejszą dla mnie niż kiedykolwiek. Wyprzedziłam pozostałych uczniów w całym Dżeninie i uczyłam się na pamięć ukochanych wierszy ojca. A gdy wyrosłam z jego kolan, słońce zawsze zastawało nas razem, pogrążonych w lekturze.

Moje życie przed wojną powraca do mnie teraz we wspomnieniach ujętych w ramiona ojca i przesiąkniętych aromatem tytoniu z jego oliwnej fajki. Mieliśmy mizerny dobytek i skromne potrzeby. Nie wiedziałam, co to plac zabaw ani kąpiel w morzu, lecz moje dzieciństwo było magiczne, zaklęte poezją i świtem. Nie znałam bezpieczniejszego miejsca niż jego ramiona, siedząc z głową w zagłębieniu między szyją a mocnym barkiem, ani cudowniejszych chwil niż świt, nadchodzący w oparach dymu i przy wtórze hipnotycznych słów Abu Hayyana, Khalila Gibrana, al-Maarriego i Rumiego. Nie zawsze rozumiałam, co pisali, ale ich strofy były urzekające i liryczne. Za ich pośrednictwem czułam ojcowskie namiętności, ból, poczucie straty i miłości. Mnie przekazał to wszystko. Tego wspaniałego daru ojca nikt nie mógł mi odebrać. I po latach, o szarej godzinie lutowego świtu w Pensylwanii, przejmujące słowa Gibrana i wspomnienie miękkiego barytonu ojca miały się stać moją jedyną pociechą.

9. CZERWIEC W DZIURZE POD KUCHENNĄ PODŁOGĄ

1967

Potem nadszedł czerwiec 1967 roku. Upalny miesiąc zabawy i dni wolnych od nauki. Dryfowałam u schyłku dzieciństwa, miesiąc przed dwunastymi urodzinami.

Aby nie dać się prześcignąć Lamii, naszej koleżance o małej skłonności do robienia gwiazd i fikołków, Huda i ja postanowiłyśmy nauczyć się salta. Ćwiczyłyśmy na miękkiej polanie opodal sadu brzoskwiniowego, na zachód od Dzeninu.

- I to ma być młynek?

- Zrób sama, skoro jesteś taka mądra, Amal! Zrobiłam i klapnęłam jak długa na plecy.

- Żenada! - prychnęła Huda.

- O Boże! - jęknęłam. - Moja noga! Coś sobie złamałam.

- Wstawaj... nie wygłupiaj się. Przecież widzę, że udajesz.

- Głos Hudy zdradzał szczere zaniepokojenie. - Arnał. Amal! O Boże!

Ryknęłam śmiechem i niepokój Hudy przeszedł w irytację.

- To nie jest śmieszne, Amal! - wrzasnęła. - Tak czy siak, do gwiazdy ci daleko, o saltie nie wspominając. - Wiedziała, jak mnie wkurzyć.

- Tobie też!

- Ja nie próbuję zagiąć Lamii.

Fakt. Huda lubiła się bawić, ale ja we wszystkim upatrywałam okazję do rywalizacji.

- Później poćwiczymy? - spytałam.

- No. Wejdźmy na Starą Damę.

Stara Dama była tysiącpięćsetletnim drzewem oliwnym o serpentynowatych konarach, poskręcanych niczym kędziory Samsona, stojącym pośrodku pastwiska. Z ogromnego, koślawego pnia, będącego ulubionym miejscem odpoczynku miejscowych pasterzy, wyrastały setki objuczonych owocami gałązek.

Ojciec mówił mi kiedyś, że Stara Dama nie jest niczyją własnością.

- Stała tu na długo przed nami wszystkimi i zostanie na długo po nas. Nie można jej „mieć”, habibti.

Uwielbiałam, kiedy ojciec nazywał mnie „habibti”, kochana.

- Nie można mieć na własność drzewa - ciągnął. - Może należeć do ciebie, tak jak ty należysz do niego. Pochodzimy z ziemi, oddajemy jej naszą miłość i pracę,

a ona w zamian nas żywi. W pewnym sensie to my jesteśmy jej własnością. Jesteśmy własnością Palestyny i do niej należymy.

Zapytałam Hudę, co, jej zdaniem, miał na myśli.

- Twój ojciec zawsze opowiada niestworzone rzeczy. Hadż Salem mówi, że za dużo czyta. Słyszałam wczoraj, jak powiedział twemu bratu, że ma zabrać ojcu książki i zaciągnąć go do kawiarni Beit Dżawad, na nargile z nim i Ammo Jackiem O'Malleyem.

Ammo Jack był przysadzystym mężczyzną o hałaśliwym śmiechu, który zdawał się pochodzić z rozstrojonych basów jego wielkiego serca. Miał siwą czuprynę, zwykle niechlujną i zmierzwioną. Jego równie gęsty zarost nosił żółte plamy od długiej komitywy z lucky strike'ami i fajką. Miał nadzorować szkoły i kliniki, ale rzadko siedział w biurze, wybierając fajkowe towarzystwo Hadż Salema w kawiarni Beit Dżawad.

Weszliśmy Starej Damie na plecy, bujałyśmy się na jej ramionach, by wreszcie spocząć na jej brzuchu, w miejscu gdzie pień rozchodził się na trzy główne konary.

- Zostało ci jeszcze trochę lakieru? - spytała Huda, oglądając czerwoną, odpryśniętą emalię na swoich paznokciach.

Przed tygodniem ktoś podarował go mamie, lecz nie zawracała sobie głowy takimi bzdurami i dała go mnie. Zebrało się nas co najmniej dziesięć dziewczynek i jedna drugiej malowała paznokcie, wyobrażając sobie, że jesteśmy egipskimi aktorkami.

- Trochę - przytaknęłam. Ożywiła się.

- Pomalujmy sobie u rąk i nóg, ale tylko my dwie.

- Dobra. Ale najpierw zróbmy zawody w pluciu.

- Nie dosyć zawodów na dziś? - jęknęła Huda, ale zaraz ustąpiła.

Zawody w pluciu. To robiłyśmy, kiedy nas zawołano.

- Poleci dalej, jeśli zbierzesz smarki. - Charknęłam, demonstrując co i jak. - Sama ślina się rozpryskuje. Dlatego zawsze przegrywasz.

- Co za ohyda - jęknęła Huda.

- Amaaaal!... HUUUUUUdaaaaa!

Ojciec wołał nas z obozu, gdzie mieszkaliśmy dzięki miłosierdziu międzynarodowej dobroczynności.

- Twój tata. - Huda jak zwykle stwierdziła rzecz oczywistą, co mnie zawsze u niej wkurzało. - Czemu nie jest w pracy?

- Nie wiem. Chodźmy.

Pobiegłyśmy. Potraktowałam to jako okazję do wyścigu, ale zatrzymałam się, nim dotarłyśmy do pierwszego rzędu betonowych chat.

Coś się stało. Za dużo ludzi wybiegło na ulicę.

Huda i ja odruchowo chwyciliśmy się za ręce i ruszyliśmy powoli w stronę źródła zamieszania. Wszędzie stały rozgadane grupki mieszkańców. Kobiety w haftowanych palestyńskich thobe przemykały uliczkami z koszami prowiantu na głowach. Niepewność wisiała w powietrzu. Niektórzy płakali, inni pohukiwaniem okazywali radość. Izrael właśnie zaatakował Egipt. „Arabskie wojska mobilizują się przeciwko syjonistycznej agresji”, gruchnęło z radia.

Nadszedł ojciec i wpadliśmy w jego wyciągnięte ramiona.

- Habibti, coś się wydarzyło. Musicie iść prosto do domu. - Był poważny i opanowany. - Szybko, dziewczynki. - Uśluchałyśmy.

Mężczyźni czekali u nas w domu na ojca, który poszedł zadzwonić do mojego brata do Betlejem, gdzie Jusef pracował.

Mama pośpieszyła w naszą stronę. Zdziwił mnie jej mocny uścisk i wymamrotane w przestrzeń słowa: „Chwała i dzięki Allahowi za moje dziecko”. Pocałowała mnie, czego prawie nigdy nie robiła. Najchętniej bym jej nie puściła; ów nagły przejaw uczuć nappełnił mnie wdzięcznością za atak Izraela.

- Allaho akbań - ktoś krzyknął. - Niedługo wrócimy do domu, do Palestyny!

W obliczu nowej, nieznanej dotąd czułości mamy zalał mnie przyływ nadziei. Odtworzyłam wszystkie szczegóły domu, który zbudowałam w wyobraźni, drzewa, krzak róży, jedna opowieść naraz. Pomyślałam o wodzie i piaszczystych plażach regionu śródziemnomorskiego - „Oblubienicy Palestyny”, jak nazywał go ojciec - który odwiedzałam tylko w marzeniach. Rozkoszne przeczucie nasunęło mi wizję dawnego życia, którego nigdy nie znałam. Życia prawowitego, które straciliśmy, lecz oto mieliśmy odzyskać je z powrotem, na tarasie Dżiddo Jehji i Tety Basimy pod bujnymi kiściami winorośli: różany ogród mamy, konie arabskie ujeżdżane przez Aramo Darwisza, biblioteka ojca i nasze gospodarstwo, które zaspokajało potrzeby połowy wioski.

Pocieszyłam Hude, ledwie żywą ze strachu, że po powrocie będziemy miały własny pokój i dość pieniędzy na lalki. Z naiwną pewnością siebie wskazałam na niezorganizowanych i niedoświadczonych mężczyzn.

- Spójrz na nich - rzekłam pełna podziwu dla tych przyszłych żołnierzy. - Tylko popatrz...

Ojciec od dawna chował karabiny w jamie wykopanej pod kuchenną podłogą, pod zlewem. Właśnie wrócił, rozmawiał z mężczyznami. Wiedziałam, że nadeszła chwila, aby użyć broni.

Latami słuchałam narzekania taty, że król Husajn Ibn Talal z Jordanii rozbraja Palestyńczyków, pozostawiając nas z pustymi rękami przeciwko syjonistom, którzy z pomocą Zachodu gromadzili coraz więcej broni. Zatem ilekroć mógł

zdobyć karabin, chował go w dziurze pod kuchenną podłogą. Zasłonił ją kafelkami i zabronił dzieciom się tam zbliżyć. Nie śmiałam mu się sprzeciwić.

Tamtego dnia patrzyłam, jak odsłania skrytkę i wyciąga z niej ponad dwadzieścia karabinów. Rozdał je bojownikom, których znałam dotychczas tylko jako ojców, braci, wujów i mężów.

Stałam na uboczu. Z daleka utkwiałam wzrok w poczciwej duszy, jaką był mój ojciec, patrząc, jak wyłania się z niego ktoś, kogo wcześniej nie znałam. Twarz mu stężała, zniknął uśmiech obecny zawsze w jego oczach. Przemawiał obcym głosem, to nie był ton intelektualisty i samotnika, przesiadującego z nosem w książkach i miłującego swoją ziemię nade wszystko. Nie miałam wówczas wystarczającej świadomości, aby pojąć zmianę, jaka zaszła w moim ojcu i w innych, którzy przeżyli już jedną straszną wojnę i udrękę wygnania.

- Amal! - Mama chwyciła mnie za rękę. - Nigdzie nie odchodź. Ty i Huda macie tu zostać, żebym was widziała.

W oddali coś huknęło jak grzmot. Podskoczyłam, a mama przemówiła z jeszcze większą mocą. Spojrzała na mnie swymi czarnymi, bezdennymi oczami - po niej je odziedziczyłam - i powtórzyła lekcję, którą wbijała mi do głowy od urodzenia:

- Bądź silna, tak jak cię uczyłam, cokolwiek się stanie. Chwilowe przekonanie, że idą lepsze czasy, wyparł strach, kiedy mama przesunęła Hudę i mnie w kąt jak pionki.

- Macie się stąd nie ruszać - rozkazała.

Nikt z dorosłych nie chciał nam powiedzieć, co się dzieje, więc chwytaliśmy tylko strzępy rozmów.

Zamieszanie, długie westchnienia, znaczące spojrzenia oraz wyczuwalna atmosfera determinacji sprawiły, że Huda i ja przylgnęłyśmy do ściany, skołowane i przestraszone. Postanowiono, że kobiety i dzieci mają się stąd nie ruszać, podczas gdy mężczyźni zajmą strategiczne pozycje - „do czasu nadejścia wojsk arabskich”. Huda i ja przytuliłyśmy się do siebie. Strach opasał nasze ciała, powodując mimowolne skurcze mięśni.

- Kocham cię, Amal - wyszlochała Huda.

- Ja ciebie też. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Huda.

- A ty moją.

- Nic nam nie grozi. Tata ma karabin i nas obroni.

- Trzymajmy się blisko siebie.

- Choćby nie wiem co.

- Przysięgasz?

- Przysięgam na Allaha.

Objęliśmy się na potwierdzenie tych słów. Mężczyźni czekali na wroga, ale nie nadszedł.

Potem czas popłynął strumieniem, noce i dni mijały niepostrzeżenie. Nie widziałyśmy twarzy wroga, ale go słyszałyśmy: samoloty, całe mnóstwo, latały nisko nad ziemią i zrzucały bomby. Mama zapędziła Hudę i mnie do jamy pod kuchenną podłogą, teraz pustej.

Była tak głęboka, że mogłam w niej swobodnie stanąć, i szeroka na tyle, że obie z Hudą mogłyśmy kucnąć na dnie. Z tej pozycji uniosłam głowę i ujrzałam z dołu twarz mamy. Miała mocno zaciśnięte zuchwy. Gdy nas zamykała, zobaczyłam za nią na blacie kolorową misę, którą zrobiłam w przedszkolu na Dzień Matki. Pamiętam, jak twarz mamy otworzyła się, kiedy ją dostała, i jak znów się zamknęła, gdy oznajmiłam, że wołałabym ją dać lepszej matce; miałam wtedy pięć lat i chciałam jedynie sprawdzić, czy zaciśnie zęby.

Kłapa zamknęła się i misa na Dzień Matki zniknęła po drugiej stronie. Zrobiło się ciemno jak w studni.

- Huda - szepnęłam, wciąż obejmując przyjaciółkę mocno, tak jak ona mnie.

- Tak? - Drżała.

- Wybacz, że wciąż się na ciebie wydzieram. - Huda była moją jedyną prawdziwą przyjaciółką. Inne dziewczynki nie znosiły mojej wiecznej chęci rywalizacji. Lubiłam się rządzić i w ogóle byłam okropna. A teraz przyszło mi do głowy, że umrę.

Minęło dużo czasu, zanim mama nagle uniosła kłapę i podała nam dziecko. Była to córeczka Chalto Samihy, moja trzymiesięczna kuzynka Aisza.

- Weźcie Aiszę. Niedługo wrócę - burknęła szorstko mama.

Miesiąc wcześniej Chalto Samiha przeklęła niemowlęciu uszy i Aisza nosiła teraz wkrętki z niebieskimi kamykami, wybrane przez ojca dla ochrony przed złym urokiem. Jeszcze o tym nie wiedziałyśmy, lecz Chalto Samiha, jej mąż i moja sześciolatka kuzynka Musa nie przeżyli ataku. Przeżyła tylko Aisza. Owinięta w kocyk, który mama uszyła dla niej po urodzeniu, leżała przy drodze na Wschodni Brzeg, nieopodal miejsca, gdzie zabito całą jej rodzinę. Kobieta śpiesząca z Dżeninu rozpoznała kocyk i wiedziała, że mama została w obozie, odmówiwszy ucieczki z innymi. I odesłała do niej Aiszę za pośrednictwem jordańskiego żołnierza, który odłączył się od swego uciekającego batalionu, przysłanego przez Królestwo Haszymidzkie do obrony przed izraelską inwazją.

Huda, Aisza i ja siedziałyśmy pod podłogą przez, zdawałoby się, wieczność upiornej ciszy. Wreszcie mama powróciła z bochenkiem chleba i mlekiem dla niemowlęcia. Była rozczochrana i brudna, miała rozbiegany wzrok.

- Amal, Huda, czy wszystko w porządku? - spytała, po omacku sięgając ręką w głąb dziury.

- Tak, mam, ale...

- Siedźcie grzecznie, dziewczynki. Jordan, Syria i Irak przystąpiły do walki po stronie Egiptu. Jeszcze trochę. Wszystko będzie dobrze.

- Mam, ale my chcemy kupkę, a mała zabrudziła pieluszkę - rzuciłam błagalnie, lecz już jej nie było.

Huda i ja bez słowa zdjęłyśmy dziecku pieluszkę i zakopałyśmy ją pod nogami. Załatwiałyśmy się na zmianę, zasypując odchody ziemią zeszkrobaną z boków kryjówki. Mama zostawiła lekko uchyloną klapę, aby zapewnić nam dopływ powietrza i światła, lecz do środka wpadały tylko chmury pyłu i nic więcej. Słyszałyśmy wybuchy i odgłosy paniki, ale nie miałyśmy odwagi ruszyć kłapy i siedziałyśmy jak trusie.

Zdaje się, że mijały dni. Mała czasem płakała rozpaczliwie, a my nie pozostawałyśmy w tyle i przerażone szlochałyśmy wraz z nią. Krzyczała, aż całkiem opadała z sił. Słyszałyśmy też inne krzyki. W górze zawodziły dzieci; kobiety, równie bezradne, płakały i modliły się, jakby w chaosie próbowały zwrócić na siebie uwagę Boga, Słyszałyśmy huk i kanonadę. Monotonny śpiew. Smród palonych ciał, sfermentowanych śmieci i płonącego listowia mieszał się z fetorem naszych ekskrementów w piasku.

- To chyba Sądny Dzień, Huda. Tak jak napisano w Koranie.

- O Boże. Pomódlmy się i prosimy o wybaczenie. - Aszhado an la ellaha ella Allah – wyrecytowałyśmy słowa, które miały zaprowadzić nas do nieba.

Płakałyśmy. Z usmarowanymi twarzami i pustymi brzuchami błagałyśmy Boga o zmiłowanie.

- Boże, wybacz mi, że ochlapałam błotem nową sukienkę Lamii. Wybacz mi, że... - mieszały się nasze słowa.

- Błagam cię, Panie - mówiła Huda. - Przebacz mojemu ojcu.

Potężny wybuch zdmuchnął klapę. Nagle zrobiło się jasno, przysypał nas pył i kamienie. W uszach dzwoniło mi od huku. Krzyczałam i płakałam, lecz nie słyszałam samej siebie. Kucalyśmy nad dzieckiem, zasłaniając rękami głowy. Zerknęłam na Hudę i zobaczyłam, że zastygła w pół krzyku, bezgłośnie wrzasku niewypowiedzianej trwogi. Miała splątane włosy, białe od kurzu i mokre od krwi, umorusaną twarz. Krew ciekła jej po skroni. Serce waliło mi tak, że słyszałam każde uderzenie. Bu-bum, bu-bum. Wybuch zamknął moje uszy na wszystko oprócz tętna i jęku zgrozy. Panowała gęsta, wszechogarniająca cisza; to było niczym oko cyklonu albo szum podwodnego świata.

Spojrzałam na Aiszę. Spala. Twarz miała spokojną, anielską. Różowe usteczka rozchyliły się lekko, jakby w uśmiechu. Nie rozumiałam. Moje łzy kapnęły jej na buzię, rozmazując brud na policzku. Zamiast brzucha miała rozległą dziurę z małym odłamkiem szrapnela. Gdy ujęłam zakrwawiony metal, w biciu mego serca zmieścił się cały świat. Ten mały i lekki kawałek, jakim cudem mógł ją tak rozerwać? Tak łatwo odebrać jej życie?

Wstałam, trzymając martwą kuzynkę i metalowy odłamek. Kuchenna podłoga znajdowała się na wysokości moich oczu, ale kuchnia znikła i w miejscu, gdzie dotąd był sufit, widziałam niebo. Przed sobą miałam sterty gruzu, niektóre jeszcze dymiły. Mężczyzna, w którym rozpoznałam naszego sąsiada, Abu Samiha, rozpaczliwie grzebał w rumowisku zakrwawionymi dłońmi. Zniknął w kłębach dymu, a następnie pojawił się z dzieckiem w ramionach, przerywając mój trans rozpaczliwym skowytym.

Na gruzach swojej chaty, pod którymi spoczęła żywcem jego rodzina, stał u progu przepaści i krzyczał, z twarzą wykrzywioną bólem, głosem pełnym rozpacz. Trzymając w rękach bezwładne dziecko, wznosił oczy ku niebu i wydał z siebie mrozące krew w żyłach wycie, gardłowy hołd dla Opatrzności.

Abu Samih był uchodźcą, który zaczął nowe życie po 1948 roku. Kampania izraelska pochłonęła jego ojca i czterech braci. Ożenił się w obozie dla uchodźców i tu wychował dzieci, wspierając dwie owdowiałe siostry. Podobnie jak my wszyscy, żył nadzieją na powrót do domu, ale dawna niesprawiedliwość ponownie dała o sobie znać, zabierając mu całą rodzinę. Trzeci raz nie zacznie od nowa. Z życia nie zostało mu nic.

Dzieci, z których część rozpoznawałam, błąkały się bez celu. Niektóre płakały, inne wpatrywały się przed siebie pustym wzrokiem. Opuściwszy głowę, zobaczyłam, że Huda nie ruszyła się z miejsca, tylko skulona kołysała się w przód i w tył. Przestała krzyczeć, ale słyszałam, jak odmawia fatihę, początkowe wersy świętego Koranu. W imię Allaha Miłosiernego, Litościwego! Chwała Allanowi, Panu światów Miłosiernemu, Litościwemu, Królowi Dnia Sądu. Oto Ciebie czcimy i Ciebie prosimy o pomoc. Prowadź nas drogą prostą, drogą tych, których obdarzyłeś dobrodziejstwami, nie zaś tych, na których jesteś zagniewany, i nie tych, którzy błędzą. Amen.

A potem od nowa. W imię Allaha, Miłosiernego, Litościwego...

Trwałam w osłupieniu, niezdolna unieść stóp, jak gdyby wrosły mi w ziemię. Potoczyłam wzrokiem, chłonąc wszystko w jego zasięgu, i zobaczyłam mamę. Siedziała na ziemi, spojrzenie miała nieobecne. Nie zareagowała, kiedy nadjechali ciężarówkami żołnierze.

Ukryłam się z powrotem w dziurze, zasłaniając nas, czymkolwiek się dało, kawałkami pofałdowanego metalu i zgniecionym rowerem. Pokazałam Hudzie, że ma być cicho, i znów wytrzeszczyłyśmy oczy ze strachu.

Podniosłam się, usiłując chyłkiem wyrzeć na zewnątrz. Widziałam tylko nogi żołnierzy. Nosili ogromne buty, którymi zdawali się po mnie deptać, gdy krążyli dookoła.

Bombardowali i palili, zabijali i okaleczali, kradli i łupili. A teraz przyszli po ziemię.

Na dźwięk krzyków i rozmów w obcym języku schowałyśmy się głębiej w dziurze. Naraz padł pojedynczy strzał. Kiedy znów odważyłam się wyrzeć, zobaczyłam Abu Sami-ha leżącego na ziemi z bronią w jednej i martwym synem w drugiej ręce. Żołnierze go zastrzelili. Leżał tam, z wybałuszonymi oczami i na zawsze już pełnym niedowierzania spojrzeniem. Jego życie wsiąkło z ciała w ziemię, a ja patrzyłam z ukrycia, jak kałuża krwi rozlewa się pod nim niczym szept niewyśpiewanego zakończenia.

Abu Samih wykrzesał z siebie resztki sił i próbował strzelić do wroga, którego szukał bezskutecznie. Pistolet jednak zawiódł i żołnierze go zabili. W akcie miłosierdzia.

Huda i ja tkwiłyśmy na swoim miejscu, zbyt przerażone, aby bodaj drgnąć. Po odjeździe żołnierzy wydłubałyśmy rękami wnękę w ścianie jamy w naszej dawnej kuchni i złożyłyśmy tam dziecko.

Potem zasnęłyśmy, wtulone w siebie niby bliźnięta w łonie matki, dopóki czyjaś ręka nie sięgnęła w głąb jamy i nas nie zbudziła. Zdziwione i osłabłe podniosłyśmy wzrok i zobaczyłyśmy zakonnice.

- Prędko, nosze! - krzyczała łamanym arabskim. - Dwie dziewczynki! Jeszcze oddychają. Tutaj!

Otępiałe ze strachu i głodu, bez słowa splotłyśmy się w uścisku. Zakonnica zrozumiała. Nie pozwolimy się rozdzielić!

Gdy niesiono nas do prowizorycznego szpitala, zorganizowanego przez międzynarodowe instytucje charytatywne,

Huda wciąż leżała zwinięta w kłębek. Ja, rozciągnięta na noszach, chłonełam widok dookoła, a w zębach zgrzytał mi piasek, którego za nic w świecie nie mogłam wypluć. Wtedy zobaczyłam, jak przewożą obok na taczce zmasakrowane ciało ojca Hudy. Nie widziała tego, powieki miała zaciśnięte.

Gdzie ojciec? Proszę, Boże, proszę Cię, powtarzałam bez końca, sprowadź go do mnie.

- Nazwaliś cię Amal z długą samogłoską, bo krótka samogłoska oznacza tylko jedną nadzieję, tylko jedno życzenie - powiedział kiedyś mój ojciec. - Ty

znacysz o wiele więcej. Złożyliśmy w tobie wszystkie nasze nadzieje. Amal z długą samogłoską oznacza nadzieje i marzenia, całe ich mnóstwo. - Ledwie wówczas sześciolatka, dorastałam w przekonaniu, że noszę w sobie wszystkie marzenia mojego ojca.

Teraz miałam tylko jedno: znów zobaczyć tatę. Dobra zakonnica - mówiła o sobie „siostra Mariannę”

- szła obok nas z okrytym ciałem Aiszy w ramionach. Nim dotarliśmy do namiotu, zatrzymał nas żołnierz - pierwszy izraelski żołnierz, którego widziałam z bliska. Był bardzo wysoki; chcąc sięgnąć wzrokiem aż po jego hełm, musiałam przymknąć oczy, oślepiąca przez słońce.

- Nie możecie zabrać tam dziecka - rzucił gardłowym, łamanym arabskim.

- A to dlaczego?

- Dziennikarze.

- Boicie się, że świat zobaczy, co robicie dzieciom?

- Zamknij się. Jak mi się spodoba, to cię zastrzelę - ostrzegł, unosząc karabin, o dziwo, z uśmiechem.

- Ależ bardzo proszę - odburknęła bez strachu. - Nie różnicie się od nazistów, którzy włązili mi pod nogi, kiedy w czasie wojny opiekowałam się Żydami. - Zmrużywszy oczy, rozpoznała jego akcent i przemówiła do niego w języku, który oboje znali. Ze zdziwienia wytrzeszczył oczy, po czym odpowiedział jej w tym samym języku i kiwnął głową na znak, że możemy przejść.

- Zabierzcie dziewczynki do trójki - poleciła ochotnikom siostra Mariannę. Gdy mijaliśmy żołnierza, podniosłam wzrok i zobaczyłam jego oczy. Błękitne jak niebo.

Opatrzono nam drobne rany, Hudzie założono kilka szwów na głowie, pewnie pokaleczył ją spadający gruz. W namiocie dostrzegłam mamę i rzuciłam się ku niej, spragniona kolejnej pieśczęty. Siedziała bez ruchu w kącie, tak jak wcześniej na ziemi, gdy zobaczyłam ją z kryjówki. Stałam na wprost niej. Jej przepastne, puste oczy nie zarejestrowały mojej obecności. Jakby nie widziała kompletnie nic.

- Mamo. - Dotknęłam jej lekko, ale nie zareagowała. Przystawiłam twarz do jej twarzy, ale jakbym była ze szkła.

Podeszła siostra Mariannę i mnie objęła - cudowne uczucie.

- Czy ona nie żyje?

- Nie, kochanie. Jest w szoku. Znasz ją? - zapytała siostra Mariannę.

Wtedy załata mnie fala niewysłowionej urazy. Znienawidziłam mamę za to, że jest w szoku, cokolwiek to miało znaczyć, za to, że nie ona mnie objęła, i za to, że zawsze różniła się od innych matek.

- Nie - skłamałam. - Nie znam.

Ukryłam się za bezwstydnym kłamstwem, by pozostać pod opieką siostry Mariannę, a Huda poszła za moim przykładem. Była skołowana i przerażona, chciała tylko, żebyśmy zostały razem.

Rozpoznałam wiele twarzy w prowizorycznym szpitalu i usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy je ostatnio widziałam. Basima spała na łóżku polowym w zakrwawionym bandażu na głowie i z unieruchomioną nogą. Gdy widziałyśmy się ostatnio, karmiła piersią niemowlę u Chalto Samihy, kiedy Aisza miała przekłuwane uszy. Ammo Munir siedział przytomny na krześle, ociekając krwią. Ostatnio widziałam go w kawiarni Beit Dżawad, gdzie czytał i psioczył na arabskich przywódców cytowanych w gazecie.

Lecz ani śladu ojca.

Zacisnęłam powieki i tak siedziałam, uchylając je tylko, by rozproszyć wizję w głowie.

Później tego samego dnia siostra Mariannę zabrała Hudę i mnie ciężarówką Czerwonego Krzyża na długą wyprawę do Betlejem. W czasie kontroli miałyśmy się schować w skrzyniach z żywnością. Na szczęście żołnierze tylko otworzyli drzwi, zajrzeli do środka i znów je zamknęli. Gdy stanęliśmy ponownie, znajdowaliśmy się przy znajomym kościele. Ojciec nazwał go kiedyś bazyliką Narodzenia Pańskiego, to było podczas jednej z chrześcijańskich uroczystości, które często przyjeżdżaliśmy oglądać.

- Ponoć tu urodził się Master Esa - odparł, cierpliwie udzielając odpowiedzi na moje niezliczone pytania.

Betlejem wyglądało zupełnie jak Dżenin, zrujnowane i spalone, księżycowy krajobraz śmierci. Kościół, w którym

Master Esa przyszedł na świat, został ostrzelany i jeszcze cuchnął spalenizną. Wewnątrz siedziały na podłodze setki dzieci, przeważnie osierocone przez wojnę. Prawie się nie odzywano, jakby słowa mogły tylko potwierdzić rzeczywistość; milczenie skrywało prawdopodobieństwo, że wszystko jest tylko sennym koszmarem. Cisza sięgała aż po pułap katedry i kłębiła się tam, odbijając smutek i nieopisaną krzywdę, jakby zbyt wiele dusz naraz chciało wstąpić do nieba. Istnieliśmy gdzieś między życiem a śmiercią, przy czym żadne nie chciało nas w pełni przyjąć do siebie.

Nadeszła siostra Mariannę z dzbanem wody.

- Chodźcie, dziewczynki. Musicie wykąpać się razem, żeby nie marnować wody - powiedziała, kiedy szłyśmy za nią do umywalni. Nalała nam wody i poszła. Byłyśmy tak ogłupiałe, że weszłyśmy do metalowej balii w brudnych

ubraniach. Ciepła woda objęła moje ciało czułym uściskiem, szepcząc obietnice bezpieczeństwa.

Huda i ja rozebrałyśmy się i usiadłyśmy naprzeciwko siebie. Oddzielała nas zbrazowiała woda, ale nogi się stykały. Tak, twarzą w twarz, wpatrywałyśmy się nawzajem w swoje myśli i widziałyśmy swój strach ze świadomością, że przekroczyłyśmy niewidzialną granicę, spoza której nie ma powrotu. Zniknął znany nam świat. Czujemy to przez skórę. Zapłakałyśmy cicho i przytuliłyśmy się do siebie.

Tkwiliśmy tak, zdjęte przecuciem, którego nie umiałyśmy nazwać. Spojrzałam na swoje palce u stóp, wystające zwody. Poodpryskiwany czerwony lakier na paznokciach. Minał zaledwie tydzień, odkąd podawałyśmy go sobie, zachwycone tą namiastką dorosłości. Teraz, w balii wewnątrz kościoła, gdzie narodził się Master Esa, nasze paznokcie wciąż nosiły czerwone odpryski tamtego dnia. Tydzień zaledwie dzielił dziewczęcą próżność od piekła.

Powoli zsunęłam się w dół, chowając głowę pod wodą. Tam, w milczącym świecie, przypominającym ciszę po wybuchu, który zniszczył kuchnię i zabił Aiszę, odczułam dziwne pragnienie: chciałam być rybą.

Mieszkałabym w kojącej, podwodnej głębinie, gdzie nie docierają krzyki i huk wystrzałów, a w powietrzu nie unosi się zapach śmierci.

10. CZTERDZIEŚCI DNI PÓŹNIEJ

1967

Za rozbitym oknem w naszym zrujnowanym obozie słońce dalej kryło się poza zasięgiem wzroku, ale niebo płonęło już odcieniami pomarańczy i fioletu, obwieszczającymi jego nadejście. O dziwo, koguty przetrwały i dalej piałły sumiennie, niezrażone cieniem, który wisiał nad nami. Wstałam przed świtem, jak zawsze. Brzask należał do mnie i ojca, który mi czytał, kiedy świat wokół nas spał. Minęło czterdzieści dni od zakończenia wojny, kiedy to siostra Mariannę odwiozła nas do Dżeninu i zastałam mamę z pękniętym umysłem. Ojciec i mój brat Jusef wciąż nie dawali znaku życia.

Niebawem w powietrzu zadrżały dźwięki adanu, sącząc się w głąb naszych prowizorycznych domów i wzywając wiernych do modlitwy. Wiele lat później, po życiu spędzonym na wygnaniu, owa niewątpliwa kadencja duszy arabskiej napęliła moje serce cichym przekonaniem co do słuszności decyzji o powrocie do Dżeninu.

Chociaż było jeszcze niebezpiecznie wychodzić na zewnątrz, mały Samer, pięciolatek z sąsiedztwa, biegł przez obóz i wrzeszczał wniebogłosy bez ładu i składu, rozdzierając ciszę „godziny policyjnej”, która stałą się naszą codziennością.

Domyśliłam się, że biedak odreagowuje zgrozę niedawnych wydarzeń. Nie byłoby w tym nic dziwnego: ostatnio większość dzieci krzyczała przez sen.

- Są goli - dyszał Samer, próbując zebrać myśli. - Potrzebują ubrań. Tak mówili.

W jego głosie pobrzmiwała histeria, budząc ogólne poruszenie. Z okien wyrzwały znużone, zalęknione oczy. Stare kobiety uchylały prowizoryczne drzwi, aby wyrzeć na zewnątrz.

- Co się dzieje? - zawołał ktoś na ulicy.

- Znowu wojna? - spytał ktoś inny. W takich chwilach zamieszania, rozpacz i oczekiwania plotka pulsowała niczym nadzieja w sercach tych, którzy nie umarli do końca.

- Allaho akbar! - prześcigano się w nawoływaniach.

W oknach wszystkich domostw błysnęły twarze i w obozie wezbrało podniecenie, przetaczając się falą kolejnych okrzyków.

- Arabskie wojska idą na pomoc! - padło z usmolonego okna, jednak ludzi ogarnęło wahanie, widzieliśmy bowiem izraelskich żołnierzy na posterunkach.

Aroganccy najeźdźcy. Mordercy i złodzieje. Nienawidziłam ich na równi z płachtami bieli ponad naszymi domami, świadectwem naszej upokarzającej kapitulacji.

Lecz euforia opadła tak szybko, jak się pojawiła, kiedy słowa Samera przestały stanowić zagadkę.

- Dosyć tego! Nie ma żadnej wojny. Chłopak mówi, że nasi synowie żyją - dobiegł męski głos, uciszając pieśni wojenne.

Hadż Salem. Przeżył! Byłam ciekawa, gdzie się ukrywał.

Czego to on nie widział. Tak mówił nam, młodym. Dużo czasu minęło, zanim poznaliśmy całą historię, gdyż przekazywał ją we fragmentach.

- Czego to ja nie widziałem - mawiał. - Pracowałem uczciwie dla tych żółtówłosych ludzi o kolorowych oczach, a oni przywieźli w zamian cudzoziemskich Żydów, którzy ukradli mi meble. - Zawsze tylko pojedyncze elementy układanki swego życiorysu, po jednym naraz. - Czego to ja nie widziałem. Wszystkie wojny. Wyrzucili nas z naszej ziemi i ukradli meble, które sam zrobiłem. - Następnie odchodził, pozostawiając nas skręcających się z ciekawości. Lecz w naszym obozie jego historia była historią wszystkich, opowieścią o wysiedleniu, odarciu z człowieczeństwa i porzuceniu w obozie nienadającym się dla szczerów, jak śmieci. O pozbawieniu praw, domu i tożsamości, podczas gdy świat stał odwrócony plecami, patrząc na triumf uzurpatora bądź świętując wraz z nim ustanowienie nowego państwa o nazwie Izrael. Hadż Salem był mądrym człowiekiem o dobrodusznym poczuciu humoru, który przemieniał drewno w kunsztowne meble i misterne ozdoby. Twierdził, że kiedyś wysoki rangą oficer brytyjski zakupił u niego posążek Maryj Dziewicy z drewna oliwnego, aby podarować go królowej żółtówłosych ludzi o kolorowych oczach, przez co nabrałam przekonania, że Hadż Salem znał ją osobiście.

Był najbardziej żywiołową i barwną postacią z mojej młodości, on też uczył obozowe dzieci historii. Moje uwielbienie dla palestyńskich przysłów i folkloru zawdzięczam właśnie jemu. Dzięki Salemowi poznałam nazwiska i historie ludzi, których napotykałam jako ofiary wojny w podręcznikach historii, czytanych po latach.

Oblegaliśmy go ochoczo, błagając o opowieści z dawnych czasów. Prześcigaliśmy się w prośbach, dziesięcioro czy dwadzieścioro zasmarkanych, bosych uliczników, zaklinając się, że potem damy mu spokój, aż wreszcie uległ, wiedząc doskonale, że wrócimy następnego dnia lub za godzinę.

Siadaliśmy wokół niego na ziemi i słuchaliśmy z uwagą, przyjmując dary, które nam ofiarował. Snuł dynamiczne gawędy o dawnym życiu i wydarzeniach z tak misterną drobiazgowością, że Palestyna wraz ze wszystkimi wioskami, dawno

zrównanymi z ziemią przez Izrael, ożywała w mojej głowie, jakbym sama tam mieszkała. Jego chrapliwy głos, zdarty po latach palenia muaasalu*, z ożywieniem wznosił się i opadał, cofając nas do czasów naszych przodków i czyniąc świadkami tamtych wydarzeń.

* **Muaasal - tytoń z melasy.**

Naszym młodym oczom Hadż Salem zdawał się niewyobrażalnie stary. „Co najmniej dziewięćdziesiąt”, zaryzykowała kiedyś Lamia. Dopiero po latach uświadomiłam sobie, że w czasach poprzedzających wojnę 1967 roku musiał mieć zaledwie po sześćdziesiątce. Był prawie zupełnie łysy, nie licząc przerzedzonych, białych kępek włosów nad wielkimi uszami. Jego brunatna skóra za to była nimi porośnięta obficie: pokrywały wysoką konstrukcję z kości, sterczących na wysokości barków niczym wieszak pod tradycyjną diszdaszą. Podobnie jak większość Palestyńczyków, nosił kefię w biało-czarną kratkę, luźno zamotaną wokół głowy, oraz niechlujne wąsy, często zdradzające, co jadł ostatnio. Były krzaczaste, kruczoczarne i wiecznie młode - nawet gdy miał dobrze po dziewięćdziesiątce - osobliwy relikw młodości na pomarszczonej twarzy starca. Najlepsze ze wszystkiego zaś było to, że nie miał zębów. Stracił je, jak mawiał, „w walce ze skorbutem”. Ma się rozumieć, my, dzieciaki, nienawidziłyśmy „skorbutu”, kojarząc go z izraelskim potworem. I często podczas szczeniackich kłótni „skorbut” padał jako wyzwisko. „Jesteś wredny jak skorbut”, mawiałam z upodobaniem. Ktoś oświecił mnie, kiedy miałam dziewięć lat, i nie powiedziałam tak nigdy więcej.

Doskonale pamiętam ten bezzębny uśmiech. W dzieciństwie moi kuzyni, koledzy i ja często próbowaliśmy rozśmieszyć Hadż Salema. Małpowaliśmy izraelskich przywódców, wyśmiewając i przedrzeźniając napuszonego Menachema Begina bądź wyszydzając Golde Meir, „starą wiedźmę”, jak nazywali ją Egipcjanie. Wreszcie, doprowadzony do ostateczności, odsłaniał różowe dziąsła, mrużył oczy, aż ginęły mu w pomarszczonej twarzy, i rechotał serdecznie. A my, rozbawieni tym pociesznym widokiem, wtórowaliśmy mu z ochotą.

Nie wiedziałam, skąd pochodził, z jakiego miasta lub wioski, gdyż znał każdy niemal zakątek Palestyny. Mama nigdy mi nie powiedziała, a Jusef nie był pewien. Ponoć jego rodzina zginęła w El-Nakbie w 1948 roku, ale tej historii nam nie opowiedział. Mieszkał sam, bez żony, dzieci, braci i sióstr. Było to dość niezwykle, gdyż rodzina w społeczności arabskiej odgrywa zasadniczą rolę. To nie do pojęcia „nie mieć” rodziny. Ale Palestyńczycy, którzy po Nakbie rozproszyli się i stracili domy, stanowili od tej reguły wyjątek. Przyjaźnił się z dżiddo Jehją. Tyle wiedziałam od baby.

Hadż Salem był również pierwszą osobą, która powiedziała mi o moim bracie Ismaelu, zaginionym podczas pamiętnej zawieruchy w 1948 roku.

- Przepadł jak kamień w wodę - rzucił podczas jednej ze swych ekshumacji historii. - I twoja matka już nigdy nie była taka jak dawniej.

Dzień, w którym mały Samar przebiegł z krzykiem przed obóz i dowiedziałam się, że Hadż Salem przeżył wojnę czerwca 1967 roku, wyznaczył koniec życia, które znałam, oraz początek okupacji wojskowej, mającej odtąd rządzić naszą codziennością. Minęło czterdzieści dni, odkąd izraelscy żołnierze przeszli od domu do domu, zabierając mężczyzn pozostałych w obozie. Przez czterdzieści dni obowiązywała godzina policyjna, podczas której Huda i ja byłyśmy nierozłączne, chodząc ze sobą nawet do łazienki. Nasz dom legł w gruzach, więc schroniłyśmy się w domu Chalto Samihy, gdzie usiłowałyśmy nie patrzeć na kołyskę Aiszy. Kiedy przyjechałyśmy, mama już tam była; modliła się. Nie odezwała się do mnie, dała nam tylko czerstwy bochenek chleba i ser, po czym wróciła na dywanik modlitewny. Poszłam za nią, stanęłam z tyłu i objęłam ją ramionami. Ogarnął mnie wstyd; zastanawiałam się, czy jest świadoma, że ją zostawiłam. Nie powiedziała ani słowa, ja również milczałam. Lekko poklepała moją rękę, może czule. Potem znowu ją zostawiłam. Huda i ja znalazłyśmy w spiżarni talię kart i wymyślałyśmy gry z improwizowanymi zasadami. Czasem siedziałyśmy cicho w kącie, jakby zahipnotyzowane rytmicznym mamrotaniem mamy i powolnym kołysaniem jej ciała, kiedy godzinami modliła się na podłodze. Rozczesywałyśmy i zaplatałyśmy sobie włosy, i zaczęłyśmy rozmawiać o tym, co nas spotkało. Wreszcie się rozplakałyśmy.

Mały Samer załomotał w metalowe drzwi. Wytknęłam głowę przez okno, a nasza sąsiadka Samirah wyjrzała przez sąsiednie.

- Amal! - zawołał do mnie Samer. - Jusef żyje! Samirah, z rozczochranym włosiem i oczami wciąż pełnymi snu, natychmiast spytała o brata.

- A Faruk?

Ale Samer pobiegł już dalej, przebierając nóżkami. Dołączyły do niego inne dzieci z obozu i gnały całym stadem, jak galopujące kucyki. Pośpiesznie wsunęłam głowę, żeby zbudzić mamę, ale już szła w moją stronę.

- Co się dzieje?

- Samer Haitham mówi, że Jusef jest goły.

- Co takiego?

- Jusef żyje.

- Allaho akbar! Gdzie mój syn?

- Chyba w brzoskwiniowym sadzie.

- Z ojcem? - zadała pytanie, które nasuwało się i mnie. Nie zwlekając, wyszliśmy z domu. Ciasno owinęła głowę ulubioną chustą, końce spływały jej na ramiona. Dostała ją przed laty w prezencie od ojca, gdy otrzymał pierwszą wypłatę jako woźny w obozowej szkole dla chłopców. Pożółkła z czasem, ale kiedyś była biała, z misternym haftem wzdłuż krawędzi. Kiedy ciało mamy wreszcie dogoniło umysł, który odszedł ze świata tuż po wojnie 1967, zachowałam chustę i przechowuję ją do dziś w małym pudełku ze wszystkim, co mi zostało po rodzinie.

Lecz tamtego czterdziestego dnia chciałam tylko zobaczyć ojca. Nie liczyło się nic więcej. Chciałam jedynie zatonać w jego uścisku i usłyszeć, jak szepcze, że wszystko będzie dobrze; nie mogło mnie uleczyć nic więcej.

Zebrał się niewielki tłum i zrozumiałyśmy, że istotnie powróciła część mężczyzn. Kobiety zaczęły pohukiwać i mamrotać Allaho akbar. Wiedziałam, że jest wśród przybyłych Jusef, ale nikt nie wspomniał o ojcu.

Czekałam w mękach niepewności, dopóki nie przybyli. Im dłużej nie dostrzegałam w oddali sylwetki ojca, tym większy ogarnia! mnie lęk. Resztkami sił powstrzymywałam się, by nie wskoczyć na płaski dach ocalałego budynku, żeby lepiej widzieć.

Patrząc na nowo powstały krajobraz pośpiesznie wzniesionych izraelskich wież strażniczych, poczułam, jak lata kurczą się w tygodnie, potworny sen bez końca. Wszystkiemu towarzyszył posmak śmierci, dni zaś figurowały w mej pamięci w postaci cząsteczek skrwawionej ziemi oraz mdląco słodkiej woni rozkładu i spalonego gruntu. Poruszaliśmy się, lecz nigdzie nie docieraliśmy donikąd. Patrzyliśmy, ale rzeczywistość zasłaniała nam widok. Wdychaliśmy i wydychaliśmy pył po rzezi, lecz nie oddychaliśmy. Ludzi przybywało, a ja patrzyłam z dachu w ciszy mojego wewnętrznego przewrotu. Wszyscy byliśmy uchodźcami, bez wyjątku. Ci, którzy uciekli, stali się nimi ponownie, na kolejnym ludzkim śmietniku na kartach krótkiej historii Izraela. Pozostali zaś stali się więźniami w Dżeninie.

Teraz czekaliśmy na wolność. Pierwotne nadzieje na powrót do domu ustąpiły miejsca błaganiu o elementarne prawo człowieka. Dawniej marzyliśmy o tym, by zobaczyć Hajfę, Jafę, Lidę, Lod. Teraz niebezpiecznie było wyjść na świeże powietrze. Minęły czasy rodzinnych wypraw do Tulkarem i Ramallah. O Jerozolimie też można było tylko pomarzyć.

- Spalili Jerozolimę, niech sami szeszna - rozległ się głos kobiety w kontekście, którego nie pamiętam.

Huda wlaźła do mnie na dach, gdzie stałam, wypatrując ojca.

Przeżycia w dziurze pod kuchenną podłogą umocniły więź między Hudą a mną. Miała w sobie lojalność i czułość, które ciągnęły mnie do niej, i choć przyszłe przeciwności losu odkryją jej siłę i naturalną równowagę wewnętrzną, nieśmiałość i samotnicze usposobienie zaskarbiły Hudzie w dzieciństwie opinię „dziwnej”, zwłaszcza wśród dorosłych.

Starsze kobiety w obozie uwielbiały oglądać jej oczy.

- Idzie ta dziwna dziewczynka. Podejdz no tu, kochanie - mówiły. A gdy stawała posłusznie, nie zważając na ich natrętne palce i cuchnące oddechy, twierdziły, że jej oczy w niezwykłym odcieniu szarości i brązu kryją w sobie „dotyk boskości”.

Przed wybuchem wojny 1967 roku Huda mieszkała z nami trzy lata. Były to najszczęśliwsze dni mojego dzieciństwa. Dzień w dzień, od czwartej do szóstej klasy, wędrowaliśmy razem do szkoły. Ukradkiem łążyliśmy po drzewach, tak aby nikt nie widział, że zachowujemy się jak chłopczyce. Zbierałyśmy robaki i odgrywałyśmy różne scenki w wybudowanym przez siebie domku. Naszą przyjaźń przypieczętowała Warda, jednoręka lalka, którą uratowałyśmy ze stosu śmieci opodal wioski Tajbeh. To dla niej wybudowałyśmy domek. Miał cztery ściany wzniesione z kamieni i stał za trzecim drzewem oliwnym, za bliźniaczymi cedrami na ścieżce do pobliskiej wsi Bartaa. Chodziłyśmy tam prawie codziennie, by opiekować się Wardą, i wśród dziewczynek w obozie rozeszła się wieść, że Huda i ja jesteśmy dumnymi matkami kalekiego niemowlęcia z ręką odstrzeloną przez Izraelczyka, które robi w pieluszki i płacze prawdziwymi łzami. Nie minęło wiele czasu, jak z Dzeninu do „domu Wardy” zaczęły napływać grupki zaciekawionych dziewczynek. I, zgodnie z tradycją, przynoszących słodycze. Czasem nasze podwieczorki przeciągały się aż do wieczoru, bo każda z mam chciała się nacieszyć dzieckiem.

Huda zamieszkała z nami z powodu swego ojca. Był paskudnym człowiekiem, który tłukł ją na kwaśne jabłko, a kiedy miała osiem lat, stało się „to”. On jej „to” zrobił. Nazwanie „tego” po imieniu stanowiłoby zdradę niewybaczalną. Kiedy „to” zdarzyło się pierwszy i ostatni raz, powiedziała mi o „tym”, jakby sama wszystkiemu zawiniła, i pozwoliła, żebym powtórzyła tacie. Gdy wyznałam mu wielki sekret, który nie do końca rozumiałam, na jego twarzy odmalował się niepokój. Stanowczo przykazał mi nie pisać nikomu więcej ani słówka; gdyby ludzie wiedzieli, wybuchłaby fadiha. Skandal związany z cnotą dziewczyny mógł okazać się w naszej kulturze daleko idący w skutkach.

Nie chcąc narażać Hudy na przykrości, ojciec wraz z Ammo Darwiszem i Hadż Salemem postanowili odsunąć ją od jej ojca. Ani wujek, ani Hadż nie poznali przyczyn owej decyzji, żaden też nie domagał się wyjaśnień: ojciec emanował

naturalnym autorytetem, wzbudzającym lojalność tych, którzy go znali. Wszyscy trzej udali się najpierw do Farisa, starszego brata Hudy. Upokorzony Faris obrócił się przeciwko siostrze, bo tak było najłatwiej, lecz ojciec dopiął swego i Huda zamieszkała z nami. Byłyśmy z tego powodu w siódmym niebie.

Nie widziałyśmy więcej jej ojca. Krążyły pogłoski, że udał się do Izraela, donosząc na tych, którzy organizowali opozycję w Dżeninie. Może i było w tym żdźbło prawdy, ale tylko do czasu wojny. Nie rozpoznałabym go na taczce, gdyby nie dyndająca poza krawędzią dłoń z czterema palcami. Hudzie nigdy o tym nie wspomniałam.

- Jest wśród nich twój brat? - dopytywała się Huda, przeczesując wzrokiem tłum w dole.

- Tak. A Faris?

- Też. Goły.

- Jusef tak samo.

- Czemu są gołi? - To pytanie nie dawało nam spokoju.

- Pewnie ukradli im odzież - zasugerowałam wreszcie. Dostrzegłam w tłumie czubek matczynej głowy obok Um

Abdallah, kobiety, która zajmowała chatę nad naszą. Była matką Samirah, Faruka i Abdallaha, owdowiałą przyjaciółką mamy. Spędzały ze sobą mnóstwo czasu, gotując i dziergając na drutach. Teraz czekały razem na powrót synów.

- Twoja mama. - Huda i ten jej wkurzający zwyczaj stwierdzania oczywistych faktów.

- Wiem.

- Ma na głowie jedwabną chustę.

- Wiem.

- Stoi z Um Abdallah.

Miałam ochotę na nią wrzasnąć, wiedziałam jednak, że tak nieczułe zachowanie po tym, co przeszła, zakrawałoby na okrucieństwo. W swej dziecinnej głupocie nie potrafiłam docenić jej wrażliwości i działała mi ona na nerwy. Żałuję, że nie byłam dla niej taką przyjaciółką, jak ona dla mnie.

- Czy Faruk też idzie? - spytała, nie ruszając się z dachu. Nie odpowiedziałam. Wśród nadchodzących mężczyzn nie widziałam ojca.

- Myślisz, że też jest goły? - Wbiła wzrok w swoje stopy, potem w niebo i sama sobie odpowiedziała: - Pewnie tak. Wszyscy są.

Lamia, której zazdrościłam salt, częsta bywalczyni domu Wardy, też wspięła się na dach.

- Czemu są nadzy? - spytała.

- Żydzi ukradli im ubrania... - wyjaśniła Huda. Czułam się osaczona. Słońce stało wysoko na niebie.

Kolejny świt bez taty ciążył mi kamieniem i nie mogłam złapać tchu. Jego nieobecność od czasu wojny rozrosła się jak ocean ze wszystkimi rybami, a ból w moim sercu był wielki niczym wszechświat.

Wojna nas odmieniła, a mamę najbardziej ze wszystkich. Wyssała z niej wszelkie soki. Została tylko skorupa ciała, często wypełniona halucynacjami. Po okupacji i zniknięciu mojego ojca i brata mama rzadko wstawała z dywanika do modlitwy. Straciła apetyt i odmawiała sobie nawet mizernych racji z darów. Jej bawełniana sukienka pociemniała od smrodu niemytego ciała, cuchnęło jej z ust. Pachniała sfermentowaną rozpaczą. Wargi mamy zamieniały się w pajęczynę spękań, a ciało kurczyło, kiedy się modliła. I modliła. I gdy jej ciało nikło w oczach, pustka w jej spojrzeniu zdawała się bezdenna, zdradzając umysł na gwałt wzbraniający się przed rzeczywistością.

Jej odwagę w czasie wojny przytaczano potem jako kwintesencję hartu ducha fellahy. Odmówiła ucieczki. Już raz pozwoliła się wypędzić, gdy zaginął Ismael; nie życzyła sobie tego po raz drugi. Wszyscy podzielali opinię, że w sprawach najistotniejszej wagi umiała wykazać się męstwem godnym najwyższego podziwu.

Wielu z nas strzepiło sobie języki, a potem braliśmy nogi za pas, podczas gdy Um Jusef dotrzymała słowa. Zapowiedziała, że nie pozwoli Żydom zabrać jedyne go domu, jaki zna jej córka - mówiono o niej po wojnie.

Mama została z mojego powodu. A ja zostawiłam ją i poszłam z siostrą Marianną. Nigdy sobie tego nie darowałam.

Pamiętam, że w dniu powrotu Jusefa odczułam wobec niej przyływ wielkiej tkliwości. Jeszcze miewała przebłyski świadomości i stała się jakby łagodniejsza: marazm stępił dawną surowość. Tamtego dnia postrzegałam ją w pełni macierzyństwa, ze wszystkimi ranami pogruchotanego życia i chwilowo zaleczonym pękniętym umysłem. Jako kobietę, która ryzykowała życie, by uchronić mnie przed tym, co sama przeżyła. Jej czyny płynęły prosto z serca, podobnie jak łzy. Lecz wrażenie było ulotne, zaczynała już bowiem tracić zmysły na dobre. Gdybym mogła, łapałabym owe chwile gołymi rękami i chowała w bezpiecznym miejscu.

- Allaho akbar! - zawołała, kiedy oznajmiłam jej, że Jusef żyje. Wbrew temu, co miała w zwyczaju, z jej oczu popłynęły łzy, kiedy wraz z Um Abdallah przepchnęła się przez tłum jak najbliżej nadciągających chłopców i mężczyzn. Wciąż znajdowaliśmy się pod okupacją i obowiązywał zakaz przekraczania wyznaczonych granic, lecz podekscytowani ludzie wylegli na ulice, być może

czierpiąc otuchę ze swej liczebności lub też zapominając o zagrożeniu. Zdaje się, że żołnierze po prostu nie wiedzieli, co robić.

Allaho akbar rozlegało się zewsząd. Dziesiątki, setki razy. Kakofonia akbarów w miarę gęstnienia tłumu łączyła się w jeden potężny chór. Wśród zebranych było niewielu mężczyzn; oszczędzono tylko bardzo starych lub młodych. W dole rozciągało się morze wzniesionych głów. Matki, siostry, córki i żony z płaczem modliły się razem w oczekiwaniu tego, co los niesie im po czterdziestu dniach.

Zanim Jusef dotarł do obrzeży Dżenin, cały obóz, tysiące dusz, skakał i wykrzykiwał Allaho akbar! Niósł węzełek, zapewne ubrania podarowane po drodze chłopcom przez ludzi, którzy dowiedzieli się o ich nagości.

Żołnierze nadjechali ciężarówkami i zaczęli strzelać w powietrze. Pięciu chłopców z sąsiedztwa przypadło do ziemi i tłum się rozproszył, cisnąc się w przejściach pomiędzy domami. Lamii oraz innych dziewczynek już nie było, a gdy rozległy się strzały, Huda i ja wskoczyłyśmy przez okno do częściowo zbombardowanego pustego domu.

W oddali widziałam Jusefa. Miał na sobie zbyt ciasne brązowe spodnie i zieloną koszulę z żabotem; pewnie narzucił pierwszą rzecz, jaka wpadła mu w ręce, by zasłonić nagość. Ojca nie było i rozplakałam się mimowolnie w oknie na wpół zrujnowanego domu, z Huda u boku: obie zwinięte w kłębek jak pod kuchenną podłogą i wpatrzone w setki stłoczonych w dole ogłupiałych dusz.

Początkowa euforia ostygła pod lipcowym niebem, kiedy chłopcy podeszli bliżej i zobaczyliśmy na ich ciałach blizny oraz świeże ślady, będące oczywistym dowodem na to, że regularnie ich bito.

Nie było Jusefa tylko czterdzieści dni, lecz postarzał się o dziesięć lat. Skurczył się i zmalał, i serce omal mi nie pękło na ten widok.

Tata odszedł na zawsze. Matka czekała na niego aż do śmierci, tak jak czekała na powrót do domu i przetrząsała otchłań swego umysłu w poszukiwaniu Ismaela.

Potrzebowałam potwierdzenia, że ojciec nie żyje. Nie mogłam znieść myśli, że cierpi z dala od nas, więc wołałam fantazjować, że jest w niebie, dumnie odziany w diszdaszę i kefię, z fajką w ustach oraz kubkiem kawy i ukochaną książką w dłoniach. Całe życie kurczowo trzymałam się obrazu silnego, dumnego i kochającego ojca, jednak siłą rzeczy wizja Abu Samiha z bronią w ręku obok rumowiska jego domu wzięła górę i jego twarz zyskała w końcu rysy taty.

Gdy chłopcy znaleźli się bliżej, wypatrywałam Ammo Darwisza i moich kuzynów. Nigdzie nie mogłam ich dostrzec i przyszło mi do głowy, że oni też nie przeżyli. Ale dowiedziałam się później, że znaleźli schronienie w jaskiniach górskich i wrócili do Dżenin parę miesięcy po wojnie.

Jusef i pięciu innych chłopców weszło do domu, a ludzie śpieszyli ich powitać, wypytując o swoich bliskich.

Faruk, Amin, Taha, Omar, Mahmud i Jusef usiedli blisko siebie, dzieląc się bochenkiem chleba. Sprawiali wrażenie przytłoczonych i śmiertelnie znudzonych, sponiewieranych i upadłych na duchu. Niektórzy ze zgromadzonych zaczęli mitygować pozostałych, żeby dali im spokój, niech się ogarną. Um Abdallah, matka Faruka, stanęła nad synem, objęła go za ramiona i z melancholijnym uśmiechem pocałowała go w czubek głowy. Abdallah, jej najstarszy syn, poległ, lecz nie chciała słuchać kondolencji.

- Przysięgam na Allaha, że wysłucham jedynie gratulacji z powodu męstwa mego syna, który poległ męczeńską śmiercią - oznajmiła kategorycznie.

Z otępiałym wzrokiem, zdradzającym wiele bezsennych i przeplakanych nocy, nasza sąsiadka Um Dżamal zasypała chłopców pytaniami.

- Czy wiesz coś o Dżamalu, Jusefie? Powiedz mi, Mahmu-dzie. Taha? Błagam cię, Omarze, czy słyszałeś coś o moim Dżamalu? Bardzo was proszę. Widzieliście go? Czy jest cały i zdrow? - Podążała za wymijającym spojrzeniem Jusefa, jakby próbując odczytać z wyrazu jego twarzy prawdę o losie syna.

- Rozdzielili nas. Nie wiem nic więcej - skłamał.

Dowiedziałam się później, iż życie Dżamala zakończyło się śmiercią „dla przykładu”. Żołnierze zastrzelili go na oczach mojego brata i pięćdziesięciu innych. Założono mu opaskę na oczy, skrupowano ręce i kazano uklęknąć, po czym izraelski żołnierz wpakował kulę w głowę chłopca, który odwiedzał nas codziennie, grał w piłkę na klepisku i nazywał mnie ammura - słodka - a także jeździł z nami na wycieczki do Jerozolimy, nad Jordan, do Betlejem albo

Jerycha. Po czym w wieku szesnastu lat stał się przykładem dla innych.

Jusef siedział apatycznie, nie chciał jeść ani rozmawiać. W jego rozszerzonych źrenicach czaił się strach.

Część ludzi wróciła do domów. Amin, Faruk i Mahmud zostali u nas. Mama i Um Abdallah usiadły ze splecionymi dłońmi na kuchennej podłodze, chwając Boga i z zachwytem wpatrując się w chłopców, półżywych, ale wciąż wśród nas, jakby widziały ich po raz pierwszy. Przygotowałam Jahwe*, a Huda podała ją każdemu na tacy. Podchwyciwszy mój wzrok, Jusef wstał i mnie objął, drapiąc w twarz koronkowym żabotem zielonej koszuli. I prawie uwierzyłam, że to wszystko było tylko złym snem.

* Kahwe - kawa.

Ale tata nie wrócił.

Potem, kiedy Mahmud i Faruk zasnęli, podsłuchałam, jak mój brat rozmawia z Aminem. Jusef miał już wówczas wyważony sposób mówienia, a wojna umocniła w nim pasję, z jaką rzuci się kiedyś w wir miłości i historii.

- To był on! - powiedział. - Widziałem bliznę! Żyje i jest Jahudim*, którego nazywają Dawidem!

Widział żydowskiego żołnierza z blizną jak ta, która naznaczyła twarz naszego brata Ismaela, zaginionego siedem lat przed moim urodzeniem.

* Jahudi - Żyd.

III BLIZNA DAWIDA

11. TAJEMNICA JAK MOTYL

1967

Obserwując Dawida, z barczystymi ramionami, zgarbionymi nad stołem, Jolanta nie mogła uwierzyć, ile czasu minęło, odkąd Mosze przyniósł jej mały, przerażony tłumoczek.

Myślała o tej pięknej istotce, teraz już mężczyźnie, całującym ją w policzek ze słowami: „Ja też cię kocham, mamó!”. Był wówczas tak mały w jej ramionach; przystawiała go do pustej piersi, gdy nikt nie patrzył.

Chuchała na niego i dmuchała. Zimą kazała mu się zbyt ciepło ubierać, co znosił do lat siedmiu, gdy dotarło do niego, że może sam decydować o tym, co włożyć. Uwielbiała nawet jego upór i z trudem kryła uśmiech, gdy akcentował swoją niezależność.

Zawsze się martwiła, a on powtarzał niezmiennie: „Spokojna głowa, iriamo, nic mi nie będzie”. Kiedy w wieku ośmiu lat po raz pierwszy poszedł nocować do kolegi, zadreżczała się, że będzie tęsknił za domem, i kazała mu obiecać, że w razie czego zadzwoni bez względu na porę. Z okazji pierwszego weekendowego biwaku, na który pojechał w wieku lat dziesięciu, lista jej obaw była tak długa, że sama straciła rachubę i nie pamiętała z niej już nic. Martwiła się, że za mało zjadł na śniadanie, że skreśli nogę, a dziewczyna złamie mu serce. Martwiła się, kiedy poszedł na pierwszą zakrapianą imprezę. A gdy wszystko zdawało się w porządku, spokoju nie dawała jej myśl, że ukrywa przed nią coś, o co powinna się martwić.

Dreńczyło ją, że kiedyś odkryje swoją prawdziwą tożsamość. Zwłaszcza gdy skończył osiemnaście lat.

Nie chciała, żeby jej synek poszedł do wojska. Ale żadne z nich nie miało wyboru. Izrael był maleńką przystanią dla Żydów w świecie, który gdzie indziej tworzył dla nich obozy zagłady. Służba wojskowa stanowiła narodowy i moralny obowiązek każdego Żyda, toteż w czerwcu 1967 roku, gdy kraj ruszy! na wojnę, Dawid miał już za sobą roczny staż w armii.

Wysłano go na północ, do wzgórz Golan. Był silny, chciał służyć ojczyźnie. Czuł się gotowy do walki.

Należał do batalionu, którego zadanie polegało na sprowokowaniu Syryjczyków do odwetu, tak aby Izrael mógł przejąć wzgórze Golan. Generał Mosze Dajan kazał im zaorać leżącą odłogiem niewielką połąć ziemi w strefie

zdemilitaryzowanej, z góry przewidując, iż skłoni to Syryjczyków do otwarcia ognia. W razie gdyby tak się nie stało, jednostka Dawida miała zapuszczać się kombajnami coraz dalej, aż do skutku. Używali artylerii, potem do walki włączyły się siły powietrzne. Ale ostatniego dnia, gdy Izrael przypuścił atak na USS „Liberty” na Morzu Śródziemnym, Dawida odesłano do domu z powodu zranionej ręki.

Stało się to w wyniku bratobójczej wymiany ognia, który uszkodził mu prawą dłoń. Jolanta omal nie odeszła od zmysłów na wieść, że syn został ranny, i nie zaznała spokoju, dopóki nie wrócił do domu.

Zarzuciła mu ręce na ramiona.

- Mój chłopiec! Pokaż rękę.

- To nic wielkiego, mamo. Już ją opatrzyli.

Na wszelki wypadek obejrzała dłoń, dziękując Bogu, że czuwał nad jej dzieckiem.

- Głodny? - Uwielbiała patrzeć, jak je kreploch, które usmażyła, kugiel i bliny. Nie przeżyję, jeśli coś mu się stanie. Gdzieś na uboczu jej miłości czaiła się tajemnica. Nie zamierzała ukrywać prawdy przed synem. Odkąd zjawił się w lipcu 1948 roku, to, kim była do tej pory, straciło znaczenie - stała się jedynie matką Dawida. Nieważne, jak on stał się jej synem; ta kwestia była nieszkodliwym motylem na łące miłości.

Teraz, na widok jego zabandażowanej dłoni, nie mogła znieść myśli, że może go stracić. Nie miała wpływu na wojaczkę syna, lecz mogła zataić prawdę. To mój syn i nie liczy się nic więcej, uznała, zapędzając motyla do klatki.

12. JUSEF SYN

1967

Młody mężczyzna, student uniwersytetu w Betlejem, wpada do sali podczas mojego wykładu na temat krzywych biegunowych i parametrycznych. W normalnych okolicznościach nie miałbym nic przeciwko temu. Ale nie dzisiaj. Nie dla takiej eksplozji wieści w trakcie wykładu.

- Żydzi bombardują Egipt! Wojna! - krzyczy i wybiega, by popędzić dalej korytarzem.

Wojna. Słowo detonuje bagaż strachu, który dźwigam na plecach, odkąd skończyłem pięć lat. Od 1948 roku, kiedy wojna i ja zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni.

I ścina mi krew w żyłach.

Gdy się wreszcie otrząsam, rozgadani studenci zdążyli już opuścić salę, śpiesząc pod sztandarem wielkiego Allaha. Muszę wracać do Dżenin.

Tłumy przetaczają się już korytarzami i ulicami Betlejem. Biegnę, przeciskając się w stronę stacji, gdzie wynajmuję mały pokój przy meczecie Omara Bin al-Chattaby.

Hadze Um Nasim patrzy przez wizjer wiekowych, drewnianych drzwi, po czym słyhać szcęk odsuwanych rygli i wrota uchylają się powoli. Na ich tle jej drobna sylwetka zdaje się wręcz mikroskopijna. Kiwa na mnie, żebym wszedł.

- Jusefja Wliedi - mówi nerwowo. - Słyszałeś wieści? Pierwszy raz nazwała mnie po imieniu. Przez dwa lata mojego pobytu w Betlejem zawsze mówiła „wliedi”. Synu. Codziennie, gdy wracam z pracy, przynosi mi resztki z obiadu. „Masz, Wliedi. Jedz, jedz”, zachęca życzliwie.

Hadze Um Nasim wszystko mówi i robi z dobroci serca. Wyprostowana jak struna, mierzy nie więcej niż metr czterdzieści. Tonie w zbyt obszernej thobe, ledwo żywa ze zmartwienia.

- Muszę wracać do Dżenin, hadze - odpowiadam, mijając ją pośpiesznie.

Drepcze za mną, patrząc pod nogi, żeby nie przydeptać sobie thobe.

- Ja Wliedi. To zbyt niebezpieczne. Za długa droga i kto wie, co się stanie za godzinę. Ponoć Jordania i Syria ruszają na odsiecz Egipcjom, Irak tak samo - dodaje.

- Rodzina mnie potrzebuje. - Pakuję małą torbę, a Hadze Um Nasim obserwuje mnie od progu.

- Zadzwoń po Abu Mahera, żeby cię zabrał. W tym bałaganie nie znajdziesz taksówki - rzuca przez ramię i odchodzi. Ma rację. Większość pojazdów jest pewnie w drodze do Jordanii.

Kiedy zbieram się do wyjścia, kobieta ponownie staje w drzwiach. Minę ma poważną i nieznoszącą sprzeciwu.

- Abu Maher za pięć minut będzie miał gotowy samochód. Jeśli z jakiegoś powodu nie da rady dziś wrócić do Betlejem, niech zostanie z twoją rodziną w Dżeninie. Proszę. - Wkłada mi do kieszeni koszuli rulonik denarów.

Potrzebuję tych pieniędzy. Mam w kieszeni niespełna dwadzieścia filsów i nie wiem, jak pokryję koszty benzyny. Ale duma nakazuje mi je zwrócić.

- Wliedi! Rób, co ci każe, i koniec! Zresztą to nadwyżka czynszu, oddasz, jak wrócisz. Idź, Abu Maher czeka. Niech Allah strzeże was obu.

Całuję ją w czubek głowy przez hidżab i wychodzę.

13. PIĘKNY DEMON MOSZEGO

1967

Dawid spędził w domu niespełna godzinę, kiedy zjawił się Dżarel, jego kolega z liceum, z wieścią o pewnym niezwykłym arabskim więźniu.

- Dziwne, że gnój jeszcze żyje, tak oberwał. Twardy jest... - zaczął tę na pozór długą, błahą opowieść.

- Czemu mi to mówisz? Mam to gdzieś - przerwał mu Dawid.

- No, kazałem chłopakom przestać go lać... - podjął Dżarel.

- Mam to gdzieś, mówię. Masz, poczęstuj się kuglem. Mama zrobiła.

Ale twarz Dżarela wyrażała całkowitą powagę.

- Musisz zobaczyć tego Araba, Dawidzie. On wygląda... jak ty.

- Serio? - Dawid nie krył rozbawienia. - Twierdzisz, że wyglądam jak goj, kretynie?

- Powinieneś pójść tam ze mną jutro. - Kolega nachylił się do Dawida. - Gdyby nie blizna, wyglądalibyście... tak samo.

Dawid przełknął! ślinę niepewny, czy Dżarel nie robi go w konia.

- Dobra. Przyjedź po mnie jutro.

W celi z piętnastoma innymi więźniami Jusef siedział w kucki nago na skraju życia, z rękami związanymi na plecach i w kapturze na głowie, kiedy Dżarel z Dawidem przekraczali próg więzienia, wypełnionego po brzegi aresztantami, zgarnianymi na chybił trafił po wojnie.

- Tamten, z czerwoną farbą na ramieniu. Oznaczyłem go, żebyś wiedział który to - oznajmił Dżarel, ściągając kaptur z głowy Jusefa.

Dawid spojrzał na posiniaczonego, zakrwawionego mężczyznę. Oczy ginęły w obrzmiałej twarzy, miał spuchnięte krocze.

- Odbiło ci, Dżarel? I po to mnie tu wlokłeś? - burknął. Miał krótką przepustkę i bez sensu jechał tu godzinę z kolegą.

- Daj spokój. Wczoraj nie był taki spuchnięty. Wierz mi, wolałbym ten dzień spędzić z dziewczyną niż tutaj - zapewnił szczerze Dżarel. - Rób, co chcesz. Ale moim zdaniem powinieneś tutaj wrócić. Znam tu kilka osób, może uda się go przenieść do kliniki. Za parę dni powinien wydobrzeć.

Wieczorem przy kolacji Dawid opowiedział rodzicom o tym zdarzeniu. Mosze jadł tego dnia z rodziną, co rzadko się zdarzało, a Jolanta krzątała się przy kuchennym blacie, jak zawsze.

- Dżarel twierdził, że tamten Arab i ja wyglądamy jak bliźniacy - oznajmił Dawid, gryząc kromkę chleba.

Talerz roztrzaska! się o podłogę. Dawid podniósł wzrok i zobaczył, że Jolanta zeszywniała.

- Dobrze się czujesz, mamo?

- Zabraniam ci wracać do tego więzienia.

- Nie miałem zamiaru. Ale nie rozumiem, o co tyle hałasu...

Mosze wbił wzrok w swój talerz, rzucił widelec i wstał, odsuwając krzesło.

- Daj spokój, Jolanto. Kiedyś musi. - I wyszedł. Zszedł powoli po schodach i zatrzasnąwszy za sobą ogrodową furtkę, ruszył ulicą i skręcił. Minał trzy przecznice i znalazł się w swoim azylu.

- To, co zwykle, Ben! - zawołał do barmana. - Z lodem. Mosze chciał, żeby Dawid wiedział o tym, co się wydarzyło przed laty. Jego podarunek dla Jolanty w 1948 roku rozrósł się w tajemnicę ponad jego siły. Prawda nie była motylem, lecz demonem - demonem o pięknej twarzy Arabki, która częstowała go jagnięcina. Której synowie, jeden przy piersi, drugi u spódnicy, towarzyszyli jej na każdym kroku, i której krzyk: „Ibni, Ibni!” wciąż huczał mu w głowie.

Nie chciał tego wszystkiego. Pragnął pełni: ojczyzny, żony, rodziny. Walczy! o ocalenie narodu żydowskiego. Ale teraz miał na sumieniu brutalne przesiedlenia, gwałty, morderstwa. Nie miał siły patrzeć tym ludziom w oczy, słuchać ich głosów. Tak niewiele zaznał w życiu spokoju, jedyną pociechę znajdował w kieliszku. Dlatego dzień w dzień skręcał i mijał trzy przecznice, aby w swoim azylu uciszyć demony i siebie samego.

Kilka dni później wczesnym rankiem Dawid ponownie zjawił się z Dżarelem w więzieniu. Kiedy podążali korytarzem w stronę kliniki, ich ciężkie kroki niosły się echem wśród mokrych ścian. Po chwili stał nad łóżkiem Jusefa. Opuchlizna nieco się zmniejszyła i płyn sączył się z kroplówki w zgięcie ramienia wciąż ze śladami czerwonej farby. Dzielilo ich niespełna piętnaście centymetrów, w których mieściło się blisko dwadzieścia lat, wojna, dwie religie, Holokaust, El-Nakba, dwie matki, dwóch ojców, blizna oraz tajemnica trzepocząca skrzydłami w powolny, motyli sposób.

Dawid zbadał Arabowi puls.

- Żyje.

Obrzmiałe powieki uchyliły się z wolna i blizna Dawida przeniknęła przez mgłę fizycznej męki. Ich spojrzenia zetknęły się na blisko dwadzieścia sekund. Dwadzieścia wieczności, w których Dawid zawisł na kołkach zbyt wielu niewłaściwych pytań. Czy to możliwe, żeby przypadkowo złapali Żyda? Żyda, który jest ze mną spokrewniony? Żyda, który przybył do Palestyny, nie wiedząc,

że jego krewni też przeżyli? Poszukiwał w myślach odpowiedzi, otwierając i zamykając drzwi wspomnień na tropie wskazówek, kim - jeśli w ogóle kimkolwiek - może być dla niego ten więzień.

Z oka Araba spłynęła łza. Ismaell Wyciągnął do żołnierza rękę, po czym znów stracił przytomność, a dłoń zwiśla na krawędzi łóżka.

14. JUSEF MEŹCZYŻNA

1967

Zmieniam się.

Zmienia się mój świat, począwszy od dnia, gdy Hadze Um Nasim nazwała mnie po imieniu. Wracam do Dżenin i muszę przeciskać się przez tłum do naszego domu. Siostra stoi przyciśnięta do ściany, zeszywniała ze strachu. Nie widzi mnie, a ja chcę do niej podejść. Chcę z nią porozmawiać, rozproszyć strach, lecz odciąga mnie ojciec. Podaje mi broń ze skrytki pod kuchenną podłogą; mamy bronić się przed furją ogarniającą ziemię. Po raz pierwszy w życiu trzymam w rękach karabin.

Muszę znaleźć Fatimę. Zostań, przykazuje matka. Mama, doświadczona ofiara wojny, gromadzi zapasy i ustala z innymi kobietami miejsca kryjówek. Mówi, że Fatima pojechała z matką i siostrami do domu wuja w Ramallah. I dodaje, że tam nic jej nie grozi.

Przez następne dni znów otacza mnie ogień i pierzchające dusze. Podszyty wściekłością strach. Strzelam, jednakże w chwili prawdy, gdy stoję przed próbą własnej odwagi, nie czuję się na siłach odebrać życie. Boję się pogwałcić jego reguły. Obawiam się stracić własne. Dlatego idę razem z pozostałymi, unosząc ręce wysoko w geście kapitulacji. Jeden z żydowskich żołnierzy przyciąga moją twarz, zdumiony omiata ją wzrokiem. Widzę w jego oczach niedowierzanie. Ale teraz rozumiem, że mnie poznał.

W ciągu tamtego tygodnia zaczynam rozumieć, że znajome słowa mogą pękać jak szkło, zrastając się w stwory, które orzą pazurami umysł. Weźmy słowo „przykład”. Słyszałem i wypowiadałem je tysiące razy, tymczasem tak błahe i pospolite słowo nachodzi szczęśliwe dni mojej młodości, wypierając wspomnienie gry w piłkę z młodym Dżamalem, którego Żydzi „dla przykładu” mordują na moich oczach. Patrząc, jak życie wycieka z szesnastoletniego „przykładu”, i nie mogę się nadziwić, jak rzeczy banalne, nawet słowa, bezlitośnie rosną w siłę, na przekór zdrowemu rozsądkowi i historii.

15. JUSEF WIĘZIEN

1967

Żyję w tej dziurze miłością Fatimy i wspomnieniami przyszłości, to moje liny ratunkowe. Moje ciało poznaje wszystkie odcienie bólu. Przekraczam jego granice i pogażam się w odrętwieniu. Mam tak opuchnięte powieki, że nic nie widzę. Leżę, przywiązany do siebie sznurem, i chyba mam coś złamanego - a może wszystko. Pewnie umrę. Myślę o Fatimie, mojej miłości, i czuję jaśmin w jej włosach. Widzę, jak trzepocze rzęsami, figlarnie błędząc ku mnie wzrokiem na zatłoczonym targowisku. Urna stoi prosto na jej głowie i nie spada, gdy uwodzicielsko zasłania usta haftowanym szalem i odwraca wzrok. Nagle spogląda przez ramię, chcąc się upewnić, czy patrzę. Z wrażenia zasycha mi w otwartych ustach. Idzie dla mnie. Urna na głowie kołysze się wraz z nią, a ja stoję olśniony harmonią jej postaci. Wyobrażam sobie, jak tańczy z urną na głowie, jej biodra i brzuch wyginają się tylko dla mnie. Ponownie odczytuję listy utrwalone w pamięci:

Ukochany, matka i siostry jadą w środę do Jerozolimy, zostaną do piątku. Spotkajmy się w czwartek przed poranną modlitwą, tam gdzie zwykle. Bardzo za Tobą tęsknię. To już dwa tygodnie!

Słyszę odgłosy dokoła. Żołnierze badają mi puls. Polewają mnie wodą i odzyskuję przytomność. Nieważne; powracam do Fatimy, ogniwa łączącego moje ciało z oddechem.

Widzę ją w brzoskwiniowym sadzie pod czystym niebem Orientu, pod moim ciałem, które lada chwila eksploduje z pożądania. „Po ślubie, Jusefie”, szepcze mi w usta. „Nie teraz”. Lecz pozwala mi skosztować swej miękkości, wiodąc do rajy tajemnicy. Ujmuję w dłonie piersi Fatimy, doganiając jej tętno. Porusza się w pajęczynie namiętności i braku doświadczenia oraz lęku przed winą i grzechem. Jej ciało tchnie we mnie deklarację miłości i studzi moją gorączkę. Unoszę się nad nią, chłonąc jej nagość, poświęcenie odwiecznej tradycji dla miłości, uległości wobec mnie. Ostrożnie smakuję jej piersi i ziemia wiruje w moim sercu. W duchu składam Bogu obietnice, że zasłużę na jej miłość i będę ją chronił aż po wieczność. Znajduję dziewiczego Graala, który kiedyś urodzi mi dzieci, i piję z niego. Podnosi się raptownie, przestraszona narastającą falą rozkoszy. Całuję ją w usta. „Zaufaj mi”, mówię, a ona mnie słucha. Jej plecy wyginają się w łuk wschodzącego słońca i z jękiem osuwa się w moje ramiona. Żołnierze wyrywają mnie z jej wspomnienia. Mówią coś do siebie i wychodzą. Niebawem zostaję

przeniesiony do kliniki. Idę, dokąd mnie prowadzą, i gdziekolwiek jestem, powracam myślą do Fatimy.

Opuchlizna trochę zeszła i blask żarówki wciska się pod powieki. Po raz pierwszy od wieków odnajduję światło, które pada na bliznę z innego życia. Bliznę, którą wyrysowałem lekkomyślnie na twarzy mojego brata Ismaela. Ale Ismael nie żyje. Żydowski żołnierz o twarzy należącej do mnie odebrał bliznę mojemu bratu. Chyba śnię. Wyciągam rękę, ale on się cofa. Potem, nie teraz, zyskam pewność, że to nie był sen. Ismael żyje. Mój brat jest Żydem. Izraelskim żołnierzem.

Ojczy, gdzie jesteś? Rozdzieliliśmy się; czy zabrali też ciebie? Czy jesteś w tym więzieniu? W klinice?

Wciąż żyję. Wracam do brzoskwiniowego sadu, gdzie odkryłem niebo skóry Fatimy. Obóz leży w gruzach. Uchodźcy znowu są uchodźcami i nie mogę znieść powitania. Ból zakrzepły w ciele wzdyga się z urazy i nie chce świętować. Widzę żołnierzy przycupniętych na strażnicach i moje serce wzbiera nienawiścią. Dziwne, czuję to po raz pierwszy w życiu. Lecz na pewno nie ostatni.

Otacza mnie zbyt wielu ludzi, wypatruję Fatimy. Podchodzi Um Dżamał w poszukiwaniu syna i nie mogę znieść jej lęku, bólu tego, o czym w głębi serca dobrze wie. Unikam jej wzroku. Chcę, żeby znikła mi z oczu. Nie mogę jej powiedzieć, że odebrano Dżamałowi życie, aby wypełnić treścią słowo „przykład”. Nie mogę jej powiedzieć, że dziecko, które urodziła, wykarmiła i kochała, pochowano w słowie pod nową postacią uśmiechu i odstających uszu Dżamala.

Padają strzały i ludzie zostawiają nas w spokoju. Matka jest opanowana, chociaż wiem, że płacze. Jej łzy padają po niewłaściwej stronie, do studni bez dna, którą nosi w sobie. Moja młodsza siostra Amal chowa się w kącie. Coś wkradło się w jej oczy, za którymi czai się przepaść. I chociaż marzę o samotności, nieobecność ojca każe mi wyciągnąć ramiona, i Amal przypada mi do piersi, gniotąc moje obolałe ciało, jakby chciała złączyć się ze mną na zawsze.

Od wojny nie widziano ojca. Niebo przygniata moje połamane żebra, gdy myślę o tym, co nie do pomyślenia. Ojciec, dotąd nieśmiertelny w moich oczach, nie żyje. Kładę się, nareszcie z poduszką pod głową, i słyszę słowa Rumiego, szeptane głosem ojca:

Jakże część świata może opuścić świat?

Jak wilgoć opuszcza wodę?...

Co cię boli, twym jest błogosławieństwem...

A ciemność blaskiem twoich świec.

Do granic dążysz niestrudzenie.

Wytłumaczyć mogę, lecz skruszyłyby to

Szklany klosz na twym sercu,

A jego skleić się nie da.

Dosyć tych słów,

Czy mam wycisnąć z nich więcej soku?

I w myślach mówię ojcu, czego się dowiedziałem. Ismael jest Jahudim,
Sahiunim* walczącym po stronie Izraela.

* Sahiuni - syjonista.

16. BRACIA SPOTYKAJĄ SIĘ ZNOWU

1967

W punkcie kontrolnym opodal wioski Bartaa stacjonowało pięciu izraelskich żołnierzy, czterech na dole i jeden na wieży strażniczej. Znudzeni do nieprzytomności, na zmianę dzielili się obowiązkami.

Dawid siedział beczynn timer w dziapie, gdy do budki podeszli dwaj Palestyńczycy, wyjmując dokumenty i przepustki. Wszystko się zgadzało, ale żołnierz przy bramie kazał im zejść na bok, wstrzymując długą kolejkę Palestyńczyków oczekujących na przejście na drugą stronę. Był to korpulentny nowojorczyk, którego rodzina przeniosła się do Izraela.

- Hej! - Zajrzał do dziapa, w którym Dawid jadł arbuza. - Chodź no zobaczyć tego arabskiego sukinsyna. Wygląda jak twój zasrany bliźniak! - rzucił ze śmiechem.

Niechęć odsunęła nudę na drugi plan. Motyle skrzydła Jolanty zatrzepotały Dawidowi w brzuchu, demon Moszego dmuchnął mu w kark. Tajemnica, której nie znał i znać nie chciał, towarzyszyła mu jak cień i nie miał ochoty wysiadać z wozu.

- Idąc za oficerem, stłumi! pokusę, aby kopnąć zwierchnika i zobaczyć, jak gruby nowojorczyk stacza się z pagórka. Nie chciał znów oglądać tego Palestyńczyka o twarzy jak jego własna bez blizny.

Łypiąc spod hełmu, podszedł do niego i uwięźli w identycznym zarysie zuchwy, identycznych dołkach w brodzie oraz identycznej wypukłości warg.

Ich oczy wezbrały pytaniami - „Kim ty, kurwa, jesteś, Arabie?” - „Jakim cudem stałeś się Żydem, Ismaelu?” - i w powietrzu zawisł sekret, którego Dawid nie chciał znać.

Jusef z rezygnacją zwrócił się do niego paroma znanymi mu hebrajskimi słowami, a następnie po arabsku, na wypadek gdyby tamten zrozumiał:

- Masz na imię Ismael?

Nowojorczyk, izraelski żołnierz wybuchnął śmiechem.

Roztrzepotane motyle skrzydła przyćmiły Dawidowi wzrok, demony zahuczały mu w uszach.

Zdzielił Araba w twarz. Następnie przyłożył mu kolbę karabinu. Nie wiedział czemu, ale nie mógł się powstrzymać. Kopał tamtego w krocze, bez opamiętania. Znowu, a potem jeszcze raz, dopóki tamten Arab - tamta twarz - był przytomny.

- Przestań, błagam - płakał drugi Palestyńczyk. - Nie jesteśmy terrorystami. On nic nie zrobił. Mamy ważne przepustki. Błagam.

- Dobra, dobra - odpowiedział nowojorczyk, odciągając Dawida. - Nie będę się tłumaczył z trupa.

Jusef leżał zakrwawiony.

- Zabierajcie go, skąd przyszedł. No, jazda! - rozkazał gruby żołnierz.

Dawid odszedł bez tchu.

17. JUSEF WALCZĄCY

1968

Doję się, że jestem impotentem. Tak mnie skopał, że chyba coś mi uszkodził.

Boli, kiedy sikam. A jeszcze bardziej, kiedy widzę Fatimę. Przechodzi obok warsztatu, a ja chowam się pod maską, udając, że jej nie widzę, chociaż wszyscy wiedzą, że to dla mnie została w Dżeninie. Patrzą, jak się ukrywam, po czym sami kryją się przed jej smutkiem.

Moja młodsza siostra Amal też mnie szuka. Widzę, jak stoi z Hudą, spoglądając na mnie przez szerokość ulicy. Wiem, że czeka, aż wypełnię pustkę po ojcu.

Szukają mnie żołnierze.

Mama niknie w oczach.

Jestem do niczego, bliscy nie mają ze mnie żadnego pożytku. Umrę, jeśli tu zostanę. Ale coś we mnie płonie. Coś, co nie chce odpuścić, nalega na walkę.

18. ZA PIERWSZYM RZĘDEM DRZEW

1967-1968

Podobnie jak w przypadku Hasana i wydarzeń z 1948 roku, izraelski atak z roku 1967 i późniejsza okupacja Zachodniego Brzegu Jordanu przesądziła o przeznaczeniu jego syna Jusefa. Obręcz izraelskiej okupacji zacisnęła się im wokół gardel i nie chciała puścić. Żołnierzom pozostawiono wolną rękę i sami wyznaczyli zasady, nie kierując się żadnym protokołem. Tego przepuszczali, tamtego nie, temu spuszczano łomot, inny uchodził cało, jeden miał się rozebrać, drugi zostawał w gatkach - nikt nie wiedział z góry, na kogo padnie tym razem, a o decyzji przesądzał humor tego, kto ją podejmował.

Jusef dojrzał na wzór i podobieństwo Hasana, równie wyciszony i opanowany jak on. Szukał ucieczki w samotności i starannie dobierał słowa. Ponieważ okupacja ograniczyła Palestyńczykom swobodę ruchów, nie mógł już dojeżdżać do pracy i musiał zrezygnować z posady na uniwersytecie w Betlejem. Podjął pracę nauczyciela w szkole dla chłopców, tej, w której jego ojciec był woźnym.

Z tego samego powodu nie mógł tak po prostu uciec na wzgórze, więc po godzinach wyżywał się w warsztacie odziedziczonym po ojcu. Nie minęło wiele czasu, jak prawie przestał widywać się z rodziną. Czasem widywano go w kawiarni Beit Dżawad palącego nargile i grającego z przyjaciółmi w trik-traka lub karty. Lecz w każdy piątek po modlitwie jomaa¹⁹, gnany potrzebą samotności, przyciągany pięknem natury oraz siłą nawyku, narażał się na upokorzenia i niekończące się kolejki punktów kontrolnych, by wyruszyć na wzgórze, jak to robili z Hasanem, odkąd sięgał pamięcią. Tam, pod osłoną drzew, Jusef pograżał się w lekturze. W ten sposób, z dala od wszystkich, czcił pamięć ojca. Podczas gdy Amal nadal czytała o świcie, jak niegdyś z ojcem, Jusef wracał z książką na pastwiska. Była to ich walka z niemocą, próba zachowania ciągłości i ocalenia resztek tego, co dawało im siłę do życia - ich ojca Hasana.

W ciągu pół roku Jusef przeszedł tortury i bicie, które naznaczyły każdą niemal część jego ciała. Kazano mu się rozbierać w obecności kobiet i własnych uczniów, a także całować stopy żołnierza, który zagroził, że jeśli tego nie zrobi, on zbije małego chłopca. Większość mężczyzn znosiła takiego traktowanie. Większość złamano. I większość leczyła się z upokorzenia brutalnością wobec żon, sióstr i dzieci.

Jusef kierował wszystko do środka, jak Dalia. Chował ból, pozwalając mu się splątać z bezsilnością. Cisza ogarnęła ich chatkę w Dżeninie, i oboje z Amal wspominali później te czasy z dotkliwym uczuciem pustki w sercu.

Jomaa - piątek.

W sercach Palestyńczyków kiełkował bunt, zasiany na podatnej glebie ich wewnętrznej siły i uporu. Wytrwałość stała się cechą narodową wygnańców. Ale w zamian musieli wyhodować sobie twardą skórę. Nauczyli się celebrować męczeństwo. Tylko ono dawało wolność. Tylko po śmierci stawali się nietykalni dla Izraela. Męczeństwo stało się ostatecznym przejawem oporu wobec izraelskiej okupacji. Ich motto brzmiało: „Nigdy nie daj po sobie poznać, co ci zrobili”.

Lecz serce musi boleć. Czasem rozpacz przejawiała się pod postacią radości. Czasem trudno było dostrzec różnicę. Dla pokoleń urodzonych w obozach rozpacz znajdowała wytchnienie na łożu nekrofilii. Śmierć zaczęła przypominać życie, a życie - śmierć, i Amal w młodości też przez chwilę marzyła o męczeństwie. Wytlumaczyć mogę, lecz skruszyłoby to szklany kloz na twym sercu, a jego skleić się nie da.

Jusef rzadko włączał się do gniewnego chóru pogrzebowych konduktów. Nie celebrował męczeństwa i nie okazywał rozpacz. Ból skrzył się w nim pod skorupą obojętności.

Amal uwielbiała brata i najchętniej nie odstępowała go na krok. Czasem siadywała z Hudą naprzeciw warsztatu i patrzyła, jak pracuje, w nadziei, że pozwoli jej zajrzeć pod maskę. Wpuści ją do swego życia. Umocni w przekonaniu, że stanowią rodzinę. Przytuli, jak czterdziestego dnia po wojnie.

Jusef zauważył ją parę razy, ale nigdy nie zawołał.

Prawie ze sobą nie rozmawiali, Jusef i Amal. Po incydencie w wiosce Bartaa, kiedy Dawid go pobił, Jusef zamknął drzwi swego serca. Listy od Fatimy pozostawały bez odpowiedzi.

I gdy dojrzał do podjęcia decyzji, matka przeczesywała zatłoczone przestrzenie swego umysłu, zatopiona w rozmowie z cieniem. Um Abdallah towarzyszyła jej bez przerwy i obie całymi dniami niezmiernie robiły na drutach, przesiadując na balkonie, który uginał się pod ich ciężarem i ocieniał frontowe wejście ich domu. Amal i Huda często nie mogły się nadziwić ich odwadze czy może nieświadomości, balkonik bowiem ledwo trzymał się ściany. Umieszczono go tam w celach czysto dekoracyjnych i z trudem mieścił dwie osoby. Amal nie zwracała wówczas na Um Abdallah większej uwagi, lecz gdy po latach wracała myślą do tamtych czasów, szczerze pokochała kobietę, która okazała jej matce tak bezgraniczną lojalność. Nawet kiedy Dalii kompletnie mieszało się w głowie, Um Abdallah cierpliwie wysłuchiwała jej bezładnych

monologów i delikatnie sadzała ją z powrotem na krzesło, gdy Dalia zrywała się nie wiedzieć po co.

Tuż po wojnie Huda znów zamieszkała z matką i bratem, lecz wciąż spędzała całe dni z Amal, co dawało im jedyne poczucie ciągłości, na jakie mogły liczyć.

Jak dawniej, zwykle same znajdowały sobie zajęcia, z tą różnicą, że Amal przybyło obowiązków w domu. Przed wojną jej codzienność ubarwiały miłość ojca o świcie, stoicka postawa mamy oraz potajemny romans Jusefa z Fatimą. Dziś te kolory ustąpiły miejsca militarnej zieleni oraz bladym emanacjom pustki, która po nich została. Sąsiedzi zerkali na nią z litością i szeptali.

- Co ta dziewczyna pocznie?

- Prawie dojrzała do małżeństwa. Chociaż tyle dobrego.

- Tak. Z bożą pomocą niedługo znajdzie dobrego męża, który ją weźmie pod swoje skrzydła.

Choć jej ciało zaczęło rozciągać się i oblekać w nowy kształt, Amal była dzieckiem, miała dopiero dwanaście lat w ów chłodny, styczniowy piątek, gdy dojrzewały cytryny, przycinano winorośle, a Jusef niespodziewanie wrócił do domu z piątkowych modłów.

Amal nie posiadała się ze szczęścia. Przygotowała obiad, ich największy posiłek, i rozłożyła na podłodze stare gazety, gdzie mieli jeść. Perspektywa spędzenia czasu z nieuchwytnym bratem dodała jej skrzydeł i zamierzała się popisać swymi umiejętnościami kulinarnymi. Dalia też sprawiała wrażenie trochę przytomniejszej, i Amal pomyślała, że będzie jak za dawnych czasów. Jak w rodzinie, którą stanowili kiedyś.

- Czy zaniósłabyś to Fatimie, Amal? - spytał Jusef, podając jej zapieczętowaną kopertę.

- Nie zostaniesz na obiedzie? - odpowiedziała pytaniem, pełna żalu i rozczarowania.

Wyczuwając jej urazę, udał, że podąża w ślad za „odurzającym zapachem”, napływającym z garnka, i stanął obok siostry.

- Kiedy tak urosłaś, Amal? - spytał z ustami pełnymi przygotowanego przez nią jedzenia.

- Mam prawie trzynaście lat.

Zaskoczony upływem czasu zamarł, po czym chwycił ją w objęcia, widząc jak na dłoni, że faktycznie lata mijają nieubłaganie. Spojrzał na młodszą siostrę i zakłuło go sumienie, że od wojny poświęca jej tak niewiele uwagi.

- Śliczna jesteś - powiedział.

Słowa zabrzmiały w jej uszach jak najpiękniejsza muzyka, podsycając wątle, rozchwiane poczucie własnej wartości. I aż się rozpromieniła.

Zjedli maklubeh - stertę ryżu ozłoczonego potrawką z jagnięciny, bakłażana oraz imbiru - i podawali sobie sos jogurtowo-ogórkowy, prażone orzeszki pinii i chrupiącą cebulę. Amal była szczęśliwa.

Posiłek umiłały im wybuchy śmiechu matki, która znajdowała coś zabawnego w czeluściach swego niewidzialnego świata, podczas gdy Jusef i Amal wymieniali ukradkowe uśmiechy, składając te chwile w szkatułce dobrych wspomnień. Jeszcze nie wiedzieli, że będzie to wspomnienie ostatniego wspólnego posiłku z mamą.

Po obiedzie Amal pobiegła z kopertą brata do Hudy i obie wyruszyły na znajomą misję doręczenia miłosnej korespondencji Jusefa i Fatimy.

- Jak za starych, dobrych czasów - zauważyła Huda.

- No. W drodze powrotnej sprawdzimy, czy jeszcze stoi dom Wardy.

Jak za starych, dobrych czasów.

Fatima dostrzegła dziewczynki przez okno i niecierpliwie wyczekiwała listu od kochanka. Gdy z przejęciem chwyciła kopertę, jej uśmiech rozjaśnił cały dom.

- Poczęstujcie się ciastkami, dziewczynki. Zaparzyłam herbatę. - Rozerwała kopertę, kierując się w głąb domu.

Poczęstowały się i czekały. Duże lustro w krzykliwej, złoczonej ramie, wysadzone sztucznymi klejnotami, opierało się o ścianę, odbijając całą postać Amal. W życiu nie widziała siebie w całości. W Dżeninie mieli tylko jedno lusterko, małe i niewystarczające, zawieszane nad umywalką w łazience. U Fatimy po raz pierwszy zobaczyła swe pączkujące piersi, obolałe od tygodni. Sterczały pod bluzką i aż się prosiły, żeby ich dotknąć.

- Co ty wyprawiasz? - spytała Huda, podjadając słodycze z kuchni Fatimy i spoglądając na pierś winowajczo zaciśniętą w dłoni przyjaciółki.

- Piersi mnie bolą - odrzekła Amal, na próżno usiłując nadać głosowi obojętny ton.

- Ciotka Nadia mówi, że tak się dzieje, gdy rosną - zauważyła lekko Huda. - Może w końcu moje też zaczną. - Z nadzieją popatrzyła po sobie.

- Po co?

- A co, twoje ci się nie podobają?

- Bolą.

- Wiem, że ci się podobają - rzuciła oskarżycielsko Huda.

- I co z tego?

- Mogę dotknąć?

- Nie!

W ciszy, która zapadła, usłyszały z drugiego pokoju szloch Fatimy.

- Fatima płacze - oznajmiła Huda.

- Przecież słyszę! Amal pchnęła drzwi.

- Co się stało, Fatimo?

Skulona pod zbyt obszerną błękitną diszdaszą Fatima uniosła twarz. Wyglądała strasznie. Na próżno wycierała nos, próbując się uspokoić, ale włosy przywierały do mokrych policzków, a oczy miała czerwone i spuchnięte.

List trzymała zgnieciony w kulkę.

- Amal, kochana, idźcie już do domu - wykrztusiła z trudem.

Amal i Huda ruszyły zwykłą drogą, wijącą się wśród wzgórz północnej Palestyny. Dom Wardy stał nietknięty, ale Warda zniknęła.

Obie zakłula boleśnie utrata jednorękiej lalki, ich dziecka, ale żadna nie wspomniała o tym ani słowem. Bolały w zaciszu swych młodych serc, bo głupio było opłakiwać lalkę, skoro pochowały Aiszę, prawdziwe dziecko, płaczące prawdziwymi łzami i krwawiące prawdziwą krwią. Jednak ból po stracie Wardy był gorszy, i gdy ruszyły w drogę powrotną, żadna nie przyznała się do tego przed drugą.

Drzewa pogubiły liście na zimę i srebrzyste zarysy drzew oliwnych stały nagie, stercząc niczym wielkie, starcze dłonie, artretyczni, sękaci strażnicy czasu w ciepłym oczekiwaniu na porę dojrzewania. Wzgórza usiane były domami, czasem kilkusetletnimi, z winoroślą oplatającą fasady. Pasterze pilnowali stad.

Wiele lat później Amal przypomni sobie to życiodajne piękno, które brała za rzecz oczywistą, nie wyobrażając sobie nawet, że coś tak wiekowego i zapierającego dech w piersi może zostać obrócone w perzynę, i to za sprawą czyjejs zachcianki.

W owym czasie większość Zachodniego Brzegu była jeszcze przystrojona w zieleń, naturalny majestat, który chyli czoło przed wiatrem, z chłodem się osypuje i kwitnie dla słońca. Lecz to się zmieniło. Stopniowo: jeden dom, jedno gospodarstwo, jedna wioska naraz. Zrujnowane, splądrowane, starte w pył - nieustanny podbój palestyńskiej ziemi. „Pełzający imperializm”, nazwał to Hadż Salem. Dzisiaj ścieżka, którą dziewczynki przenosiły miłosne westchnienia kochanków, stapia się z jałowym ugorem, zaśmieconym gruzowiskiem starych domów, spalonych opon, pustych łusek po nabojach i dogorywających pędów oliwnych.

- Ciekawe, co takiego było w tym liście. - Huda martwiła się o Fatimę.

Podążały przed siebie szybkim krokiem, przynajmniej dopóki nie dotarły do punktu kontrolnego. Tam zatrzymał je szczupły żołnierz.

- Dokąd idziecie?

- Do Dżenin - odparła potulnie Huda.

- Do Dżenin - zawtórowała jej Amal, nienawidząc się za własną uległość.

Na żądanie pokazały papiery i karty, które kazano im nosić przy sobie od czerwca 1967 roku. Były to dokumenty, w których za pomocą różnych kolorów oznaczano Palestyńczyków pod kątem ich religii i miejsca zamieszkania, oraz przepustki umożliwiające podróż na wschód, zachód, północ lub południe. Należało mieć specjalne pozwolenie na pomoc medyczną, wyprawy w celach handlowych i naukę na uniwersytecie, toteż człowiek nosił przy sobie plik różowych, żółtych i zielonych kart, zmiętych i poplamionych od wiecznego dotykania, potu oraz ciągłego rozkładania, czytania i składania z powrotem.

Po drugiej stronie punktu kontrolnego inny żołnierz maglował Osamę Dżamala, czternastoletniego chłopca z Dżenin - nie obozu dla uchodźców, tylko miasteczka, gdzie obóz się mieścił. Jego ojciec był właścicielem miejscowej piekarni, kuszącej przechodniów aromatem świeżego chleba, manakisu* i fatajerów*.

* Manakisz - rodzaj placka z nadzieniem, podobnego do pizzy.

* Fatajer - pierożek szpinakowy.

Żołnierz pchnął Osamę i kopnął go. Inny żołnierz pomógł mu wstać i ostrym tonem skarcił po hebrajsku pierwszego. Gdy zaczęli się kłócić, Osama pokuśtykał z pękniętym żebrem i zdeptanym ego w nadziei, że dwie dziewczynki z Dżenin nie zwróciły na niego uwagi.

Gdy znaleźli się poza zasięgiem wzroku żołnierzy, zaproponowały mu pomoc, lecz Osama odmówił. W końcu jednak ból wziął górę nad dumą i chłopiec wypuścił z rąk torby, i zgodził się oprzeć na ramionach dziewczynek, pod warunkiem że nikomu o tym nie wspomną.

- Jesteś siostrą Jusefa Abulhedży, prawda? - spytał.

- Tak - potwierdziła Amal zaskoczona, że się do niej odezwał. - Masz krwotok z nosa.

Huda wyjęła chustkę z zapasu, jaki przezornie nosiła w kieszeniach, bo - jak powtarzała Amal - „trudno przewidzieć, kiedy mogą się przydać”.

Amal nigdy nie znajdowała się tak blisko mężczyzny innego niż Jusef, ojciec czy Ammo Darwisz. Zawstydziała ją ta bliskość, budząc przy tym dreszczyk emocji, od którego dławiono ją w gardle. Szła, uginając się pod ciężarem jego ramienia, z wysuniętą głową i spuszczonego wzrokiem, i coś trzepotało jej w brzuchu. Szli w ciszy przetykanej urywanym oddechem Osamy i Amal utkwiła spojrzenie w zmarszczce na jego spodniach, która pojawiała się i zniknęła, gdy napinał udo, a ziemia uciekała im spod nóg.

- Kupujesz chleb u mojego taty? - spytał Osama, przeciągając z bólu słowa.,

Amal uniosła głowę, lecz on nie zwracał się do niej, i zrozumiała, że Huda jest równie nieświadoma jego zainteresowania, jak on zainteresowania Amal.

- Nie gadaj, bo ci się pogorszy - odparła Huda z nietypową dla niej stanowczością, płynącą z uporu raczej niż pewności siebie, i nieśmiałość Amal ustąpiła miejsca zazdrości.

W domu zastała Jusefa trzymającego mamę za rękę i rozmawiającego z zastałym powietrzem, zawisłym na wprost jej nieobecnych oczu.

- Nie potrzebujemy chleba? Mogę pójść kupić - przerwała, nie zważając na panujący w pokoju nastrój powagi, byle tylko znów znaleźć się w obecności Osamy.

- Muszę z tobą porozmawiać, Amal - powiedział Jusef. - Ale nie teraz. Zostaniesz na chwilę z mamą? Zaraz wracam. - I wyszedł. Ciekawa tego, co miał jej do powiedzenia, i poznania przyczyny płaczu Fatimy, Amal spojrzała niechętnie na matkę i naburmuszona usiadła obok.

Dalia zwróciła się do córki. Dryfując ponad falującym baldachimem nieświadomości, musnęła ustami włosy Amal, nareszcie czuła, i powiedziała: „Jusef odchodzi”, by niepostrzeżenie znów zatonać w czeluściach swego umysłu. „Mamo, wróć!”, zawołało serce Amal, ale do matki nie docierało już nic.

Wiedziała, że to prawda. Jusef odchodził. Bała się, że prześladowają go Żydzi. Tylu mężczyzn zabrano w opaskach na oczach i kajdankach; często znikali bezpowrotnie, we-ssani tam, skąd dotąd wracali tylko ujarzmieni i złamani. Poczowała bliskość jakichś przerażających wydarzeń, czegoś poza zasięgiem wzroku i pojmowania, niczym cuchnący oddech ukrytej bestii. Zadrżała i nogi poniosły ją naprzód, bez celu. Puściła się biegiem, nie wiedząc dokąd ani nawet dlaczego biegnie.

Huda. Gdzie ona jest?

- HUUUDAAA! - zawołała Amal pod oknem przyjaciółki. Huda na chwilę wysunęła głowę.

- Nie teraz. Przyjdę później. Nie mogę teraz rozmawiać.

Pa.

Boże, co się dzieje? Amal pobiegła dalej, nie będąc w stanie opanować eksplozji w nogach, nieprzytomna z bólu rozrywającego pączkujące piersi. Łzy zapiekły ją pod powiekami, a płuca płonęły od zimna, aż wreszcie wyczerpana padła na kolana w brzoskwiniowym sadzie, który niegdyś tętnił życiem w czasie wiosennych zbiorów, a zimą służył jako miejsce potajemnych schadzek młodych kochanków, z dala od czujnych oczu rodziny. Dziś Arabowie nie mieli tu wstępu; była to kolejna granica, której nie miała odwagi przekroczyć.

A jednak znajdowała się tuż za pierwszym rzędem drzew...

19. JUSEF ODCHODZI

1968

A jednak znajdowałam się tuż za pierwszym rzędem drzew w brzoskwiniowym sadzie, zapadał zmierzch. Zmarzłam i byłam zbyt samotna, żeby się bać. Skuliłam się na ziemi, wyobrażając sobie, że leżę w objęciach Osamy. Zasnęłam, zapadając w mrok rozgwieżdżonego nieba, i ocknęłam się przed świtem ponad cienką warstwą mgły, zawieszoną nisko nad ziemią.

Nie pamiętam, czego doświadczyłam wówczas na ten widok, lecz wspomnienie krajobrazu tamtego poranka do dziś zapiera mi dech w piersi. Było to malownicze tło życiorysów moich rodziców: mile pastwisk zaścielających doliny wśród fal gajów oliwnych. Drzewa niczym zapraszające sylwetki dziadków liczących setki lat, pomarszczonych i zgarbionych, z ciężkimi ramionami, wyciągniętymi we wszystkich kierunkach, jak do modlitwy. Ci, którzy przejęli tę wspaniałą ziemię, migoczącą zielenią obok niebieskich wód Morza Śródziemnego od czasów przed Mojżeszem, rzekomo zastali tu „pustynię”, w którą „tchnęli życie”. Majestatyczne słońce zalewało wzgórza swym blaskiem jak żółtą farbą, oświetlając stare arabskie domy, wydane na pastwę porzucenia. Wokół nie widziałam żywej duszy i chyba wówczas pojęłam obezwładniający powab samotności.

Niewiele myśląc, sięgnęłam ręką do piersi. Gnana ciekawością, musnęłam je przy wtórze myśli, które obudziły cień poczucia winy. Wstyd też dał o sobie znać, nasuwając wspomnienie boskich nakazów, grzechu i kary. Ale głucha na wszystko wsunęłam rękę do majtek i tam, pod drzewem w zakazanym, brzoskwiniowym sadzie, odkryłam niewysłowione rozkosze kobiecości.

Na palcach zobaczyłam krew, dowodzącą pojawienia się tajemniczej i długo wyczekiwanej miesiączki. Powąchałam swój zapach, a nawet spróbowałam smaku własnej krwi, wierząc, że z dnia na dzień stałam się kobietą, a mój świat zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wstałam i ruszyłam z powrotem do Dżeninu w przekonaniu, że Jusef wcale nie wyjeżdża i wszystko było tylko nieporozumieniem.

W moje rozmyślania wdarł się głos krzyczący łamanym arabskim:

- Stać!

Żołnierz!

Podniosłam błagalny wzrok ku słońcu, którego promienny, obojętny uśmiech tylko mnie zaślepił, zostawiając pod powiekami czarne plamy, kiedy zostałam zatrzymana za wejście do strefy zakazanej. Najpierw jeden, a potem jeszcze dwaj

żołnierze dopadli mnie jak hieny, aż się zatrzęsłam ze strachu. Zadawali mi niezliczone pytania, podając sobie moje papiery. Jeden z nich złożył je starannie i podał mi uprzejmym, współczującym gestem.

- Idź do domu - powiedział.

Nieufnie oddaliłam się na zeszywniałych nogach, po czym, niezdolna dłużej nad sobą panować, ruszyłam biegiem w stronę domu. Naraz ucho zapiekło mnie żywym ogniem, kiedy coś okropnego świsnęło centymetr od mojej głowy. Poczułam straszny ból w brzuchu. Z przyśpieszonym oddechem i nogami jak z waty stanęłam na skraju Dżeninu, niedaleko miejsca, gdzie Osama chciał odpocząć, kiedy go wczoraj prowadziłyśmy. Poczułam coś ciepłego i mokrego na prawej nodze i widząc krew, doznałam nagłej wizji obfitej menstruacji. Moja dłoń powędrowała do bolącego boku i gdy palce zatonęły w ranie, kolana się przede mną ugięły, przewróciłam oczami i w ostatnim przebłysku świadomości wydałam z siebie obłąkańczy krzyk.

Trafili mnie.

Otworzyłam oczy do światła.

- Budzi się - rzekł nieznajomy kobiecy głos w palestyńskiej arabszczyźnie. Światło przeszło w aureolę za twarzą Hudy. Fatima stała obok niej, a Lamia obok Fatimy. Usłyszałam, jak Fatima mówi, że Hadż Salem, Ammo Jack O'Malley i Ammo Darwisz z rodziną oraz inni z obozu zostali przed szpitalem, palą i czekają na wieści.

Moją uwagę przykuło znajome mamrotanie i zwróciwszy twarz w tamtą stronę, zobaczyłam mamę i Um Abdallah, nieruchome jak posągi. Mama miała na sobie swoją ślicznie haftowaną thobe z wiotkiej, ale mocnej tkaniny. I pomyślałam wtedy nie o kuli czy bólu, nie o Jusefie, Osامية lub ojcu, tylko o Dalii. W końcu wejrzałam poprzez wychudzoną skorupę w głąb żywiołowej, śmiałej i pełnej życia młodej Beduinki, której żar ugaszono rozpalonym żelazem, a zmysły odmówiły jej posłuszeństwa, przysypane popiołem zbyt wielu śmierci i wojen. Takie były moje refleksje, gdy obudziłam się po operacji, podczas której usunięto mi z brzucha kawałki metalu. Kula nadleciała od strony południowej wieży strażniczej, a nie żołnierzy, którzy mnie zatrzymali. Takie było zdanie lekarza, który określił jej trajektorię na podstawie mojej rany. Trafiła mnie w prawy bok, tuż ponad nerką, i eksplodowała, rozrywając wnętrzności.

- Piecze - poskarżyłam się.

- Proszę. Lekarz mówił, że to na ból - odezwała się Fatima, podając mi dwie pomarańczowe tabletki.

- Bądź błogosławiona. Gdzie Jusef? - Patrząc na ich smętne miny, zrozumiałam, że nie przyjdzie.

- Szukał cię... - zaczęła Huda.

- Nie odszedłby, gdyby wiedział, co się stało - dodała Fatima.

Odszedł, dokąd?

- Proszę. - Huda wręczyła mi pozostawiony przez niego list.

Bismillah Arrahman Arrahim

Moja kochana siostrze, Amal, muszę iść. Zrozum, proszę Cię. Od tygodni piszę do Ciebie ten list i nie mogę znaleźć właściwych słów. Ilekroć siadam do pisania, przypominam sobie obietnicę, którą złożyłem ojcu.

Pewnego piątku, gdy siedzieliśmy w zachodnim gaju oliwnym po modlitwach jomaa, ojciec wymógł na mnie przyrzeczenie, że zaopiekuję się Tobą, jeśli kiedykolwiek coś mu się stanie. Chciał, żebyś zdobyła wykształcenie i znalazła dobrego męża. Ja w swej naiwności nie wierzyłem w ponowną okupację Żydów, ale on przewidział chyba nadejście wojny.

Myślałem, że będzie z nami zawsze. Nie wiem, jak dotrzymać złożonej mu obietnicy. Jeśli zostanę, Żydzi w końcu mnie zabiją. Mają władzę i chcieliby zagarnąć całą ziemię. Na razie nic nie staje im na przeszkodzie.

Zabrali wszystko, Amal. I wciąż zabierają więcej. Nie mogę dłużej siedzieć z założonymi rękami. Błagam, siostrzyczko, musisz mi wybaczyć. Będę walczył, to jedyne wyjście. Skazali nas na powolne umieranie, śmierć za życia. Nie będą decydować za mnie.

Jeśli polegnę, trudno. Bądź ze mnie dumna, módl się za moją duszę i raduj, że poszedłem do królestwa Allaha, jak wszyscy męczennicy, którzy umierają za wolność, sprawiedliwość i ziemię; chciałbym zająć między nimi godne miejsce.

Siedzę tu jak ptak w klatce. Wiem, że Ty również. Serce mi pęka, że nie mogę zapewnić Ci życia, jakie ojciec sobie dla nas wymarzył. Nie mogę też znieść myśli, że nasza przyszłość stoi pod znakiem krat i ciągłej tułaczki.

Zbliża się powstanie; w końcu odbierzemy, co nam się słusznie należy. Urodziłaś się na uchodźstwie, ale przysięgam, że jeśli trzeba, oddam życie, byś na uchodźstwie nie umarła.

Muszę zostawić mamę pod Twoją opieką. Wiem, że to ciężar dla młodej dziewczyny. Oddałem Aminowi swoją część warsztatu w zamian za obietnicę, że będzie się Wami opiekował. Zostawiłem dla Ciebie wszystkie moje oszczędności. Ammo Darwiz ma nimi rozsądnie gospodarować i przeznaczyć je na Twoje wykształcenie, jeśli zaistnieje taka możliwość. Proszę, bądź w kontakcie z Fatimą. Bardzo jej na Tobie zależy.

Zawsze kochający Jusef

Zaczął odkładać pieniądze w wieku szesnastu lat, kiedy poznał Fatimę, by łączyć na wesele i nowy dom. Próbowałam go zrozumieć, tak jak prosił. Ale

czułam się tylko zdradzona i odepchnięta. Po odejściu Jusefa naprawdę zostałam sama. Był dzień dwudziestego stycznia 1968 roku.

20. BOHATEROWIE

1967-1968

Tuż za zieloną połacią jordańskiej wioski Karameh ziemia wznosi się, przechodząc w nagie, skaliste wzgórza, gdzie palestyński obóz dla uchodźców, kolejne zbiorowisko zimnych namiotów i błotnistych ścieżek, była także bazą organizacji rewolucyjnych palestyńskich bojowników, fatah, pod wodzą Jasira Arafata, do których przyłączył się Jusef.

W marcu 1968 roku siły izraelskie wmaszerowały pod osłoną porannej mgły przez most Allenby'ego do Karameh w celu szybkiego zniszczenia partyzanckiej bazy Organizacji Wyzwolenia Palestyny (OWP).

Izrael się przeliczył. Fedaini walczyli z szaleńczą odwagą. Niektórzy bojownicy z ładunkami wybuchowymi na pasach skakali na czołgi, wysadzając je i siebie samych.

Był tam mój brat Jusef i brał udział w walkach bezpośrednich, które objęły całe Karameh. Gdy próbował ratować ранego towarzysza, kula nieprzyjaciela wyszarpnęła mu kawałek uda. Opowieść ta, której świadectwem było późniejsze utykanie Jusefa, stała się legendą w Dżeninie, gdzie wciąż dochodziłam do siebie po ranie postrzałowej.

W południe tego samego dnia Karameh leżało w gruzach, jednak lekko uzbrojona grupa bojowników utrzymała pozycje i Izrael musiał się wycofać, porzucając w pośpiechu czołgi i inne pojazdy. Tak oto za sprawą mojego brata i jego towarzyszy padł mit o niepokonanej sile Izraela.

W ciągu paru godzin wieść o bitwie o Karameh obiegła cały świat arabski z szybkością pożaru. Jej echa rozległy się w Europie i Związku Radzieckim, a cudzoziemska młodzież zaczęła nosić palestyńskie kraciaste kefie jako symbol rewolucji i siły słabych.

Słyszałam radio ryczące w kawiarni Beit Dżawad.

- Chodź, pomogę ci. Pójdźmy zobaczyć - zaproponowała Huda, podpierając mnie ramieniem, żebym mogła wstać.

Na zewnątrz musiałam zasłonić oczy pod naporem światła. Zebrały się tłumy, skandując i śpiewając z radiem. Amin, przyjaciel Jusefa, stał na stole w kawiarni i trzymał głośnik. Tłum ucichł i usłyszeliśmy głos Jasira Arafata.

- Dokonaliśmy tego - mówił - aby uświadomić światu, że Palestyńczyk nie jest tylko pozycją w spisie uchodźców, ale członkiem narodu, który bierze sprawiedliwość w swoje ręce i ma pełne prawo decydować o swojej przyszłości.

Ciarki przeszły mi po plecach.

- Allaho akbar! - ryknął tłum. Rozległa się dumna pieśń i ludzie zaczęli tańczyć na ulicach. Na mój widok Hadż Salem przecisnął się przez cizbę.

- Twój brat walczył o Karameh - powiedział, nachylając się, by ucałować mnie w policzek. - To ci dopiero! Podobno jest cały i zdrow. -I szczerząc bezzębne dziąsła, ruszył świętować z innymi i klaskał w dłonie uniesione na wysokość brunatnej twarzy. Zobaczyłam, jak w oddali obejmuje Ammo Jacka O'Malleya.

Okrzykom nie było końca. - Karameh, Karameh!

- Jusef Abulhedża! Nasz dżeniński fedain! - Allaho akbar!

Nawet kiedy pojawili się żołnierze, aby rozpedzić tłum, koncert budzącej się rewolucji trwał w najlepsze. Z okien dobiegała muzyka oraz zagharit* kobiet. W mroku rozchodziły się wonie przyrządzanych łakoci, które następnie podawano przez okna sąsiadów do naszego domu na cześć bohaterstwa mojego brata. Karameh.

* **Zagharit - charakterystyczny przeciągły okrzyk radości i uznania.**

Huda, ja i pozostałe dziewczynki urządziłyśmy własną uroczystość. Za słaba, aby wziąć w niej udział, patrzyłam, jak koleżanki tańczą do późnej nocy.

- Jest godzina policyjna, więc przynajmniej jutro nie będzie szkoły - oznajmiła radośnie Lamia, a inne podzieliły jej entuzjazm.

Z nadzieją zrodzoną z podniecenia oraz domieszki naiwności snułyśmy pragmatyczne marzenia o powrocie do rodzinnych wiosek, który w świetle triumfu w Karameh zdawał się wręcz oczywistością. Nasze niewinne rozważania tego wieczoru odsłoniły skromną skalę naszych pragnień. „Prawdziwe łóżko”. „Żadnych żołnierzy”. „Plac zabaw”. „Ogród”. „Rower”. Lista naszych niewyszukanych postulatów ciągnęła się w nieskończoność. Spisałyśmy je, wybrałyśmy trzy najważniejsze i porównałyśmy z listami koleżanek.

Huda najbardziej marzyła o tym, by posiedzieć kiedyś nad oceanem.

- Tylko posiedzieć - zaznaczyła - bo nie umiem pływać.

Na zawsze zapamiętałam te słowa. Prostota jej największego marzenia doprowadza mnie do łez jeszcze dziś.

W telewizji pokazali fedainów maszerujących przez Amman i dorośli skupili się wokół nielicznych odbiorników. Najłatwiej dostępny znajdował się w kawiarni Beit Dżawad, i widziałam Hadż Salema z Ammo Jackiem O'Malleyem przy „ich” stoliku, krzyczących, by nie zasłaniano im ekranu. A na ekranie się działo. Setki tysięcy ludzi solidarnie zbierały się w całej Jordanii na wspólną modlitwę i świętowanie. Kobiety i dzieci rzucały rewolucjonistom kwiaty. Dorośli mężczyźni z płaczem przedzierali się przez tłum, by ucałować palestyńskich braci. Ruch z godziny na godzinę rósł w siłę. We wszystkich krajach arabskich mężczyźni

ustawiali się w kolejki, aby wstąpić do OWP. Wielu z Dżeninu spakowało się następnego dnia, by uczynić to samo, lecz zostali aresztowani przez Izraelczyków, którzy wszędzie mieli swoje wtyczki.

Miesiąc później wciąż obowiązywała godzina policyjna. Zanim pozwolono nam opuścić domy, w świetle rosnących na ulicach gór śmieci nasze niedorzeczne listy dziewczęcych marzeń zeszły na drugi plan. I nawet Lamia chciała wrócić do szkoły.

21. ZWIĘCZENIE KOŃCA

1969

Nie przerywając niezmordowanego dziergania na drutach na rozchwianym balkonie, mama i Um Abdallah co jakiś czas unosiły głowy, by rozejrzeć się po otaczającym je świecie. Mama jeszcze głębiej pograżyła się w czeluściach swego umysłu, pozostawiając na pastwę losu nawet własne ciało, więc musiała zacząć nosić pieluchę. Um Abdallah w swej niezwyklej lojalności objęła pieczę nad jej higieną.

Oczy mamy były puste i bez wyrazu, ciało kurczyło się coraz bardziej, a z ust dobywał się chrapliwy oddech. Straciłam rodzinę i dobiegałam czternastych urodzin z okaleczonym ciałem. Życie było kapryśne i nieprzewidywalne, nie należało mu ufać. W jednej chwili pieściło młodzieńczym oczarowaniem, uwodząc perspektywą kobiecości, o której marzy każda dziewczynka. W drugiej z bezlitosną obojętnością ubrało mnie w zeszeconą skórę, utkaną z odrzucenia i podejrzliwości.

Kula wyrwała mi kawałek brzucha w okolicach talii. Świętoszkowate anioły, które siedzą ludziom na ramieniu i zgłaszają Allahowi popełnione przez nich występki, zadreślały mnie swoimi: „A nie mówiłem?“, aż uwierzyłam, że potworność, jaka oszpeciła moje ciało, to kara za grzech masturbacji. Kornie schyliłam głowę przed tym anielskim gadulstwem, bezradnie przystając na wieczny czyściec.

Nie zostało mi nic prócz ojcowskiego marzenia, dla którego harował za psi grosz, by uciulać na wykształcenie dzieci. Gorliwie realizowałam ów cel mimo braku własnych naukowych bądź intelektualnych aspiracji. Moim jedynym marzeniem było być kochaną i wolną, jak w czasach świtów z ojcem.

Na cześć ojca, chcąc urzeczywistnić jego marzenie, gorliwie połykałam książki z dziedziny historii, literatury, matematyki i przyrody. Nocą, w ramach kary i utwierdzenia się w samotności, dotykałam poszarpanego ciała na brzuchu - to było memento, przypominające, że nikt mnie nie zechce. Z powodu zaniku mięśni utykałam przez jakiś czas, co potęgowało poczucie kalectwa.

Huda była przy mnie w czasie rekonwalescencji, ale wkrótce ją odepchnęłam. Dziś ze wstydem muszę przyznać, że zazdrościłam jej nienaruszonego ciała i życzyłam przyjaciółce, by spotkało ją to samo co mnie, aby mieć w pobliżu kogoś podobnie okaleczonego. Ale ona wytrwała, uparta w swej lojalności, i nie zraził jej mój chłód.

Mimo poniesionego uszczerbku moje ciało dalej budziło się przed świtem, w codziennym hołdzie ojcu, którego rysy zlewały się już w mej pamięci, osnute mglistą wonią miodowo-jabłkowego tytoniu. W kółko czytałam ulubione książki ojca, i gdybym miała dziś sporządzić kolejną listę konkretnych życzeń, życzyłabym sobie właśnie tamtych wysłużonych egzemplarzy.

Zanurzyłam się po uszy w lekturach i pisaniu, nie troszcząc się o obłąkaną matkę, która niknęła w oczach, o panoszących się żołdaków ani o moją najlepszą przyjaciółkę Hudę i jej kiełkujące uczucie do Osamy.

Zasłynęłam jako pilna uczennica, ku wielkiej aprobacie dorosłych, którzy pochwalali też mój brak zainteresowania chłopcami, mylnie brany za skromność. Ale ja wiedziałam, podobnie jak Huda, że wynika on tylko ze świadomości własnych braków. A gdy wreszcie powróciłam z dobrowolnego wygnania, po raz kolejny odkryłam, że wciąż mogę na nią liczyć, i podjęliśmy po prostu przerwany wątek.

Podczas gdy ja pławiłam się w nauce, wstydzie i pokucie, Huda odkrywała miłość. Po obozie już rozniosła się wieść, że jest dziewczyną Osamy, a ich ślub stał się jedynie kwestią czasu. Okres dojrzewania uwydatnił jej kości policzkowe pod kocimi oczami, a usta nabrały pełnego zarysu i z wdziękiem rozciągały się w uśmiechu ponad lekko krzywymi przednimi zębami. „Dziwna dziewczynka o niezwykłym spojrzeniu” rozkwitła w Kleopatrze o jedwabistej kaskadzie czarnych włosów i gładkiej, oliwkowej skórze. "Wszyscy chłopcy w mieście zazdrościli Osamie.

Miałyśmy z Hudą po czternaście lat, gdy w pewien upalny czerwcowy wieczór znalazłyśmy mamę zimną w łóżku. Podeszłyśmy powoli, zapalając lampkę oliwną na ścianie. Jak zawsze w chwilach niepewności, chwyciłyśmy się za ręce. Mama leżała na boku, jak zawsze, kiedy spała; cień jej zeszywniałej postaci migotał na ścianie. Zza okna dobiega! szmer rozmowy, a w szwach pomiędzy światem żywych i umarłych czaiła się zatechła woń końca. Na piance z gąbki i pstrokatej macie, na podłodze pod gołą, odrapaną ścianą naszego domu, w prowizorycznym państwie narodu zapomnianych mama umarła w samotności.

Łzy popłynęły mi z oczu. Płakałam nie nad śmiercią tej kobiety, ale nad moją matką, która opuściła swoje ciało dawno temu. Płakałam ze słodko-gorzką ulgą, że wreszcie opuściła burdel świata, który zbezczeszczył jej duszę. Płakałam w dotkliwym poczuciu winy, że jej nie uratowałam. Płakałam, gdyż mimo usilnych starań nie umiałam znaleźć w tym mizernym ciele kobiety, która dała mi życie. I płakałam w obliczu smutnego jutra jałowej, usianej zwłokami ziemi moich dni. Huda płakała nade mną. Tylko Um Abdallah, która zostawiła swą nieodłączną towarzyszkę na czas odpoczynku i przyszła ją zbudzić, płakała nad mamą. Była

jedyną duszą, która знаła osobę zamieszkującą to wychudzone ciało, nad którym szlochałyśmy we trzy.

Gdzieś pomiędzy mną a ciałem matki wisiało wspomnienie dnia, w którym Dalia nauczyła mnie układać nienarodzone dziecko w łonie matki. Wszyscy byli pewni, że malec umrze. Życie matki również stało pod znakiem zapytania; ludzie mieli wątpliwości. Wreszcie nadeszła Dalia.

- Przyszła akuszerka Um Jusef z córką Amal - powiedział ktoś, kiedy wbiegłyśmy do pomieszczenia, gdzie kobieta leżała w bólach, podczas gdy my czekałyśmy na pozwolenie opuszczenia domu w czasie godziny policyjnej. Czekaliśmy na próżno, więc musiałyśmy wymknąć się potajemnie, mama ze specjalnymi nożyczkami pod thobe. Kobieta leżała wyczerpana krzykiem, którym starała się zagłuszyć ból. Odstraszyć śmierć od swego dziecka. Przyćmione światło i woń narodzin wypełniały ciasny pokój, w którym jęczała na łóżku. Dalia ostrożnie oparła jej na czole jedną dłoń, drugą położyła na brzuchu i zaczęła odmawiać modlitwę.

- Oddychaj, dziecko. Zdaj się na wolę Allaha; nigdzie nie będziesz bezpieczniejsza aniżeli w jego rękach. Oddychaj, dziecko, oddychaj. - Jej spokój udzielał się pozostałym. - Pomóż mi ją podnieść. - Skinęła na mnie. Podeszła również ciotka rodzącej i razem odwróciłyśmy kobietę. Nogi miała wysoko na poduszkach, ręce zwisały luźno nad krawędzią łóżka. - Dziecko jest nachylone i może się zaplątać w pępowinę. Niech się dzieje wola Allaha. - I zwróciła się do zgromadzonych w pokoju kobiet: - Idźcie i módlcie się za nią. Zawołam, kiedy będziemy potrzebować pomocy.

My, ona i ja.

- Oprzyj tu ręce - poleciła, kładąc swoje po drugiej stronie brzucha rodzącej. - Zamknij oczy, aż poczujesz ruch, i pozwól Allahowi, aby poprowadził twoje dłonie.

Ogarnął mnie strach, ale zrozumiałam. Cokolwiek czujesz, trzymaj to w środku.

Nucąc, jakby uspokajała dziecko, mama przez wieczność masowała skórę kobiety. Wreszcie nastąpił wyczekiwany ruch.

- Teraz mi pomóż. Przesuwaj ręce, o tak - poleciła, wciąż opanowana, nie przerywając nucenia. Kobieta jęczała, lecz zachowała spokój. Oddychaj, dziecko. Oddychałam, a moje dłonie poruszały się wraz z dzieckiem, naprzeciwko rąk mamy.

Byłyśmy gotowe. Wróciły kobiety.

- Wasze modlitwy pomogły - powiedziała im mama - lecz najtrudniejsze zadanie należało do mojej córki. - I dodała, przenosząc na mnie wzrok: - Ty

ułożyłaś dziecko, Amal. - Z dumą uśmiechnęła się szeroko, po czym wstała i pocałowała mnie w czoło.

Jak mogłam zapomnieć tamten dzień, i dlaczego wróci! do mnie teraz, po jej śmierci? Kochała mnie. Jak kiedykolwiek mogłam w to wątpić?

Allaho akbar. Uroczystości pogrzebowe zakończyły się pochówkiem - wieńczącym koniec mojej matki, ognistej niegdyś Beduinki o imieniu Dalia, która dźwięczała przy każdym kroku.

Zgodnie z tradycją mężczyźni i kobiety osobno opłakiwali zmarłą. Lecz Ammo Darwizh nie przyłączył się do nikogo. Znalazłam go samego na cmentarzu, z pękniętym sercem, przykutego do wózka.

Ammo Jack O'Malley też był niepokieszony po śmierci mamy.

- Poznałem ją, kiedy była młodą istotą, załamana utratą synka - powiedział. - To był dobry człowiek. Twój ojciec tak samo. Tak mi przykro, Amal. El baejehfi hajatik.

Jack miał naturalny, spontaniczny sposób bycia i brał życie takim, jakie jest. Jego swobodne obejście nie wynikało z prostactwa, był on bowiem człowiekiem bystrym i wykształconym. Po prostu wrodzona uczciwość i prawość nakazywały mu unikać konfliktów i zaskarbiły podziw zarówno Palestyńczyków, jak i izraelskich okupantów w mundurach.

Jeśli chodziło o nas, Ammo Jack był irlandzkim Palestyńczykiem, który raz do roku odwiedzał córkę w Dublinie, a przez resztę czasu mieszkał z nami w slumsach. Posługiwał się arabskim tak samo płynnie jak angielszczyzną, z irlandzką modulacją, zawijając koniec zdania w pytanie.

- Cześć, kochana - zagaił parę dni po pogrzebie mamy. - Wpadnij później do domu twojego wuja, bo musimy z tobą pogadać, dobrze? - Zwracał się do mnie po angielsku, odkąd nauczyciele donieśli mu o moich postępach, aby przy okazji dać mi okazję do szlifowania języka. - Twój Englizi coraz ahsan, nie?

- Tak, mój angielski jest coraz lepszy.

- Świetnie! - I zarechotał, zanosząc się kaszlem. Ale o co chodziło z tym spotkaniem u wuja? O czym chcieli ze mną porozmawiać? I kim w ogóle byli ci „oni”? Natychmiast obleciał mnie strach. I nie bez powodu. W ich oczach byłam prawie czternastolatką, bez matki, ojca i rodzeństwa, biedną i pobożną. Jednym słowem, dojrzałam do zamążpójścia.

Przez kolejne godziny zamartwiałam się na śmierć, snując plany uniknięcia małżeństwa, po części dlatego, że jako mężatka musiałabym obnażyć pełnię swego kalectwa. Rozważałam ucieczkę, ale nic nie skłoniłoby mnie do takiego odstępstwa od tradycji. Poza tym nie miałam dokąd uciec, bo wszędzie napatoczyłabym się na żydowskich żołnierzy i osadników, Izrael rozpoczął

bowiem masowe konfiskaty ziemi oraz budowę osad wokół ośrodków palestyńskiego życia. Przyszło mi nawet do głowy, aby symulować chorobę psychiczną bądź przypadłości innego rodzaju.

Kiedy nadszedł wieczór, byłam wykończona i pogodzona z domniemaną porażką. Trzymając się za ręce, poszłyśmy z Hudą do domu Ammo Darwisza; ona miała pozostać na zewnątrz, ja zaś podeszłam nieśmiało do metalowych drzwi i weszłam do odkrytego pomieszczenia, gdzie mój wuj, Hadż Salem i Ammo Jack O'Malley siedzieli na poduszkach, podając sobie nargile i popijając kahwe z malutkich filiżanek, obojętni na kurczęta dziobiące wokół. Zgodnie z tradycją nie podano cukru przez szacunek dla zmarłej, więc kahwe była gorzka. Jak zawsze przyszłam boso: miałam już od tego stwardniałą skórę na stopach, a ludzie witali mnie pytaniem: „Gdzie twoje buty, dziecko?”. Ich ton, pełen współczucia oraz lekkiej wzgardy, był zarezerwowany dla pozbawionych rodzicielskiej opieki nieszczęśników.

- Zdejmij buty, Amal, i przyłącz się do nas - rzucił ktoś, po czym zauważono, że jestem na bosaka.

Z wolna podeszłam w ich stronę po brukowanej nawierzchni. Panował mrok, światło dwu latarni migotało od ciem i komarów.

Dostrzegłam kątem oka postać idącą ku mnie z otwartymi ramionami.

- Witaj, kochana! - powiedziała Chalto Bahija, najstarsza siostra mamy. Mieszkała w Tulkarem, gdzie pracowała jako sprzątaczką u mieszkających nieopodal osadników; przyjechała do Dżenin, gdy tylko usłyszała wieść o śmierci mamy. Chociaż mieszkała zaledwie szesnaście kilometrów od nas, podróż zabrała jej trzy dni. Dwukrotnie zawracano ją z punktu kontrolnego, za trzecim razem wreszcie została przepuszczona. Ale mamę już pochowano, i gdy Chalto

Bahija zrozumiała, że nie było jej dane się pożegnać z młodszą siostrą, na głowy żołnierzy posypały się przekleństwa.

Nie spodziewałam się jej obecności, ale bardzo mnie ucieszyła. Z matką łączyło ją niezwykle podobieństwo, lecz ta sama uroda u każdej z nich rozkwitła inaczej. W przypadku mamy była odgradzona murem i nietykalna, podczas gdy uroda Chalto Bahiji z miejsca ujmowała za serce, radosna i pełna wdzięku. Grawitacja, słońce i czas wyżłobiły na ich twarzach bruzdy ciężkiej pracy, porodów i biedy. Lecz nawet one się u nich różniły. U Chalto zdawały się łączyć z jej radością i bólem, przez co znikwały i pojawiały się, tworząc ramy dla zwierciadła jej emocji. Miękkie fałdki okalały usta Chalto i twarz otwierała się w uśmiechu niczym orchidea. U mamy zawsze zdawały się nie na miejscu, jakby jej uroda nie tolerowała zmian ani zewnętrznej interwencji losu. Zmarszczki

wyżłobiły jej twarz we wzór więziennych krat, zza których dobiegała ciągła skarga istoty wzniosłej i smutnej, choć wciąż pełnej życia i spragnionej wolności.

- Chodź tu, ja binti. - Hadż Salem uniósł rękę, ukazując plamę potu pod pachą, i wskazał mi miejsce obok siebie.

Niepewnie zajęłam poduszkę pomiędzy nim a Ammo Darwiszem, który siedział na sfatygowanym wózku, z jednej strony okręconym sznurkiem i podklejonym taśmą. Jego najmłodsze dziecko, mój kuzyn Fuad, leżało zmożone gorączką w głównej izbie, w związku z czym zostaliśmy na oblężonym przez komary dziedzińcu.

Ammo Jack O'Malley siedział wygodnie naprzeciw Hadż Salema; kłócili się jak dzieci o to, kto dłużej pociągał z fajki. „Cholerny Irlandczyk”. „Cholerny Palestyńczyk”.

Wybuchnęli śmiechem, jeden chrapliwym i bezzębny, drugi rzeżącym niczym popsuty gaźnik.

Zebrali się, by zdecydować o moim losie. To nie ulegało wątpliwości.

- Oby kolejne lata przyniosły ci szczęście, Amal. Łączymy się z tobą w bólu - zaczął Ammo Darwisz. Następnie zaproponował mi dach nad głową: mogłam zamieszkać z wujem, który zarabiał na (marne) życie wyrabianiem szklanych bombek sprzedawanych turystom. - Należysz do rodziny i zrobię dla ciebie, co w mojej mocy - uzupełnił serdecznie.

- Albo możesz zamieszkać ze mną w Tulkarem - wtrąciła skwapliwie Chalto Bahija. Miała pięć gąb do nakarmienia, lecz gotowa była wziąć odpowiedzialność za dziecko córki.

Mogłam też zamieszkać w Jerozolimie z Amto Samihą, której rodzice uratowali kiedyś rodzinę Ariego Perlsteina.

Ammo Jack wychylił się naprzód, świdrując mnie spojrzeniem zza rozwianej czupryny.

- Masz jeszcze jedną możliwość, Amal - oznajmił, zagarniając mnie w swoje niebieskie tęczęwki. W jednej chwili otoczenie zeszło na drugi plan. Wszystko, co nie mieściło się w oczach Ammo Jacka, wstrzymało oddech. Ammo Darwisz odchrząknął. Hadż Salem i Chalto Bahija popatrzyli na siebie, po czym wbili wzrok w ziemię. Wypadało, żeby Ammo Darwisz zabrał głos w następnej kolejności.

- W Jerozolimie jest szkoła, która chętnie by cię przyjęła, Amal - rzucił bez przekonania, jakby zawstydzony, że nie może mi zaoferować nic lepszego.

- Ale wybór należy do ciebie - dodała Chalto Bahija przestraszona, że mogę niewłaściwie odczytać ich intencje. - Nasze domy stoją dla ciebie otworem, jeśli tylko zechcesz.

Ponownie odezwał się Ammo Jack, uwolniwszy mnie z potrzasku swego spojrzenia.

- To dobre miejsce dla dziewcząt takich jak ty, Amal, a poziom jest bardzo wysoki.

Takich jak ja?

Nocą był to sierociniec, a za dnia ambitna placówka akademicka. Jako palestyńska sierota o imponującym życiorysie, zostałam przyjęta bez gadania i bez żadnych opłat. Rozmawiano o tym jeszcze przed śmiercią mamy, ponieważ Ammo Jack uważał, że po takiej szkole miałabym większe szanse na stypendium na wyższej uczelni.

Lecz Hadż Salem ujął to inaczej.

- Życzyłby sobie tego twój ojciec - rzekł, uderzając w czułą strunę. - Wszyscy wiedzą, że odziedziczyłaś po nim zamiłowanie do książek i wyprzedziłaś już nasze szkoły.

Następnie uciekł się do zwrotu będącego jego znakiem firmowym: „Czego to ja nie widziałem” i wygłosił monolog, którego wówczas wysłuchałam z pewną dozą zniecierpliwienia, lecz po latach miałam wracać do niego jako do największej mądrości kiedykolwiek przekazanej mi przez drugiego człowieka.

- Przychodzimy na świat z największymi skarbami, jakie będą nam w życiu dane. Jeden z owych skarbów to twój umysł, a drugi serce, wymagają one jednak czasu i zdrowia. Jak wykorzystasz te dary Allana na użytek swój i ludzkości, stanowi miarę twojej wobec Niego wdzięczności. Ja za pomocą mego umysłu i serca próbowałem złączyć naszych ludzi z historią, byśmy nie stali się bandą sklerotycznych głupców, zdanych na łaskę niesprawiedliwości.

Ogarnął spojrzeniem całą moją przeszłość i przyszłość, a mądrość bijąca z brunatnej, pomarszczonej twarzy zdawała się dowodzić niepodważalnej prawdy jego słów.

- Niechętnie, z ciężkim sercem odsyłamy cię w świat. Lecz ty uhonorowałaś podarunek Allaha sumiennością i ciężką pracą, dlatego powinniśmy dopomóc ci w dalszej podróży, by ów dar nie poszedł na marne.

Siedziałam niczym posąg, pełna niedowierzania i wstydu, czując się jak skończona oszustka. Nie zrobiłam nic, by zasłużyć sobie na takie zaufanie. Wspomniane przez niego sumienność i ciężka praca wynikały z tchórzostwa oraz lęku przed bezcelowością istnienia, boską karą i odrzuceniem, lęku przed światłem i dźwiękiem, które zdawały się obracać w wojnę, śmierć i zbłąkane kule, co przeszywały na wskroś. Uczciwość kazała mi zaprzeczyć, sprostować, że nie chodzi o dar ani próbę jego uświęcenia, lecz najczystszy strach. Zaczęłam się plątać, aby to wyjaśnić.

- Ale... - wyjąkałam. - Ja nie... to znaczy... ja przecież.. . wcale... to nie tak... Wy nie rozumiecie. - Wreszcie splątane myśli ułożyły się w szczere wyznanie, będące podsumowaniem mojej egzystencji od czasu zniknięcia ojca. - Ja się boję.

Wyplułam te słowa. Usta mi drżały i o mało się nie popłakałam. Niepewność jutra: oto czego bałam się i nienawidziłam najbardziej,.

- Maalesh*. - Chalto Bahija próbowała mnie pocieszyć, ale nie potrzebowałam otuchy, tylko jedzenia. W brzuchu mi zaburczało, przypominając, że od rana nie miałam nic w ustach. Chalto Bahija przyniosła humus, smażone jajka, sałatkę i resztki kusy*, rozłożone na półmiskach i salaterkach. Ustawiła je na starych gazetach, które rozesłała na ziemi. Posilaliśmy się razem, zgarniając jedzenie kawałkami chleba. Nie używaliśmy sztućców, czerpiąc ze wspólnych naczyń. Po wielu latach, przyzwyczajona do amerykańskich lunchów w miejscu pracy, z rozbawieniem myślałam o konsekwencjach ewentualnego zamoczenia kawałka chleba w cudzym talerzu.

* **Maalesh - Już dobrze.**

* **Kusa - cukinia, na ogół faszerowana.**

Kiedy wszyscy wyszli, a Chalto Bahija położyła się obok mojego kuzyna Fuada - któremu spadła gorączka i dla zabawy rysował coś palcem po twarzy Chalto - zostałam z Ammo Darwiszem.

- Gdzie ciocia? - spytałam, po raz pierwszy zauważając jej nieobecność.

- U swoich rodziców - odpowiedział Ammo Darwisz, dając do zrozumienia, że pokłócili się i swoim zwyczajem zostawiła go z dziećmi, by wrócić za kilka dni.

Tamtej nocy poznałam prawdę o złamanej przed wielu laty w małej wiosce Ein Hod kostce Dalii. Wuj pokazał mi zdjęcie przystojnego młodzieńca na czarnym arabie, zerkającego spod białego turbanu. Opowiedział mi o tym, jak ten przystojny mężczyzna chciał poślubić moją matkę. Nie mogłam uwierzyć, że on i mój wuj to ten sam człowiek. Opowieść brzmiała w moich uszach jak poezja, oblekając się w kształt poematu o Dalii i tonąc w ruchomych piaskach Palestyny, która nigdy już nie będzie taka jak dawniej.

- Czy to Ganusz? - spytałam ucieszona, że nareszcie wiem, jak wyglądał legendarny rumak, należący do rodziny.

- Tak! To on - odpowiedział wuj, uszczęśliwiony tym tchnieniem z przeszłości. Przyniósł się bliżej mnie i podciągnął na rękach, wlokąc za sobą skurczone, bezużyteczne nogi, i popłynęły opowieści o Ganuszu i Fatumie - jak ta o kozie, która brała Fatumę za swoją mamę i meczała, ilekroć klacz zniknęła jej z oczu. O tym jak wuj w czasie burzy musiał spać w stajni, aby konie przestały się bać. Jak niosły go niczym wiatr przez Galileę i wybrzeże Morza Śródziemnego. I że to one właśnie były największymi miłościami jego życia.

Chwile spędzone z wujem tamtej nocy należą do tych, które z biegiem czasu zachwycają coraz bardziej. Ammo Darwisz opowiadał do późna o tacie z czasów, gdy byli młodymi chłopcami, o moim dziddu, teta i pradziadkach. Większej bliskości ojca zaznać nie mogłam, postanowiłam więc zamieszkać z wujem, zamiast w sierocińcu w Jerozolimie bądź u Chalto Bahiji. Gdy powiedziałam to głośno, twarz Ammo Darwisza zamknęła się, a w kącikach jego oczu zebrały się pajączyny zmarszczek.

- Spójrz na to - odparł, wskazując na swoje zdjęcie. - To jesteś ty teraz, a jeśli stąd nie wyjedziesz, staniesz się podobna do mnie obecnie. - Twarz mu pojaśniała na dowód rozejmu, jaki zawarł z Opatrznością, by uniknąć rozgoryczenia. - Przyszłość nie odetchnie pełną piersią w obozie dla uchodźców, Amal. Nadzieja tu się nie mieści. Masz szansę uwolnić życie, które drzemie w nas wszystkich. Nie zmarnuj jej.

- Ale ja nie chcę wyjeżdżać z Dżeninu.

- W takim razie muszę cię przekonać. Ponieważ kiedyś, gdy ponownie spotkam się z twoim ojcem, będę musiał opowiedzieć starszemu bratu, jak wyprowadziłem jego córkę na właściwą drogę, którą sam wybrałby dla niej.

Nie musiał dodawać nic więcej.

22. OPUSZCZAJĄC DŻENIN

1969

W małym domku, gdzie pozostałam jedynym mieszkańcem, zebrał się tłum przyjaciół i krewnych, blokując wąską uliczkę przed drzwiami. Przyszli się pożegnać i mnie uściskać, co trwało godzinami tego upalnego lata, gdy umarła mama. Odkąd zaczęli przychodzić do czasu, gdy odjechałam żółtą taksówką z Ammo Jackiem, Huda i ja ścisaliśmy swe spocone dłonie, nie rozłączając ich ani razu. Nie zabrakło również Osamy, który krążył wokół Hudy i posyłał jej tęskne, ukradkowe spojrzenia, sącząc w nasze dłonie soki tajemniczy stłamszonej surowymi zasadami religii, która uniemożliwiała nawet niewinny pocałunek w policzek.

Zona Ammo Darwisza powróciła ze swego azylu i oboje zjawili się wraz z piątką dzieci, przynosząc rady i prezenty.

- Ucz się pilnie i nie zapominaj o modlitwie - szepnął mi do ucha wuj, pomny bliskiej więzi, którą zadzierzgnęliśmy zaledwie przed paru dniami. Żałował, że sami nie mogą mnie odwiedzić, ale tylko cudzoziemcy mogli podróżować swobodnie.

Um Abdallah ucałowała mnie czule, a Hadż Salem polecił Ammo Jackowi przykazać „tym w sierocińcu”, by troszczyli się o mnie jak należy.

- Pamiętaj, co ci mówiłem - dodał z surowością na miarę swych bezzębnych ust i wycelowanego w przyjaciela palca.

- Już zapomniałem, hadż - odparł przekornie Ammo Jack, wybuchając śmiechem.

- Cholerny Irlandczyk! - Hadż Salem odwrócił twarz, aby ukryć rozbawienie.

Chalto Bahija wróciła już do Tułkarem i pożegnałyśmy się w dzień jej wyjazdu. Sąsiedzi i przyjaciele kazali mi przyrzec, że zwrócę się do nich o pomoc, gdybym czegoś potrzebowała.

- Czegokolwiek, Amal. Czegokolwiek.

- Niech Allah ofiaruje wam długie życie i obdarzy was fortuną - podziękowałam.

Nastąpiły łzawe uściski oraz „Bóg z tobą”, „Wszystkiego najlepszego” oraz „Och, nie do wiary, że odsyłają jedną z naszych” i tym podobne zawołania.

Lamia, ze śladami łez na okrągłej twarzy, ujęła mnie za wolną rękę i wsunęła w nią dwie kostki.

- Proszę - powiedziała z uroczystą skruchą, zamykając mi dłoń palcami. - Gwizdnęłam je z twojego pulpitu.

Musiało się to zdarzyć przed laty - lub gwizdnęła je komuś innemu, gdyż nic takiego sobie nie przypominałam. Ale podziękowałam jej i objęłyśmy się we trzy. Ależ musiała cierpieć katusze, że okradła sierotę!

Osama stał na czele tłumu zebranego na zakurzonej drodze do obozu w Dżeninie, a Huda i ja trwałyśmy w długim, łzawym uścisku. Szepnęła mi do ucha, że jego rodzina przyjdzie prosić o jej rękę. Nade wszystko pragnęła schronić się w bezpiecznej przystani ich miłości, więc ucieszyłam się w imieniu przyjaciółki.

- Gratulacje. - Uścisnęłam ją mocniej.

- Będę za tobą tęsknić, Amal. Jakby odjeżdżała połowa mnie - wyszłochała mi w szyję.

Płakałyśmy, Huda łzami, ja w milczeniu i z zaciśniętą szczęką matki. Stałyśmy objęte niczym ostateczne słowo epickiego poematu, o którym nie sądziłyśmy, że kiedyś się skończy. Dziecięca opowieść, którą przeżywałyśmy nierozłączne, dobiegała końca i miała zamknąć się, z chwilą gdy puścimy ręce.

- Głowy do góry, jeszcze się zobaczycie! - zawołał z taksówki Ammo Jack i ponagli! mnie gestem.

Nadeszła pora odjazdu.

Oderwałyśmy się od siebie i wsiadłam do samochodu.

Odjechałam przytłoczona żalem rozstania. Małe dzieci biegły za nami w kłębach kurzu. Ludzie, których kochałam, maleli za tylną szybą, by wreszcie zniknąć za zakrętem. Odwróciłam głowę i spojrzałam przed siebie, wciąż ściskając w ręku kostki od Lamii. Siedzenie parzyło mnie w uda przez ubranie i zdawało się przepalać na wskroś ból rozłąki. I ból wyparował; próbowałam wskrzesić w sobie smutek sprzed chwili, ale na próżno, jakby moje emocje odgrodziły się od świata kratami więzienia.

- Nie do wiary, że znam cię od urodzenia - odezwał się Ammo Jack, świdrując mnie wzrokiem. - Jesteś mądra jak Hasan i twarda jak Dalia. - Spojrzał przed siebie. - Niech odpoczywają w pokoju. Twoi rodzice byli dobrymi ludźmi.

Niech odpoczywają.

Nie odpowiedziałam. Mimowolnie zacisnęłam zęby. Łzy pociekły mi z oczu - po raz pierwszy dlatego, że zatęskniłam za matką.

Cokolwiek czujesz, trzymaj to w środku.

Po upływie ponad godziny Ammo Jack wskazał palcem w stronę Jerozolimy i jej kopuły rysującej się w dali. - Jest.

Kopuła na Skale, Al-Aksa, gdzie prorok Mahomet wstąpił do nieba w słynnej nocnej podróży, stanowiła oś wszystkich opowieści o Jerozolimie. Pamiętam, jak

stałam w środku przy jednej z dwunastu marmurowych kolumn, otaczających skałę wniebowstąpienia. Obraz tej potężnej kolumny, sięgającej wyżej niż mógł to ogarnąć mój pięcioletni umysł, zachowałam jako pamiątkę rodzinnej wycieczki do Jerozolimy w roku 1960, przed podbiciem jej przez Izrael. Mama zachowała zrobioną wówczas fotografię naszej czwórki - rodziców, Jusefa i mnie - na tle złotej kopuły za nami. Było to nasze jedyne rodzinne zdjęcie. Trzymałam ojca za nogę, jakby dla podkreślenia wyłączności swoich praw do niego. Byłam mała i śmiertelnie poważna; gdy znalazłam to zdjęcie po śmierci mamy, uderzyło mnie, że się na nim nie uśmiecham. Twarz ojca, łagodna i szeroka, zastygła w pogodnym wyrazie, ale usta miał zamknięte. Uśmiech był w jego oczach. Mama stała wyprostowana obok niego. Jusef oparł ciężar ciała na jednej nodze; na twarzy miał rozbrajający uśmiech, który zawsze wymykał się najpierw z prawego kąca ust, po czym obejmował lewy. Spośród naszej czwórki to on wydawał się najszcześniejszy, najbardziej czuły i ujmujący.

Po podbiciu Jerozolimy przez Izrael w 1967 roku więcej tam nie pojechaliśmy. Początkowo nastęrczało to zbyt wiele trudności, potem nie było wolno. Pierwszego dnia okupacji Izrael zrównał z ziemią całą marokańską dzielnicę, jakieś dwieście zabytkowych domów, których mieszkańcom dano niespełna dwie godziny na ewakuację. Muzułmanie, chrześcijanie, Grecy i Ormianie stracili większość dobytku i skazano ich na wygnanie bądź getto.

Ammo Jack poprosił kierowcę o zawiezenie nas do Chilwy na Górze Oliwnej.

- To trochę nie po drodze, ale spodoba ci się. Niezły punkt widokowy - powiedział. Po chwili jechaliśmy wąskimi uliczkami, złączonymi wysokim biblijnym murem, po czym stanęliśmy na skraju starego żydowskiego cmentarza pod hotelem Seven Arches, z widokiem na całe miasto.

Jerozolima zawsze budziła we mnie mimowolne wzruszenie, nawet gdy jej nienawidziłam - Bóg jeden wie, jak bardzo, choćby za liczbę ofiar, które pochłonęła. Jednakże jej widok, z daleka bądź z wnętrza labiryntu murów, zawsze sprawia, że mięknię. W każdym calu skrywa ufność starożytnych cywilizacji, których narodziny i koniec wryły się głęboko w trzewia miasta i jego obrzeża. Błogosławieni i przeklęci stawiali tu swoje kroki. Była podbijana, niszczone i odbudowywana tyle razy, że kamienie, z których ją wzniesiono, zdają się tętnić życiem zrodzonym z krwi i modlitwy dziękczynnej, a zarazem tchną uniżonością i pokorą. Miasto budzi we mnie głębokie poczucie więzi - ową niewątpliwą, niepodważalną palestyńską pewnością, że tu jest moje miejsce. Należę do tej ziemi, bez względu na to, kto ją podbija, ponieważ tu zapuściłam korzenie i tu spoczywają kości moich przodków. Ponieważ zna potajemne żądze, które rozpały łoża wszystkich moich pramatek. Ponieważ jestem naturalnym

nasieniem jej namiętnej, burzliwej przeszłości. Jestem córą tej ziemi, a Jerozolima utwierdza mnie w tym daleko bardziej niż pożółkłe akty własności, tureckie dekry, żelazne klucze do naszych skradzionych domów i wszystkie międzynarodowe rezolucje razem wzięte.

- Nie najgorzej tu mieszkać, he? - odezwał się Ammo Jack.

Uśmiechnęłam się nieśmiało i wsiadłam z powrotem do samochodu.

Kiedy dotarliśmy do Dar el-Tifl el-Araby, Domu Arabskiego Dziecka, było już ciemno. Dyrektorka, panna Hajdar, powitała nas na progu w wystudiuowanej pozie i zaprowadziła do swego gabinetu, w którym poczęła wyłuszczać zasady i historię placówki. W blasku elektrycznych lamp Ammo Jack i ja ujrzeliśmy wyraźnie, jak mina jej rzednie; chyba nie do końca spełniliśmy jej oczekiwania. W ciągu kolejnych lat przekonałam się, iż perspektywa męskiej wizyty niezmiennie budziła w niej coś na kształt ulotnych, romantycznych aspiracji. Najwidoczniej Ammo Jack nie sprostął jej wymaganiom, chociaż żadne z nas nie wiedziało wówczas, co jest na rzeczy.

- Instytucja powstała z inicjatywy panny Hind Husseini - oznajmiła - z rodu Husseinich z Jerozolimy - dodała, znacząco unosząc brwi. Byli to miejscowi notable, którzy wyróżnili się w dziejach miasta i przez stulecia odgrywali w nim istotną rolę, co zostało udokumentowane w kronikach.

Kiedy w 1948 roku na lwiej części Palestyny utworzono państwo Izrael, panna Hind była bogatą, niezamężną dziedziczką.

Mieszkała w czerwonym budynku, przyległym do jej hotelu, który gościł arystokratów, dyplomatów, dygnitarzy, poetów i pisarzy odwiedzających Jerozolimę przed izraelską okupacją. Ale w kwietniu 1948 roku we wschodniej części miasta pojawiła się trójka zakrwawionych sierot, które błąkały się dopóty, dopóki nie dotarły na próg panny Hind. Dzieci pochodziły z Deir Jassin, osady na obrzeżach Jerozolimy, gdzie żydowscy terroryści wymordowali ponad dwustu Palestyńczyków, mężczyzn, kobiet i dzieci. Panna Hind przyjęła sieroty pod swój dach. Podczas kolejnych tygodni, gdy zewsząd napływały wieści o kolejnych zbrodniach Izraelczyków, dzieci przybywało, aż wreszcie panna Hind zamknęła hotel i zamieniła go w przytułek, następnie sierociniec, a w końcu szkołę.

Panna Hajdar należała do grona pierwszych sierot, przygarniętych przez pannę Hind, która nigdy nie wyszła za mąż. Podczas krótkiej rozmowy z Ammo Jackiem i mną panna Hajdar nie uchyliła rąbka tajemnicy własnych dziejów, dumnie przedstawiając się tylko jako córka panny Hind. O tragicznych okolicznościach jej adopcji dowiedziałam się dopiero od pozostałych dziewcząt, podczas kilku pierwszych dni pobytu w sierocińcu.

Panna Hajdar miała twarde serce. Sztukowała niski wzrost wysokimi obcasami, które obnaszała z większym wdziękiem aniżeli własne bose stopy. Poruszała się na tych szpilach z naturalną łatwością, jakby od urodzenia stąpała tylko na palcach. Farbowane henną włosy stanowiły jedyny łagodniejszy akcent w jej postaci: okalały nieruchomą twarz, cierpiącą pod nadmiarem makijażu, i krótkowzroczne oczy, które nie wyglądały niemal poza mury placówki.

- Powinnaś czuć się uprzywilejowana, mając dostęp do wiedzy, jaką tu zyskasz - oświadczyła, świdrując mnie wzrokiem. - Rodzice słono płacą, aby wysłać tutaj swoje córki. - Miała na myśli uczennice, które przychodziły do szkoły i po lekcjach wracały do domu. Miałam nazywać je, podobnie jak pozostałe sieroty, „dziewczynami z zewnątrz”; przez całe cztery lata pobytu nie zaprzyjaźniłam się z żadną z nich. Naciągałyśmy je na drobne kwoty lub okradaliśmy ze smakołyków i pieniędzy; przyjaźń była trudna z powodu ich nowych butów, ładnych mundurków oraz różnych przywilejów, pachnących „normalnością”, której tak dotkliwie nam brakowało. W każdym razie to ich czesne (oraz międzynarodowe dotacje) zapewniało utrzymanie nam, sierotom „z wewnątrz”, w Jerozolimie schyłku lat sześćdziesiątych.

Główny budynek był pięciokondygnacyjnym cudem z wapienia, z ozdobnymi portykami, typowymi dla palestyńskiej architektury. W zachodnim skrzydle mieściły się sypialnie dziewcząt od dziesiątego do dwudziestego trzeciego roku życia. Pozostałą część budynku stanowiły sale lekcyjne, w których miałam biologię, matematykę, arabski, religię, geografę, niemiecki i angielski. Obwieszony balkonami tył budynku wychodził na przestronny dziedziniec z osamotnionym, sfatygowanym koszem do koszykówki, za którym wznosiło się gęsto porośnięte bluszczem murowane ogrodzenie.

- Weź swoje rzeczy i chodź ze mną - poleciła panna Hajdar, wskazując władczo mój mizerny dobytek. - Pan Jack musi już iść.

Nie byłam gotowa na kolejne rozstanie. Serce we mnie zamarło, skuliłam ramiona. Padłam na kolana i łzy wezbrały mi w oczach, chociaż nie płakałam.

- Proszę mnie nie zostawiać, Ammo Jack - błagałam. Przysunął się bliżej, odgarniając drżącą ręką niesforne włosy. W drugiej trzymał małą paczuszkę, owiniętą gazetą i oklejoną brązową taśmą.

- Nie powinienem trzymać tego tak długo - zaczął łagodnie. - Chciałem to dać Jusefowi, ale nie zdobyłem się na odwagę, by powrócić do wydarzeń dnia, gdy podniosłem to z ziemi.

Boleśnie czułym, niezdarnym gestem wręczył mi zawiniątko.

- Nie mogłem nic zrobić, Amal - dodał, jakby w odpowiedzi na pytania, które nasuną mi się po otwarciu paczki.

Ale panna Hajdar niecierpliwie pociągnęła mnie za ramię.

- Dostyc tego. Lepiej nie włóczyć się o tej porze. Odwróciła się do Ammo Jacka.

- Dziękuję panu. Zna pan drogę do wyjścia.

U szczytu krętych, wąskich, liczących trzysta lat schodów tłoczyło się około trzydziestu dziewczynek żądnych widoku „nowej”. Wyminęłam ich spojrzenia, z dłońmi zaciśniętymi na zawiniątku od Ammo Jacka i kostkach Lamii, reliktach mojego dawnego życia. Panna Hajdar wskazała mi łóżko, intrygujący metalowy sprzęt, który nazwała „pryczą”. W prostokątnej sali znajdowało się ich szesnaście, osiem piętrowych pod każdą z długich ścian. Wszystkie trzydzieści jeden dziewczynek, zamieszkujących salę, nie spuszczało ze mnie wzroku. Sześćdziesięcioro dwoje oczu, milczący trybunał, wbijający we mnie wzrok.

- Dziewczynki, oprowadźcie koleżankę i zapoznajcie ją z regulaminem - poleciła panna Hajdar, po czym oddaliła się na niebotycznych obcasach.

Uczennice podeszły bliżej, a ja skuliłam się wewnętrznie. Stojąca tuż obok, rudowłosa o przezroczystej cerze i łagodnym uśmiechu, pogłaskała mnie po głowie.

- Masz ładne włosy. Ja jestem Samra. - Wkrótce miałam się dowiedzieć, że jej imię było w sierocińcu wiecznym obiektem docinków, gdyż „samra” znaczy po arabsku „ciemnoskóra”, a jej marchewkowe włosy wyróżniały się niczym jaskrawa boja wśród ciemnych fal oceanu.

- Jak masz na imię? Nie odpowiedziałam.

- Skąd jesteś? - spytała inna, a pozostałe nie dały na siebie długo czekać.

- Czemu jesteś smutna?

- Zostaniesz moją przyjaciółką?

- Czy Hajdar wygłosiła ci swój głupi wykład?

- Też jesteś sierotą?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, postanowiły mnie wyręczyć.

- Jasne, że sierotą, kretynko!

- Ma na imię Amal. Słyszałam, jak Hajdar mówiła przez telefon.

- Po cholere miałaby się przyjaźnić z taką zakutą pałą?

- Hajdar to pozerka.

- Zostawcie ją! - rozkazała w końcu władczym tonem ładna, ciemnoskóra dziewczyna z jedwabistą kaskadą czarnych włosów. - Nie widzicie, że jest zdenerwowana? Dajcie jej odetchnąć, pijawki.

Pozostałe rozstąpiły się posłusznie. Było to moje pierwsze spotkanie z Muną Dżalajtą, która stała się moją serdeczną przyjaciółką.

Na odchodnym Muna zapewniła, że w sierocińcu nie jest tak źle i że ochroni mnie przed innymi, jeśli tylko zdoła. Potem uśmiechnęła się i poszła.

Osamotniona, z oczami jak królik, oszołomiona i ogłupiała woltami losu, otworzyłam paczuszkę od Ammo Jacka. Pod szeleszczącą gazetą, w prowizorycznym pudełku, znajdowała się fajka z drewna oliwnego. Podniosłam ją, uczepiona kruchych wspomnień o ojcu, o nas dwojgu, sam na sam z poezją o wschodzie słońca. Nad ustnikiem widniała kreska, którą przez lata wytarły jego wąsy. Fajka wciąż pachniała ulubionym tytoniem ojca, jego strudzonym oddechem i sfatygowaną odzieżą, kiedy tchnął swą miłość w kartki, które o brzasku dla mnie przewracał. Tak dobrze znałam ten zapach, że podświadomie kojarzyłam go z wonią wschodu słońca. Skuliłam się na nowej pryczy, pozwalając, aby znajomy powiew zaleczył rany i ukołysał mnie do snu pierwszej nocy w jerozolimskim przytułku dla palestyńskich dziewcząt.

Nigdy więcej nie spotkałam Ammo Jacka, by zapytać go o okoliczności, w jakich wszedł w posiadanie fajki mojego ojca. Latem 1971 roku, dwa lata po tym, jak odwiózł mnie do Jerozolimy, dowiedziałam się, że zmarł we śnie. Nie mogłam pojechać na pogrzeb, bo w Dżeninie obowiązywała godzina policyjna. Poza tym nie miałam nawet pieniędzy na podróż, lecz doszły mnie słuchy, że tysiące ludzi przyszły pożegnać go w czasie uroczystości na miarę męczennika. Nawet część izraelskich żołnierzy, często pełniących służbę w okolicznych punktach kontrolnych, złożyła kondolencje córce, jego jedynej krewnej, która przyjechała z Irlandii go pochować - albowiem jego życzeniem było zostać pochowanym w Palestynie.

Hadż Salem płakał na pogrzebie Jacka. Nie pojawił się też więcej w kawiarni Beit Dżawad, gdzie wypalili niezliczone nargile nad przyjaźnią zrodzoną z żartobliwej zręczności mężczyzn, starzejących się w zgiełku nieustannej batalii, aby uczynić świat lepszym miejscem dla młodych.

23. SIEROCINIEC

1969-1973

Muna Dżalajta miała rację: w sierocińcu nie było tak źle, i od początku wzięła mnie pod swoje skrzydła. W czasie drugiego roku mojego pobytu, pewnej upalnej nocy, wibrującej brzęczeniem owadów, usłyszałam, jak rzuca się na pryczy nade mną.

- Nie śpisz? - szepnęłam.

- A jak, do licha, można spać wśród tych chrapiących kretynek? - burknęła, zwieszając głowę nad krawędzią łóżka. - Połóżmy się na kafelkach.

- Świetny pomysł - ucieszyłam się, po czym wstałam i ściągnęłam koszulę nocną.

- Ten jeszcze lepszy. Gołe na kafelkach. - Ale na podłodze było za mało miejsca. - Balkon?

- Pewnie, czemu nie.

Wyszliśmy przez podwójne drzwi na powietrze i natychmiast stanęliśmy w blasku księżycy.

- Raju! Jeszcze nigdy nie widziałam go z tak bliska - oznajmiła, uczepiona kutej balustrady balkonu. Jej kobieca sylwetka rysowała się na tle białej tarczy, nisko zawieszanej na niebie. - Pełnia przypomina mi o moim ojcu, choć prawie go nie pamiętam. Czy to nie głupie? - spytała, oddychając głęboko z zamkniętymi oczami. - Mówił mojej siostrze, że pełnia to portal bożych uszu. Idiotyzm.

- Poskarżmy się tłustej Hajdar. Może to wystrzeli ją w kosmos - rzuciłam z głupia frant.

- Patrzcie państwo, i kto mówi, że Abulhedza nie ma poczucia humoru!

- Jak oni umarli... twoi rodzice? Chwila ciszy.

- Ojciec był profesorem, głoszącym prawdę o konszachtach króla Abdullaha z Goldą Meir. Przywódcy arabscy zdradzili nas tak samo jak Brytyjczycy. Sprzedali nas niczym niewolników. Gnoje. Gdybym mogła, pozabijałabym ich wszystkich, od Haszymidów aż po rodzinę Saud. - Kolejny głęboki oddech. - Studenci uwielbiali mojego ojca i ustawiali się na jego wykłady w kolejkach. I pewnie dlatego stał się zagrożeniem dla monarchii haszymidzkiej.

- Był lutowy dzień i gdy wracaliśmy do domu od ciotki, rozpadał się deszcz. Moja matka, ojciec, moja siostra Dżamila i ja szliśmy pod parasolami. Matka wrzeszczała na mnie, żebym przestała rozchlapywać kałuże, kiedy nagle agent jordańskich Haszymidów krzyknął za nami: „Ahmed Dżaber Dżalajta!”.

Kiedy ojciec Muni zareagował, słysząc swoje nazwisko, agent strzelił mu w głowę. Druga kula rozorała płuca matki, która próbowała zasłonić męża. Dwa szybkie strzały i stłumiona deszczem zgroza zainauguowały wspomnienia czteroletniej Muni.

Leżałyśmy na plecach, ona z głową na moim brzuchu, a ja na zwiniętych koszulach nocnych. Poświata księżycy igrała na naszej ciemnej skórze.

- Tak mi przykro, Muno - powiedziałam, głaszcząc ją po głowie i czepiając się spoconymi palcami stóp metalowej balustrady.

Pamiętam tę noc jak dziś, swobodny nastrój między dwiema przyjaciółkami. Na skraju wspomnień Muni czułam w sobie niepowstrzymaną ewolucję. Gdzieś na granicy między dzieciństwem a dorosłością zachodziłam w głowę, która z nas ma więcej szczęścia: ona, z żywym wspomnieniem śmierci ojca przed oczami, czy może ja, nieświadoma tego, co stało się z moim. Pochyliłam się nad krzywdą Muni i pocałowałam ją w czoło. Leżałyśmy przytulone na kobiercu z księżycowej poświaty i w niemym zadziwieniu otoczyłam ją ramionami. Ucałowała moją bliznę i zasnęłyśmy.

Muna wprowadziła mnie do swojej paczki, będącej czymś w rodzaju rodziny. Wśród moich nowych przyjaciółek znalazły się Kolumbijskie Siostry, Jasmina, Lajla i Drina. Mieszkały w sierocińcu trzy lata dłużej niż ja. Po wojnie w 1948 roku ich ojciec zdołał wyemigrować do Kolumbii, gdzie wszystkie trzy przyszły na świat i rozkwitały w pikantnych rytmach salsy, którą nauczyły mnie tańczyć. Lecz ich południowoamerykańskie życie dobiegło końca, kiedy ojciec umarł na raka. Zamiast przeznaczyć niewielkie oszczędności na leczenie, wydał je na odesłanie rodziny do Palestyny, gdzie wuj znalazł dla wszystkich małe mieszkanie, a siostry umieścił w sierocińcu, gdyż tylko dzięki temu mogły kontynuować naukę. Ich dwaj starsi bracia, którzy już skończyli szkołę, zostali z matką w Ramallah.

Bez względu na to, czy Kolumbijskie Siostry żyły w zgodzie, czy brały się za łby, zawsze towarzyszył temu wielki dramat. Nigdy nie miałam dosyć śmiechu Driny. Przetaczał się wśród ścian niczym pijackie echo, niezmiennie wybuchając z szeroko otwartych ust w głowie odrzuconej w tył. Drina była najstarszą spośród trzech sióstr, a także - ze względu na mocne, atletyczne ciało - największym zabijaką w szkole. Chociaż nie przypominam sobie, by kiedykolwiek przyłożyła komuś naprawdę, jej szorstkie obejście zawsze kazało myśleć, że stłucze każdego, kto nadejrze jej na odcisk. Najlepiej zapamiętałam zamaszysty ruch głowy, gdy przygważdżała kogoś spojrzeniem, domagając się bezwzględnej szczerości i lojalności.

Spotkało mnie to kiedyś po przesłuchaniu panny Hajdar, która przez pięć godzin trzymała mnie w „lochach”, czyli w piwnicy, żądając wydania współniczek. Nasza piątka, Muna, Kolumbijskie Siostry i ja włamałyśmy się poprzedniej nocy do sali zajęć plastycznych, jak zwykłyśmy to czynić w każdy wieczór ramadanu. Panna Hajdar nakryła nas w ostatnim tygodniu postu z powodu garnka faszerowanych liści winogron, który dostałyśmy od francuskiej zakonnicy.

Zakonnica była siostra Claire, której imienia nigdy nie umiałam wymówić poprawnie. Najbardziej polubiła Lajlę, średnią z Kolumbijskich Sióstr, przy okazji Bożego Narodzenia tamtego roku, kiedy grupa zakonnicy przyniosła dary ubogim tego świata, czyli nam. Wyczuwając w Lajli ofiarnego ducha, siostra Claire podeszła do niej z wyciągniętą ręką.

- Mam na imię Claire. - Imię zabalgotało jej w gardle jak woda. - Może pomóc? - spytała, wskazując na bezimienne niemowlę w objęciach dziewczyny.

- Dziękuję. Ktoś rano podrzucił ją pod drzwi - wyjaśniła Lajla, ostrożnie umieszczając dziecko w ramionach zakonnicy.

- Lajla zawsze bierze maluchy - wtrąciła Drina. - Tak się nad nimi trzęsie, jakby sama je urodziła.

Faktycznie: opiekuńczy instynkt Lajli był tak czysty i powszechnie znany, że wszystkie istoty cierpiące na duszy i nie tylko oddawano pod jej pieczę.

Te same czarne włosy, pełne usta oraz gęste brwi, nadające twarzy Driny wyraz agresji, za sprawą wrażliwości Lajli zmieniały się nie do poznania. Ostre kany ulegały złagodzeniu i nabierały miękkich zarysów, a odziedziczone po matce bujne loki, tworzące u Driny dziką strzechę spiętrzonych kędziorów, u Lajli gładko spływały na plecy.

Po spotkaniu z Lajlą dobra zakonnica powracała do sierocińca prawie co tydzień, nigdy z pustymi rękami. Często był to zapas środków opatrunkowych do apteczki Lajli, którymi opatrywała drobne rany i skaleczenia koleżanek, pielgrzymujących do niej po czułość i plastry. Ale nie brakowało też czekoladek i cukierków, którymi Lajla dzieliła się z siostrami, Muną i ze mną.

By osłodzić nam głód ramadanu, siostra Claire przychodziła co wieczór do wschodniej ściany sierocińca i podawała Lajli ciepły garnek przez otwór między kamieniami. Między nami pięcioma przyjaciółkami jej dobroczynność była przepyszny sekret i niczym psy Pawłowa meldowałyśmy się przy dziurze co najmniej pół godziny przed wyznaczonym czasem, czyli piątą po południu. Był luty i wiatr smagał nas bezlitośnie, kiedy przepychałyśmy się jedna przez drugą, aby wyrzeć na zewnątrz.

- Idzie! - szepnęłam na widok jasnej skóry i różowych policzków, okolonych brązową chustą, i twarzy, która spoglądała tylko ku Bogu, rozkwitając w ubóstwie klasztornym.

Drina odepchnęła mnie.

- Mam nadzieję, że to gołąbki z winogron i faszerowana cukinia jak wczoraj - mruknęła, wyglądając przez otwór.

- Cokolwiek, byle nie te świństwa Um Ahmed - wtrąciła Jasmina.

Odsunęłyśmy się, aby Lajla mogła przejąć wytęskniony gar z jedzeniem, który natychmiast podała nam, by zamienić parę słów z chrześcijańską przyjaciółką.

- Trzymam! - zapewniłam przyjaciółki, chowając garnek pod kocem.

- Mmm, pysznie pachnie - zachwyciła się Drina z nosem w kocu.

I jak czyniłyśmy to cały miesiąc, włamałyśmy się z garem do sali zajęć plastycznych. Jasmina, najmłodsza z Kolumbijskich Sióstr, najbardziej praktyczna i zorganizowana z nas wszystkich, podzieliła zawartość na pięć równych porcji, po czym zamarłyśmy w oczekiwaniu na adan oznaczający koniec postu. Muna solidarnie pościła z nami, chociaż była chrześcijanką. Nie miałyśmy talerzy, więc wyjęłyśmy z szafki z przyborami tacki na farby i usiadłyśmy w kółku, zapatrzone w dar siostry Claire, skwapliwie wyteżając stuch.

- Alllaaaaaaho akbar... alllaaaaaaho akbar... - popłynęło z nieba nad nami i rzuciłyśmy się na jedzenie „w imię Allaha Miłosiernego, Litościwego”. Zmiotłyśmy poczęstunek w mgnieniu oka ze świadomością, że wszystkie łypimy pożądliwie na resztki z garnka. Jasmina ponownie wzięła na siebie rolę nieoficjalnego mediatora.

- Zrobimy tak - oznajmiła, podnosząc się z miejsca. Włosy ściągnięte miała w koński ogon tak ciasno, że napinały jej skórę na skroniach i wybuchały z tyłu burzliwą kaskadą smolistych kędziorów. - Zagramy w coś i zwyciężczyni wylize garnek - uzupełniła. Rozejrzawszy się po sali, zaczerpnęła natchnienie z dziecięcego obrazka przedstawiającego balony. - To gra balonowa - podjęła, naprędce improwizując zasady. - Żeby zagrać - ciągnęła, krążąc po sali - trzeba skakać na jednej nodze w linii prostej i mówić na wydechu „baloooooon”, aż zabraknie nam powietrza. Ta, która doskoczy najdalej, wygrywa.

Nie pamiętam, kto wygrał, ale na pewno nie ja. Pamiętam za to wredną minę Driny, zanim popsikała farbą Jasmine, która odpadła z gry przy wtórze hałaśliwego śmiechu tej pierwszej. Skoczyłam dziewczynie na pomoc z tubkami niebieskiej farby, którą wymazałyśmy Drinę, podczas gdy Lajla na oślep chlapała farbą w obronie siostry. Muna nie stanęła po żadnej ze stron, ciskając papier mache w każdego, kto się znalazł na linii ognia. Wspomnienia tamtego wieczoru są upstrzone farbą i pełne śmiechu, od którego zachryłam na parę dni.

Siedziałyśmy do późna, usiłując doprowadzić do porządku siebie i salę, a gdy po latach odwiedziłam sierociniec, zobaczyłam grupkę dziewczynek, grającą przed tą salą w „balona”.

Panna Hajdar przyłapała mnie, kiedy następnego ranka wróciłam na miejsce zbrodni po koc. Gdy wskoczyłam do sali przez okno, już na mnie czekała. Aprobata Driny osłodziła mi gorzyc pięciogodzinnego przesłuchania, z chwilą kiedy zrozumiała, że nie zakablowałam. Bo zasłużyć na szacunek Driny to nie było co.

Chociaż miałyśmy tak niewiele i często kiszki grały nam marsza z głodu, wspomnienia tamtych lat są bardzo szczęśliwe, wyraziste i pełne życia. Zimy w Jerozolimie były białe i ostre, a my miałyśmy do dyspozycji tylko po jednym cienkim szarym kocu. Spanie razem bądź zsuwanie łóżek było surowo zabronione i wybuchała dzika awantura, kiedy nas na tym przyłapywano, jednakże często łamałyśmy tę zasadę, włączając pod koc i grzejąc się nawzajem. Rok po mnie w sierocińcu zjawiała się nowa dziewczynka, i gdy którejś nocy spałyśmy stłoczone, obsikała nas dokumentnie. Miała na imię Maha i zabawiła tylko parę miesięcy, ale po tym incydencie zaostrzyłyśmy selekcję i nie każda mogła z nami spać.

Um Ahmed, kucharka, codziennie przygotowywała posiłki dla około dwustu dorastających dziewcząt. Śniadanie, na które często się spóźniałam, składało się z kromki chleba i nieograniczonej ilości gorącej herbaty. Kolacja również, tyle że dokładano plaster mortadeli. Podczas czterech lat mojego pobytu rzadko wprowadzano w tym względzie jakiegokolwiek zmiany. Z kolei na obiad można było naprawdę się najeść. Zawsze podawano jakiś gulasz, gotowany w wielkim garze i serwowany z ryżem. Mogłyśmy jeść, ile dusza zapragnie, dopóki w garze nie zaświeciło dno. Problem w tym, że jedyne mięso, jakie kiedykolwiek zawierał, pochodziło od karaluchów gromadnie zamieszkujących kuchnię.

Do tego też przywykłam. Ba, często urządzałyśmy konkursy, która wyłowi z talerza najwięcej żyjatek. W potrawach w rodzaju okry bądź gulaszu pomidorowego łatwo było je zauważyć, ale w przypadku mulukhiji, ciemnego gulaszu warzywnego, sprawa była nieporównywalnie trudniejsza. I wówczas któraś biedaczka niechybnie zjadała karalucha.

Muna miała kiedyś to nieszczęście. Wyłowiła z gulaszu trzy karaluchy i w przekonaniu, że to już wszystkie, z apetytem spałaszowała zawartość talerza. Po czym ku przerażeniu obecnych wydlubała z zębów czarną nitkę, która okazała się włochatym odnóżem prusaka.

- Muna Dżalajta zjadła karalucha! - zakrzyknęła cała sala wielkim głosem, po czym gruchnął śmiech i wszystkie zaczęłyśmy skandować: - Muna! Muna! - aż wpadła panna Hajdar, nakazując „zwierzakom” ciszę. Ta jednak nie trwała długo i

z chwilą kiedy Hajdar wyszła z sali, zgiełk wybuchł na nowo i do naszego stolika podchodziły dziewczynki z wyrazami współczucia, oddając Munie cześć jak żołnierzowi rannemu w bitwie.

Przed posiłkami musiałyśmy ustawić się na malutkim dziedzińcu przed stołówką. Panna Hajdar wymagała kategorycznie, byśmy stawały w pięciu idealnie równych rzędach, zanim pozwalała nam wejść do sali. Traktowałyśmy to dziwne widzimisię jako rodzaj demencji, przychodziła bowiem z miarką, którą odmierzała odległości między dziewczynkami. Procedura ta była szczególnie dotkliwa zimą dla wszystkich oprócz trzech szczęściar, które zajmowały miejsca „przy rurze”. Otóż w siedemdziesięciopięciocentymetrowej rurze, biegnącej w ścianie budynku, by doprowadzać do kuchni gorącą parę, widniały trzy otwory. Stając obok jednego z nich, można było się spokojnie ogrzać, podczas gdy panna Hajdar płaśała wokół z idiotyczną miarką. Notoryczne spóźniałstwo skutecznie odebrało mi jednak ten przywilej i nigdy nie mogłam przywyknąć do półgodzinnego sterczenia na mrozie.

Tylko raz dostąpiłam zaszczytu rury, i to bynajmniej nie dzięki własnej zapobiegliwości. Drina zlitowała się nade mną pewnego szczególnie zimnego wieczoru, kiedy miałam gorączkę. Kazała zwolnić najlepszą pozycję „przy rurze” młodszej dziewczynce imieniem Sonja i ustąpić mi miejsca. Przyjęłam to z wdzięcznością, dygocząc mimo ciepła dopóty, dopóki nie weszłyśmy do stołówki na kolację złożoną ze zwyczajowej kromki chleba, plastra mortadeli i nieograniczonej ilości herbaty.

Oczywiście wyzdrowiałam pod opieką Lajli dzięki jej ziołowym miksturom i zimnym kompresom. I żadna z nas nie zdziwiła się ani nie rozczarowała, kiedy Lajla oznajmiła nam któregoś wieczoru, że przechodzi na katolicyzm, aby po skończeniu szkoły wstąpić do klasztoru i zamieszkać z siostrą Claire. Drina uznała to za przejściowy kaprys, jednak Lajla wytrwała w swym postanowieniu i koniec końców wstąpiła do zakonu karmelitanek, poświęcając życie Bogu oraz dziewczętom z sierocińca Dar el-Tifl, gdzie wkraczałyśmy w dorosłość za kamiennym murem i pod czujnym okiem Hajdar.

Gdyby nie troskliwość Lajli, w sierocińcu chodziłabym łysa jak kolano, gdyż często miewałam wszy. Włosy sprawdzano nam pierwszego dnia każdego miesiąca, więc z parodniowym wyprzedzeniem iskałyśmy się gorliwie, by uniknąć znienawidzonej golarki. Stawałyśmy jedna za drugą, wydłubując pasożyty i wrzucając je do puszek wypełnionych naftą. Lajla zajmowała się moją głową, a dzięki „białemu grzebieniowi” Jaśminy, jednemu z jej genialnych wynalazków, który za jednym pociągnięciem wyciągał około setki małych utrapieńców, moje długie, czarne włosy uniknęły spotkania z maszynką.

Smutny incydent natomiast przytrafił się młodej, ładnej dziewczynie imieniem Suad, która niebawem miała skończyć szkołę i wyjść za mąż. Jej piękne kasztanowe włosy sięgały już pasa, kiedy Hajdar stwierdziła, że Suad ma wszy. Nie pozostawało nam nic innego, jak słuchać rozpaczliwych krzyków dziewczyny, kiedy loki spadały na ziemię. Zdaniem Driny Hajdar uwzięła się na Suad i wymyśliła całą tę historię z wszami z zazdrości.

- Wiedziała, że Suad ma wyjść za mąż - skwitowała Drina. -1 stara wiedźma nie mogła tego znieść.

Przyznałyśmy jej rację.

Innym pomysłowym wynalazkiem Jaśminy był język Z, w którym wstawiało się głoskę „z” pomiędzy spółgłoski. Ku wielkiej irytacji panny Hajdar, władałyśmy nim biegle, natrzęsając się bezkarnie z jej tuszy i małych dziurek w nosie.

Przyjaźnie nawiązane w sierocińcu to podstawa moich najmielszych wspomnień z okresu dojrzewania. Naturalnie nigdy nie mogłabym odtworzyć relacji łączącej Hude i mnie: byłyśmy na zawsze związane naszym dzieciństwem, sześcioma dniami grozy pod kuchenną podłogą, siostrzaną więzią, która nigdy nie znalazła sobie równej. Jednakże los kazał nam się rozdzielić, prowadząc nas innymi ścieżkami.

Zdołała odwiedzić mnie raz podczas czterech lat mojego pobytu w sierocińcu. I choć podróż do Jerozolimy nie była łatwa, dotarła tam wraz z Osamą w lutym 1973 roku, aby powiedzieć mi, że spodziewają się pierwszego dziecka. Ich jedność rozkwitła z mocą, której wówczas nie rozumiałam, a rosnące w niej życie otoczyło ich oboje aureolą nadziei i obietnicy.

Początkowo nie mogłam odnaleźć swej najbliższej przyjaciółki w piękności, która sprawiała wrażenie tak dorosłej, nieporównanie bardziej kobiecej ode mnie. Wyglądała egzotycznie i pociągająco, z na poły tygrysim, na poły ludzkim spojrzeniem. Lecz jej czuły, niezłomny charakter odsuwał urodę na drugi plan, choć twarz przyciągała wzrok. Nawet po latach, kiedy czas wyżłobił bruzdy na jej policzkach i odcisnął swe piętno na gładkim czole, ta twarz rzucała urok na obserwatora, każąc wypatrywać tajemnicy ukrytej tuż za złotymi cętkami tęczęwek. Nieświadomość własnej urody czyniła Hude jeszcze piękniejszą.

- Tęskniłam - wyznała ze łzami w oczach.

I chyba w tamtej chwili po raz pierwszy poczułam chłód własnego serca i ścianę wyrastającą we mnie, jak u matki. Przeraziłam się, że tak łatwo potrafię odsunąć ból straty i rozłąki. Nie dając poznać po sobie tego odkrycia, doskoczyłam do przyjaciółki i zaszlochałyśmy w swoich objęciach. Ona płakała,

ponieważ kochała mnie i czuła wielką pustkę w sercu, odkąd opuściłam Dżenin. A ja, bo choć odwzajemniałam jej miłość, przeżywałam to mniej głęboko niż ona.

Chcąc odzyskać pewny krok w życiu rozedrganym niepewnością, nauczyłam się godzić z terażniejszością, podświadomie zrywając więzi z przeszłością. Dorastanie pośród nierealnych marzeń i narodowych tęsknot dość abstrakcyjnej natury sprawiło, że wszystko wydawało mi się tymczasowe. Nic nie mogło przetrwać, ani rodzice, ani rodzeństwo, ani dom. Nawet ciało, bezbronne wobec kul. Dawno pogodziłam się z faktem, że kiedyś stracę wszystko i wszystkich, nawet Hudę. Zrozumiałam to w jej ramionach tamtego dnia i samolubnie zapłakałam nad sobą oraz lodowymi soplami w moim sercu.

- Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam - szlochała Huda. - Bez ciebie Dżenin to nie to samo.

Huda nauczyła się kochać to, co miała, i czerpać z życia przyjemność, a jej opoką były wspomnienia. Obóz jej wystarczył. Czerpała otuchę z relacji utkanych własnym sercem, a wiara i modlitwa zsyłały Hudzie pogodę ducha, nawet gdy po raz kolejny demolowano jej dom w poszukiwaniu „terrorystów”. Dopóki pod koniec dnia znajdowała pociechę w objęciach miłości, dopóty nie liczyło się dla niej nic więcej.

Osama poszedł odwiedzić Stare Miasto, a my zostałyśmy w szkole, gdyż nie wolno mi było wychodzić. Przedstawiłam Hudę całej paczce, która powitała ją z otwartymi ramionami, i spędziłyśmy wszystkie razem miły dzień. Chłonęłyśmy odpowiedzi Hudy, kiedy Drina maglowała ją o sprawy seksu, gdyż była jedyną z nas, która dostąpiła wtajemniczenia. Na zmianę przystawiałyśmy uszy do jej brzucha, próbując obudzić dziecko i błagając je o fikołki. Poruszyło się parę razy jak cień za zasłoną, a my piszczałyśmy z zachwytu wobec rzeczy tak magicznej i niepojętej. W szóstkę jadłyśmy jagnięcinę duszoną w jogurcie, przywiezioną przez Hudę. Jasmina pokroiła mięso, skupiona za okularami w drucianych oprawkach.

- Świetne okulary, Jasmino. Jeszcze nigdy nie widziałam takich oprawek - pochwaliła Huda.

- Sama je zrobiła - odpowiedziałyśmy niemal unisono.

- Ma łeb, ta nasza Jasmina - dodała z niespotykaną dumą Drina.

- Mogę ci takie zrobić, Hudo, jeśli masz szkła - zaproponowała ochoczo Jasmina, jak zawsze gotowa, aby przy czymś pomajstrować.

Mimo usilnej wiary, że nic się nie zmieni i na zawsze pozostaniemy rodziną pięciu przyjaciółek, nieubłaganie nadciągał koniec nauki. W 1973 roku Drina była już od dwóch lat absolwentką, lecz pozostała w sierocińcu jako nauczycielka gimnastyki, a oprócz tego uczęszczała na kursy uniwersyteckie. Lajla weszła już na drogę wiary chrześcijańskiej i przeniosła się do klasztoru za inne mury z

kamienia. Jasmina i ja skończyłyśmy szkołę razem, obie z wyróżnieniem, a Munie został jeszcze rok nauki.

Chociaż Jasmina była najmądrzejszą i najpilniejszą z nas, zagraniczne stypendium przypadło mnie. Ufundowała je grupa zamożnych amerykańskich Arabów i było przeznaczone dla uchodźców palestyńskich, a ponieważ rodzina Jaśminy uciekła do Ameryki Łacińskiej i nigdy nie mieszkała w obozie, to ją dyskwalifikowało. Bardzo zależało jej na tym stypendium.

Ostatnich pięć dni morderczych egzaminów kosztowało mnie dużo zdrowia, jednak w końcu mogłam odetchnąć i czekać na wyniki. Bardzo chciałam dostać to stypendium, ale tylko dla samej jego idei: nie wyobrażałam sobie wyjazdu dokądkolwiek prócz Dżenin, ewentualnie mogłabym zostać w sierocińcu, jak Drina. Na pewno nie byłam gotowa na wyjazd do Stanów Zjednoczonych; otoczenie przerażało mnie w stopniu wystarczającym. Po cóż miałabym ryzykować wyprawę na drugi koniec świata, gdzie nikt nie mówił po arabsku i nie znałam żadnych kryjówek? Zdobyć najwyższych not stanowiło cel sam w sobie. Ojciec życzył sobie, abym zdobywała wiedzę, więc posłusznie zasadziłam swoje życie na glebie jego marzenia.

Ale Jasmina miała dar przewidywania i zawsze potrafiła znaleźć wyjście z sytuacji. Kiedy wspomniałam jej mimochodem, że być może nie przyjmę stypendium, po prostu dała mi w twarz.

- Za kogo ty się uważasz, żeby odrzucać taki dar losu? - Jej słowa zahuczały mi w głowie. Jedyne ślepy traf mógł sprawić, że ktoś od urodzenia naznaczony takim pechem jak ja mógł otrzymać szansę tej miary. Za kogo ja się uważałam, doprawdy? - Oddałabym wszystko za to cholerne stypendium! - Zaczęła wrzeszczeć nie na mnie, lecz na coś poza zasięgiem wzroku każdej z nas. To był sprzeciw wobec okrucieństwa losu, który miał w nosie jej intelekt oraz godziny wytężonej pracy. Marzyła o studiach, zwłaszcza gdy dowiedziała się o stypendium.

Zawstydziłam się, widząc jej rozczarowanie, i tamtego wieczoru, gdy siedziałam samotnie na balkonie, ona uchyliła drzwi przyjaźni i dobrej rady.

- Nie bądź głupia, Amal. Zapomnij o strachu - rzuciła i wróciła do środka, pozostawiając mnie w obliczu obojętności półksiężyca zawieszzonego w czarnym, rozgwieżdżonym eterze.

Kiedy byłam mała, Hadż Salem powiedział mi, że jeśli dobrze się przyjrzeć, niebo kryje odpowiedzi na wszystkie pytania. Mówił, że układ gwiazd to boskie hieroglify, które może rozszyfrować szlachetne serce. Dlatego otworzyłam rany przed gobelinem gwiazd. W Dżeninie nie zostało nic prócz okruchów mojego dzieciństwa i gruzów utraconej na zawsze rodziny, zdeptanych buciorami i

rozjeżdżonych czołgami izraelskich żołnierzy. Gdybym wróciła, zapewne musiałabym wyjść za mąż, zgodnie z obowiązującą tradycją. Straszna blizna i okaleczone ciało kazały mi lękać się małżeństwa, które niewątpliwie pociągnęłoby za sobą całkiem nowy wymiar samotności i odrzucenia.

Za kogo ja się uważałam, doprawdy! Żałosna sierota, bezdomna nędzarka, żyjąca z jałmużny ludzi dobrej woli. Amerykańskie stypendium stanowiło dar, którego nie miałam prawa odrzucić. Spoczęło litościwie na ścieżce tego, co mój ojciec wymarzył sobie dla swoich dzieci.

I gdy księżyc uśmiechał się na niebie, błagałam noc, by z zaskoczenia zesłała mi moje własne marzenie. Bo w całym życiu niczego nie wymarzyłam sobie samodzielnie.

Nie mogłam wyjechać, nie zobaczywszy się z Hudą, Osamą oraz ich córeczką, której dali na imię Amal.

W ramach prezentu pożegnalnego przyjaciółki w sierocińcu zrzuciły się po tyle, ile miały, co pokryło ułamek opłaty za taksówkę. Ku mojemu zdumieniu, panna Hajdar uzupełniła brakującą kwotę stu szekli. Jeszcze dziwniejszy zaś był uścisk idący w parze z tak hojnym gestem. Podniosłam wzrok znad pieniędzy na upudrowaną twarz i wyrysowane ołówkiem brwi kobiety, która nieraz uprzykrzała nam życie. Pod zużytą powłoką cielesną i lekkim obłudem ujrzałam niepewność i doświadczyłam poczucia więzi, gdy otoczyła mnie ramionami.

- Dziękuję, panno Hajdar - powiedziałam szczerze.

- Bardzo proszę. Tylko nie przynieś nam wstydu.

Chcąc uniknąć zamieszania, wieczorem zjawiłam się w Dzeninie bez zapowiedzi. Pokonałam dwie mile od Zielonej Linii, mijając dwa izraelskie punkty kontrolne. W okolicy wyludnionej wioski Alladzune spotkałam palestyńskiego rolnika, który zaproponował, że podwiezie mnie wozem do Ziraainu na obrzeżach obozu. Odmówił przyjęcia zapłaty - „nie będę brał pieniędzy od młodej arabskiej córki” - więc podziękowałam mu serdecznie i przesłałam resztę drogi na piechotę. Na wzniesieniu z widokiem na obóz stały trzy izraelskie czołgi. Zawsze na posterunku. Zawsze czujne.

Było ciemno, gdy zagłębiłam się w labiryncie slumsów i przypadkowych uliczek, ale nie potrzebowałam oświetlenia. Wystarczyło, że przymknęłam oczy i widziałam uklepane ścieżki między domami. Oto kojec dla kur Ammo Darwisza, moja ulubiona kryjówka. Metr dalej okno Lamii zabite kratą, odkąd jej ojciec przyłapał chłopca zagląającego do środka. Następnie droga rozwidlała się na trzy i ruszyłam środkową, najwęższą, w stronę domu Hudy. Budynki po obu stronach stały na rozpiętość barków od siebie; idąc, sunęłam dłońmi po ich glinianych ścianach, jak to kiedyś miałyśmy w zwyczaju. W oświetlonych kwadratach

niektórych okien przesuwaly się cienie znuzonych dusz, ale większość mieszkańców już spała. Chór świerszczy objął w posiadanie ziemię, a w śmietnikach buszowały koty w poszukiwaniu zepsutej żywności bądź szczurów żerujących w okolicy. Gdybym nie znała dobroci tutejszych mieszkańców, obawiałabym się przebywać tu sama po zmroku.

Stanęłam przed niebieskimi, metalowymi drzwiami, odrapanymi i gdzieniegdzie wklęsniętymi. Zapukałam lekko.

Osama wyjrzał przez zardzewiały wizjer, po czym usłyszałam szcęk pośpiesznie odsuwanych rygli. Uśmiechnął się, aż brwi stanęły mu na baczność pod zmierzwioną czupryną, i powitał mnie znajomym, dobrodusznym spojrzeniem.

- Ahlan! Ahlan! - wykrzyknął, zapraszając mnie na ciasne podwórko. W kącie trzeszczała pojedyncza żarówka, pod którą dostrzegłam zarysy kur drzemiących na sianie. W podłużnej skrzynce, pomalowanej niewątpliwie ręką Hudy, rosły warzywa. Osama powstrzymał mnie ruchem ręki z figlarnym błyskiem w oku. - Ciii. - Położył palec na ustach. - Zróbmy jej niespodziankę. - I przesadnie skradając się na palcach, ruszył do domu. Poszłam za nim, patrząc na chłopca z mojego dzieciństwa, obecnie męża i ojca z rzadkim wąsem i bezgraniczną miłością do rodziny, wypisaną na młodzieńczej twarzy. Gdy spoglądałam później na tych dwoje, nie miałam wątpliwości, że są dla siebie stworzeni. Po trzech latach małżeństwa zachowywali się w swojej obecności jak kocięta w czasie zabawy.

Gdy wsunęłam głowę do kuchni, Huda zarzuciła mi ręce na szyję. Oczywiście zaczęła płakać, a my z Osamą żartobliwie wytykaliśmy jej, że ma oczy na mokrym miejscu.

Zaprowadzili mnie do kołyski małej Amal. Była pulchnym niemowlęciem o oliwkowej skórze jak matka, z puchem czarnych włosów na głowie. Delikatnie podszczypywałam ją w tłusciutkie nóżki i szyjkę, grożąc Hudzie i Osamie, że opowiem jej o ich sprawkach, gdy tylko dorośnie na tyle, by sama wpakować się w kłopoty.

- Rób, co chcesz, tylko jej nie obudź! - odparł błagalnym tonem Osama. I wymienili z Hudą spojrzenie świadczące o tym, co przerwałam im swoją wizytą.

Oddaliśmy się wspomnieniom i obozowym plotkom. Zastępczynią Ammo Jacka O'Malleya była miła, acz pełna rezerwy Angielka imieniem Emma, która rzadko nocowała w obozie. Ammo Darwiz został przyłapany na sprzedaży pamiątek turystom bez zezwolenia i poszedł na trzy miesiące za kratki. Huda zaprzyjaźniła się z Fatimą.

- Niemądra - powiedziała o niej. - Daje kosza wszystkim zalotnikom. - Nie musiała dodawać, że Fatima chciała tylko mojego brata.

Osama położył się około drugiej nad ranem, żebyśmy mogły „sobie pogadać”. Cokolwiek to oznaczało, najwyraźniej nie zamierzał brać w tym udziału. Huda walczyła z sennością, lecz i ona w końcu musiała się położyć, a ja głaskałam ją po włosach do snu. I tylko ja czuwałam, pełna lęku oraz złych przeczuc, narastających w miarę jak przyszłość była coraz bliżej.

Niespokojna wyszłam w mrok i weszłam na dach domu Hudy. W upalne letnie miesiące naszego dzieciństwa mnóstwo razy nocowałyśmy na chłodnych dachach, chichocząc do późna i opowiadając sobie historie. Z tego punktu obserwacyjnego widziałam obóz ONZ, rozciągający się pode mną na powierzchni jednego kilometra kwadratowego, dusze stłoczone w długim, uporczywym oczekiwaniu na powrót do swojej Palestyny. Niebawem rozległy się pierwsze dźwięki adanu nawołującego muzułmanów do modlitwy, kiedy słońce sunęło z wolna ku niebu zza wzgórz. Melodyjny rezonans adanu otoczył mnie niczym silne ramiona ojca, a poranny wietrzyk musnął moją skórę jak jedwabna chusta mamy. Zza izraelskich czołgów wstało słońce i zalało niebo pomarańczową łuną, oświetlając ten rozdział mojego życia, który przeminął na zawsze. Rozpierała mnie tęsknota za czasem spędzonym w obozie, lecz dane mi było nie swoje życie, więc postanowiłam przyjąć je tam i wówczas, z całą mocą swej nostalgii i bólu, przy wtórze piania kogutów obwieszczających nowy dzień.

Zostawiłam list do Hudy w kuchni, gdzie wypiałam kawę. Wiedziałam, że tam skieruje pierwsze kroki. W kopercie schowałam naszyjnik ze złotą zawieszką z wygrawerowaną inskrypcją z Koranu, która - według muzułmanów - zapewnia boską opiekę. Był to prezent dla małej Amal.

Ruszyłam w stronę najbliższego przejścia do Izraela, gdzie miałam nadzieję złapać taksówkę do Jerozolimy. Wciągnęłam w płuca aromat świeżego falafela w powietrzu uwięzionym wśród stłoczonej zabudowy. Na czyimś balkonie śpiewały kanarki w klatce i słyszałam kwilenie niemowląt budzących się za cienkimi ścianami. Zewsząd dochodziły odgłosy porannej krzątania, a koguty dreptały wszędzie, gdzie tylko znalazły skrawek miejsca. Ociągałam się z wyjazdem i nogi same zniosły mnie pod drzwi Hadż Sałema.

Był tam, a jakże, nieodłączny towarzysz mojego dzieciństwa; krzątał się u frontowych drzwi. Przystanąłam zbyt daleko, żeby mnie zauważył, obserwując jego bezowocne wysiłki zamiecenia kurzu z progu. Oparłszy plecy o ścianę, zgięłam się wpół, gdy on artretycznymi ruchami wywijał miotłą. Przyciskając kolana do piersi, wyobraziłam sobie, jak podchodzę, aby dotknąć jego zgrubiałej skóry i wyciągnąć z niego kolejną opowieść o skradzionej Palestynie. Na przykład

tę o wytrwałym pasterzu z Chalil, który przebył całą drogę do Akki w poszukiwaniu swych owiec.

- Czego to ja nie widziałem. Ci chalilczycy są tak zawzięci, że chyba dlatego Allah umieścił w Chalil tyle granitu. Inaczej przebijałoby głowami góry - mówił i wybuchał gromkim, bezzębnym śmiechem.

Łzy wezbrały w moich oczach i przyciągnęłam jeszcze bardziej kolana do piersi.

- Cholerny kurz - wymamrotał z przyzwyczajenia, wchodząc do środka. Upór, z jakim zmagał się z kurzem i dzień w dzień odnosił porażkę, skłonił mnie do uśmiechu, po czym wstałam na trzask zamykanych drzwi.

Po powrocie do Jerozolimy poszłam odebrać z sierocińca bagaż i pożegnać się z miastem i wszystkim, co zaczęło dla mnie znaczyć. Sięgnąwszy do kieszeni, znalazłam zapieczętowaną kopertę i uśmiechnęłam się pod nosem: był to list od Hudy. Schowałam go w starej puszcze z darów. Była wklęśnięta i podrapana, przechowywałam w niej moje największe skarby: fajkę ojca, haftowaną narzutkę mamy, jej spłowiały szal z jedwabiu, kostki zwrócone ze skruchą przez Lamię oraz plik listów od Muni Dżalajty uzbieranych przez cztery lata spędzone w sierocińcu.

Mimo że przebywałyśmy pod jednym dachem, Muna i ja przekazywałyśmy sobie wieści i sekrety za pośrednictwem listów; był to nasz sposób na nudę i odosobnienie. Jak się okazało, listy te miały się stać kroniką czasów, kiedy dzieliłyśmy się jedzeniem, wyciągałyśmy robactwo z talerzy i wyczesywałyśmy sobie wszy. Oddawały barwy przyjaźni zrodzonych z wzajemnej potrzeby przetrwania i bliskości. Kryły opowieści o „białym grzebieniu”, wymyślanych przez nas niedorzecznych grach oraz przygodach w rodzaju włamywania się do sali zajęć plastycznych i kliniki w celu zdobycia farb lub plastrów dla Lajli. W tamtych listach Muna pisała również często o swoim ukochanym, jak na ironię również imieniem Osama. Kiedyś żartowałam, że muszę koniecznie znaleźć sobie narzeczonego o tym samym imieniu, skoro ona i Huda, moje dwie najlepsze przyjaciółki, miały wyjść każda za swojego Osame.

Z tęsknotą myślę o tamtych czasach. To prawda, że w zimowe noce nie było ogrzewania ani ciepłej wody do kąpieli co tydzień, lecz nie brakowało nam sposobów na rozgrzanie duszy. Byłyśmy przyjaciółkami, które odgrywały zarazem role matek, sióstr, nauczycielek, pomocnic, a czasami również koców. Dzieliłyśmy się wszystkim, począwszy od ubrań aż po zawody miłosne. Razem śmiałyśmy się i ryłyśmy nasze imiona w starożytnych kamieniach Jerozolimy.

Wszystkie zjawiłyśmy się tu z niczym i robiłyśmy, co w naszej mocy, aby przetrwać pod izraelską okupacją. Naszą największą przyjemnością były chwile

normalności. Zauroczenie. Gra w karty. Świńskie kawały w czasie prze-pierki na dachu pięciokondygnacyjnego budynku. Słowa otuchy z ust nauczycielki. Więź stworzona przez nas powstała z niemego zaangażowania w zbiorowe przetrwanie. Sięgała poprzez historię, łączyła kontynenty, wykraczała poza konflikty i mieściła w sobie nasze zbiorowe oraz indywidualne triumfy i tragedie. Były to dziewczęce listy bądź gar faszerowanych liści winogron. Naszą więzią była Palestyna. Język, który rozbroiliśmy, aby zbudować dom.

IV EL GHURBA (status obcej)

24. AMERYKA

1973

W pierwszych miesiącach pobytu w Ameryce czułam się jak istota z innej planety. Dryfowałam w tym płynnym świecie, próbując się zaadaptować. Ale moja cudzoziemskość biła z brunatnej skóry i akcentu. Niczyjość przylgnęła do mnie jak kiepskie perfumy, a porwania samolotów z lat siedemdziesiątych ciągnęły się ogonem za moim arabskim nazwiskiem.

- No dobrze. Nigdy nie widziałaś ruchomych schodów? - spytała ładna, rudowłosa dziewczyna na międzynarodowym lotnisku w Filadelfii.

Aha. Schody. Ruchome.

- Ty na pewno jesteś Amal. - Wyciągnęła miękka, wypielegnowaną dłoń. - Nazywam się Lisa Haddad. Mama parkuje samochód. Będziesz u nas mieszkać.

Lisa była młodsza, ode mnie, lecz o wiele ładniejsza i bardziej wyrafinowana.

- Cześć - odpowiedziałam, spoglądając na nią z krępującą zawiścią.

- Urządziłam dla ciebie pokój gościnny - oznajmiła energicznie Lisa podczas krótkiej jazdy z lotniska do domu. Dawała się lubić, a dokładniej, nie dawała się nie lubić. Jej świat miał pastelowe odcienie, był emocjonalnie wywatowany, finansowo stabilny i nijaki politycznie. Uznałam za dziwne i ekscytujące, że Lisa chce mi się przypodobać i zabiega o moją aprobatę.

- Dziękuję - odrzekłam niepewna, jak podziękować po amerykańsku za tyle ujmującego entuzjazmu. W świecie arabskim wdzięczność stanowi język sam w sobie. „Niech Allan błogosławi ręce, które niosą mi ten dar”, „Piękno jest w twoich oczach, które doceniają moją urodę”, „Oby Bóg obdarzył cię długim życiem”, „Niech Allah nigdy nie odmówi ci modlitwy”, „Obyś ugotowała następny posiłek na ślub swego syna... zakończenie roku szkolnego córki... z okazji wyzdrowienia matki” i tak dalej, coś w rodzaju błogosławieństwa. Z takim zapleczem zawsze uważałam pospolite „dziękuję” za przejaw skąpstwa i niewdzięczności. Spojrzałam na otaczający mnie miejski krajobraz. Wstażki betonu i asfaltu wiły się i rozwijały pod kołami większej liczby aut, niż dotychczas widziałam. Rzędy domów, fabryk i magazynów wychodziły na autostradę, a zatłoczony horyzont śródmieścia Filadelfii spowijał smog. Woń miasta wnikała do samochodu. Uliczne stragany ze smażeniną, tłuste frytki, opary ciężarówek na ropę i spaliny samochodowe zgotowały moim nozdrzom huczne

powitanie w wielkim stylu. Pachniało niepowetowaną stratą białych lilii, rosnących na żyznych glebach Palestyny, żałobą po naszych hennowych krzewach, które wybuchały każdej wiosny słupem wonnych płomieni.

Matka Lisy, Angela Haddad, mówiła cichym głosem, wskazując na Muzeum Sztuki, pomnik Williama Penna, ratusz, Independence Hall oraz inne, kompletnie mi obojętne zabytki. Gdy jechałyśmy przez miasto, głowę trzymała prosto, a długie palce mocno zaciskała na kierownicy swego mercedesa. Emanowała nieprzeniknioną elegancją, i choć okazała mi wiele serca i życzliwości, jej obecność bardzo mnie onieśmiałała.

- Czy tata wpadnie w tym tygodniu do domu, mamó? - spytała Lisa.

Ojciec Lisy mieszkał ze swoją dziewczyną i czasami odwiedzał rodzinę. Uważałam to za dziwny układ, dopóki nie poznałam tego człowieka. Był wysokim, krewkim parweniuszem, który ożenił się z dziedziczką Angełą, aby się z rozmachem łajdaczyć, czego nie omieszkał czynić w najlepszych filadelfijskich klubach dla panów.

- Nowa misja twojej mamy, kotku? - spytał, wskazując na mnie głową, zjawiwszy się kiedyś po córkę.

- To Amal, tato - odrzekła z zakłopotaniem Lisa.

- Cześć, Omar - przekreślił. - Nazywam się Milton Dobbs. - Wyciągnął rękę, którą uścisnęłam. - Właśnie to najbardziej kocham w twojej matce, kotku, zawsze próbuje ratować świat. Dlatego się z nią ożeniłem - dorzucił głośniej niby to do córki, ale pod adresem Angeli, która stała przy kuchennym blacie, nie zwracając na niego uwagi.

- Nie, ożeniłeś się ze mną dla pieniędzy - odparła wyniosłym, oschłym tonem.

- Nie jestem pewna, czy zjawi się w tym tygodniu, kochanie - odpowiedziała Angela, dalej wskazując miejsca godne uwagi. - A oto twój dom, Amal, na najbliższe trzy tygodnie lub dłużej, jeśli zechcesz - uzupełniła, hamując na długim, okrągłym podjeździe.

Na progu oczy mało nie wyszły mi z orbit, w życiu nie widziałam takiego przepychu. Ogromne, nieskazitelne pokoje dowodziły znacznej zasobności portfela; nie mieściło mi się w głowie, że Lisa i jej matka mieszkają same, nie licząc dochodzącej służby, w tak przestronnym domu.

Z pierwszej nocy w Stanach najlepiej zapamiętałam to, że po raz pierwszy spałam w prawdziwym łóżku. Nie na macie czy „pryczy”. Wyciągnęłam się w białym bezmiarze pościeli i puchu, czując, jak uchodzi ze mnie znużenie. Lisa powiesiła nad łóżkiem plakat mężczyzny ze skórzanymi włosami i w rozpiętej skórzanej kurtce, zastygłego w komicznie uwodzicielskiej pozie. Mówiła o nim „Fonz” i nie omieszkała zaznaczyć, że go „uwielbia”. Przy ścianie stał prezent dla

mnie: błękitny rower marki Schwinn z 1973 roku, na którym Angela nauczyła mnie jeździć. By nie zatracić poczucia rzeczywistości, sięgnęłam w przeszłość, dotykając blizny na brzuchu. Zanurzona w luksusie u progu świata pełnego obietnic, a zarazem znaków zapytania, rozpoczynałam nowe życie. Lecz podobnie jak blizna pod moimi palcami, przeszłość wciąż była ze mną.

W Filadelfii błędziłam wśród kontrastów między bogactwem a nędzą, z przyklepionym do twarzy desperackim uśmiechem. Nie identyfikowałam się z zastępami opanowanych, pewnych siebie kobiet i mężczyzn ani z istotami śpiącymi na chodnikach. Ja nie mogłam się nadziwić światu, oni żyli w wirze codziennych spraw. Robili zakupy, chodzili do pracy, jedli te swoje przysmaki i paplali w kawiarnianych ogródkach. Ja czułam się nieistotna, wyalienowana, spragniona własnego miejsca na ziemi.

Angela pomogła mi przy zawiłych dokumentach, które należało zrozumieć i wypełnić przed rozpoczęciem pierwszego roku studiów na uniwersytecie Tempie. W życiu nie miałam do czynienia z taką masą papierów i formularzy, związanych z ubezpieczeniem zdrowotnym, zapisem do biblioteki, uzyskaniem legitymacji studenckiej - można by wyliczać w nieskończoność. Ale przed rozpoczęciem zajęć wszystko zostało dopięte na ostatni guzik i z pomocą Angeli przeniosłam się do akademika.

Elana Rivers, hałaśliwa dziewczyna z ogromnym biustem, spytała kierowniczkę akademika o formularz do rejestracji swoich cycków. W ciągu pierwszych paru miesięcy roku akademickiego zasłynęła wśród starszych studentów jako łatwa sztuka, co zapewniło jej zaproszenia na „właściwe” imprezy. Często wtaczała się z rumorem nad ranem do akademika, wracając z którejś z nich. Nie zadawała sobie trudu, aby ze mną rozmawiać, choć nierzadko mówiła o mnie per „Arabka” albo „szmaciara”.

Pewnego wieczoru zobaczyłam, jak podrywa dostarczyciela pizzy na korytarzu naszego akademika. Oszołomiony wdziękami Elany chłopak prawie się zaślinił, a minę miał przy tym tak komiczną, że przechodząc obok, mimowolnie parsknęłam śmiechem. Odwróciła się jak rażona prądem.

- O matko! - wybuchnęła śmiechem. - Arabka myśli, że to zabawne. - Kiedy ruszyła w moją stronę, straciłam ochotę do śmiechu i poczułam ukłucie strachu. - Czy ty w ogóle uprawiałaś seks? - spytała obłudnie.

Zamarłam. W życiu nawet nie pocałowałam chłopaka. Szczęściem zza moich pleców dobiegł czyjś zniesmaczony głos.

- Boże, Elano! Kiedy wreszcie dasz sobie spokój? Była to Kelly Mason, przyszła studentka medycyny, którą znałam z zajęć z biologii.

- No co? Próbuje nawiązać rozmowę - burknęła Elana.

Ale Kelly złapała mnie za łokieć i odciągnęła demonstracyjnie sprzed jej nosa. Po tym incydencie Elana przestała się mnie czepiać.

Pomijając obiady z Kelly od czasu do czasu, na pierwszym roku w zasadzie nie miałam przyjaciół. Większość czasu spędziłam w odosobnieniu, pochłonięta ciężką pracą. Przeszkodę towarzyską stanowił mój akcent, tak mi się przynajmniej zdawało, toteż moimi głównymi zajęciami były nauka i jeżdżenie rowerem po mieście. Każda niemrawa próba zaistnienia na arenie towarzyskiej kończyła się fiaskiem i przechodziła bez echa, co nie budziło mojego zdziwienia. Na pocieszenie miałam książki, więc zarówno jesienny, jak i wiosenny semestr przebrnęłam ze świetną średnią 4.0.

W końcu znalazłam swoje miejsce i pozyskałam niewielkie grono przyjaciół, z którymi aż do ukończenia studiów wynajmowałam dom. Był to podniszczony, trzykondygnacyjny budynek szeregowy; gdy byliśmy na przedostatnim roku, zyskał miano „Wychodka”, kiedy pewnego dnia pękła rura kanalizacyjna.

Przez cały okres studiów twardo stapałam po ziemi, lecz śpiesząc się, by znaleźć swoje miejsce i zaistnieć na Zachodzie, zagubiłam gdzieś małą Palestynkę wraz z jej godnym politowania zapleczem. Stępiłam zmysły, wciskając się w amerykańską niszę bez przeszłości. Po raz pierwszy nie żyłam w cieniu zagrożenia wojną i niepewności jutra. Wolna od widoku żołnierzy, bez dziedzicznych marzeń o wolności i męczenników czepiających się kolan.

Ale każdy dom ma swoje demony.

Przeistoczyłam się w arabsko-zachodnią hybrydę, nieznaną nikomu i pozbawioną korzeni. Piłam alkohol i spotykałam się z facetami, co w Dżeninie naraziłoby mnie na powszechną dezaprobatę. Dryfowałam w stanie kulturowej nieważkości, podążając ścieżkami amerykańskiej filozofii, to znów zbacząc z drogi, aż wreszcie sama straciłam głowę. Zakochiwałam się w Amerykanach, nawet z wzajemnością. Żyłam w terażniejszości, przeszłość ukrywając głęboko. Nie pisałam do Hudy, Munny ani Kolumbijskich Sióstr. Nie pisałam do Ammo Darwisza, Lamii, Chalto Bahiji i Hadż Salema. Ale czasem doznawałam przelotnie uczucia skruchy, która stawiała mnie twarzą w twarz z przeszłością.

Kiedyś w śródmieściu wydało mi się, że widzę matkę, cień ducha w moim odbiciu w witrynie. Zamarłam wpatrzona w jej córkę. Dalia, Um Jusef, przekazała mi psychikę, która nie umiała funkcjonować w konfrontacji z przeszłością. Matka potrafiła wyodrębnić chwilę obecną, trwając w tym, co minęło, ale ja musiałam się odciąć w sensie fizycznym. W tamtej chwili przyszło mi do głowy, że nikt nie potrafiłby zrozumieć mnie tak jak ona.

Jednym słowem, żyłam w podświadomym poczuciu winy, że zdradziłam swoją rodzinę lub - co gorsza - samą siebie.

Mimo to podporządkowałam się hasłom amerykańskiej wolności i korzystałam z przywilejów, jakie dawała.

Lecz bywały chwile, które kazały mi zaglądać w otchłań oddzielającą mnie od wszystkich dokoła. Po wspomnianym incydencie z kanalizacją, któremu nasza stacja zawdzięczała swe niechlubne miano, zamieszanie, jakie wtedy wybuchło, nasunęło mi wspomnienie Dżeninu, gdzie też czasem wylewały ścieki, a dziury w rurach zatykało się starą odzieżą i ręcznikami. Rzecz nie należała do przyjemnych, podobnie jak późniejsze sprzątanie, ale Huda i ja cieszyliśmy się z perspektywy spania na dachu, gdzie nie docierał smród. Pozostałe dzieci robiły tak samo, po czym chichotaliśmy do późna i opowiadaliśmy sobie kawały. Mieliśmy wówczas głowy pełne naiwnych marzeń i nadziei, błogo nieświadomi, że jesteśmy odpadkami świata, zdanymi na pastwę swego nieszczęścia i ekskrementów. Tam, na płaskich dachach naszych domów, słałyśmy nasze tajemnice i życzenia w śródziemnomorskie niebo. Przed wojną 1967 roku nie było jeszcze żołnierzy. Mieliśmy nieskomplikowane marzenia, innych mieć nie mogliśmy. Zawsze marzyliśmy o powrocie do Ein Hod, które uważaliśmy za raj na ziemi. Byliśmy niewinni i beztroscy. Nasz wentyl bezpieczeństwa stanowiło wieczorne wezwanie do modlitwy i spałyśmy przytulone, Huda i ja, do chwili gdy świt zjawiał się z książką, którą wybrał dla mnie ojciec. A wstrętna maź połyskująca w uliczkach stanowiła tylko chwilową niewygodę, która zapewniała nam rozkoszną odskocznnię od rzeczywistości.

Dlatego w Filadelfii, kiedy moi współlokatorzy jak szaleni wydzwaniali do rodziców, gospodarza, departamentu zdrowia i towarzystw ubezpieczeniowych, byłam niewzruszona niczym skała. I gdy oni histeryzowali, jakby mieli zaraz utonąć w gównie, ja odczuwałam miłą nostalgię i tęsknotę za starymi przyjaciółmi.

Rozdźwięk nie mógł być większy i nie sposób było zapełnić luki. Palestyna objawiała się w sercu mojego nowego życia bez zapowiedzi. Na zajęciach, w barze, podczas spaceru w mieście. Bez ostrzeżenia wierzby płaczące Rittenhouse Square zamieniały się w kuszące owocami figowce Dżeninu. Był to uporczywy imperatyw, żyjący w komórkach mojego ciała, wzywający mnie do siebie. I znów zapadający w uśpienie.

Przez większość studiów pracowałam na dwóch posadach. Uniwersytet zatrudnił mnie do pomocy mniej zdolnym studentom, a w weekendy pracowałam „na lewo” w całodobowym sklepie spożywczym w West Philly, „złej dzielnicy”, gdzie biali woleli nie zaglądać, zwłaszcza po zmroku.

- Życie ci niemiłe - mówili moi współlokatorzy. - Kuisz los, pracując w tamtej okolicy. - Byli przekonani, że ktoś mnie zgwałci lub co najmniej obrabuje. -

Jeszcze nie poznałaś tego kraju. Nie jesteśmy rasistami, ale to naprawdę podłe miejsce.

Mimo to w każdy piątek pedałowalam dziarsko ruchliwą Broad Street, skręcałam w prawo, mijając eleganckie domy na Spruce, i docierałam do oplakanej West Philly. W okolicach Trzynastej ulicy „szansa” jechała na skróty, a „wolność dla wszystkich” rozwalala się na krzesła jak leniwy student. W West Philly natura i architektura podążały w parze z duchem niewolnictwa, preferując w miejscu klombów sterty śmieci i kałuże moczu. Młodzi mężczyźni w dzwonach i z afro na głowach beczynnie wystawali po bramach. Początkowo gwizdali, wołali za mną „mamuśka” i robili aluzje do mojego tyłka. Jednakże z chwilą, gdy stałam się nieodłączną częścią weekendowej rzeczywistości, nauczyli się gwizdać, wyrażać uznanie dla tyłka i pozdrawiać mnie jednocześnie. Stare kobiety, dostojne matrony, niestrudzenie plotkowały na werandach, sprawując przy tym pieczę nad okolicą. Ich nieufne miny koniec końców też ustąpiły miejsca łaskawym uśmiechom, kiedy nadjeżdżałam. Małe dziewczynki z włosami splecionymi w równiutkie kłosa odstawiały na chodnikach synchroniczne układy taneczne. Odnosiłam wrażenie, że czarni nasycają rytmem każdą swoją czynność, na przykład kiedyś przy okazji próby chóru odnowili kościół w ciągu jednego dnia. Dowiedziałam się, że ich zniewolona kultura stała się kolebką rock and rolla i znakiem rozpoznawczym wydziedziczonej rasy była muzyka.

Czasem zdarzały się morderstwa i rozboje. Handlarze narkotyków i alfonsi. W ciemnościach West Philly nie czułam strachu. Może to było nierozsądne. Żołnierze w moim życiu wysoko postawili poprzeczkę bandytom, toteż wystraszony nastolatek z bronią, który kiedyś napadł na sklep dla czterdziestu dolarów, nie miał szans zakłócić mojego spokoju ducha.

Zjawili się we trzech, pewnej sobotniej nocy o wpół do pierwszej. Weszli razem, z pochopnym planem wypisanym na załęczonych twarzach. W sklepie przebywało trzech klientów, a Bo Bo, właściciel, wyszedł zaledwie pół godziny wcześniej. Dwaj chłopcy ruszyli ku przeciwległym końcom sklepu, a trzeci stanął w kolejce do kasy, gdzie obsługiwałam za ladą. Coś mi tu nie grało, i biorąc pieniądze od klienta, powtórzyłam sobie w głowie słowa Bo Bo. „W razie napadu oddaj szmal i nie stawiaj oporu”, przykazał, gdy przed rokiem zaczynałam pracę. Młody bandyta położył na ladzie paczkę miętowej gumy do żucia, butelkę coca-coli i dziewięćmilimetrówkę. Następnie zażądał pieniędzy. Jego oczy przepełniał strach, hebanowa skóra lśniła młodością. Pozostali dwaj zajęli się napełnianiem kieszeni i pilnowaniem drzwi. Uderzyła mnie ironia sytuacji: zachowałam zimną krew, podczas gdy on trząsał się ze strachu. Wkładając pieniądze do papierowej torebki, pomyślałam, że właściwie mogłabym się

bardziej przestraszyć. W porównaniu z karabinami żołnierzy pistolet chłopca przypominał dziecięcą zabawkę. „Ej, wy. Stać!”. Lufa wycelowana w twarz. „Wy. Tamtędy”. Lufa wycelowana w pierś. „Wszyscy zawracać. To zamknięta strefa zmilitaryzowana”. Karabin zatacza krąg, może oddaje kilka ostrzegawczych strzałów w powietrze, jeśli ruszamy się zbyt opieszale.

Oddawszy chłopcu wszystkie pieniądze, pokazałam mu skrytkę z drobnymi, gdzie mógł znaleźć dodatkowych trzydzieści dolarów. Na koniec wręczyłam mu karton papierosów.

- Nie palę - odparł zdumiony.

Poszli. Nie zadzwoniłam na policję, tylko do Bo Bo. W następny weekend, też w sobotę, Bo Bo przywłókł za kołnierz jakiegoś chłopaka.

- Czy to ten? - spytał. Był to ten sam przerażony młody chłopiec, który groził mi dziewięćmilimetrówką.

Kiwnęłam głową, a Bo Bo, który naprawdę miał na imię Bernard, natarł nań rozłożystą klata i posłał go na glebę wraz z zawartością półki ze słodyczami. - Albo oddasz to, co zabrałeś, albo masz przychodzić codziennie i wszystko odpracować - warknął władcym tonem, któremu sprzeciwiłby się tylko idiota. Chłopak - miał na imię Jimmy - pracował u Bo Bo, nawet gdy już spłacił dług. Policja nie dowiedziała się o sprawie.

- Wciągnął się w dragi, nic więcej. To stara pajęczyna, co wsysa czarnych bezlitośnie - tłumaczył mi Bo Bo.

Wiedziałam na pewno, że ludzie z West Philly uważają mnie za piękną i nieróżniącą się od reszty, a mój akcent nie budzi rezerwy. To, co w białym świecie czyniło mnie podejrzaną, w czarnej dzielnicy stanowiło przepustkę za kulisy.

25. TELEFON OD JUSEFA

1978-1981

Latem 1978 roku, przed rozpoczęciem studiów podyplomowych na uniwersytecie w Karolinie Południowej, uległam namowom współlokatorów, by pojechać na plażę Myrtle.

Przez ostatnich pięć lat samolubnie zamknęłam uszy na świat. Wojna Jom Kippur wybuchła i skończyła się w 1973 roku, podobnie jak kolejne zawirowania w Palestynie, niebawem miało dojść do podpisania porozumienia w Camp David z inicjatywy Jimmy'ego Cartera, a ja nie reagowałam. Celowo unikałam dyskusji politycznych, nie pisałam do ludzi, którzy mnie kochali, i przemianowałam się na Amy - Amai bez nadziei. Byłam słowem pozbawionym znaczenia. Kobieta bez przeszłości. Tak naprawdę chciałam stać się kimś zupełnie innym. I tamtego lata na plaży stałam się Amy w kostiumie kąpielowym, wylegującą się na piasku, bardziej niż kiedykolwiek oddaloną od siebie samej.

Poszukiwania odpowiedniego kostiumu kąpielowego trwały parę dni. Bikini nie wchodziło w rachubę.

- O kurde. Miałaś wypadek czy coś takiego? - spytała w przymierzami Kelly na widok mojego brzucha.

- Coś takiego - przytaknęłam.

Wybrałam klasyczny czarny kostium z powodu dość kretyńskich plastikowych stokrotek w miejscu oczywistej wklęsłości na brzuchu.

Sądziłam, że śródziemnomorskie plaże Hajfy będą jedynymi w moim życiu. Ale w wieku dwudziestu trzech lat po raz pierwszy pływałam w oceanie i grzałam palce w atlantyckim piasku Karoliny Południowej.

Wyciągnęłam się na słońcu, tym samym, które wstawało nad Dżeninem od zarania mego życia, niosąc fioletowe niebo i poezję w astmatycznym barytonie wydobywającym się z piersi ojca.

Tu nie było żołnierzy. Nie było kolczastych drutów ani strefy wyznaczonej dla Palestyńczyków. Nikt mnie nie oceniał. Nie było walki, krzyków ani chóralnej modlitwy. Byłam anonimowa. Niekochana. Ubrana w pierwszy kostium kąpielowy w swoim życiu, przypominałam sobie wielkie marzenie Hudy po bitwie o Karameh, kiedy myśleliśmy, że wrócimy do Palestyny. „Posiedzieć nad oceanem. Tylko posiedzieć, bo nie umiem pływać”. Szczyt naiwnych marzeń z naszej młodości. Huda.

Po upływie pierwszego roku studiów podyplomowych w Karolinie Południowej dostałam zieloną kartę i Stany Zjednoczone stały się moją nową ojczyzną.

Amy. Amal wytrwałych uchodźców i tragicznych początków stała się Amy w krainie przywilejów i obfitości. Państwie, które unosiło się na powierzchni życia, na wznak, pod niewzruszonym niebem. Lecz bez względu na kupną fasadę, na zawsze należałam do palestyńskiego narodu wygnanych, bez honoru i ziemi. Moja arabskość i rozpaczliwy okrzyk Palestyny były dla mnie kotwicami w świecie. I przetrząsałam historyczne książki w poszukiwaniu zapisów odpowiadającym opowieściom Hadż Salema.

Minął kolejny rok. Cokolwiek czujesz... wszystko trzymałam w środku. Aż pewnego dnia o piątej nad ranem zadzwonił telefon. Na wpół przytomna podniosłam słuchawkę.

- Halo?

- Haloo? - odparł z akcentem męski głos. - Amal?

- Aywa* - odrzekłam, przeczuwając, z kim rozmawiam. Rozbudziłam się w jednej chwili. Zaśmiał się; wszędzie rozpoznałabym ten śmiech. Był to stłumiony chichot, który najpierw wymykał się z prawego kącika ust Jusefa, by następnie rozlać się w uśmiech na jego przystojnej twarzy. Sto lat temu Fatima opowiedziała mi, że podbił ją tym uśmiechem, gdy spotkali się pierwszy raz. On miał szesnaście, ona czternaście lat.

* Aywa - tak.

- Nareszcie, siostrzyczko! Od miesięcy próbujemy cię odnaleźć.

Ktoś przejął słuchawkę.

- Amal! Habibti, kochanie! Znaleźliśmy cię. - Fatima. Amal. Rozpłakałam się na dźwięk mojego arabskiego imienia. Telefon nie wystarczył, by wyrazić tęsknotę i zdumienie, kiedy próbowaliśmy rozmawiać poprzez szlochy i zakłócenia.

- Jesteśmy w ciąży. - Ich pierwsze dziecko. – Gdzie dokładnie mieszkasz w Stanach? My teraz jesteśmy w Libanie. Wiesz, co zrobili OWP w Jordanii, dranie. Usłyszałam, jak Jusef wpada jej w słowo.

- Nie teraz, habibti - upomniał żonę.

- Dobrze, skarbie. - I dalej swoje.

Popłynęła długa historia nieustającej walki („Jusef ci wszystko opowie”), przez którą płynęła rzeka bezgranicznej miłości („ale to już wiesz”).

W ciągu dziesięciu lat po bitwie o Karameh Jusef awansował w szeregach OWP. Ruch uzyskał takie poparcie w Jordanii, że monarchia Haszymidów zaczęła drżeć o własną pozycję i przeprowadziła czystki wśród palestyńskiej ludności

cywilnej, zabijając przy tym wielu partyzantów, w związku z czym dziewiąty miesiąc roku zyskał miano Czarnego Września. W 1971 roku OWP pod wodzą Jasira Arafata przeniosła się do Libanu i mój brat zaczął uczyć w szkole dla dzieci z obozów w Sabrze i Szatili. Jednocześnie nadal działał z ramienia Organizacji.

- Nigdy nie przestałam na niego czekać, wiesz...? Opowiem ci wszystko ze szczegółami, jak się spotkamy. Jusef strasznie za tobą tęskni. Ja też, kochanie - uzupełniła Fatima.

Pomimo wieloletniej nieobecności Jusefa i obopólnej niepewności co do losów drugiego oboje wytrwali w miłości, opierając się naciskom, aby w myśl tradycji poślubić kogoś innego. Wreszcie w 1977 roku Jusef zdołał ustalić, że ukochana nie wyszła za mąż, i natychmiast posłał jej list, który potrzebował blisko roku, by pokonać podziemnymi kanałami niespełna osiemdziesiąt kilometrów na południe, do wioski Bartaa, gdzie Fatima wciąż mieszkała z matką.

- Stało się tak, jakby Allah uchylił nieba i wrzucił list prosto do mojego serca - opowiadała Fatima. Serca, które potrzebowało mojego brata, tak jak życie potrzebuje oddechu. Po upływie trzech miesięcy spotkali się i pobrali w Bejrucie. Dlatego Fatima musiała pożegnać się z rodziną i ojczyzną - po wyjeździe Izrael nie pozwoliłby jej na powrót na okupowane ziemie. Poświęciła wszystko, co знаła i kochała, aby wyjść za mojego brata, i nigdy nie żałowała tej decyzji. On miał trzydzieści cztery lata, ona trzydzieści dwa.

- Lepiej pakuj się i przyjeżdżaj, siostrzyczko, zanim Fatima zrobi z ciebie ciotkę!

- Na kiedy ma termin?

- Mniej więcej w połowie czerwca.

- Mamy grudzień. Zdążę zaoszczędzić na bilet i napisać pracę.

- Magisterską... ? Tata byłby dumny.

Mimo upływu lat ciągle zależało mi na tym, żeby zaimponować ojcu. Gdziekolwiek się znajdował. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że słońce wstaje na niebie i do pokoju wpelza światło, uśmiech taty. Aż mnie zatkało na ten widok.

- Przyjeżdżaj jak najszybciej, siostrzyczko. Tęsknimy za tobą.

- Ja za wami bardziej. Niedługo się zobaczymy. Jusef podał mi numer, pod którym mogłam zostawić wiadomość, żeby do mnie zadzwonił. Z ociąganiem odłożyłam słuchawkę.

W czerwcu skończyłam studia, nie mając w planach nic innego prócz wyjazdu do Libanu. Od telefonu Jusefa myślałam tylko o powrocie do rodziny, do siebie. Ale w Ameryce też zawarłam kilka prawdziwych przyjaźni; pod wieloma względami stała się moim domem, częścią mnie samej. Smutno mi było zostawiać

przyjaciół, lecz cieszyłam się na tę podróż i miałam nadzieję, że dotrę do Bejrutu, nim zostanę ciotką.

V ALBI FI BEIRUT (moje serce w Bejrucie)

26. MADŻID

1981

Wtedy wysiadłam z samolotu na libańską ziemię, powitał mnie podmuch ciepłego, suchego wiatru. Międzynarodowe lotnisko w Bejrucie było złowrogim miejscem za sprawą zbyt wielu karabinów, przytroczonych do zbyt wielu żołnierzy w mundurach. Lecz gardłowe, jedwabiste tony arabszczyzny zapulsowały we mnie, kiedy usłyszałam melodyjne nawoływania i odpowiedzi w ojczystym języku. Tak naprawdę to nic innego jak powietrzny taniec. Gdy przechodziłam przez wykrywacz metalu, mężczyźni przy biurku zaproponowano herbatę. „Chwała twoim rękoma”, podziękował, słysząc w odpowiedzi: „I twoim, i niech Allah darzy cię swoją łaską”. Nawoływania i odpowiedzi, co tańczą w powietrzu.

Po skończonej odprawie moją uwagę przykuł wysoki, chudy mężczyzna z obojętną miną, stojący z tabliczką z moim nazwiskiem. Miał głęboko osadzone ciemne oczy pod krzaczastymi brwiami, rzadki zarost i wydatne usta pod równiutkim wąsem, które na mój widok rozciągnęły się w uśmiechu.

- Al hamdulillah ala salama - powiedział, wyciągając rękę. - Jestem Madżid. Przesłał mnie po ciebie twój brat.

- Niech Bóg strzeże i ciebie - odrzekłam. Nawoływania i odpowiedzi.

- Od razu cię rozpoznałem. Wyglądasz zupełnie jak Jusef.

- Oboje jesteśmy podobni do matki. Z uśmiechem sięgnął po mój bagaż.

Ruch na ulicach Bejrutu odbywał się zrywami przy wtórze ryczących klaksonów. Rowery śmigały między samochodami, a Madżid prowadził cierpliwie wśród tego zgiełku, przepaszając za uliczną „łacinę”, gdy wąsaci kierowcy, spoceni i podminowani, obrzucali się nawzajem kwiecistymi obelgami. Arabskie przekleństwa to często nic innego jak niczym nieuzasadnione nawiązania do anatomii jakiejś krewnej. Ot, wzmianka. „Jedź, durniu! Nie bądź cipą swojej matki”. Albo: „Na co czekasz, baranie? Ty cipo swojej siostry!” No i nieodzowne: „Kłątwa na twojego ojca i jego ojca!”.

Wśród tego pandemonium handlarze sprzedawali gazety, kwiaty i słodycze, a woń świeżego chleba - na straganach leżał kaak* z kruszonym tymiankiem i serem - sączyła się poprzez zmysły do wspomnień o Palestynie.

* Kaak - rodzaj pieczywa, rolada sezamowa.

- Dobrze znów stanąć na arabskiej ziemi - pomyślałam głośno.
- Ponoć chwilę cię tu nie było - odrzekł po krótkiej chwili Madżid.
- Tak, chwilę.
- Wybacz. Nie chciałem być wścibski.

- Nic nie szkodzi. Wyjechałam na stypendium i nie mogłam wrócić do Dżenin. Wiesz, jak to jest po długiej nieobecności. Izraelczycy niechętnie wpuszczają z powrotem... -Poza tym nie miałam do czego, do kogo wracać. I prawdę powiedziawszy, chciałam być Amerykanką. Spakować bagaż przeszłości i tragedii i dla odmiany zostać Amy.

Zwróciłam głowę do otwartego okna, aby uciąć temat i wciągnąć w płuca aromat gorącego dżibneh* i zaataru* na sezamowym kaaku z ulicznych straganów.

* **Dżibneh - ser.**

* **Zaatar - kruszony tymianek, kurkuma i sezam.**

Madżid zawołał przez okno i sprzedawca, szczupły, dobroduszny staruszek, podszedł z dwoma kaakami zawiniętymi w gazetę.

- Niech Bóg obdarzy cię długim życiem, hadż - podziękował mu Madżid i zapłacił.

- I zapewni szczęście tobie i twojej rodzinie, synu - odpowiedział staruszek.

- Założę się, że dawno nie jadłaś. - Podał mi chleb. I znowu ten uśmiech.

Podziękowałam mu serdecznie.

- Chwała twoim dłoniom. Ulepione są z życzliwości i wielkiego serca.

- Wiedziałem, że w końcu się uśmiechniesz. Nieśmiała kurtuazja Madżida przeczyła szorstkiej aparycji, która najpierw przyciągnęła moją uwagę.

- Kiedy byłem mały? często chodziłem z mamą na długie spacerunki i zawsze prosiłem, żeby kupiła mi coś pysznego - odparł łagodnymi słowami, przerywając ciszę.

Słuchałam w milczeniu, nie chcąc psuć mu wspomnień rozmową ani przerywać brzmienia jego głosu.

Ledwo mieścił się w poobijanym starym fiacie, lekko pochylając głowę, aby nie stuknąć w sufit, z kolanami tuż pod kierownicą. Zjedliśmy kaaki w słonecznej ciszy samochodu, z rzadka przerywanej rykiem klaksonu, przy zamkniętych oknach. Zacerwienił się, gdy przerzucając biegi, przypadkowo musnął dłonią moją nogę.

- Wybacz. Bardzo przepraszam.

- Nic się nie stało.

Później, na dziurawych, częściowo tylko asfaltowych drogach ruch stał się nieco mniejszy.

- Czemu Jusef sam po mnie nie przyjechał?

- Patrz, wyleciało mi z głowy! - wykrzyknął, lekko stukając się w czoło. - Fatima urodziła. Masz bratanicę! - Oczy mu się rozszerzyły, jak zawsze u posłańców dobrych nowin.

- Jusef liczył na chłopca, lecz i tak jest w siódmym niebie - dodał.

Jestem ciotką!

- Czy nie wszyscy Arabowie pierwszego wolą chłopca? - zażartowałam, czując się coraz swobodniej. Roześmialiśmy się.

- Ja właściwie marzę o córce. Dałbym jej na imię Sara, po matce, niech spoczywa w pokoju. Ale niech się dzieje wola Allaha - odpowiedział Madżid. Miał głos jak aksamit, z jego profilu biła pewność siebie, a obecność tego mężczyzny działała na mnie krzepiąco. Wygląda jak Che Guevara.

Szatila była jednym z trzech obozów dla uchodźców na terenie Bejrutu. Obok znajdowała się Sabra, obie zaś przypominały obóz w Dżeninie, labirynt lepierek z betonu i gliny, wyrosłych z poniżenia nędznych namiotów dla Palestyńczyków, którzy uciekli przed wojną 1948 roku. Ścieki odprowadzano za pomocą drenów na ulice, na których malcy puszczały papierowe stateczki.

Gdy wokół zaroilo się od dzieci, wiedziałam, że jesteśmy na miejscu. W dzieciństwie robiliśmy tak samo. Napastowaliśmy zwłaszcza gości i przedstawicieli ONZ, pchając się przed obiektywy ich aparatów fotograficznych. Wprawdzie nigdy nie dane nam było zobaczyć tych zdjęć, lecz kłóciliśmy się o to, kto zajmie lepsze miejsce. Widok dzieci w Szatili uświadomił mi, jak sama musiałam wyglądać, nadgorliwa i zachłanna. Lecz, prawdę powiedziawszy, byliśmy podekscytowani każdą wizytą i z rozkoszą grzaliśmy się w ciepłe zachodniej chwały. Pragnęliśmy tylko aprobaty tych ludzi, wyrażanej błyskiem flesza, uśmiechem, pytaniem, a czasem słodyczami, którymi zawsze sprawiedliwie dzieliłyśmy się z Hudą po połowie.

Madżid sięgnął do schowka i wyjął garść cukierków.

- Raz tak zrobiłem i zapamiętały. Teraz nie ważę się przyjeżdżać z pustymi rękami.

Madżid pośrodku, roześmiane dzieci dokoła, słodycz łakoci. Ależ kochałybyśmy go z Hudą w dzieciństwie!

- Doktor Madżid! Doktor Madżid! - wołały dzieci, a on spostrzegł zdumienie na mojej twarzy. Nie sądziłam, że jest człowiekiem wykształconym. Patrzyłam na niego oczami Amy. Zauważył to. Teraz opuściłam wzrok, zakłopotana swym bezpodstawnym, pochopnym osądem.

Białe słońce podążało za nami przez zaśmiecone miasto do domu Fatimy i Jusefa. Był to jednopiętrowy budynek z dwoma wyszczerbionymi schodkami,

prowadzącymi do frontowych drzwi. Podobnie jak w pozostałych domach, jego dach zrobiono z arkuszy blachy falistej i azbestu, które unieruchomiono kamieniami, starymi oponami, czymkolwiek - dla ochrony przed wiatrem. Na zewnątrz zebrał się tłumek około dwudziestu mężczyzn, którzy siedzieli na czym popadło, śmiejąc się, paląc i podając sobie tackę z knafe, serowym przysmakiem w słodkim syropie. Niewątpliwie świętowali narodziny mojej bratanicy.

Był wśród nich.

Jusef! Mój brat, dobry Boże!

Po trzynastu latach rozłąki dzieliła nas odległość może dwudziestu kroków. Tyle co nic. Krótki spacer udeptaną ścieżką, gdzie klatka z kanarkiem i kwiaty w doniczkach próbowały zadać kłam ubóstwu.

- Amal! - Zobaczył mnie i zerwał się na równe nogi, nawoskowane wąsy zawinęły się do góry, ponad jego uśmiechem.

Rzuciłam torebkę i podbiegłam do niego. Bezpieczna w objęciach Jusefa, pozostałam w nich, jak długo mogłam, usiłując odzyskać utracone lata na jego rozłożystej piersi, tak bardzo przypominającej pierś ojca. Ramiona brata złagodziły na chwilę moją samotność.

Na podwórku grupa kobiet, żon zgromadzonych mężczyzn, czuwała nad matką i dzieckiem. Na nasz widok zerwały się, by mnie uściskać.

- Miło wreszcie cię poznać! - powtarzały jedna przez drugą. - Fatima tyle o tobie opowiadała.

Kobieta w czerwonej chuście w kropki zacisnęła usta.

- Wspomniała też, że postrzelili cię w dzieciństwie. Oby Allah wystrzelał ich wszystkich.

- Amen - uzupełniła druga. - Proszę, częstuj się herbatą. I knafe.

Najstarsza z nich, w tradycyjnej haftowanej thobe i białej chuście na głowie, podniosła się z pewnym wysiłkiem, przerywając pozostałym.

- Myślicie, że przyszła tu do was czy do rodziny i dziecka? - Wprowadziła nas do głównego pomieszczenia trzyizbowego domu mojego brata. Całość uzupełniały kuchnia i łazienka.

Fatima wyglądała niczym pogrążona w śpiączce, wyczerpana ponad dwudziestogodzinnym porodem, a moja malutka bratanica spała obok niej jak aniołek. Dali jej na imię Falastin, co po arabsku znaczy „Palestyna”.

- Bardzo oryginalnie - zażartowałam pod adresem Jusefa, który wziął córeczkę na ręce.

To dopiero był widok, kawał chłopca z taką kruszynką w objęciach. Kiedy myślę o nim dzisiaj, widzę tamtą chwilę bezgranicznego oddania rodzinie. I wciąż słyszę jego słowa:

- Oto trzymam w rękach najdoskonalsze z dzieł bożych. Twoja kolej, siostrzyczko!

- Ismallah, ismallah! - Ostrożnie wzięłam dziecko, z sercem stąpającym na palcach w tej świątyni miłości. Słodko ziewnęła, więc przysunęłam się bliżej, aby wciągnąć w płuca jej oddech. Nie ma nic równie czystego, jakby Bóg tchnął weń część siebie. W oddechu Falastin wyczułam powiew boskiej obietnicy, przekazanej również nam.

Ułożyłam bratanicę przy matczynej piersi, patrząc, jak brat, przepełniony miłością, przenosi wzrok z żony na nowo narodzoną córkę. W obozie, który Izrael nazwie później „wylegarnią terrorystów” i „ośrodkiem przemocy”, byłam świadkiem uczucia, które przewyższyło wszystko.

Później, gdy znaleźliśmy się we dwoje z bratem, nadeszła odpowiednia chwila.

- Mam coś dla ciebie - powiedziałam, wyjmując z kieszeni fajkę ojca. Uroczyście wręczyłam mu zawiniątko, tak jak przed laty Ammo Jack O'Malley wręczył je mnie, gdy przyjechaliśmy do Jerozolimy.

Wstał przejęty moim namaszczeniem. A gdy w powietrzu rozniosła się woń ojcowskiego tytoniu, zamarł w bezruchu. Opuścił ramiona i po raz pierwszy w życiu zobaczyłam, jak mój brat płacze.

- Skąd ją masz? - spytał, ocierając łzy.

Ciągle, wszechobecne pragnienie spędzenia z ojcem choćby jednej chwili dłużej zwiędziło kolejne godziny bliskości między bratem i siostrą, którzy odnaleźli się jako dorośli ludzie. Przepraszał, że zostawił mnie w Dzeninie. Zabralby mnie ze sobą, gdyby mógł.

- Wybacz, że nie byłem przy tobie po śmierci mamy. - Dopiero po roku dowiedział się, że zostałam postrzelona. Życie nie było łatwe. Nie dla mnie. Ale znów byliśmy rodziną i pojawiło się dziecko, obietnica, której mogliśmy się trzymać. - Nie wiedziałem, co innego robić, Amal. Ale chcę ci to wynagrodzić. Od tej pory będę przy tobie.

- Staraleś się, braciszku. Wiem o tym - odpowiedziałam.

- Są rzeczy, o których ci nigdy nie mówiłem - zaczął Jusef. Popatrzył na swoje dłonie, jakby najpierw składał tam słowa, nim wypowiedział je na głos. - Nasz brat Ismael, dziecko zaginione w 1948 roku, żyje - dodał, spoglądając na mnie badawczym wzrokiem.

Zdziwił się na wieść o tym, że wiem, a przynajmniej zawsze to podejrzewałam, odkąd podsłuchałyśmy z Huda, jak opowiada o Jahudim, którego zwał Dawidem.

- Huda też wie?

- Nie wydaje mi się, aby twoje słowa wywarły na niej takie samo wrażenie, jak na mnie. W każdym razie nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Kiedy Fatima się obudziła, mój brat jej usługiwał, po czym wszyscy troje świętowaliśmy spotkanie po latach, podjadając nablus džibneh* i arbuza. Potrafię dziś odtworzyć w myślach ten dzień, ale w głowie pozostały mi same obrazy, bez dźwięku. Obraz chwały matki i dziecka, odmierzany miarowym ruchem niemowlęcej główki przyssanej do piersi. Fatima wygląda pięknie, wprost promienieje. Ktoś mówi coś zabawnego i widzę srebrną plombę w zębie Jusefa, gdy śmiejąc się, otwiera usta. Chleb - duży, cienki irański khobz, który uwielbiam - przechodzi z rąk do rąk.

* **Nablus džibneh** - gatunek owczego sera.

Potem Jusef z dumą obchodzi obóz z dzieckiem w ramionach. Biorę małą na chwilę, a on zapala ojcowską fajkę, napełniwszy ją świeżym tytoniem. Wciąga dym, powieki mu opadają, usta rozszerzają się w nostalgicznym uśmiechu. Otwiera oczy i nurzamy się w krzepiącym zapachu, wskrzeszającym ojca. Czytam z ruchu warg brata, lecz nie słyszę dziś słów: „Tata i mamą zatańczyliby dzisiaj”. Od dziecka marzył, by zatańczyli ponownie, jak wówczas, kiedy Dżuddo Jehja powrócił z Ein Hod z zakazanym owocem i wszyscy uchodźcy świętowali do późna.

Tamtego wieczoru w Szatili zrobiłam mnóstwo zdjęć, ale jedno cenię szczególnie, oprawiłam je i postawiłam na kominku. Przywołuje szczęśliwą atmosferę owego dnia. To zdjęcie opuści kiedyś mój dom jako dowód zabrany przez CIA, a ja będę rozpaczliwie szukać negatywu, by wywołać drugie. Mój brat z szerokim uśmiechem patrzy na swą pierworodną Falastin, a Fatima, miłość jego życia, stoi wsparta ufnie o ramię męża w ciasnym mieszkanku obozowego miasta.

Tamtego lata w Libanie bardzo się z Fatimą zżyłyśmy. Przestałam być małą dziewczynką, która nosiła ich listy i na bosaka biegała po obozie, i stałam się młodą kobietą, którą ona mogła wziąć pod swoje skrzydła. Dzieliłyśmy się obowiązkami, odmierzając czas postęпами Falastin, a Fatima postawiła sobie za cel mnie wyswatać.

Wzięła na celownik tylko jednego mężczyznę, który w podobnych okolicznościach jak ja dostał się na studia. Też był uchodźcą bez rodziców, który zdobył ONZ-owskie stypendium i spędził jedenaście lat w Oksfordzie, zdobywając specjalizację chirurga naczyniowego.

Oczywiście udawałam, że w ogóle mnie to nie interesuje. Ale Fatima podpuszczała mnie, żartując, że w moim wieku muszę być strasznie sfrustrowana bez mężczyzny.

- Pewnie coś o tym wiesz, skoro po raz pierwszy uprawiałaś seks dopiero w wieku trzydziestu dwóch lat! - odparowałam.

- Owszem. I warto było czekać!

- Błagam. Nie chcę nic słyszeć o seksualnych wyczynach mojego brata! - krzyknęłam, zatykając uszy.

Wybuchnęła śmiechem. Lecz gdy przyznałam się do serii nieudanych związków w Stanach, spoważniała.

- Zdaje mi się, że większość Amerykanów nie kocha tak, jak my. I nie chodzi tu bynajmniej o jakąś wewnętrzną ułomność czy niedostatek. Oni egzystują w bezpiecznych, płytkich rejonach, rzadko zapuszczając się w głąb takich emocji, z jakimi my obcujemy na co dzień. Widzę, że nie bardzo rozumiesz. Weźmy na przykład strach. Nasz zwykły strach to dla innych prawdziwa groza, gdyż zostaliśmy znieczuleni widokiem wiecznie wycelowanej w nas broni. Natomiast groza w naszym pojęciu to coś, czego wielu ludzi Zachodu nigdy nie doświadczy. Okupacja izraelska od dziecka pcha nas na granice własnych emocji i w końcu wpadamy w absolutne skrajności.

Korzenie naszej udręki są tak nierozzerwalnie splecione z poczuciem straty, że traktujemy śmierć jak członka rodziny. Najchętniej unikalibyśmy go jak ognia, co nie zmienia faktu, że jest jednym z nas. Nasz gniew to furia niepojęta dla ludzi Zachodu. Nasz smutek wzruszyłby kamienie. Z miłością jest podobnie, Amal.

Tę miłość znasz, tylko jeśli doświadczyłeś głodu, od którego skręcało cię w środku. Jeśli ktoś zasłonił cię przed bombą spadającą z nieba i kulą, która miała cię przeszyć. To miłość, co rzuca się bez strachu ku nieskończoności. Miłość, w której mieszka Bóg.

W długim bytowaniu z dala od siebie, w miłości rozkwitłej na wojnie, Jusef i Fatima odkryli ten sekret.

Madżid przyszedł do mojego brata w piątek po modlitwie. Właśnie mijały dwa tygodnie, odkąd podjęłam pracę w ONZ-owskiej szkole dla dziewcząt. Był to również dzień przełomowy, bo mała Falastin po raz pierwszy się uśmiechnęła.

- To lekarz, o którym ci mówiłam - szepnęła Fatima, mijając mnie z orzeszkami i kawą na tacy dla gościa.

Mężczyzna, z którym chciała mnie skojarzyć, był tym samym, który odebrał mnie z lotniska.

Fatima postanowiła kuć żelazo, póki gorące, i zaproponowała, by Madżid pokazał mi miasto, gdyż przez cały miesiąc pobytu nie wysunęłam nosa z obozu. Zawahał się, a mnie ogarnęło zakłopotanie. Plan Fatimy był oczywisty i sytuacja stała się krepująca. Jusef nie był zachwycony, że jego niezamężna siostra miałaby się pokazywać z mężczyzną. Oczywiście ufał Madżidowi. Ale wszystko po kolei. Jak należy.

- Przecież Amal mogłaby ci pomóc przy porodach. - Fatima nie dała się zbić z tropu.

Madżid udzielał się w obozie jako ochotnik, w związku z czym asystował przy wielu porodach.

- Um Jusef, pokój jej duszy, była akuszerką i nauczyła Amal wszystkiego - ciągnęła Fatima. - We dwie odbierały porody w Dżeninie.

Dalia i ja byłyśmy zespołem.

Madżid zwrócił się do Jusefa; to jego głos był decydujący. Brat nie zaproponował i Madżid ucieszył się z tej propozycji.

- Um Laith ma rodzić w przyszłym tygodniu - powiedział. Będzie to dla niego wielka pomoc i zaszczyt, jeżeli wezmę na siebie część odpowiedzialności. Jeśli jestem zainteresowana, ma się rozumieć.

Spojrzałam na brata, by potwierdzić, że ostatnie słowo należy do niego. Docenił ten gest.

- Nie mam nic przeciwko temu. Niech Allah da wam siłę. - Związek siostry z najlepszym przyjacielem dopełniłby jego szczęście. Chciał tylko nadać rzeczom właściwy bieg. Dotrzymać słowa danego ojcu i mnie.

I uśmiechnął się swym sztubackim uśmiechem, wymieniając z Fatimą porozumiewawcze spojrzenie.

Wudu, potem sałat. Potrzymałam nowe nożyczki nad ogniem, „w imię Allaha Litościwego, Miłosiernego”. Madżid się spóźnił, miałam iść pierwsza do domu Um Laith.

Fatimę zaniepokoiło moje milczenie w drodze.

- Nie denerwuj się, robiłaś to milion razy. Bezwiednie odpowiedziałam jej tak, jak kiedyś mama mnie:

- Nie mów teraz. Nie czas na to. - Ale zaraz oprzytomniałam. Potem jej to wyjaśnię.

Dziecko źle się ułożyło. Od razu wyczułam kłopoty.

- Pomóżcie mi ją obrócić! - zawołałam, po czym przypominałam sobie, że muszę się uspokoić. Cokolwiek czujesz...

Zamarłam, wymamrotałam modlitwę. Oddychaj, dziecko. Dalio, pomóż, szepnęłam, przykładając dłonie do brzucha rodzącej.

- Zдай się na wolę Allaha - zwróciłam się do położnicy. Niechaj Allah poprowadzi twe ręce, usłyszałam cichy głos Dalii.

Wpadł Madżid i wezwał karetkę. Usłyszałam słowa „cesarka” i „dosyć tego”.

- Czekał - powiedziała Fatima.

Dziecko obróciło się na czas, by nie umrzeć i nie zabić matki. Nie zaplątało się w pępowinę, główka znalazła się tam, gdzie powinna. Madżid odebrał poród, po czym wysłał matkę z synem do kliniki.

- Gdzie Amal?

Umyłam się i wyszłam, udreńczona tym ciężkim porodem i wspomnieniami sprzed lat. Udreńczona przez Dalię. Jakie to bolesne, jakie słodkie znów być Amal - zamiast anonimową Amy.

Szłam przed siebie, ale mnie dogonił.

- W życiu nie widziałem czegoś podobnego. Nie wiedziałem, że tak można. - Madżid się ostrzygł. Potem przyzna się, że zrobił to dla mnie, aby wyrzeć lepsze wrażenie. - Nie uczyli nas tego na medycynie... Zbladłaś trochę. Dobrze się czujesz?

- Jestem zmęczona. - Opuściłam wzrok. Tęsknię za matką.

- Mogę cię odprowadzić? Kiwnęłam głową, tak. - Głodna?

Umieram z głodu. Do czego to prowadzi?

- Bo wiesz... z restauracji Abu Najifa zapachniało szoarmą - ciągnął, potykając się o własne słowa. - Chyba możemy wejść, skoro do jutra rozejdzie się wieść, że jesteś moją asystentką. - Plótł nieskładnie, chcąc zatuszować zakłopotanie, z którym było mu tak do twarzy. - Ale jeśli, twoim zdaniem, to nie wypada, mogę zamówić jedzenie i weźmiemy je na wynos.

Pomogliśmy kobiecie i jej dziecku wygrać ze śmiercią, Dalia pomogła mi odnaleźć kolejny fragment siebie, a Madżid próbuje wykombinować, jak tu zaprosić mnie na zwykły posiłek.

Uśmiechnęłam się bezwiednie.

- Możemy zjeść na mieście - zgodziłam się. Uśmiechnął się, odetchnąwszy z ulgą, że nie popełnił gafy. W jego lewym policzku pojawił się dołeczek, na który dotychczas nie zwróciłam uwagi, cień pogłębiony jednodniowym zarostem i uśmiechem, który pokochałam.

Ściemniało się, gdy szliśmy zostawić wiadomość Fatimie. Jusef miał późno wrócić, lecz oboje chcieliśmy zdążyć przed nim, postanowiliśmy więc zjeść nad wodą.

- Nareszcie, Oblubienica Palestyny - powiedziałam oko w oko z Morzem Śródziemnym, skąpanym w księżycowej poświacie. - Mój ojciec tak je nazywał. Dżiddo Jehja, którego nie poznałam, zabierał jego i Ammo Darwisza nad brzeg morza, gdy Palestyna była jeszcze Palestyną.

- Zawsze nią będzie - sprostował Madżid cicho, jakby z ociąganiem. Oparł twarz na rękach, wzdychając głęboko. - Wiesz co - dodał swobodniejszym tonem - Libańczycy nazywają je Oblubienicą Libanu. Zdaje się, że Grecy i Włosi też uważają je za swoją oblubienicę.

- Widać skacze z kwiatka na kwiatek.

- Trzpiotka.

Roześmiał się i wyobraziłam sobie jego dołeczek. Przyjemnie było razem siedzieć; otaczała nas ciemność przetykana gwiazdami, w wodzie odbijała się połówka księżyca.

- Spójrz tam - powiedział, wskazując na rozgwieżdżone niebo.

- Na co?

- Wiesz, jak wygląda Lew?

- Tak, to mój znak zodiaku.

- Wiem - odpowiedział. - Widzisz zarys? Podążaj za moimi palcami. - Obrysował głowę lwa. - Tu jest Algieba, tam Ras Elased, Alterf...

- To słowa arabskie. Naprawdę noszą takie nazwy?

- Tak. Zostały nadane przez Arabów, wciąż są w użyciu. Ale konstelacje mają greckie nazwy. Widzisz, gdzie pokazuję?

Usiadłam za nim, żeby lepiej widzieć. Ale zamiast tego zobaczyłam, że jego barki łączą dwa końce widnokregu.

- Skąd tyle wiesz o astronomii? I że jestem spod znaku Lwa? - Usiadłam tam, gdzie poprzednio.

- Al-Sufi's Suwami Kawakib - odparł, spoglądając z nateżeniem w górę. Był to jego najcenniejszy skarb: jeden z pierwszych drobiazgowych opisów konstelacji, pochodzący z I wieku. - Podrzucę ci to następnym razem. Poza tym - dodał - twój brat i ja jesteśmy bardzo zżyci. Rozmawialiśmy o tobie. - Popatrzył mi prosto w oczy. - Ostatnio... bo zapytałem. - I uśmiechnął się swym nieśmiałym uśmiechem, trafiając mnie nim prosto w serce.

Fatima czekała na mój powrót.

- I co? - zapytała.

- Jest miły - rzuciłam oględnie, nie chcąc dawać jej satysfakcji, chociaż język mnie świerzbił.

- Aha! Spodobał ci się. Już ja to wiem. Ale nie chcesz przyznać, kto tu jest najlepszą swatką - odrzekła z przechwałą, poklepując się po ramieniu.

- Dobra, dobra, mądralo. A co, jeśli mi się nie spodobał? Rzucasz mnie w ramiona obcego człowieka! Co z ciebie za Arabka? - zażartowałam.

- Żaden z niego obcy człowiek. Przyjaźni się z twoim bratem od czasu bitwy o Karameh. Zawdzięcza Jusefowi życie, bo dzięki niemu ocalał w 1968 - oznajmiła Fatima.

Zdziwiło mnie, że Madżid w ogóle brał udział w walce.

- Jakim cudem bojownik OWP wyjechał na stypendium do Anglii?

- Jusef dowiedział się o jego świetnych wynikach w nauce i bezskutecznych próbach zdobycia stypendium. Dlatego postanowił mu pomóc. Dzięki swej pracy

w szkole miał kontakty wśród personelu ONZ i skierował Madzida do odpowiednich ludzi.

- Nie opowiadał mi o tym - odrzekłam.

- Na pewno opowie. A teraz gadaj, kto tu jest najlepszą swatką.

- Moja głupiutka bratowa.

- Miło mi to słyszeć. Bo tak groźnie na mnie łypnęłaś, wychodząc, że aż się przestraszyłam - rzuciła ze śmiechem.

27. LIST

1981

Madżid na stałe zagościł w myślach Amal. Towarzyszył jej na każdym kroku, gdy odtwarzała chwile, które spędzili razem, doszukując się ukrytych znaczeń w jego słowach. Kiedy przez tydzień nie dawał znaku życia, siedziała jak na szpilkach. A gdy minęły kolejne dwa, żyła tylko jego przyszłymi odwiedzinami.

Bezustannie wypatrywała w okolicy białego fiacika Madżida; miała nadzieję - nie, modliła się - że zastanie go na wizycie u pacjenta lub konsultacjach z innymi lekarzami. Bacznie nasłuchiwała wieści o nim, o planowanych odwiedzinach u chorych bądź o spotkaniach z Jusefem. Jej zachowanie nie było bynajmniej zagadką dla miejscowych kobiet, które szeptały między sobą na widok młodej nauczycielki, wypatrującej - co do tego nie miały wątpliwości - el doktora Madżida. Owszem, plotkowały, lecz nie ze złośliwości, raczej z przyzwyczajenia i tęsknoty za własną młodością, gdy miłość stanowiła największą szansę. Poza tym w obozie dla uchodźców, gdzie tylu ludzi mieszka na tak ograniczonej przestrzeni, nie uchowają się żadne sekrety.

Pewnego ranka w drodze do szkoły grupka dziewczynek swoim zwyczajem dogoniła nauczycielkę.

- Dzień dobry, Abła Amal!

Amal zwróciła się do uczennic w niebieskich mundurkach, z białymi wstążkami we włosach i książkami na plecach. Nadbiegła Radża, filigranowe dziewczątko z figlarnym błyskiem w oku.

- Abła Amal - wydyszała - el doktor Madżid przyjedzie jutro do domu Mirvat zbadać jej ojca.

Sam dźwięk jego imienia wzbudził w Amal dreszcz, który starała się ukryć przed dziewczynkami.

- To dobrze. Jak się czuje Abu Dżalal po operacji? - spytała z wystudiowaną obojętnością.

- El doktor przyjedzie wieczorem, abla - uzupełniła dziewczynka, puszczając mimo uszu pytanie.

- El abla pyta o Abu Dżalala! - burknęła na nią jedna z dziewczynek, po czym zniżyła głos, znacząco szturchając ją w żebro. - Nie o el doktora!

- Wystarczy, dziewczynki. - Amal spojrzała na nie z ukosa, usiłując wznieść się na wyżyny autorytetu przysługującego „abli”. - Biegnijcie na lekcje.

I pobiegly ucieszone swym udziałem w historii podsłuchanej od matek.

Amal została do późna w szkole, przygotowując się na przyszły tydzień. Zabawiła aż do wieczoru w nadziei na spotkanie w drodze powrotnej. Wreszcie wyszła. Wracała powoli długą drogą obok domu Abu Dżalala i zaglądała w uliczki w poszukiwaniu zaparkowanego samochodu, ale na próżno wypatrywała białego fiata.

Po powrocie do domu brata rozczarowanie miała wypisane na twarzy.

- Gdzieś ty się podziewała? - Fatima rzuciła się w stronę szwagierki i pomogła jej rozpakować książki.

- Musiałam przygotować plan na kolejne trzy tygodnie - odrzekła cicho Amal.

- Wysłałam po ciebie dzieci. Madżid wpadł z wizytą. Wyszedł niespełna kwadrans temu - powiedziała Fatima.

Dźwięk jego imienia znowu poruszył Amal do głębi.

- Salamati jachti. - Jusef pocałował siostrę w czoło. - Madżid zostawił dla ciebie książkę. Prosił, żebyś na nią uważała.

Powoli sięgnęła po książkę. Bezcenny egzemplarz Al-Sufi's Suwami Kawakib Madżida. Podniosła wzrok na brata, szukając w jego oczach pozostałości rozmowy z Madżidem. Jusef nie wzięłby książki ot tak, a Madżid nie przyniósłby jej bez podania przyczyny. Nie uciekłby się do wybiegu, nie pozwolilby sobie na to. Uczciwość to sprawa honoru. A honor to podstawa.

Ale Jusef nie dodał nic więcej, a minę miał nieprzeniknioną. Amal dopatrzyła się w niej tylko irytującej szczerości.

Jusef ziewnął. Następnie przeciągnął się i spojrzał znacząco na żonę.

- Fatuma, habibti - zawsze zwracał się tak do niej, gdy czegoś chciał. - Idę się położyć, a ty?

- Twój brat mnie wykańcza - szepnęła wesoło Fatima do ucha Amal.

- Och... - Amal zatkąła sobie uszy. - Nie chcę tego słuchać!

Fatima cmoknęła ją w policzek i ze śmiechem poszła do sypialni, zamykając za sobą drzwi. Amal wyszła na podwórko, książkę trzymała mocno w objęciach. Przyniosła ją do nosa, wyobrażając sobie, że prócz wiekowej skórzanej obwoluty czuje wodę kolońską Madżida. Otworzyła książkę; w powietrze wzbiła się stęchła woń zakurzonego pergaminu. Wewnątrz, między okładką a pierwszą stroną, leżała mała, biała koperta: „Do Amal”.

Wzięła ją do ręki. Jusef wie. Madżid nie zrobiłby z niego bezwiednego doręczyciela. Fatima też wie. Ten wybieg z wczesnym pójściem spać był częścią zmywy.

A teraz dowie się również Amal.

Bismillah Arrahman Arrahim Najdroższa Amal, sam nie wiem, jak zacząć ten list, więc zacznę od tego, że począwszy od dnia, gdy odebrałem Cię z lotniska, nie

mogę przestać o Tobie myśleć. A od tamtego wieczoru na plaży nieustannie towarzyszysz mi w marzeniach. Unikałem przyjazdów do Szatiłi w nadziei, że wszystko sobie poukładam. Lecz każda myśl sprowadza się do tego, że jestem w Tobie zakochany.

Poświęciłem życie walce i złożyłem wiele przysiąg dla sprawy. Myślałem, że w moim sercu brakuje miejsca na kolejną obietnicę. Ale Ty poruszyłaś we mnie struny, o których istnieniu nie wiedziałem. Dlatego złożę jeszcze jedną: jeśli mnie zechcesz, będę Cię kochał i chronił przez resztę moich dni.

Twój Madżid

Amal ponownie odczytała list. A potem jeszcze raz. I serce zabiło jej tak mocno z miłości, jak kiedyś ze strachu.

- Chciałabym zobaczyć jej minę, kiedy to przeczyta - powiedziała do męża Fatima zła, że nie chciał jej zdradzić treści listu, który pokazał mu Madżid.

Nadała się, niepocieszona, że dowie się na samym końcu. Coś przyszło jej do głowy i zmrużyła oczy.

- Jeśli mi nie powiesz, pójdę do Amal - ostrzegła męża, bezskutecznie powstrzymując uśmiech cisnący się na usta.

- Habibti, proszę, zostań ze mną - jęknął jak dziecko Jusef, leżący na łóżku ze śpiącą Falastin w ramionach.

Dalej mrużyła oczy i marszczyła nos - Jusef patrzył z zachwytem, jak uśmiecha się pokonana. Ostatnim wysiłkiem przygryzła wargę, a wyglądała przy tym tak pięknie, że oczu nie mógł oderwać.

- Chyba mogę zaczekać do rana - ustąpiła i sięgnęła do szuflady po koszulę nocną.

Po ciąży przybyło jej trochę ciała; wstydliwie stanęła za komodą, żeby się przebrać.

- Wracaj do dziecka - poleciła, kiedy Jusef chciał do niej podejść.

- Czemu? Falastin śpi.

- Bo się przebieram. Idź, mówię. - Zasłoniła się koszulą. Wyłącznik światła był poza zasięgiem ręki. Jusef zrozumiał i klęknął przed nią.

- Pokaż mi - poprosił. Znieruchomiała, jakby miał ją zobaczyć, dotknąć po raz pierwszy. Gdy opuściła koszulę, mąż oparł głowę o jej talię. Całował ciało, które nosiło jego dziecko, i przesuwając palcami po wypukłościach, czerpiąc życie z niedoskonałości kobiety, która mieściła w sobie jego serce, marzenia i rozterki. Koszula sfrunęła na podłogę i miłość wzbiła się ponad małym domkiem w Szatiłi. Od mężczyzny kochającego się z żoną i jego siostry na podwórku, wciąż od nowa odczytującej obietnicę miłości.

28. „TAK”

1981

Spotkaliśmy się w tajemnicy dwa dni później. Madżid chciał usłyszeć moją odpowiedź na osobności, z dala od głosów i wyczekiwania. Umówiliśmy się więc w naszym ulubionym miejscu, pod nadmorską wioską Tabardża, i tam Madżid objął mnie po raz pierwszy. Błękitne Morze Śródziemne pluskało u naszych stóp, ginąc na skraju bezchmurnego nieba. Nie sposób było stwierdzić, w którym miejscu kończy się woda i zaczyna niebo, i gdzieś w tym bezmiarze spadł na mnie czar miłości.

Madżid zwrócił się do mnie, oczy miał czarne w błękitnym świetle.

- Rozmawiałem z twoim bratem. Wiesz, że musiałem od tego zacząć... - powiedział, przerywając napięcie. - Wyjdiesz za mnie, Amal? - spytał żarliwie, biorąc na świadków i współników błękit, morze i niebo.

Czekałam, by mu na to odpowiedzieć. Ćwiczyłam „tak” przed lustrem. Zdziwione, radosne „tak”. Rzeczowe „tak, oczywiście, że wyjdę”. Takie krótkie słowo, a tyle przygotowań.

Lecz zdobyłam się tylko na to, aby skinąć głową, i moje ciało wzięło go w swoje posiadanie, chłonąc skrzący się miłością cudowny błękit.

Musnął wargami moje usta, przyciągnął mnie bliżej i poczułam, jakbym czekała na ten pocałunek całe życie.

- Kocham cię - powiedział. Najdoskonalsze słowa.

Cokolwiek czujesz, trzymaj to w środku. Mama nie miała racji.

- Ja też cię kocham - szepnęłam mu do ucha, dobrowolnie oddając się w niewolę własnych słów.

Nasłuchiwałam swojego oddechu w jego ramionach. Jeszcze nigdy nie byłam tak świadoma życia i tak za nie wdzięczna. Wdzięczna za bezmiar błękitu, który mnie wypełniał.

Wracaliśmy razem, aby wspólnie zanieść nowinę do domu. Kiedy szliśmy uliczkami, dogoniło nas parę moich uczennic. Powitały nas ze śmiechem i uciekły, by za chwilę powrócić z radosnym „doktor Madżid i nauczycielka Amal zakochana paaaaaaaaa”, i pobiegly dalej.

Szerokie barki Madżida obok mnie, rytm jego kroków i pomrukiwanie dały początek marzeniu, które zmieniło bieg mojego życia, na zawsze czyniąc ukochanego jego ośrodkiem.

29. MIŁOŚĆ

1981

W miesiącu poprzedzającym ślub spotykali się codziennie. Madżid zjawiał się wczesnym rankiem, tak czarodziejskim w dzieciństwie Amal. Dzień w dzień czekała w uniesieniu i z sercem zawieszonym we mgle świtu dopóty, dopóki nie usłyszała jego kroków. Kroczył w pośpiechu, spragniony widoku namiętności w jej bezdennych czarnych oczach, gdy kierowała na niego wzrok. Ale gdy już stali na wprost siebie, pragnienie wzajemnej bliskości ustępowało miejsca poczuciu obowiązku, lojalności i poszanowaniu dobrego imienia Jusefa i Fatimy oraz perspektywie rychłego ślubu.

Rozmawiali głównie po to, aby słyszeć swoje głosy. Madżid uczył się niuansów żarliwej miłości, zawartej w spojrzeniach zakochanej w nim kobiety, pełni własnego oddechu w jej obecności oraz tego, że czas upływa zbyt szybko, kiedy są razem, i zbyt wolno, gdy znajdują się z dala od siebie.

Podczas tych wspólnie spędzonych chwil ich uczucie zdawało się żyć własnym życiem. Słowa stawały się intruzami, dlatego mówili szeptem. I czas mijał im na cichych rozmowach i uśmiechach, na których mogli zawiesić serce, po czym wstawało słońce i odmawiali razem pierwszą modlitwę sałat.

Jeszcze nisko nad ziemią słońce zastawało dwoje modlących się i rzucało długie cienie daleko za ich plecami. Nadchodził w końcu moment rozstania.

- Przyjdiesz po pracy? - pytała za każdym razem.

A on odpowiadał niezmiennie: Inszalla. Jak Bóg da.

Wieczory były cudowne, zawsze pełne nadziei i czyste, gdy Madżid znajdował się blisko. Widzę je teraz, jakbym zaglądała do środka przez szybę. Cała nasza piątka, Fatima, Jusef, Madżid, mała Falastin i ja, siedzimy wokół talerzy ze smażonymi pomidorami, humusem, fuulem*, oliwkami, zaatarem, jajkami, jogurtem i ogórkami. Rozmawiamy i śmiejemy się pod rozgwieżdżonym dachem nieba, jakbyśmy byli razem całe życie. Falastin wkłada paluszki do humusu, a Fatima je oblizuje. Dziecko jest zachwycone i próbuje włożyć palce do ust matki. Wtedy czuję, że nie mogę doczekać się własnego.

* Fuul - pasta z fasoli do smarowania pieczywa.

Czasem Madżid przynosił teleskop i uczył mnie tajemnic nocnego nieba. W któryś czwartek na plaży przed zachodem słońca zobaczył mój okaleczony brzuch. Bez cienia zakłopotania położył rękę na bliźnie. Z czułością musnął ją palcami i

ucałował fałdy ściągniętej tkanki. Akceptował moje ciało tak, jak ja nie potrafiłam. Czułość rozwiała wstyd, pocałunek ukoił nienawiść.

Nadchodził ten dzień i nigdy nie byłam przedmiotem takiego zainteresowania i radości. Moje wspomnienia z tamtego okresu rozbrzmiewają radosnym zagharit kobiet. Przyjaciółki Fatimy, z którymi i ja się zaprzyjaźniłam, wydepilowały mi skórę, namaszczając ją balsamami i olejkami. Spaliły kadzidło, by nasycić nim moje włosy, i błogosławiły mnie dziesiątkami modlitw i litanii. A jedna w cztery oczy spytała Fatimę, czy uświadomiła mnie, co robić i czego się spodziewać w noc poślubną.

30. HISTORIA NIESKOŃCZONOŚCI

1981-1982

Przystrojona złotą biżuterią o wiele skromniejszą niż biżuteria jej matki, Amal rozkoszowała się ślubem. Miała na sobie dziewiczy strój z białego jedwabiu i tańczyła z kobietami z Szatili, które napełniały powietrze swymi pieśniami i elektryzowały wieczór wirem roztańczonych ciał. Z dala od mężczyzn zdjęły hidżaby. Ciemne, farbowane henną sploty spłynęły w dół i każda z kobiet zawiązała sobie chustę w pasie. Kołysały biodrami, falując w rytmach Bliskiego Wschodu, z dumą i uwodzicielsko. Tańczyły na cześć panny młodej, aby błogosławić jej ślub swoją radością, celebrując odwieczną tradycję arabskich kobiet, które puszczały się w tany we własnym gronie, z dala od oczu mężczyzn.

- Aaaaaaahh eeee aaaaaahh - zaintonowała głośno stara kobieta i pozostałe zamilkły. - Niech Allah obdarzy ją płodnością.

Błogosławieństw udzielały zwykle starsze krewne, lecz Fatima była za młoda.

- Aaaaaaahh eeee aaaaaahh - śpiewała dalej kobieta, śląc modlitwy do nieba. Na koniec podniecenie wybuchło w donośnym zagharicie, pradawnym porywie radości i uniesienia.

Amal przypomniła sobie, jak przed laty w domu Wardy bawiły się w ślub; jednej przypadała rola panny młodej, a pozostałe owijały chustami wążutkie biodra. Odgrywały sceny ślubne, usiłując wydobyć z siebie coś na kształt radosnego pohukiwania. Tylko Huda to potrafiła, na początku nieśmiało. Pasowały ją na swoją „trenerkę” i Amal ubłagała po kryjomu przyjaciółkę, żeby nie uczyła Lamii, bo ta umiała już zrobić salto.

Gdyby tylko Huda była tu ze mną! Amal tęskniła skrycie za najlepszą przyjaciółką. W ślad za tym życzeniem napłynęły kolejne i pomyślała o matce, pięknej, niezłomnej Dalii. O dziewczynkach z domu Wardy, Munie Dżalajcie i Kolumbijskich Siostrach. O brzasku i kojącym głosie ojca. O nawoływaniach i odpowiedziach ojczystego kraju i dniach na obczyźnie. Uśmiechała się przez całe wesele, ani razu nie zaciskając warg. Nostalgicznie zatapiała się we wspomnieniach, to znów powracała do rzeczywistości.

Mijały godziny, aż wreszcie kobiety zasłoniły włosy i pośpieszyły do mężczyzn, łącząc obydwie uroczystości. Ktoś wsunął dłoń Amal do ręki Madżida. Pan miodny był ubrany na biało, przepasany pasem, a na głowie miał kefię obszytą czerwoną jedwabną nicią. Amal stanęła twarzą do męża, welon z monetami zasłaniał jej wzrok, a goście weselni zatańczyli wokół nich ze złączonymi rękami.

Miłość wezbrała w obojgu. Pożądanie, od którego miękły kolana i wilgotniały ręce. Uśmiechnęli się do zgromadzonych, bo tego od nich oczekiwano, tak powinni zachować się państwo młodzi. Ale Madzid nie puścił jej ręki. Od chwili gdy drobne palce wsunęły się w jego dłoń, nie wypuścił ich, póki nie zaniósł Amal do swego fiata, i odjechali.

Potem wniósł ją do swego mieszkania w budynku Al-Tamaria w Bejrucie. Opadł pas, potem jedwab i nic już nie odgradzało ich od siebie. Wzniósł się nad nią, spijając jej nagość. W Anglii miał wiele kobiet, ale żadne ciało nie oczarowało go taką miłością. To było ciało Amal, Amal z długą samogłoską, jego nadzieje i pragnienia. Pochylił się nad nią i pocałował ją w usta, przymykając oczy, by chłonąć ich miękkość. Poczula na twarzy powiew jego oddechu i rozsunała nogi jak skrzydła, biorąc kochanka, męża, w głąb swego ciała. Tam poddali się burzy, która wdarła się w najbardziej skrywane zakątki serc ich obojga, i Amal obudziła się następnego dnia w marzeniu, rozsnutym nisko nad krajobrazem miłości.

W końcu los zesłał jej własne marzenie. O miłości, rodzinie, dzieciach. Nie o kraju, sprawiedliwości czy wykształceniu. Pojechałaby wszędzie, ale tylko z nim. Stał się jej korzeniami, ojczyzną.

Ich życia splotły się w jedno, a ona hołubiła najmniejsze drobiazgi wspólnej rzeczywistości. Myli zęby nad jedną umywalką, jedli i modlili się razem. Pisali swe imiona na piasku niby młodzi kochankowie, trzymając się przy tym za ręce. Golił jej nogi, a ona całowała go w szyję. Podcinała mu włosy, on wcierał jej szampon. Cieszyli się każdą chwilą, żadnej nie spisując na straty. Była to intymność pierwotna, bez cienia wstydu, z rodzaju tych, o których wspomniała Fatima. Miłość zmierzająca w głąb siebie, do nieskończoności, gdzie mieszka Bóg.

- Co czytasz, habibti? - spytał mój mąż. Pokazałam mu okładkę.

- Antologię amerykańskich wierszy o różach.

- Anglicy też są w nich rozkochani.

- Moja babcia Basima umiała je krzyżować. Mam tu jeden wiersz Roberta Frosta, rymującego poety: „Róża jest różą i zawsze nią była, chociaż wieść niesie, że się w jabłko zmieniła”.

- A cóż jest szczególnego w róży? - odpowiedział Madzid. - Przyglądałaś się kiedyś uważnie? Ma kolce. Zapach też niezbyt wyszukany. Róże trudno hodować i szybko przekwitają. Sto razy wolę mleczkę. To dopiero są kwiaty. Skromne, ale solidne, zawsze wracają, choćbyś robił z nimi nie wiem co. No i wciąż rozkwitają promiennym uśmiechem.

- Mówisz jak prawdziwy komunista - zakpiłam. - A ja, czym jestem? Mleczem czy różą?

- Och, mogłem się tego spodziewać. Ty, najdroższa... ty nie jesteś kwiatem, który jednego dnia kwitnie i więdnie następnego. Jesteś biciem mojego serca.

- Dobra odpowiedź! Mów dalej... - zachęcałam.

- A dostanę nagrodę?

- Niewykluczone - uśmiechnęłam się.

- I światłem moich oczu - uzupełnił.

- Niezły jesteś. Szanowny pan może odebrać nagrodę.

- Och, jest pani nazbyt uprzejma. - Łobuzersko uniósł brwi.

Znaleźliśmy mały domek w pobliżu Szatili, abym mogła dalej uczyć i mieszkać bliżej Fatimy i dziecka. Ale zatrzymaliśmy mieszkanie w Bejrucie, bo Madżid czasem pracował do późna.

Byliśmy niewiarygodnie szczęśliwi. Nawet kiedy z radia i kawiarnianych rozmów płynęły echa wojny, mój mąż i ja gawędziliśmy o dzieciach i starości wypełnionej szczebiotem wnucząt.

Kiedy nie dostałam okresu, moja radość sięgnęła porannego nieba, po południu zaś wzrosła dwukrotnie, wizyta w klinice potwierdziła bowiem, że obie z Fatimą jesteśmy w ciąży. Obliczyłyśmy, że musiałyśmy zajść w tym samym tygodniu.

- Lekarz określił termin na połowę września - powiedziała Fatima.

- Mnie też.

- Myślisz, że Madżid z Jusefem to zaplanowali? - zapytała niemal na serio.

- To nawet do nich podobne.

Madżid z wrażenia padł na kolana. Znalazł się oko w oko z moim okaleczonym brzuchem, oniemiały wobec perspektywy nowego życia. Szczegóły tego idealnego wieczoru zatarły się już w mojej pamięci, lecz pamiętam tę czystość, to poczucie bezbrzeżnego szczęścia, które nie daje prawa prosić o więcej.

Pocałował mnie w brzuch.

- Cześć, maluchu! - powiedział i z niedowierzaniem podniósł na mnie wzrok. - Będziemy rodzicami, Amal! - Był rozochocony jak mały chłopiec.

Długo rozmawialiśmy, ale nie pamiętam słów, tylko radość.

Miesiąc później, nadzy w łóżku, snuliśmy plany zwyczajem przyszłych rodziców. Mocno przytuleni rozmawialiśmy o naszej przyszłości i przyszłości naszego dziecka.

- Jeśli sytuacja stanie się bardziej napięta, habibti, Jusef i ja uzgodniliśmy, że ty, Fatima i dzieci wyjedziecie. Wróćcie, gdy sytuacja się uspokoi - oznajmił Madżid, przysuwając się bliżej.

Izrael atakował Liban, by wymusić odwet ze strony OWP. W lipcu 1981 roku podczas nalotu na Bejrut izraelskie samoloty zabiły dwustu cywilów i Ariel Szaron, ówczesny minister obrony Izraela, wygłosił oświadczenie, że siły partyzanckie zostaną rozbite raz na zawsze. Nie dawało to Jusefowi spokoju i martwił się o nas, w razie gdyby izraelskie ataki przybrały na sile. Obrona obozów dla uchodźców stanowiła cel nadrzędny. Koniec końców dowództwo OWP zrobiło kiepski interes, byle zapewnić bezpieczeństwo kobietom i dzieciom.

Ale do kwietnia 1982 roku, według obliczeń ONZ, Izrael dwa tysiące sto dwadzieścia pięć razy naruszył przestrzeń powietrzną Libanu, a sześćset pięćdziesiąt dwa razy jego wody terytorialne. Zgromadził na granicy dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy i nie ustawał w prowokacjach na południu Libanu. OWP wzbraniała się przed odwetem, podobnie jak rząd libański. Jednakże Jusef słusznie założył, że Izrael znajdzie pretekst do ataku, bez względu na kroki podjęte przez OWP.

Jusef, Madżid, a nawet Fatima przekonywali mnie, że tak będzie najlepiej. Miałam wrócić do Stanów, odnowić zieloną kartę i wszcząć procedurę imigracyjną dla mojego męża, Fatimy i Falastin, która miała prawie rok. Los Jusefa był związany z OWP, ale nade wszystko pragnął bezpieczeństwa rodziny.

- Tylko nie myśl, że nas porzucasz, Amal - powiedział, idealnie czytając w moich myślach. - Niewykluczone, że ratujesz im życie.

Ostatniego dnia w szkole uczennice w tajemnicy przygotowały dla mnie przyjęcie pożegnalne. Były to dziewczynki w wieku od dziesięciu do piętnastu lat; ubrane w identyczne mundurki, przyniosły do klasy herbatę i słodycze, a następnie zsunęły stoliki, by utworzyć jeden wielki stół. Dwie z nich, Wafa i Dana, zagrały na bębenkach, a pozostałe chwyciły się za ręce i odtańczyły dabke, prosząc, bym się przyłączyła. Na koniec każda wręczyła mi list, rysunek lub własnoręcznie wykonany prezent pożegnalny. Jedna mała dziewczynka, Mirvat, uszyła dla mnie poduszczkę do igieł z napisem „Kocham cię” po angielsku.

Obiecałam, że wrócę, i naprawdę w to wierzyłam: moim zdaniem wyjazd stanowił jedynie tymczasowy i - jak się pewnie okaże - zbędny środek ostrożności. To samo powiedziałam uczennicom w Szatili.

Rozstanie z Madżidem okazało się znacznie trudniejsze.

- Proszę, Madżid. Habibi, jedź ze mną - błagałam.

- Habibti, wiesz, że nie mogę tak po prostu wyjechać. Niedługo ludzie będą potrzebować lekarzy. Nie mogę ich tak zostawić.

Pożałowałam, że mój mąż nie jest tchórzem.

- W razie czego zamieszkać w szpitalu. Nawet Izrael nie zbombarduje szpitala - zapewnił i przyciągnął mnie bliżej. - Ani się obejrzysz, jak znowu się

zobaczymy, będziemy wychowywać dziecko i może spodziewać się kolejnego. Kocham cię na zawsze. Nasza miłość składa się z wieczności. Miłość. Na wieki. Na zawsze.

Oto słowa wypowiedziane przez mojego męża na lotnisku, gdy wylatywałam z Bejrutu. Uczepiłam się każdego z nich. Każdej sylaby.

Obiecałam bratu, tak jak mnie prosił, że natychmiast po przyjeździe wniosę o azyl dla Fatimy, która stała za nim ze studnią łez w oczach i małą Falastin w ramionach. Objęliśmy się niezdarnie, omijając nasze duże brzuchy, już w drugim trymestrze, i wymieniliśmy łzawe pocałunki. Falastin przycisnęła otwartą buzię do mojego policzka. „Ammah”, tak wymawiała moje imię.

Raz jeszcze ucałowałam męża i kolejne godziny podróży upłynęły mi na odpędzaniu złych przeczuć, krążących w mojej głowie jak sępy.

31. FILADELFIA RAZ JESZCZE

1982

Ziemia nas osacza,
Wpycha w ostatni korytarz,
I odrywamy sobie kończyny, żeby przejść..
Dokąd pójdziemy za ostatnią granicą?
Dokąd ulecą ptaki za ostatnim niebem?

Mahmud Darwisz, Ziemia nas osacza,
wiersz napisany po opuszczeniu Libanu przez OWP

O dziewiątej rano szesnastego maja 1982 roku, dwadzieścia sześć godzin po opuszczeniu Bejrutu, wbrew własnej woli znalazłam się w Filadelfii. Zdawało się, że wieki minęły, odkąd przybyłam tam po raz pierwszy, niepewna każdego kroku, przerażona, że ruchome schody wessą mnie pod spód, zazdrosna o włosy Lisy Haddad.

Czas naglił, więc zadzwoniłam do doktora Mohammada Mahera, dawnego promotora Madżida z Anglii, który był obecnie w Filadelfii profesorem.

- Czekałem na twój telefon, Amal - rozległ się w słuchawce pogodny, chropowaty głos. - Zaczekaj na mnie przy odprawie, będę za niecałe pół godziny.

Madżid od miesiąca korespondował potajemnie z doktorem Maherem, przygotowując grunt na mój przyjazd. Profesor załatwił mi pracę, miałam przygotowywać raporty kliniczne do audytów federalnych.

- Nieźle płacą, muszę tylko pokazać im twój dyplom. Jeśli zdecydujesz się na coś innego, możesz liczyć na moją pomoc.

Madżid był dla niego jak syn.

- Dlatego proszę, mów do mnie ammo lub po prostu Mohammad, jeśli wolisz. Żadnych „doktorów”.

Wzruszona i z braku odpowiednich słów - „dziękuję” nie mogło wyrazić tego, co czułam - odpowiedziałam po arabsku:

- Niech Allah zachowa cię w swojej łasce i ześle ci obfitość dobrodziejstw. Chylę czoło przed pańską dobrocią, doktorze... Ammo Mohammadzie.

Życie toczyło się tu na przyśpieszonych obrotach, o czym zdążyłam już zapomnieć. W ciągu dwóch tygodni zostałam przeszkolona do pracy, byłam u ginekologa i pięciokrotnie odwiedziłam biuro imigracyjne. Madżid dostał

pozwolenie na wjazd do Stanów, ale rozpatrzenie kwestii Fatimy miało potrwać jeszcze co najmniej miesiąc.

- Wiem, że sytuacja jest niewesoła - powiedziała pani z INS*, z rządkiem afrykańskich warkoczyków i miłym uśmiechem. - Postaram się przyspieszyć sprawę.

* INS (Immigration and Naturalization Service) - Urząd ds. Imigracji i Naturalizacji.

- Dziękuję. - Niech Allah uraczy cię dostatkiem i miłością.

Pod moją nieobecność miasto jakby uległo zmianie. Zachodnia Filadelfia stała się narkotykowym zagłębieniem, przybytkiem ubóstwa. Władcze dawniej twarze ociężałych matron, wciąż przesiadujących na gankach, dzisiaj wyrażały czystą rozpacz.

Starzy przyjaciele: Angela Haddad, Bo Bo, Jimmy. „Miło cię znowu widzieć, Amal”. Mieszkanie w północno-wschodniej części miasta, by nie siedzieć Maherom na głowie.

Podczas gdy ja wyczekiwałam przyjazdu bliskich, odmierzając czas nadzieją i sporadycznymi rozmowami telefonicznymi z mężem lub Fatimą, Ammo Mohammad i jego żona Elizabeth stali się moją zastępczą rodziną. Byli małżeństwem od blisko pięćdziesięciu lat. Po wyjeździe z Oksfordu pracowali za symboliczne wynagrodzenie na misjach charytatywnych w Afryce, on jako lekarz, ona jako pielęgniarka. Teraz oboje mieli pokaźne renty i wciąż kipieli chęcią działania; bezdzietni, nie mieli jej na kogo przelać. Trzymali się świetnie jak na swoje siedemdziesiąt lat, ale wiek osłabił ich kości i nieco podkopał siły, musieli więc zwolnić tempo i oszczędzać energię konieczną do przyuczania następców. Lekarze bez Granic. Dzieło miłości, lecz im zależało na czymś więcej. Mój przyjazd, życie dojrzewające w moim brzuchu wyrwało ich z otępienia. Rozbudziłam w nich uspiony instynkt rodzicielski, i z radością roztoczyli nade mną pieczę.

Elizabeth pilnowała, żebym odżywiła się jak należy, łykała witaminy i chodziła na regularne badania. Siedziała nieopodal, kiedy wisiałam na telefonie, wydzwaniając do Libanu bądź INS, po czym dzieliła ze mną zawód, gdy nikt nie odbierał lub było zajęte.

Przystrzyżone nad karkiem, płowiejące jasne włosy zaczesywała za uszy, bez cienia kokieterii. Wysoko nosiła głowę, a jej długie, lekko artretyczne palce nie ustawały w wysiłkach, by ratować świat, przy jednoczesnym staraniu o organizację i porządek w życiu Mohammada. Jej poranki rozpoczynały się kawą, którą bezskutecznie usiłowała rzucić od czterdziestu lat. Poprawiała czerwoną muszkę męża, będącą niemal jego znakiem szczególnym. Na pożegnanie wręczała

mu brązową torebkę z lunchem i obdarzała go pocałunkiem, w ramach stałego rozkładu dnia.

Poszła na emeryturę, gdy ammo został profesorem na Uniwersytecie Pensylwanii. Dni mijały jej na działalności charytatywnej, chodzeniu do spa, które upodobała sobie od niedawna, i wodnym aerobiku trzy razy w tygodniu. Mój przyjazd zmienił jej nawyki i w miarę zbliżania się terminu mego porodu poświęcała mi coraz więcej uwagi, traktując mnie jak własną córkę. Tak więc spędzałam więcej czasu w jej pokoju gościnnym niż we własnym mieszkaniu.

Piętrzyły się dni bez wiadomości od Madżida, Jusefa, Fatimy bądź INS. Było tylko uczucie pustki i doniesienia wieczornego dziennika. Po czym wszystko zawaliło się szóstego czerwca 1982 roku.

Izrael zaatakował Liban.

Nie zwracałam uwagi na mały telewizor w kuchni, lecz ammo owszem, i najpierw zaniepokoiła mnie bladeść Mohammeda. Od tygodni wstrzymywaliśmy oddech i teraz to, czego się obawialiśmy, przesuwało się wolno niby chmura po jego twarzy, aż cała krew z niej odpłynęła.

Napotkałam jego smutny wzrok i dotarły do mnie piskliwie wypowiedane słowa z odbiornika:

„Wielka inwazja”. „Eskalacja bombardowań”. „Dziewięćdziesiąt tysięcy armia na wybrzeżach Libanu”. Na ekranie pojawił się napis: „Operacja Pokój w Galilei”. Tak ludzie mieli to zapamiętać.

Operacja; oto jak gwałci się słowa. Madżid przeprowadzał operacje dla ratowania ludzkiego życia.

Przez pięć nieskończenie długich godzin wykręcałam numery, lecz Izrael przystąpił do systematycznego mszczenia połączeń komunikacyjnych; wszyscy próbowali dodzwonić się do bliskich i libańskie linie telefoniczne były napięte do granic możliwości. W końcu niebios się rozstały i usłyszałam w słuchawce głos męża.

- Habibti. Boże, tylko twego głosu mi trzeba, żeby przetrwać to piekło. - Z ust wyjął mi te słowa. Dodzwoniłam się do jego szpitala, w tle słyszałam ryk wojny, stłumiony huk bomb, wycie karettek. Krzyk grozy w oddali, tam gdzie pragnęłam się znaleźć.

- Przyjeżdżaj, Madżid, błagam! - zawołałam.

- Habibti, zgłaszają się setki rannych i brakuje rąk do pracy. Potrzebują mnie tutaj. Tylu lekarzy uciekło. Nic nie rób, tylko dbaj o nasze dziecko. Przyjadę... obiecuję, że niedługo się zobaczymy.

Nie wiedząc, kiedy znowu się usłyszymy, odwlekaliśmy pożegnanie, wypełniając każdą sekundę miłością, która miała żyć wiecznie. Obiecał, że zostanie w szpitalu.

- Śniło mi się, że urodziłaś dziewczynkę, małą Sarę, i pojechaliśmy na piknik nad morze. Pamiętasz, jak pisaliśmy nasze imiona na piasku? Nie mogłam wydobyć głosu.

- Jasne, że pamiętam - wyszlochałam. - Widziałam ją na USG.

- Ją?

- Tak. Będziemy mieli dziewczynkę. Będziemy mieli małą Sarę.

Nastała długa cisza.

- Ty jesteś dla mnie najważniejsza. Tobie jestem winien najwięcej. Prawda, kochanie? Kocham cię bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić. Może jednak rzeczywiście zrobiłem już tutaj wszystko, co należało.

Mała Sara.

Potem musieliśmy kończyć i poczułam, jakby ktoś odciął mi dopływ powietrza. Ale Madżid przyjeżdżał; to była kwestia paru dni, najwyżej tygodnia.

Skierowałam do Boga swoje modlitwy. Zrobię wszystko, tylko pozwól mojej rodzinie to przetrwać. Modliłam się, bez przerwy. Tak jak Dalia w innym miejscu i czasie. W czasie innej wojny.

Zerwano łączność telefoniczną.

Każdego ranka rozgarniałam pajęczyny mrocznych przeczuć i dzień mijał mi na wyczekiwaniu najnowszych doniesień. Zdrętwiała ze strachu niezmordowanie próbowałam się dodzwonić do męża. Ariel Szaron skierował wojska do Libanu - znanego pod szumną nazwą Oazy Bliskiego Wschodu - i przystąpił do oblężenia Bejrutu, trwającego dwa makabryczne miesiące, podczas których mieszkańcy pozbawieni byli wody, elektryczności i opieki medycznej.

Moje serce napęczniało farbą drukarską i metalicznymi głosami prezenterów wiadomości. Sprawozdawca mówił w studiu: „Organizacje humanitarne ostrzegają przed...”. Zatykałam uszy.

„Zarząd musi się zająć poprawą jakości obiadów”, oznajmił jeden z moich współpracowników. Inni narzekali na zbyt odległy parking. „Kto to widział łązić taki kawał, zwłaszcza w deszcz?”.

Straciłam kontakt z Madżidem i czułam, jakbym traciła kontakt z życiem.

Bomby i kolejne ofiary. Modliłam się i dzwoniłam do Czerwonego Krzyża. Dzwoniłam do INS. Proszę. Robią, co w ich mocy, i nie, nie mogę tam pojechać. Wstrzymano wszystkie loty. Jak moja rodzina ma tu dotrzeć? BBC pokazywała wieżowce rozsypujące się jak domki z kart. Grzebały wszystkich pod gruzami.

- Akcja Izraela wymierzona jest w OWP, organizację terrorystyczną, której celem stanowi mordowanie Żydów, tak jak podczas olimpiady w Monachium. - Izrael rzekomo działał w samoobronie. Aby zdławić OWP, liczący sześć tysięcy ludzi ruch oporu.

Do sierpnia bilans ofiar wyniósł siedemnaście tysięcy pięćset zabitych, czterdzieści tysięcy rannych, czterysta tysięcy bezdomnych oraz sto tysięcy osób bez dachu nad głową. Liban legł w ruinach, zdruzgotany, pozbawiony żywności i wody. Izrael twierdził, że działał z pobudek pokojowych. „Jesteśmy tu dla pokoju. To misja pokojowa”.

Po latach, wciąż w poszukiwaniu losu, który o mnie zapomniał, natknęłam się na sprawozdania świadków. W swych obszernych wspomnieniach, zatytułowanych Tren dla narodu: tragedia Libanu, brytyjski korespondent Robert Fisk tak opisywał izraelskie bomby zapalające:

Opowieść doktor Szammai była potworna; kobieta z trudem dobywała głosu. „Musiałam wkładać niemowlęta do wiader z wodą, by ugasić płomień”, mówiła. „Gdy wyciągałam je pół godziny później, jeszcze płonęły. Nawet w kostnicy tliły się godzinami”. Następnego ranka Amal Szammaa zabrała małe ciała z kostnicy, aby je pochować. Ku jej przerażeniu, ponownie stanęły w ogniu.

Ronald Reagan oddelegował Philipa Habiba, który wynegocjował zawieszenie broni, dając OWP czas na opuszczenie Libanu. Jusef miał do wyboru: wyjechać lub zginąć. Wyjechał, gdyż tylko w ten sposób mógł zapewnić bezpieczeństwo Fatimie i dzieciom. Tak twierdzili.

OWP wycofała się z Libanu, gdy amerykański wysłannik Philip Habib i Alexander Haig zapewnili oficjalnie, że Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, zgodnie z obietnicą prezydenta Ronalda Reagana, nie pozwolą skrzywdzić bezbronnych kobiet i dzieci pozostawionych w obozach dla uchodźców. Philip Habib osobiście podpisał stosowny dokument.

Tym sposobem OWP wygnano do Tunezji na podstawie pisemnej deklaracji Stanów Zjednoczonych. Los tych, których kochałam, zależał od mglistych, ogólnikowych obietnic Ronalda Reagana.

32. HISTORIA WIECZNOŚCI, NA WIECZNOŚĆ NIEOPOWIEDZIANA

1982

Dziesiątego września obudziłam się w panice, usiłując oddzielić noc od koszmaru. Gdy na obrzeżach mojej świadomości rozbrzmiał dzwonek telefonu, zegar wskazywał 3.02 nad ranem. Dzwonił Jusef.

Wraz z OWP dotarł do Tunezji, na miejsce wygnania. To właśnie tam trafili z Libanu, gdzie byli zmuszeni zostawić żony, dzieci i rodziców. Ich ofiara stanowiła jedynie uboczny skutek pochopnych umów, zawieranych przez Jasira Arafata w imieniu swego narodu.

A teraz spoczywał na Jusefie surrealistyczny, ciężący jak kamień obowiązek przekazania wiadomości, której nade wszystko pragnąłby mi oszczędzić.

Madżid dotrzymał słowa i zamieszkał w szpitalu, wyraźnie oznaczonym ze wszystkich stron i na dachu uniwersalnym symbolem medycyny, czerwonym krzyżem.

Ale za namową współpracowników wrócił do domu, by odpocząć od ciągłego wycia syren. Spał głębokim snem, tam gdzie kiedyś szukaliśmy wyzwolenia w miłości i gdzie poczęliśmy nasze dziecko, a gdy wrócił do pracy, na miejscu szpitala, zastał istne piekło. Spotkał tam mojego brata, który go szukał, i razem zaczęli wydobywać ludzi z gruzów.

- Ocalałeś tylko za sprawą łaski Allaha, bracie - powiedział z ulgą Jusef.

Jusef nie wiedział, co kiełkowało wówczas w głowie mojego męża, tyle tylko, że przez następnych dwadzieścia sześć godzin nie przerywał morderczej harówki w tym krajobrazie rozczłonkowanych ciał i znękanych dusz. Popiół gęstniał w powietrzu, zatykając im tchawice, kiedy brodzili w kałużach krwi, by dotrzeć do wołających o pomoc. Wyciągali spod gruzów martwych pacjentów Madżida. Widzieli zmasakrowane szczątki jego współpracowników, którzy namawiali go, by odpoczął w domu.

Zmęczenie stępilo obu zmysły, aż wreszcie opuścili ruiny, uginając się pod jego ciężarem.

Podążali przed siebie ostatkiem sił, gdy naraz ujrzeli martwą kobietę ze zwłokami dziecka w zeszywniałych ramionach, małej dziewczynki ze wstążką we włosach, wczepionej w matkę. Widywali gorsze rzeczy, ale widok matki z dzieckiem wskrzesił w nich resztkę energii, dość aby paść sobie w ramiona. I zapłakać.

- Dodzwoniłeś się do Amal? - spytał Madżid Jusefa, który zaprzeczył. - Urodzi dziewczynkę. Będę ojcem, bracie - dodał, wciąż w oszołomieniu. - Rano wracam do Londynu, stamtąd pojedę do Amal albo ona przyjedzie do Anglii.

Patrz, co wyrabiają te śwynie. Nie mogę ryzykować, że Amal zostanie sama z dzieckiem.

- Allan z tobą, bracie. - Jusef znowu go objął i rozeszli się w milczeniu, Madżid do naszego mieszkania na piątym piętrze bloku mieszkalnego Al-Tamaria, Jusef do Szatili.

Pięć godzin później na Al-Tamarię spadła izraelska bomba, druga zrównała z ziemią sąsiedni budynek.

- Szukałem wszędzie, Amal. Ale na pewno był w środku. Nikt nie przeżył - szlochał przez telefon mój brat głosem człowieka skazanego na wieczną udrękę, rwącym się z żalu i bezsilności. - Tak mi przykro, Amal. - Jego słowa ciążyły mi w uszach, tyle w nich było rozpacz. - Powinienem być go zaciągnąć ze sobą. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale nie mogłem, dopóki nie dotarliśmy do Tunezji...

Słuchałam... ciężkie sylaby łomotały w moje poczucie rzeczywistości. Kołysałam się, siedząc na podłodze i przyciskając słuchawkę do ucha. Nie przepełniała mnie rozpacz, gniew czy nawet miłość. Nic nie przenikało do środka, lecz zdawało się wylewać strumieniem. Słowa Jusefa przepływały przeze mnie jak woda, wysysając z komórek życie i zbierając się pode mną. Wspomnienie deszczu tłukącego w przednią szybę fiata; zgrubienia na stopach Madżida*, gdy pocierał nimi o moje łydki; włosy na jego piersi, kiedy kładłam tam głowę; łuk na czole, będący uśmiechem sam w sobie; drobne zmarszczki pod uszami, gładka skóra na plecach, gdy siadał w łóżku, jego dotyk, pocałunki, spokój, jego miłość...

*** Madżid. Moja miłość.**

Wszystko to rozlało się na podłodze wokół mnie niczym błotniste podłoże. Wreszcie uwieźlam w próżni myśli, odrętwiała i rozkołysana, ze słuchawką wciąż przyciśniętą do ucha, a przepełniony smutkiem głos brata rozwiął się w tej pustce.

Strzępy naszych marzeń zataczały kręgi wokół tej nowej rzeczywistości. Dzieci, które mieliśmy mieć, miejsca, do których mieliśmy pojechać, dom, który mieliśmy zbudować, piosenki, które mieliśmy wyśpiewać, życie, które mieliśmy przeżyć, miłość... ach, miłość, którą mieliśmy dawać i brać, zatańczyły wokół świadomości, że Madżid nie żyje. Zabili go. I zamienił się w popiół.

Wyszłam z domu, podążając przed siebie usianym liśćmi chodnikiem. Wachlarz jesiennych oranżów, zieleni, żółci i czerwieni zdobił obie strony mojej filadelfijskiej ulicy. Starsza kobieta z psem skinęła mi głową na powitanie. Mijałam młodych kochanków na ławkach, krocząc jak w transie, smagana przez

wiatr i otepiała na los, aż dotarłam do oddalonego o szesnaście kilometrów domu Elizabeth. Zaspany Mohammad podejrzliwie uchylił drzwi, po czym otworzył je na całą szerokość.

- Zabili Madżida - oznajmiłam jak gdyby nigdy nic. Kocham cię na zawsze. Nasza miłość składa się z wieczności. Madżid. Moja wieczna historia miłości, na wieczność nieopowiedziana.

Miłość. Na wieki. Na zawsze.

Słowa męża na lotnisku, kiedy opuszczałam Bejrut.

Trwają w mojej pamięci niby prochy w urnie. Chwała miłości, jak życie, zwyczajnie obrócona w pył.

- Boże święty!

Mohammad wciągnął mnie do domu. Dziecko kopnęło i zobaczyłam, że słońce i dzisiaj wzeszło.

33. TREN DLA NARODU

1982

Tamten wrześnieowy tydzień, począwszy od telefonu Jusefa, wyznacza oś mojego życia. Punkt, gdzie zbiegają się wszystkie przełomy naraz. Ogłuszające crescendo dwu-tysiącletniego dziedzictwa. Siedzisko demonicznego Boga.

Szesnastego września, mimo zawieszenia broni, wojska Ariela Szarona otoczyły obozy dla uchodźców Sabra i Szatila, gdzie Fatima i Falastin spały bezbronne bez Jusefa. Izraelscy żołnierze zajęli pozycje, blokując wyjścia z obozów, i wpuścili do środka członków sojuszniczej libańskiej falangi. Przyczajeni na dachach, dniem i nocą oświetloną blaskiem rac, obserwowali przez lornetki, jak falangiści chodzą od domu do domu. Dwa dni później do obozu weszli pierwsi zachodni dziennikarze, by dać świadectwo faktom. Robert Fisk napisał o tym w Trenie dla narodu:

Znajdowały się wszędzie, na drodze, w uliczkach, na podwórkach i w zrujnowanych pomieszczeniach, pod rumowiskami i na wysypiskach śmieci. Gdy naliczyliśmy sto ciał, przestaliśmy liczyć. Każda ulica była usłana zwłokami - kobiet, młodych mężczyzn, niemowląt i starców - zalegającymi w makabrycznych stosach wszędzie tam, gdzie ich rozstrzelano bądź zadźgano na śmierć. W każdym przesmyku widniały kolejne. Pacjenci palestyńskiego szpitala zniknęli po tym, jak napastnicy kazali lekarzom wyjść. Wszędzie napotykaliliśmy ślady wykopanych naprędce masowych grobów. I krążąc wśród dowodów tego bestialstwa, bez przerwy czuliśmy na sobie wzrok Żydów. Obserwowali nas przez lornetki ze szczytu zachodniej wieży, omiatając wzrokiem spustoszenie na ulicach; słońce odbijało się w szklach. Loren Jenkins (z „Washington Post”) klął, na czym świat stoi. Zrozumiał, że izraelski minister obrony ponosi za to część odpowiedzialności. „Szaron!”, krzyczał. „Ten skurwiel (Ariel) Szaron! To powtórka z Deir Jassin”.

Trudno opisać to, co zastaliśmy w palestyńskim obozie Szatila o dziesiątej rano osiemnastego września 1982 roku, dlatego poprzestańmy po prostu na chłodnej prozie oględzin medycznych. W Libanie dochodziło już do masakr, lecz rzadko na taką skalę i nigdy pod okiem regularnej, rzekomo zdyscyplinowanej armii. Dziesiątki tysięcy ludzi poniosły tu śmierć w panice i ferworze walki. Ale ci ludzie, setki ludzi, zostali po prostu zarżnięci. To było masowe zabójstwo, incydent - jakże łatwo używamy w Libanie słowa „incydent” - na miarę ludobójstwa, znacznie wykraczający poza to, co winnych okolicznościach Żydzi

określiliby mianem terrorystycznego aktu przemocy. Tutaj mieliśmy do czynienia ze zbrodnią wojenną.

Jenkins i ja byliśmy tak przytłoczeni tym, co zastaliśmy w Szatili, że długo nie mogliśmy się pozbierać. Pogodzilibyśmy się z widokiem kilku, nawet kilkunastu ofiar poległych w walce. Ale zobaczyliśmy kobiety leżące w domach ze spódnicami zadartymi do pasa i szeroko rozłożonymi nogami, dzieci z poderżniętymi gardłami, całe rzędy zwłok młodych mężczyzn, którym strzelono w plecy, ustawivszy ich pod ścianą. Niemowlęta - szerniałe, gdyż zamordowano je ponad dwadzieścia cztery godziny wcześniej i zaczęły już gnić - wyrzucone na śmieci obok puszek po konserwach z amerykańskich dostaw żywności, sprzętu medycznego z wyposażenia izraelskiej armii i pustych butelek po whisky.

Czy znałam te kobiety, niemowlęta ? Ile spośród tych dzieci było moimi uczennicami? Przez czterdzieści osiem godzin izraelscy żołnierzy oglądali jatkę, niczym w kinie. Czy izraelski żołnierz, Żyd, naprawdę może patrzeć, jak obóz dla uchodźców zamienia się w rzeźnię? Fatima. Falastin.

W uliczce na prawo, może czterdzieści pięć metrów w głąb, leżała sterta ciał. Było ich ponad tuzin, kilkunastu młodych mężczyzn ciasno splecionych ze sobą. Każdemu strzelono z bliska w twarz; kula rozrywała policzek aż do ucha i trafiała w mózg. Niektórzy mieli czarne bądź szkarłatne blizny po lewej stronie szyi. Jednego wykastrowano; leżał w podartych spodniach, muchy obsiadły okaleczone genitalia. Wszyscy mieli otwarte oczy. Najmłodszy liczył sobie nie więcej niż dwanaście, trzynaście lat.

W następnym akapicie poznałam los Fatimy i jej przyjaciółek - tych samych, które towarzyszyły mojej bratowej podczas narodzin Falastin. Kobiet, które zgotowały mi serdeczne powitanie, bo Fatima tyle im o mnie opowiadała. Które plotkowały, gdy zakochałam się w Madżidzie, i które śpiewały, tańczyły i płakały na moim ślubie.

Po drugiej stronie głównej drogi, na końcu gruzowiska, zobaczyliśmy ciała pięciu kobiet w średnim wieku i kilkorga dzieci. Ciała kobiet leżały na stercie rumowiska. Jedna spoczywała na plecach, w podartej sukience, zza niej wystawała głowa małej dziewczynki o krótkich, ciemnych lokach. Wpatrywała się w nas ze zmarszczonym czołem. Nie żyła. Ktoś rozorał kobiecie brzuch, tnąc w bok, a następnie do góry, być może w celu zabicia jej nienarodzonego dziecka. Oczy miała wytrzeszczone, twarz zastygłą w wyrazie zgrozy.

Fotograf z Associated Press zwolnił migawkę i obraz poszedł w świat. Zobaczyłam to zdjęcie w arabskiej gazecie i najpierw rozpoznałam błękitną sukienkę. Ulubiona diszdasza Fatimy, spłowieła po blisko dwudziestu latach noszenia. Kędzierzawa dziewczynka za nią to moja bratanica Falastin.

Jusef zadzwonił do mnie z krzykiem. Z krzykiem.

Mimo dzielącej nas odległości rozpacz w jego głosie mogła rozpołować niebo. Do dziś słyszę, jak gruchocze wiatr.

- Ile musimy znieść, ile poświęcić? - zawodził jak dziecko. - Fatima! Moja ukochana Fatima! Widziałaś, co jej zrobili? - zapytał, wykrzyczał, po czym odpowiedział sam sobie: - Rozpruli jej brzuch, Amal!

Brakowało mi słów.

- Rozpruli jej brzuch nożem!... Zamordowali moje dzieci! - Rozkrzyczał się jeszcze głośnie. - Zamordowali moje dzieci, Amal. O Boże! Boże...

Ziemia zatrzęsała mi się pod nogami od jego szlochu i pomyślałam, że ta udręka rozsadzi słońce. Rzucił, czym popadnie, a ja stałam w Pensylwanii, zahipnotyzowana brzękiem szkła na drugim końcu świata. Płakał bez opamiętania, z rozpaczą odchodząc od zmysłów. Jak burza. Jak tajfun.

Przeklinał Izrael, Amerykanów, Ronalda Reagana, Arafata i cały świat, nie darując żadnemu przywódcy, bogu ani szatanowi.

- Niech szczezną. Niech szczezną w tym piekle, które nam zgotowali.

Na dnie jego głosu usłyszałam nieme wycie gniewu, który w nim wzbierał, kwintesencję furii i udręki, przechodzących w twarde postanowienie. Poprzysięgał zemstę, zaklinał się, że ich zatłucze jak świnie. Walił głową w ścianę bez litości dla siebie, wciąż przyciskając słuchawkę do ucha, wciąż miotając przekleństwa. Wciąż zanosząc się szlochem konającej duszy.

Ból rozstroił go całkowicie. Zniszczył Jusefa. Mordując Fatimę, zamordowali mojego brata. A jego serce bilo teraz mocą gniewu.

- Zarznęli moją żonę i dzieci jak owce!

Rozłączył się. A ja stałam, obezwładniona przewrotnością losu. Skradzioną przyszłością i nieznośnym smutkiem oszukanej miłości.

Raz jeszcze wyszłam z domu, pod nogami skrzypiały mi świeżo opadłe liście. Zaciskałam zęby, przełykając łzy.

Bałam się płakać, by nie poczuć burzy szalejącej w moim bracie.

Cokolwiek czujesz, zachowaj to dla siebie. Och, Dalio, mamó! Teraz rozumiem!

Zdjęłam buty, zdjęłam skarpetki i sweter. Lepiej zamrozić serce.

I wyobraziłam sobie, jak krzyczę na filadelfijczyków, którzy dalej wiodą swoje amerykańskie życie.

Dziesięć przecznic dalej, na Rittenhouse Square, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Ponoć potrząsnęłam jakąś kobietą, żeby powiedziała, z czego się śmieje.

Odeszły mi wody i karetka powiozła moje przemoczone, ciężarne i bose ciało z dala od tłumu gapiów, którzy z litością przypatrywali się stukniętej rodzącej Arabce.

Mój ginekolog, którego wezwano do szpitala, powiadomił Mohammada, a ten natychmiast wezwał Elizabeth. Oboje słyszeli straszliwe wieści i wystarczyło im tylko jedno spojrzenie na moją twarz, aby domyślić się losu Fatimy i Falastin. Ale ja odwracałam wzrok w obawie, że ich smutek uwolni łzy tłumione z takim wysiłkiem.

Przez dziesięć godzin moje ciało rozrywały skurcze. Chciałam, żeby poród trwał wiecznie. Moje oczy zamieniły się w szkło, serce w lód, a oddech wydobywał się ze mnie bezszelestnie. Chowałam wszystko wewnątrz siebie, trzymałam paznokciami. Więziłam za zaciśniętymi zębami.

Cokolwiek czujesz, trzymaj to w środku.

Chciałam, żeby ból trwał dłużej i przybierał na sile, żeby zabił i mnie. Potrzeba bólu przewyższała potrzebę parcia i widziałam zaskoczenie, a nawet strach - lub zgrozę - pielęgniarek, które zjawiały się jedna za drugą, aby do mnie „zajrzeć”.

Wytworne rysy Elizabeth zwilgotniały ze współczucia i chęci, aby wyratować mnie przed moim losem. Ale w swej mądrości milczała, ani razu nie puszczając mojej ręki, a ja wpatrywałam się w przestrzeń, mocno zaciskając szczękę na rozedrganych zawiasach i nie mogąc darować sobie paru łez, które chyłkiem wymknęły się z oczu.

Wreszcie dziecko postawiło na swoim i uległam. Zaczęłam przeć, nasączając prześcieradło pode mną mieszaniną krwi i łez, które wreszcie popłynęły swobodnie.

Pojawiła się główka, rozdzierając ciało, i pomyślałam o brzuchu Fatimy rozprutym nożem mordercy. Przywołałam jej imię niczym okrzyk wojenny - „Fatima!” - prac coraz mocniej i mocniej, by rozerwać się, tak jak ją rozerwano. Chciałam krwawić za karę, zaznać piekielnych męczarni. Po co miałam żyć, skoro Fatima zgnije w masowym grobie? Po co miało urodzić się moje dziecko, skoro jej rozplątano brzuch? Parłam z sercem przepelnionym miłością i tęsknotą do Madżida. I jeszcze raz, w ramach kary, pokuty i skruchy za to, że żyję.

W końcu mała spoczęła zawinięta w moich ramionach, jak pączek kwiatu. Przyssała się do mojej piersi, a ja wpasowałam w ten rytm swoje istnienie, pozwalając, by otuliła życiem moje stwardniałe serce, jak mech otula kamień. Ale zachowałam dystans, poprzestając na niezbędnych czynnościach, jakich wymagała opieka nad noworodkiem. Ta krucha istota narzuciła mi wolę istnienia i nie mogłam jej tego darować, bo nade wszystko chciałam wtedy umrzeć.

34. BEZRADNOŚĆ

1982-1983

Ale nie widzicie i nie słyszycie, i to dobrze.

Zasłona na waszych oczach winna być uniesiona przez dłoń, która ją utkała, a glina, która wypełnia wasze uszy, powinna być usunięta przez palce, które ją ugniatały.

I wtedy przejrzyście na oczy.

I wtedy usłyszycie.

Ale nie narzekajcie, że zaznaliście ślepoty, ani nie żałujcie, że byliście głusi.

Gdyż tego właśnie dnia poznacie odpowiedzi na wszystkie pytania i będziecie błogosławić ciemność, jak błogosławicie światłość.

Khalil Gibran, Pożegnanie (przeł. Bogusława Jurkevich)

Podjęłam obowiązki rodzicielskie bez Madżida znikomą tylko siłą woli. Byli przy mnie Elizabeth i Mohammad, niezawodni i pełni współczucia. Namówili mnie, bym się do nich wprowadziła. Pod wieloma względami nas ocalili, Sarę i mnie.

Z ciekawością obserwowałam dziecko, dbałam o nie z poczucia obowiązku. Twardą ręką trzymałam emocje na wodzy. Ale zapach Sary stanowił nieodpartą, odurzającą, niemą tajemnicę, która mnie osłabiała. I tak czasem przekradałam się przez fortecę serca, by jej woń dotarła w zakątki mego ciała i duszy, które wciąż pragnęły miłości. Zatracałam się w rytmie ssania Sary, ciepłe dziecięcej bezradności i natłoku niewyczerpanych potrzeb.

Tydzień po masakrze w Sabrze i Szatili „Newsweek” za pierwszoplanową wiadomość uznał śmierć księżnej Grace.

W kolejnym tygodniu z okładki krzychał tytuł „Cierpienia Izraela”. Izrael, ofiara.

„Sprawozdania” prasy amerykańskiej ożywiały duchy tłoczące się w mojej głowie. Przed oczami stawała mi rozzłoszczona twarzyczka Aiszy. Fatima i Falastin również dobijały się do moich wizji w poszukiwaniu godnego pochówku i wyjaśnienia tego, co je spotkało. Myśli o mamie, tacie i Jusefie oraz zalew tęsknoty za dotykem Madżida przygniatały mi serce niczym beton, który zmiażdżył mojego męża we śnie. Jedynym sposobem na powstrzymanie tej zawieruchy uczuć był kubeł zimnej wody na głowę. Dosłownie, potrzebowałam

fizycznego chłodu, aby to wszystko stłumić, inaczej oszalałabym na pewno. Lecz burza zawsze czekała w ukryciu, przyczajona za zębami zwartymi jak imadło. Dlatego przestałam czytać gazety i oglądać wiadomości, i bałam się dotykać Sary, by nie skazić jej swoim przeznaczeniem. Żeby nie rozgrzała mi serca i nie odmroziła gniewu, duchów i szaleństwa, których istnienia w sobie tak się obawiałam.

Zamknęłam się na otoczenie. Mój instynkt obronny jak jeż kłuł każdego, kto się zbliżył, w tym Sarę, chociaż nadal łapczywie pochłaniałam jej zapach, kiedy spała, by przekonać swoje płuca, że istnieje powód, dla którego muszę oddychać. Kochałam ją na przekór sobie. Kochałam bezgranicznie. Nieskończenie. I bałam się tej miłości tak samo, jak swojej wścieklej nienawiści do świata.

Tymczasem Ariel Szaron dalej prowadził swą politykę przemocy, aby w końcu wznieść się na wyżyny władzy w Izraelu i stanąć na czele żydowskiego państwa. Obywatele Izraela wybrali go na premiera szóstego lutego 2001 roku, ponad rok od wybuchu drugiego powstania palestyńskiego, a prasa amerykańska określała go mianem „dostojnego wojownika” i „niezlomnego weterana licznych wojen Izraela”. Czterdziesty trzeci prezydent Stanów Zjednoczonych, George W. Bush, określał go mianem „człowieka pokoju”.

Tak rozwiały się wspomnienie i koszmar Sabry i Szatili.

Po raz ostatni rozmawiałam z Jusefem w styczniu 1983 roku, choć obiecał zadzwonić, zanim „będzie po wszystkim”.

- Po wszystkim? - powtórzyłam.

- Jasir Arafat to tchórz, który wlecze ludzi na śmierć na sznurku amerykańskich kłamstw - odpowiedział.

- Masz dziwny głos, braciszku. Dobrze się czujesz? Gdzie jesteś?

- Odszedłem z OWP - odparł. Zrobił to krótko po wygnaniu do Tunezji; dzwonił z Libanu.

- Z Libanu? - Aż mnie zatkało. - Jak tam wróciłeś? - Byłam pewna, że zrobił to bez wiedzy Amerykanów. Nielegalnie. Ale jak? Z kim współpracował? I... o mój Boże! Co go tam poniosło?

Nie odpowiedział, a ja wyczułam chłód w jego głosie.

- Nie zadawaj pytań, Amal... Zadzwoniłem, żeby sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku. - Każde jego słowo dobiegało osobno; skuwało lodem, oddzielone od pozostałych.

- Jusefie! Kocham cię. Proszę, wyjedź z Libanu. Błagam cię, braciszku. Możemy się spotkać i znowu zamieszkać razem, na przykład we Francji...

Milczał.

- Dałam córce na imię Sara. Powinieneś ją zobaczyć, wygląda jak Madżid. Jesteś tam? Halo! Jusefie! Proszę... Jusefie! Jusefie? Odezwij się, proszę, słyszę twój oddech.

Cisza.

- Jusefie, błagam cię. Nie jesteś sam. Są tysiące bojowników, którzy utracili tyle, ile ty. Wiem, co czujesz, Jusefie. Wiesz, że wiem. Też jestem pełna nienawiści. Ale proszę cię... braciszku. Nie daj się zabić. Nie zniosłabym tego. Potrzebuję cię, Jusefie.

Połączenie zostało przerwane. Mój brat przepadł bezpowrotnie. Przeniósł się na drugą stronę płonącej otchłani, przed którą ja jeszcze się wzdragałam, i osiadł na spokojnym, odległym brzegu zemsty. Duszę zostawił na gruzach Sabry i Szatili, gdzie jego żona i córka spoczywały w masowym grobie pod wysypiskiem, nieme ofiary bezkarności swych oprawców, złamanych obietnic wielkich mocarstw i obojętności świata na przelaną arabską krew.

35. MIESIĄC KWIATÓW

1983

Nadszedł kwiecień 1983 roku. Osiemnastego dnia miesiąca kwiatów libański zasiew wydał gorzkie żniwo. Z trzewi niesprawiedliwości, zemsty i, tak, historii buchnął ogień, posyłając kłęby dymu na każdy włączony ekran telewizora.

Poprzedniej nocy sny wypędziły mnie z łóżka o trzeciej nad ranem, ale nie pamiętam już, co mi się śniło. Przed świtem wypiliśmy kawę i nakarmiłam na wpół śpiącą Sarę. Kołysząc ją w ramionach, sięgnęłam po Proroka, walającego się na podłodze wśród rozrzuconych chaotycznie stert książek, i przeczytałam słowa ostatnio słyszane z ust ojca, kiedy byłam zbyt niewinna, aby je zrozumieć:

Zegnam was i młodość, którą spędziłem z wami. To wczoraj spotkaliśmy się w snach. Śpiewaliście mi w mej samotności, a ja zbudowałem z waszych pragnień wieżę aż do nieba. Ale nasz sen prysnął i pojaśniało.

Mamy już południowy przyływ, nasze przebudzenie zamieniło się w pełnię dnia, i musimy się rozstać.

W półmrokach pamięci powinniśmy spotkać się ponownie, by znów rozmawiać i byćście zaśpiewali mi dojrzałą pieśń.

A jeśli nasze dłonie spotkają się w innym śnie, powinniśmy zbudować jeszcze jedną wieżę do nieba*.

*** Przełożyła Bogusława Jurkevich.**

Tego dnia nie przeglądałam gazet. Starłam się unikać wszelkich wiadomości, jeśli tylko to było możliwe. Jednak tamtego osiemnastego dnia miesiąca kwiatów one znalazły mnie.

Jakiś mężczyzna wjechał ciężarówką wyładowaną materiałami wybuchowymi w ambasadę amerykańską w Libanie, zabijając sześćdziesiąt trzy osoby i raniąc o wiele więcej. Na obwarowanym terenie w kształcie trójkąta zapanowało piekło, usiane strzępami ludzkich ciał. Kamery zarejestrowały tych, którzy przeżyli, błądzących nieprzytomnie pośród tej sodomy i gomory. Ktoś szlochał oparty o ścianę. Mężczyzna i kobieta z ulgą rzucili się sobie w ramiona. Korespondent ABC krztusił się do mikrofonu, gdyż z ruin wzbijały się słupy czarnego dymu, zasłaniając niebo. Przeprosił widzów, a ja dokładnie wiedziałam, co wdycha.

- Terrorysty zaatakowali ambasadę amerykańską... - zaczął.

Godzinami siedziałyśmy z Elizabeth przed telewizorem jak zaczarowane. Zrozpaczone rodziny ofiar udzielały wzruszających wywiadów, a ja z oddali łączyłam się z nimi w bólu.

Po jakimś czasie zapadłam w kanapę, patrząc, jak Elizabeth czule karmi moją córkę papką ze słoiczka. Telewizor był wyłączony. Wietrzyk unosił firanki, tchnąc spokój w ten niespokojny dzień. Róże sąsiada pięknie wybijały za oknem. Elizabeth ku głośniejszej uciechu Sary robiła samolot z łyżeczki lądującej w jej buzi, a ja jak zwykle pomyślałam, że znów mnie wyręcza. Dlatego zacisnęłam zęby i wyparłam ten śmiech, by nie wskrzesił miłości z szarej pustki we mnie. Ale się uśmiechnęłam, dyskretnie wypełniając wewnętrzną ciszę nieodpartą, lecz tajoną radością, podczas kiedy FBI, CIA i miejscowa policja otaczały nasz dom.

Ktoś zadzwonił do drzwi i poszłam otworzyć, w nadziei że zobaczę na progu Jusefa. Ale serce mi zamarło na widok odznak.

- Amal Abulhedża?

- Tak, o co chodzi?

- Chcielibyśmy zamienić z panią dwa słowa - powiedział przystojny, niebieskooki mężczyzna w nieskazitelnym ciemnym garniturze. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu - dodał z wyuczoną uprzejmością. W gruncie rzeczy wszyscy byli uprzejmi i profesjonalni w każdym calu. I wszystkich sześciu nagle wpakowało się do mojego domu.

- Nazywam się Jack O'Malley - zaczął agent, ale ja wpadłam mu w słowo, bo nazwisko skłoniło mnie do wewnętrznego uśmiechu.

- Znałam kiedyś jednego Jacka O'Malleya. Pochodził z Dublina. Pracował z ramienia ONZ w palestyńskim obozie dla uchodźców.

- Pani pójdzie z nami - odpowiedział oschłym tonem, zgoła nie licującym z nazwiskiem.

Pozostawiwszy Sarę pod opieką Elizabeth, dobrowolnie udałam się z O'Malleyem na dalsze przesłuchanie.

Siedziałam na składanym metalowym krześle w pustym policyjnym pokoju, dręczona ciekawością i złym przeczuciem.

- Nazywam się Jackson. Tom Jackson, proszę pani. Mam do pani parę pytań - odezwał się korpulentny mężczyzna o poirytowanej twarzy. - Czy zna pani tego człowieka? - spytał, podsuwając mi zdjęcie na dzielącym nas stole.

Drżącymi dłońmi ujęłam fotografię Jusefa. Przedstawiała tylko jego twarz w ostrym zbliżeniu, taką jakiej nigdy wcześniej nie widziałam. Z głębokich zmarszczek wokół oczu była bezlitosna stanowczość, którą słyszałam w jego głosie podczas ostatniej rozmowy. Gdzieś zapodziały się nawoskowane zawijasy wąsów, które nosił przez pamięć na Dżiddo Jehję.

Była to twarz Jusefa, lecz w żaden sposób nie mogłam dostrzec w niej brata, którego znałam całe życie.

- To mój brat - odparłam, bojąc się odpowiedzi na pytanie, którego nie potrafiłam wydusić: Dlaczego pytacie?

O'Malley oderwał się od białej ściany, przy której stał bez słowa, oparł o stół i zniżył wzrok na wysokość moich oczu.

- Sądźmy, że to terrorysta, który wysadził ambasadę w Bejrucie. Czy pani coś o tym wie? - Z pogardą cedził każdą sylabę.

Zamknęłam zaciśnięte zęby na kłódkę i wyrzuciłam klucz. Nie wierzyłam w ani jedno słowo i moje serce wycofało się w głąb wewnętrznej tundry. Ale zmysły eksplodowały świadomością, rejestrując każdy, najbłahszy szczegół otoczenia. Lekkie, prawie niedostrzegalne kołysanie żarówki, tani zapach czyjejś wody po goleniu, pociąganie nosem kogoś przeziębionego, szuranie, gdy ktoś inny przestąpił z nogi na nogę i pod jego podeszwą zgrzytnął piach. Na wprost mnie wylądowała zmięta kartka z zeszytu, z pismem Jusefa. Przeszła przez wiele rąk, w tym informatora CIA, by na koniec dotrzeć do adresatki, czyli do mnie.

Wybacz, Amal. Pora, by zaznali smaku tego, czym karmią nas całe życie. Jusef

Przez następnych dziesięć godzin odpowiadałam na ich pytania i odpierałam oskarżenia. Mogli być równie wyczerpani jak ja, ale wciąż nie kryli niezadowolenia z moich odpowiedzi. „Tak, wiem, że odszedł z OWP... nie mam pojęcia dlaczego... Bo zadzwonił i mi powiedział... Nie zdradził mi nic więcej... Nic mi nie wiadomo o islamskiej grupie Dżihad... przysięgam”.

Uważali, że ponosi odpowiedzialność za wszystko; planował, werbował ludzi i wysadził ambasadę.

- Nie wierzę - odpowiedziałam.

- My pani też nie wierzymy.

Ammo Mohammad przyszedł ze swoim prawnikiem i następnego dnia byłam wolna.

Zapadłam w odmęty wewnętrznej ciemności, lecz demony podążyły za mną również i tam, tłocząc się w zaułku moich dni wraz z przeszłością zbyt gęstą. Zostawiłam Mohammada i włączyłam się ulicami Filadelfii, śledzona przez agentów rządowych, którzy nie kryli wcale swojej obecności; odtąd latami mieli mi towarzyszyć.

Padał deszcz; z ulgą przeniosłam uwagę na swoje buty rozchlapujące kałuże. Agenci skryli się pod czarnymi parasolami, trzymając się zaledwie kilka kroków ode mnie, póki nie weszłam do baru. Było to zatechłe, oświetlone na czerwono prostokątne pomieszczenie, na którego ceglanych ścianach zawieszono naturalnej wielkości fotografie Humphreya Bogarta i Marilyn Monroe. Był to bar przy South Street, gdzie po raz pierwszy spróbowałam alkoholu w latach studenckich. Przemoczona do nitki, znalazłam wolny stółek przy końcu barowej lady i

usiadłam. Włosy ociekały mi wodą, a żółty T-shirt przylgnął do ciała, ukazując z jednej strony kobiecy zarys sylwetki, z drugiej - niezbyt efektowną pamiątkę po spotkaniu z pewnym izraelskim żołnierzem. Wiele kolejek mrożonej herbaty otoczyło mnie parującą mgiełką, w której jedynym odgłosem była homilia kostek lodu, zderzających się w pękatej szklance napoju. Podniosłam ją na użytek dwóch agentów w trenczach, pijących tonik przy drugim końcu baru. W tej mgle usłyszałam czyjś zdziwiony głos:

- Hej... czy ty nie jesteś dziewczyną, która mieszkała u Angeli? Jak masz na imię? Omar czy jakoś tak. Amy? Nie, Omar, prawda?

Był to Milton Dobbs. Od razu go poznałam. Były mąż Angeli Haddad. Bez słowa powróciłam do samotności szklanki. Dobbs wymamrotał coś do znajomych i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Nagle oprzytomniałam. Wszyscy spojrzeli na telewizor, ściszone muzykę.

Zaległa cisza, wypełniona głosem reportera stojącego pośród ruin amerykańskiej ambasady.

- Ekipy ratunkowe wciąż znajdują zmasakrowane szczątki - powiedział, a ja patrzyłam na ten straszny obraz i ogarnęła mnie zgroza, że FBI może mieć rację. Ze zrobił to mój brat, którego kochałam całą swą istotą. Ale potem pomyślałam o bracie, którego znałam, i nabrałam pewności, że to nie mógł być on.

Dwaj agenci o kamiennych twarzach patrzyli na mnie, nie na reportera.

- Zastrani terroryści! - oznajmił Milton, dając upust tajonej niechęci wobec mnie. Ujrzałam kątem oka, jak odwraca się w moją stronę i wrzeszczy: - Moim zdaniem powinniśmy rozwalić całe to cholerne bagno. Wykończyć wszystkich brudasów.

Myślałam, że wściekłość mnie rozsądzi.

Wstałam, zaślepiona gniewem. Prawda, którą znałam, obiegła mnie jak szarańcza, w żyłach zapłonął ogień. Bez mrugnięcia okiem patrzyłam, jak moja dłoń zwija się w pięść i zaskoczony Milton pada na ziemię, z nosa leci mu krew, a biała, rozwiana suknia Marilyn Monroe faluje nad naszymi głowami.

Byłam drobna, ważyłam niecałe pięćdziesiąt kilogramów, więc po chwili stałam zdyszana, w kajdankach, słuchając relacji naocznego świadka.

- .. .leciała jak... no mówię, panie władzo. Dosłownie sfrunęła z tego stołka i zderzyła go przez łeb. Chryste Panie, w życiu nie widziałem takiej babki - opowiadał policjantowi, śmiejąc się pod nosem i z niedowierzaniem kręcąc głową.

Zebrał się tłumek gapiów, lecz mężczyźni, którzy podążali za mną przez cały wieczór, nie ruszyli się od kontuaru. Za twarzami otaczającymi Milтона i mnie zobaczyłam Jacka O'Malleya.

Upokorzony Milton odmówił wniesienia skargi, nazywając mnie „stukniętą dziwką”.

Policjant zdjął mi kajdanki i poszedł. Tłum się przerzedził. Nie wiem czemu, ale podeszłam do Jacka O’Malleya i położyłam mu głowę na ramieniu.

Spojrzał na moją spuchniętą dłoń i zawołał do barmana:

- Czy możemy poprosić o lód dla tej pani?

Mój brat był chłopcem, który chodził po wzgórzach Tulkarem i pił ze źródeł w Kalkilii. Z młodzieńczym zapamiętaniem grał w piłkę na równinach Hajfy i karmił się wiekowym dziedzictwem na ziemi swych przodków. Graliśmy razem w trik-traka. Miał uśmiech, od którego stopniało wiele śródziemnomorskich serc. Naprawdę, najpiękniejszy uśmiech, jaki w życiu widziałam. Jusef był więziony, torturowany, poniżany i wygnany za chęć bycia panem swojego losu i dziedziczenia praw usankcjonowanych historią. Oddał serce tylko jednej kobiecie, po której stracie jego rozpacz zatrzęsa ziemią i przelała krew tych, co na niej stali.

Zdjęcie z kieszeni O’Malleya znalazło się na ekranach telewizorów w całym kraju i mój brat Jusef stał się symbolem tego, co najgorsze, na świecie.

Raz, gdy miałam cztery lata, łaskotał mnie tak, że się posikałam. Kiedy miałam lat sześć, całymi dniami uczył mnie puszczania balonów z gumy do zucia. Z taką samą cierpliwością nauczył mnie gwizdać. W cudownych latach dzieciństwa pokonywaliśmy razem kawał drogi na targ. Jest jedno zdjęcie, na którym wgrzamy się w pomarańczę przed Bramą Damasceńską na Starym Mieście, zanim Izrael je podbił. Jedliśmy figi, oliwki i brzoskwinie prosto z drzew. Szpiegowałam go, kiedy z kolegami oglądał świerszczyki w naszym pożałowania godnym obozie dla uchodźców. Czytałam jego listy miłosne do Fatimy i za jego plecami wyśmiewałam ich ckliwość, jak na wredną młodszą siostrę przystało.

Gdy jego zacięta twarz wyjrzała z telewizorów na świat, znalazłam zdjęcie zrobione w dzień, gdy Fatima urodziła córkę w obozie Szatila, obecnie zapomnianym pobojuwisku i masowym grobie. Zmarszczki wokół oczu Jusefa układają się w uśmiech miłości. Kąciki ust, rozciągnięte w tym szerokim uśmiechu, sięgają podkreślonych wąsów, pieczołowitym wspomnieniu miłości do dziadka Jehji, wąsów woskowanych codziennie, tak jak robił to dziadek. Jusef ma raczej niemądrą minę, zastygłą w wyrazie nieprzytomnego szczęścia, z malutką Falastin w zgięciu łokcia i Fatimą, miłością swego życia, opartą o jego drugie ramię.

36. JUSEF MŚCICIEL

1983

Widzę jej twarz we wszystkim, co robię. We wszystkim, czego dotykam. Jej znoszoną błękitną diszdaszę. Kupuję jej tyle rzeczy, ale ona woli tę błękitną szmatkę. Tak często patrzę, jak ją zdejmuję. Wiele razy robię to za nią. I widzę, jak wkłada ją rano. Nawet nie wie, że patrzę. Moja piękna żona. Matka Falastin i drugiego dziecka, poczętego z moich łędźwi; nigdy nie poznam jego imienia.

Zsuwa diszdaszę od góry, by nakarmić piersią córkę, a ja podnoszę suknię od dołu, żeby całować nogi Fatimy.

- Amerykanie podpisali dokument - przypomina. - Nic nam nie grozi. Żydzi nie zrobią kłamcy ze swego jedyne go sojusznika.

Całuję ją w udo i patrzę na nasze drugie dziecko, rosnące w jej brzuchu. Mogę powiedzieć, że ją kocham, lecz te banalne, wyświechtane słowa nie oddadzą ogromu tego, co czuję. Fatima to powietrze, którym oddycham. Adresatka wszystkich obietnic. Ucieleśnienie czułości. Miłość we własnej osobie.

Kiedy mnie wołają, nie puszcza.

- Nieważne, na jak długo się rozstajemy, poczekam. Będę na ciebie czekała do końca świata - mówi, a jej brązowe oczy wypełniają się łzami.

- Tata. - Falastin mnie całuje.

Patrzę, jak Fatima macha na pożegnanie. Falastin stoi uczepiona błękitnej diszdaszy. Odjeżdżam.

Na zdjęciu diszdasza jest podarta i zakrwawiona. Boże, błagam Cię, przenieś mnie na to zdjęcie! Przynajmniej pochować ją godnie, z naszymi dziećmi.

Przestaję nad sobą panować. Tonę w smutku, którego nie sposób ogarnąć, a gniew nie do opisania przygniata mi serce.

Jestem Arabem. Zrodzonym z Dalii i Hasana. Mój dziadek to Jehja Abulhedza, a moja babka to Basima. Jestem mężem Fatimy, ojcem dwojga. Zaszczutym człowiekiem, prześladowanym przez obraz ich zwłok. Burza wzbiera we mnie. Nie śpię i nie oglądam słońca. Demoniczna wściekłość pulsuje mi w żyłach. Niech zostanie, kiedy mnie już nie będzie. Obyście zakosztowali jej goryczy.

Szukam zemsty, niczego więcej. Niczego mniej. I ją dostanę. Nie liczcie na zmiłowanie.

VI ELLY BAJNA (co jest między nami)

37. KOBIETA ZA ŚCIANĄ

1983-1987

Wieczne poruszenie ciała i umysłu sprawiało, że moje życie nie cichło ani na chwilę. Wróciłam do pracy, gładko wpasowując się w amerykański rytm. Nadal pracowałam w przemyśle farmaceutycznym i Sara większość czasu spędzała pod opieką Elizabeth.

Do późna przesiadywałam w pracy, wypełniając sumiennie wszystkie polecenia przełożonych. O dziwo, kapitalizm okazał się moim żywiołem. Podczas gdy inni zmagali się z terminami, ja nie odczuwałam najmniejszej presji. Mój lodowaty wzrok skrywał pogardę wobec ich bzdurnych problemów, ich niszczącego pędu od jednej korzyści materialnej do drugiej. Ja spełniałam swoje obowiązki metodycznie i bez szczególnego wysiłku.

Jako osoba małomówna, nie miałam przyjaciół. Byłam Amy. Imieniem pozbawionym znaczenia. Amal, z długą bądź krótką samogłoską, wydrażoną z nadziei. Jedynie prosty przekaz mógł sforsować gardło ściśnięte miłością, co brodzi w sadzy i popiołach historii, która prawie się dokonała. Poza tym jakie słowa zrekompensują przyszłość okradzioną z czasu, który jej się słusznie należał?

Moje życie miało smak popiołu i żyłam w wiecznej ciszy pieśni bez głosu. W tej goryczy i strachu moja samotność sięgała zenitu.

Niewielu współpracowników darzyło mnie sympatią; mój chłód mylnie brali za arogancję. Byli to ci sami ludzie, którzy po moim przyjeździe do Ameryki przed laty wydawali się tak wspaniali i pewni siebie. Surowo ich teraz oceniałam, a oni mówili o mnie za plecami „królowa śniegu” i „wredna suka”. Miałam ich w nosie, ale zazdrościłam im błahych zmartwień i błogiego poczucia bezpieczeństwa.

Patrzyłam na świat zza cienkiej warstwy pogardy. Tylko Sara stanowiła zagrożenie dla mojej skorupy; była niczym bujna winorośl, która pnie się czule po mojej kamiennej fasadzie. Rozżarzony węgielek, nieustannie tłący się w środku. Z cienia serca, które bardziej boi się miłości niż śmierci, patrzyłam, jak czas ją zmienia i przeistacza w pełną uroku młodą kobietę. Była jaskrawym kolorem na szarej połaci mojego świata, punktem, gdzie cała moja miłość, historia i cierpienie rozkwitały niby kwiat wyrosły na jałowej ziemi. Niech Bóg mi wybaczy, lecz im była starsza, tym bardziej obawiałam się przebywać obok niej, odważyć się na dotyk. Bałam się zarazić ją swoim chłodem, być jak rysa na szklonie jej miękkiej,

bezwarunkowej czułości, więc ograniczałam się do minimum, skrywając porywy miłości za zimną ścianą lęku i obowiązków zawodowych.

Mniej więcej do czwartego roku życia Sara Ignęła do mnie na każdym kroku. Wspinała się na moje kolana, błagając o bajkę lub piosenkę, a ja przez zaciśnięte zęby spełniałam jej prośbę. Jej zapach wnikał we mnie przez skórę, podsycając płomień macierzyństwa, i trudno było zapanować nad sercem łaknącym dać tej doskonałej istocie pełnię swego uczucia. Marzyłam o tym, snując fantazje, jak porwałabym ją w zabawie w objęcia. Jak łaskotałabym ją bezlitośnie, naśladując Elizabeth, dla czystej rozkoszy słuchania jej śmiechu. Wyobrażałam sobie niezliczone pocałunki, które pragnęłam zasiać jej w pamięci. Ale nigdy nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy i w końcu przestała do mnie przychodzić, wznosząc własny mur dla obrony przede mną. I tak żyłyśmy w swoich fortcach, każda złakniona miłości drugiej strony.

Czułam się już pokonana utratą wszystkich ludzi bliskich memu sercu i postanowiłam nie dopuścić, by cuchnący oddech mojego losu skaził jej pełne obietnic życie. Wytlumaczyć mogę, /lecz skruszyłoby to szklany klosz na twym sercu, a jego skleić się nie da.

Dlatego z bólem patrzyłam, jak podąża przez życie, a jej mądrość i uroda rozkwitają z każdym kolejnym krokiem.

Byłam lepszą matką podczas kilku pierwszych lat jej życia, i spoglądając wstecz, dochodzę do wniosku, że wiązało się to z naszym domem.

Gdy Sara była jeszcze mała, kupiłam zniszczony wiktoriański dom na północnych przedmieściach Filadelfii. W ciągu trzech lat sama go odnowiłam, wypełniając każdą wolną chwilę wysiłkiem i pracą.

Bezmyślne machanie pędzlem i powtarzalne ruchy przy cyklinowaniu podłogi miały w sobie coś kojącego, a nawet znieczulającego. Zeskrobałam z drzwi i balustrad płaty wiekowej farby, odsłaniając przepyszne dębowe drewno oraz miłość przelaną w nie przez jakiegoś utalentowanego stolarza sprzed lat. Wydłubałam brud ze szpar, uwalniając misterne detale czyjejs wizji architektonicznej. Czyściłam, myłam i szorowałam. Położyłam nowe kafelki i wyszlifowałam stare podłogi. Powiesiłam nowe zasłony i wstawiłam brakujące szyby, dodałam więcej oświetlenia i zleciłam renowację czterech kominków. W szale odnawiania niechcący zruszyłam skamielinę swego serca, odsłaniając niewielki jego fragment. Brałam na ręce Sarę, moje małe dziecko, i czytałam jej o świcie, tak jak ojciec czytał mnie w dawno minionych dniach miłości.

Każdego ranka siadałam na bujanym fotelu, ocalonym z czyjegoś śmietnika, i czytałam przy rozsuwanych drzwiach z widokiem na wschód, gdy słońce sunęło po oranżowym niebie, ponad stuletnim klonem na tyłach naszego domu. Nie

jestem pewna, czy Sara w ogóle o tym wiedziała, bo wyciągałam ją z łóżeczka pogrążoną w głębokim śnie, a gdy skończyłam czytać i wypijałam kawę, układałam córeczkę z powrotem do snu i szłam do pracy, a pałeczkę przejmowała Elizabeth. Doskonale pamiętam ostatni raz, kiedy czytałam Sarze nad ranem.

Miała wtedy dwa i pół roku. Gdy leżała w kocyku na moich kolanach, sięgnęłam na chybił trafił po książkę i wyjęłam Proroka Khałifa Gibrana. Przypadkowo otworzyłam ją na fragmencie, który czytaliśmy z Madżidem, dowiedziawszy się o dziecku rosnącym w moim łonie.

Wasze dzieci nie są waszymi dziećmi.

To synowie i córki Życia, które tęskni za wiecznością.

Przechodzą przez was, lecz od was nie pochodzą, i chociaż

Są z wami, nie należą do was.

Możecie ofiarować im waszą miłość, ale nie wasze myśli,

Albowiem mają własne.

Ich ciałom możecie udzielić dachu nad głową, ale nie duszom,

Albowiem dusze ich zamieszkują dom jutra, do którego

Nie macie wstępu, nawet w snach. Możecie dążyć ku temu, aby upodobnić się do nich, ale nie próbujcie kształtować ich Na własne podobieństwo.

Albowiem życie nie płynie wstecz i nie zamieszkuje dnia wczorajszego.

Jesteście łukami, z których dzieci wasze jako żywe strzały

Posyłane są w świat.

Łucznik widzi znak na ścieżce nieskończoności I napina was z całej siły, aby jego strzały pofrunęły Szybko i jak najdalej. Tedy pozwólcie mu na to,

Gdyż choć kocha strzałę, która leci daleko, kocha i łuk,

Co nie drży mu w dłoni.

O wschodzie słońca, gdy czytałam te słowa śpiącej córeczce, usłyszałam w swoim głosie głos jej ojca i poczułam we włosach jego palce, jak wówczas, gdy czytaliśmy to razem. Nachylił się i pocałował mnie w usta, widmo przeterminowanej miłości. Madżid nadal tu był, płynął pod moją powierzchnią niby zaczarowana rzeka, z której już nigdy nie przyjdzie mi zaczerpnąć, w której nigdy nie będę pływać. Madżid to marzenie, które nigdy mnie nie opuściło. Kraj odebrany siłą. Dom w zasięgu wzroku, ale poza zasięgiem rąk.

Ta chwila nappełniła mnie tęsknotą i skapitulowałam przed neodpartym pragnieniem cofnięcia czasu do dni obfitości. Wstrzymałam oddech i zacisnęłam zęby, aby nie wspominać miłości i nie pragnąć jej nigdy więcej, po czym delikatnie odłożyłam Sarę do łóżeczka, aby ubrać się w chłód Amy i czarny kostium przed wyjściem do pracy.

38. TU, TAM, ÓWDZIE

1987-1994

Niebawem powstanie wspięło się z ziemi do palestyńskich rąk, a te rzuciły kamienie, które nadszarpnęły wątpliwą chwałę imperialnego zwycięstwa. Była to intifada, spontaniczna eksplozja po dwudziestu latach izraelskiej okupacji. Krzyk buntu, który ogarnął serca wszystkich Palestyńczyków. Wyszli na ulice z kijami i kamieniami, na co Izrael odpowiedział, łamiąc im kości „potęgą, siłą i biciem”, na rozkaz premiera Icchaka Rabina.

Tymczasem Amal czytała w książce Normana Finkelsteina Wzlot i upadek Palestyny:

Doniesienia izraelskiej prasy i raporty organizacji praw człowieka nadały statystykom ludzką twarz. W wydaniu „Hotamu” z pierwszego kwietnia 1988 roku opisano przypadek dziesięciolatka pobitego w czasie przesłuchania tak dotkliwie, że wrócił do domu z „gębą jak kotlet”. Izraelscy żołnierze „nie przejęli” się jego losem, nawet dowiedziawszy się później, że jest głuchoniemy i niedorozwinięty umysłowo. Wydanie „Koteret Raszit” z trzynastego lipca 1988 roku doniosło o „zniknięciu dwadzieściorga pięciorga dzieci” oraz groźbach aresztowania rodziców za „nagabywanie” wojska co do miejsca ich pobytu. W wydaniu „Hadaszot” z dziewiętnastego sierpnia 1988 roku znalazły się trzy zdjęcia sześciolatka z opaską na oczach w wojskowym dżipie. Według informacji pod spodem wielu spośród jego rówieśników przetrzymywano do czasu wniesienia „okupu” w wysokości kilkuset dolarów; dzieci często sikały w majtki „ze strachu”. Pod nagłówkiem „Morderstwo z premedytacją” sierpniowy biuletyn Izraelskiej Ligi Praw Obywatelskich i Praw Człowieka z 1989 roku doniósł, że izraelska armia (w osobach strzelców wyborowych z „oddziałów specjalnych”) wzięła na muszkę „rosnącą” liczbę palestyńskich dzieci, wychowywanych na prowodyrów. „Starannie wybrana” ofiara dostawała przeważnie kulkę w głowę lub serce i umierała natychmiast. Doktor Haim Gordon z Izraelskiego Stowarzyszenia Praw Człowieka zgłosił przypadek ośmiolatka torturowanego przez żołnierzy za odmowę wskazania kolegi, który rzucał kamieniami. Rozebrany do naga, powieszony za nogi i skatowany, chłopiec został następnie pchnięty na skraj dachu i uwolniony (wypowiedź ze styczniowego biuletynu Izraelskiej Ligi, rok 1990). Wydanie „Hadaszot” z piętnastego stycznia 1990 roku opisało przypadek trzynastolatka uwięzionego po rozmyślnym połamaniu mu palców; chłopcu nie udzielono pomocy medycznej i nie dostał jedzenia, gdyż jego

ojciec nie był w stanie zapłacić okupu w wysokości siedmiuset pięćdziesięciu dolarów. Wydanie „Davaru” z dwudziestego szóstego stycznia 1990 roku doniosło o szesnastolatce pobitej pałką przez policjanta („próbował nawet wepchnąć mi ją między nogi”), a następnie uwięzionej za niepodpisanie zeznania. Wydanie „Hotamu” z dwudziestego dziewiątego czerwca 1990 roku nawiązało do trzynastoletniego aresztanta, który odmówiwszy złożenia zeznań obciążających brata, „oberwał” w twarz, miał „siniaki na całym ciele”, „godzinami” nie było mu wolno jeść i pić, i zmuszono go do „załatwiania się w spodnie”.

Opisując makabryczny los czternastoletnich zaledwie Palestyńczyków aresztowanych „pod zarzutem ciskania kamieniami”, wydanie „Hadaszot” z dwudziestego czwartego lutego 1992 roku zacytowało źródło wewnętrzne z aresztu w Hebronie:

„To, co tam się działo... zakrawało na istny horror: łamano pałki na więźniach, bito ich w genitalia, wiązano na zimnej podłodze i grano nimi w piłkę - dosłownie, kopiając ich i tocząc. Następnie poddawano ich wstrząsom elektrycznym za pomocą generatora radiostacji i kazano stać godzinami na zimnie i deszczu... łamano więźniów... zamieniano ich w worki z mięsem”.

Amal czytała te relacje, nie wiedząc, że sześciolatkiem z opaską na oczach był Mansur, najmłodsze dziecko jej przyjaciół, Hudy i Osamy.

Mansur był hałaśliwy i miał duże, wypukłe oczy. Bracia często nabijali się z niego, że jest maminsynkiem, a on nie miał nic przeciwko temu i z bezwstydną lubością zapadał w uśmiechnięte objęcia Hudy. Gdy fotograf zrobił mu zdjęcie, Mansur modlił się, żeby mama go uratowała, a Huda odchodziła od zmysłów ze strachu o syna. Wojsko przetrzymywało go przez tydzień, bo tyle trwało zebranie pięciuset dolarów okupu i ustalenie miejsca pobytu chłopca. Nikt nie wiedział dokładnie, co spotkało Mansura w ciągu owych siedmiu dni, ale gdy go wreszcie zwrócono rodzinie, nie patrzył nikomu w oczy. I przestał mówić.

Huda i syn okrywali się z nawyku płaszczem pieśni u progu snu, oswajając noc melodiami na otwarcie drzwi miłym snom. Pozostali członkowie rodziny, Osama, Amal - ich pierworodna - bliźniacy Dżamil i Dżamal, zamieniali się w słuch, pozwalając, by głos Hudy ich również ukołysał do snu. Były to ludowe ballady palestyńskie, którymi Huda usypiała całą rodzinę w latach pierwszej intifady i później.

Ach, ty, któryś przeszedł obok i pomachał ręką, Naznaczyłeś w mym sercu tajemnice miłości.

Usłyszałam głos twój, jak głos

Ptaka śpiewającego na szczycie oliwnego drzewa.

Ach, ptaku na wysokim niebie, Przywitaj się z ukochaną.

Twoje imię, duszo moja, pozostanie ze mną na zawsze,
Wypisane na czole między oczami.

Chociaż żyli na uchodźstwie i w cieniu okupacji wojskowej, Huda śpiewała z poczuciem nieskrępowanej wolności, które znają tylko ludzie o niezachwianej wierze. Wciąż kochali się z Osamą z młodzieńczą żarliwością i zapamiętaniem. Ich Amal była księżniczką tatusia i przyjaciółką matki. W końcu wyszła za Syryjczyka i przeniosła się z nim do Damaszku. Bliźniacy, którzy pojawili się w 1978 roku, byli silni, uparci i nierozłączni, a do tego chronili siebie nawzajem i całą rodzinę.

Na drugim końcu świata Amal pielęgnowała swą boleść, jak powinna pielęgnować własne dziecko. Żyła w dobrowolnym więzieniu, w lodowej celi, odgradzona od świata. Przez większość życia zgrzytała zębami i wstrzymując oddech, sunęła poprzez obłok milczenia. Czołgała się w okopach tej ciszy, tego strachu. Gubiła się, traciła fundamentalną część swego jestestwa, ale nie wiedziała jaką, i nie знаła sposobu na jej odzyskanie. Po etapie unikania wszelkich informacji o Palestynie rzucała się na wszystko, co dotyczyło jej ojczyzny i rodaków, ale nie zdobyła się na napisanie listu do Hudy czy kogokolwiek innego. Zatapiała się w lekturze, jakby każda książka stanowiła element nieuchwytniej zagadki, którą koniecznie musiała rozwiązać. Czytała, by zapamiętać. Przede wszystkim jednak, by ukarać się dotkliwym poczuciem winy, że ocalała.

A Huda śpiewała. I modliła się.

- Proszę, nie rzucajcie kamieniami, jumma - błagała Dżamila i Dżamala, dziesięcioletnie bliźniaki. - Nie łamcie mi serca. Nie łamcie serca swemu ojcu, który siedzi w ich więzieniu. Zabrali go ot tak. Nie chcę, żeby was też zabrali.

Lecz oni i tak rzucaли kamieniami w izraelskie czołgi, bo chłopcy zawsze pozostaną chłopcami; młodzi nigdy nie szanują wątłego oddechu, który łączy ich z życiem. Nie robili tego dla wolności; to pojęcie niewiele dla nich znaczyło.

Czynili to pod naciskiem rówieśników, mali chłopcy bowiem z natury chcą się upodobnić do mężczyzn. Rzucaли kamieniami pod hasłem jakiejś abstrakcyjnej polityki, której nie rozumieli, a nie mieli nic innego do roboty, odkąd Izrael zamknął ich szkoły.

Serca waliły im z podniecenia, z uniesienia, które czuli, wymykając się z objęć śmierci deptającej im po piętach. Kowboje i Indianie z prawdziwego zdarzenia. Niektórzy spośród ich kolegów polegli od izraelskich kul. Gra toczyła się o wysoką stawkę, wieńcząc każdy przeżyty dzień stanem wręcz narkotycznego odurzenia. Trwało to dwa lata w czasie intifady i skończyło się, gdy Dżamal zginął w wieku dwunastu lat.

Kiedy pozostali chłopcy pobiegli się schować, Dżamil patrzył, jak z jego brata bliźniaka uchodzi życie. Uderzy! go brak dramatyzmu śmierci. Jej rzeczowość. Cichy autorytet. Dżamal po prostu zamknął swoje młode oczy, zupełnie bez wyrazu, jakby zasypiał, i więcej ich nie otworzył.

Utrata bliźniaka stała się dla Dżamila punktem zwrotnym. Znalazła ujście w charakterze, który osaczył każdy czuły punkt, zamieniając w kamień serce chłopca i przepełniając go gniewem. Gniew przesłaniał mu widok. Powleka! myśli. Pozbawił okres jego dojrzewania śmiechu, a nawet żądy.

Wieczorami Huda nadal śpiewała i nucąc, przesuwała wzrokiem po pozostałych członkach rodziny: jej dzieciach, Amał, Mansurze i Dżamilu. Upewniwszy się, że śpią, odmawiała dodatkową modlitwę z prośbą o łaskę Allaha, aby chronił jej dzieci, dał im niezłomność, mądrość i uczciwość.

W takich chwilach myślała o Amał, zastanawiając się, co spotkało jej dawną przyjaciółkę.

Tymczasem dni upływały Amal jeden za drugim, każdy taki sam jak poprzedni, nierzeczywisty i ciągnięty na siłę. Dryfowała w wąskich szczelinach między szaleństwem, depresją, miłością i gniewem. Jej życie tkwiło nieruchomo niczym skamielina w pokoju strachu, pomieszczeniu o szepczących ścianach, szydzących ze złudzeń Dalii. Płonących furją Jusefa. A może to moja furia! Płaczących jego bólem i wstrząsanych jej własnym. Ścianach, zza których nie chciała wyrzeć na zewnątrz, tam gdzie wirowały głosy pełne gniewu i trwogi. Czuła niechęć do siebie, spustoszyła swój świat, i tę pustkę wysadziła strachem, czujna na każdy przejaw bólu, miłości i wzburzenia, który mógł obalić fortecę i wypełnić ziejącą otchłań. Unikała swojej córki, usiłując stłumić płonąca miłość, rozedrganą czułość i ich złudne obietnice. Ten słodki głos, kuszący: „Mamusiu, a poczytasz mi dziś jak dawniej?”. Tę rozczulającą naiwność pierwszoklasistki: „Mamusiu, to prawda. Słyszałam w wiadomościach. Zębowa wróżka podnosi ceny”. Amal chłonęła to wszystko, niezdolna się oprzeć słodkiej pokusie. Lecz odwzajemniała się rzadko. Nie z egoizmu, tylko ze strachu, że brudne popioły jej życia mogą zbrukać czystość dziecka. Zatem, powodowana tą przewrotną wielkodusznością, odmawiała córce - i sobie - ładunku przeogromnej miłości, którą czuła w środku. Tylko nocą, gdy Sara spała, łaskawie wchłaniała w siebie jej ogrom. Pod osłoną ciemności obejmowała Sarę, wdychając zapach córki, aż świat znów wydawał się znośny. Wytlumaczyć mogę, /lecz skruszyłoby to szklany klosz na twym sercu, la jego skleić się nie da.

Rozmyślając o Palestynie, Amal myślała o Hudzie. Myślała o swoim wuju Darwiszu, cioci Bahiji, Hadż Salemie, kuzynach i Jacku O'Malleyu. Często też

myślała jeszcze o czymś: o Ismaelu, bracie, który - według Jusefa - wciąż żył. O Żydzie imieniem Dawid.

Myśli Dawida coraz częściej płynęły ku Amał, jedyne mu żywemu członkowi jego widmowej rodziny. Mosze w końcu wyznał mu wszystko na łożu śmierci. Prawda o jego pochodzeniu postawiła w stan oskarżenia każdą myśl, każdą miłość i przekonanie, które Dawid zakodował w sobie. Prawda, która wreszcie przyniosła Moszemu ukojenie, Dawida rozstroiła doszczętnie. Dowiedzieć się, że jest owocem arabskiej miłości, że narodził się z łona Arabki i ssał jej mleko, że pierwsi kochali go Arabowie - ta świadomość rzuciła Dawida w przepaść między prawdą a kłamstwem, Arabami i Izraelczykami, muzułmanami i żydami.

- Gdy ujrzałem cię po raz pierwszy, matka trzymała cię przy piersi zawiniętego w biały kocyk - opowiadał Mosze. - Tamtego dnia usługiwała nam, podając jedzenie, i pochwyliłem jej wzrok, nim pośpiesznie odwróciła oczy. Nienawidziła mnie. Nienawidziła nas wszystkich. Nagle staliśmy się panami jej ziemi, panami losu jej rodziny, i oboje o tym wiedzieliśmy.

- Jak wyglądała? - spytał Dawid.

- Była piękna. Wówczas tego nie widziałem, bo gardziłem Arabami. Ale nigdy nie zapomniałem jej wzroku, kiedy na mnie spojrzała. Jej twarz prześladowała mnie przez całe życie, synu.

Wyznanie Moszego nasunęło Dawidowi obawy, czy nie zabił swoich krewnych w czasie wojen, na których walczył po stronie Izraela. Prawda wdarła się w jego codzienność, zaląła głęboko zakorzenioną niechęć, a nawet nienawiść wobec Arabów. Dwie prawdy jednego człowieka, jedna równie prawdziwa jak druga, złączone w wiecznym pojedynku o jego duszę. Wyznanie ojca wstrząsnęło Dawidem do głębi, podważając jego najgłębsze przekonania.

Kolejną ofiarę poniósł, mówiąc o wszystkim żonie. Jakaś magiczna siła korzeni, skłaniająca go do drażenia przeszłości, odmieniła Dawida. Ciężaru tajemnicy nie udźwignęła jego żona. To, że mąż okazał się podrabianym Żydem, kłóciło się z jej systemem wartości i zasadami rodziny, w której przyszła na świat.

W końcu się rozwiedli, dzieląc po połowie swe naturalne dziedzictwo: ich starszy syn Uri, zapalony syjonista, nie chciał mieć do czynienia z ojcem i zdecydowanie opowiedział się po stronie matki, Jakub natomiast wolał zamieszkać z ojcem. Nie uległ demagogii ani presji konfliktu; gładko przełknął tajemnicę ojca, wzbudziła wręcz jego zaciekawienie.

Jolanta udzieliła Dawidowi błogosławieństwa, zezwalając, aby czynił to, co podpowie mu serce. Kochała go bez względu na to, kim był naprawdę. Bóg jeden wie, jak bardzo. Ta miłość ocaliła ją dawno temu. Jolanta dokonała tego, co nie

udało się Dalii i Amal: siłę swego bólu przelała w bezmiar miłości, a Dawid na tym skorzystał.

Miała wyrzuty sumienia, wyraziła chęć pomocy w odnalezieniu jego prawdziwej rodziny. Poczucie winy zawsze skłaniało ją do wynajdywania wymówek, ale prawda i tak wracała; teraz kobieta musiała spojrzeć jej w oczy. Dziś już mogła i chciała naprawić szkody. Uznać istnienie kobiety, która urodziła Dawida, i pogodzić się z faktami. Bo życie nauczyło ją przynajmniej tego, że ozdrowienie i pokój biorą początek w uznaniu popełnionych grzechów. I dopiero wtedy poczuła niezłomną pewność, że Dawid jest istotnie jej synem. Prawda zwróciła Jolancie wolność, i kobieta odnalazła ścieżkę pokoju, gdzie religia i historia chylą głowy przed jednością dwu matek, na zawsze złączonych miłością do jednego chłopca.

- Ja też chciałabym ich poznać. Pozwól, że pomogę ci szukać twojej palestyńskiej rodziny - poprosiła syna, pogodzona z rzeczywistością, nareszcie wolna i pełna skruchy.

Oczywiście Dalia już wówczas nie żyła. Jusef walczył, Amal zaś mieszkała w Pensylwanii. Dawid i Jolanta szukali razem, lecz nie było kogo szukać. Dawid jednak nie ustawał w wysiłkach, które doprowadziły go od Hudy do sierocińca, poprzez Kolumbijskie Siostry, Munę Dżalajtę do pozostałych, aż udało mu się na koniec zlokalizować Amal Abulhedżę na przedmieściach Filadelfii.

Amal wiedziała, że być może Dawid żyje. Jusef był przekonany, że izraelski żołnierz to Ismael, i zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie mogła go poznać. Po dwudziestu latach, gdy wreszcie do niej zadzwonił, poczuła się tak, jakby czekała na ten telefon całe życie.

39. TELEFON OD DAWIDA

2001

Amal przyrządzała sałatkę. Kroiła warzywa, co chwila zerkając na zegar; czekała, aż Sara, jej córka, zjawi się w domu na kolację. Za parę dni zacznie się szkoła, a to miał być ich pierwszy wspólny wieczór, odkąd wróciła z ferii zimowych. Sara udzielała się w lokalnej filii Amnesty International oraz grupie aktywistów Studenci dla Sprawiedliwości w Palestynie, przy okazji nadrabiając również zaległości towarzyskie. Ale w głębi serca Amal znała bolesną prawdę, że córka woli uniknąć milczącego towarzystwa sztywnej, oschlej matki, chociaż nie będą się widziały pięć miesięcy, gdy Sara wróci do college'u.

Ten wieczór jednak miały spędzić tylko we dwie i Amal zachodziła w głowę, czy córka odczuwa niepokój, lęk, a może - cudownym trafem - tę samą radość, która wypełniała jej własne serce, gdy przygotowywała dla nich obu posiłek. Przyrządziła ulubione danie córki, maklubeh, palestyńską potrawę, która nieodmiennie przypominała jej o Jusefie.

Odsunęła myśl o bracie i znów ogarnęło ją zadziwienie, skąd w jej amerykańskiej córce tyle palestyńskości.

Wtedy zadzwonił telefon. Amal odłożyła nóż na deskę do krojenia, wytarła ręce i spojrzała na zegar. Szósta. Podniosła słuchawkę przekonana, że to na pewno Sara dzwoni, że już jedzie.

- Cześć, Saro - powiedziała, ale z milczenia po drugiej stronie wynikało, że to raczej nie ona. - Halo? - dodała.

- Halo. Czy to Amal? - odpowiedział męski głos z cudzoziemskim akcentem.

- Tak. Kto mówi?

- Nazywam się Dawid Avaram - odparł głos.

Nie skojarzyła imienia, lecz na podstawie nazwiska uznała, że ma do czynienia z Żydem.

- Czy my się znamy? - zapytała.

- Nie... To znaczy, tak. Właściwie to nie, nie zna mnie pani, ale...

Chciała rzucić słuchawkę zła, że zabiera jej czas. Sara zjawi się lada chwila.

- Chwileczkę, proszę się nie rozłączać. - Mężczyzna jakby czytał w jej myślach. - Sądziłem, że jestem lepiej przygotowany do tej rozmowy.

Napłynęło dalekie wspomnienie z przeszłości. „Jahudi, którego nazywają Dawidem”.

Czy to możliwe? Zatrzęsły jej się ręce i omal nie upuściła słuchawki.

- Możliwe że zna mnie pani jako Ismaela - podjął, lecz Amal nie mogła wykrzesać słów z zawieruchy przeszłości, która rozpełtała się w jej głowie. - Przepraszam, że dzwonię tak znienacka. Ja tylko... bardzo długo cię szukałem.

I teraz... to znaczy, ja... - zająknął się, chociaż ćwiczył te słowa przez wiele dni, zanim wykręcił jej numer. Amal zaniemówiła na dobre.

- Postawiłem cię w kłopotliwej sytuacji. Może nie wypadało tak dzwonić. Wybacz, Amal. Muszę kończyć - powiedział i Amal spanikowała.

- Nie! - krzyknęła głośniejszym głosem, niż zamierzała. - Nie kończ.

- Dziękuję - odparł. - Wiem, że to szok, ale za dwa dni będę w Stanach, więc myślałem...

Amal usłyszała na podjeździe silnik garbusa rocznik 1970 Sary i przyłapała się na tym, że planuje spotkanie z odzyskanym bratem, jakby planowała lunch z sąsiadką. Oboje speszył niezręczny pragmatyzm ostatnich ustaleń. Numer lotu, data, godzina, jej adres, numer jego komórki, numer komórki Amal.

- Dziękuję, Amal. To do zobaczenia - powiedział.

- Na razie - odparła niepewna, jak się do niego zwracać.

Przyciskając słuchawkę do ucha, usłyszała, jak się rozłączył; szcęknięły drzwi wejściowe i zobaczyła smukłą postać Sary, z uśmiechem odczytującej wiadomość z komórki.

- Przepraszam za spóźnienie, mamó! - zawołała od progu, wystukując odpowiedź. Słyszając odgłos rzuconej słuchawki, podniosła głowę i spojrzawszy na twarz Amal, odłożyła komórkę.

- Co się stało, mamó? Strasznie zbladłaś. - Pośpiesznie weszła do salonu. Widok matczynych łez uświadomił jej, że oto ujrzała je po raz pierwszy. - Mamó, co się stało?

Amal popatrzyła na córkę, uśmiechnęła się czule i ująwszy dłoń Sary, kazała jej usiąść obok.

- Musisz o czymś wiedzieć - powiedziała.

Mimo zdumienia istnieniem Dawida i urazy, że dopiero teraz się o nim dowiaduje, Sara była autentycznie zaintrygowana. Ucieszyło ją, że nareszcie wie. Wie o swojej rodzinie. I że w pewnym sensie została dopuszczona do świata matczynych tajemnic. Przede wszystkim zaś poczuła niezwykłą więź z matką, z tą twardą kobietą, która nagle wydała jej się bezbronna, niemal krucha.

- Mam izraelskiego wujka, którego ty nigdy nie widziałaś na oczy. Przyjeżdża w odwiedziny. Raju. Mam prawie dziewiętnaście lat i dopiero się o nim dowiaduję - podsumowała bez cienia wyrzutu.

- Przepraszam, Saro. Chciałam zostawić przeszłość za nami. Wiedziałam, a raczej podejrzewałam, że żyje. Podśledzałam w dzieciństwie, jak Jusef wspominał

o Ismaelu i mężczyźnie imieniem Dawid. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby drażnić tę sprawę.

- Wujek Jusef też wiedział? Może próbował go znaleźć, zanim zginął w wypadku samochodowym.

W wypadku samochodowym. Ależ Amal ją okłamywała. Boże, czy ona kiedykolwiek mi wybaczy, jeśli powiem jej wszystko, co ukrywałam?

- Mamo? Dobrze się czujesz? Chyba odpłynęłaś.

- Habibti. Mam ci tyle do powiedzenia.

Ale Sara usłyszała tylko „habibti”. Jak dawno mama przestała się tak do niej zwracać?

- Kiedy Jusef zobaczył Ismaela, był torturowany w więzieniu - dodała Amal.

- Ismael go torturował? - zapytała Sara.

- Nie wiem. I chyba powinniśmy go nazywać Dawidem. -Trudniej byłoby przełknąć, że Ismael torturował Jusefa, łatwiej myśleć, że zrobił to Dawid. - Doszło też do innego incydentu, pobito Jusefa w punkcie kontrolnym, krótko przed tym, nim zostawił mnie w Dżeninie. Chyba Dawid go pobił.

Sara milczała przez chwilę, przyswajając sobie matczyne słowa. Ismael był Dawidem, a Dawid pobił i być może torturował Jusefa. Jusef zostawił matkę w Dżeninie. Pytanie z kim. Samą?

- Nie znamy tego człowieka, mamo. Jeśli skrzywdził wujka Jusefa, nie wiadomo, do czego jest zdolny.

Amal podeszła do córki i pogłaskała ją po włosach.

- Muszę się z nim zobaczyć, habibti. Inaczej nie mogę.

40. DAWID I JA

2001

Miałam godzinę na posprzątanie domu przed przyjazdem Dawida. Mimo początkowych wahań Sara postanowiła jednak, że nie będzie uczestniczyć w spotkaniu.

- Za pierwszym razem musicie pogadać w cztery oczy - uznała.

- Czyli zakładasz, że nie będzie mnie torturował? - zażartowałam.

- Niezupełnie. Dlatego uprzedziłam naszą ulubioną wścibską sąsiadkę, że masz randkę. - Puściła oko. - Dzięki temu zyskałam pewność, że będziesz pod rzetelną obserwacją.

Uśmiechnęłam się, wyczuwając jakąś nową i cenną więź między nami.

- Ale chciałabym go poznać, dlatego wrócę około piątej - rzuciła na pożegnanie, zamykając za sobą drzwi.

Chwilę później, kiedy brałam się już do sprzątania, wpadła z powrotem.

- Mamo, błagam, podwieszysz mnie? Jej garbus nie chciał zapalić.

Kiedy wróciłam do domu, Dawid już czekał. Przyjechał za wcześnie, a w domu wciąż panował bałagan. Serce waliło mi jak młotem i odetchnęłam głęboko, wysiadając z samochodu na mróz. Dawid stał obok „Małego Klonu”, który posadziłam jakieś osiemnaście lat wcześniej, do pary ze „Starym Klonem” rosnącym na tyłach domu.

Zanim podeszłam, wymieniliśmy spojrzenia, oboje skrepowani i niepewni. Wyglądał starzej, niż przypuszczałam. Wyglądał jak Jusef.

- Witaj, Amal.

- Witaj... Dawidzie. - Nie był Ismaelem od pięćdziesięciu trzech lat.

W domu odsunęłam z drogi odkurzacz, przepraszając za bałagan, jak to zwykle robiłam przy gościach, choćbym sprzątała godzinami.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie szkodzi. Nie mam zbyt wiele czasu. Za parę godzin przyjedzie po mnie samochód.

- Nie sądziłam, że zostaniesz tak krótko - odrzekłam, wściekła na siebie za swój zdawkowy ton, a zarazem niepewna, jak się zachować, co powiedzieć. Rozmawialiśmy w tej niezręcznej aurze, łatając pustą gadką dziury niespełnionych oczekiwań. Jego lot minął spokojnie, nie licząc chrapiącego faceta obok. Stanowiło to „pewien dyskomfort”, ale za to dzięki moim wskazówkom bez trudu trafił pod właściwy adres. „To świetnie”. Mówił, że parę razy był służbowo w

Nowym Jorku, ale w Filadelfii jest pierwszy raz. Na razie mu się podoba. Zapytałam, czym się zajmuje. „Jestem inżynierem. Nuda”. A ja, gdzie pracuję? „W firmie farmaceutycznej. Nuda”. Oboje mamy dzieci.

No popatrz. „Jedną córkę, Sarę”. On miał dwóch synów, Uriego i Jakuba. Jest rozwiedziony. „Przykro mi to słyszeć”. „A ty?”, spytał. Ja? „Opowiem ci kiedy indziej. Podoba ci się Filadelfia?”. Cholera, już go pytałam.

Powoli przeczesał ręką włosy, jakby ścigając zblazowaną maskę, którą oboje włożyliśmy. Nie spodziewał się tak konwencjonalnej rozmowy. Ani ja.

Rozglądając się po moim domu, utkwił wzrok w odnowionym obrazku, przedstawiającym założycieli Ein Hod, którzy osiedlili się tam za czasów cesarstwa bizantyjskiego. Według legendy sam Saladyn podarował tę ziemię jednemu ze swych generałów w nagrodę za męstwo. Ten generał był moim przodkiem, który miał trzy żony i zaludnił prawie całą wioskę.

- To nasza prababka - powiedziałam, wskazując na zdjęcie w sepii, przedstawiające młodą kobietę z nieśmiałym uśmiechem i w haftowanej thobe, z białym szalem, luźno okalającym jej olśniewająco piękną twarz. - Nazywała się Sałma Abulhedża. Tak zasłynęła urodą, że dziewczynki w Ein Hod często nazywano jej imieniem.

Patrzył w milczeniu na dowody tego, o czym Izraelczycy dobrze wiedzieli, że ich historia wywodzi się z najdawniejszych tradycji Palestyńczyków. Europejczycy nie znali humusu ani falafela, lecz później nazwali je „autentyczną kuchnią żydowską”. Wille Katamonu były według nich „starymi żydowskimi domami”. Nie mieli starych zdjęć ani rycin z podobiznami przodków, którzy zamieszkiwali kiedyś tę ziemię, kochali ją i uprawiali. Przybyli z obcych stron i odkopywali monety Kananejczyków, Rzymian i Turków, po czym sprzedawali je jako „starożytne żydowskie pamiątki”. Przybyli do Jafy, gdzie zastali pomarańcze wielkości arbuźów, i powiedzieli: „Patrzcie! Żydzi słyną ze swych pomarańczy”. Ale pomarańcze te byty ukoronowaniem wysiłków pokoleń palestyńskich rolników, którzy udoskonalili sztukę uprawy cytrusów.

Dawid wyprostował zgarbione plecy i odchrząknął. Wiedział, że improwizowana historia współczesnego Izraela nie jest tak naprawdę jego historią. Pulsujące w jego krwi dziedzictwo sięgało znacznie głębiej, a przy tym też nie należało do niego. Los umieścił go gdzieś pośrodku, gdzie był niczyj.

- Napijesz się czegoś? - zaproponowałam. - Lubisz kahwe?

- Aaa... kawa po arabsku. Tak, poproszę.

Z ulgą, że mam coś do roboty, pobiegłam do kuchni.

Tam oparłam lekko dłonie o blat, powoli przenosząc na nie ciężar ciała. Zęby miałam zaciśnięte. Ismael, bezbronny, zagubione dziecko, siedzi przede mną,

całkiem dorosły. Długo nie robiłam kahwe. Gdzie się podziały srebrne filiżanki? Mam. Co on robi? Stałam nad spienioną kahwe, mieszając dopóty, dopóki nie osiągnęła odpowiedniej lepkości. Dalia nauczyła mnie, jak to robić. Nalałam odrobinę jasnobrazowej pianki kahwe do tradycyjnych srebrnych filiżanek, po czym dopełniałam je ciemniejszą kawą spod spodu.

- Proszę. - Podałam mu kawę przy kominku, gdzie wpatrywał się w zdjęcie zrobione w 1981 roku w Szatili. Jusef, szeroko uśmiechnięty, odsłania zęby. Nieśmiały uśmiech Fatimy płynie z najgłębszej miłości. Falastin spoczywa w ojcowskich ramionach.

Odwrócił się od fotografii, oczy mu się zaszklily. Milczenie rozpięło się przed nami jak szyba, za którą wirują pięćdziesiąt trzy wysiedlone lata. Dalia przekazała wszystkim dzieciom ciemne, okrągłe oczy, zdolne wypełniać się bezgranicznym smutkiem.

- Wyglądam zupełnie jak on - powiedział, tłukąc szklaną ciszę.

Blizna wije się od oka krętą ścieżką. Wyobrażam go sobie jako dziecko, z zagojoną, ale jeszcze zaczerwienioną szramą, przyciśnięte do piersi Dalii.

- Tak samo zareagował twój brat, gdy mnie zobaczył. Oczu nie mógł oderwać od blizny - wyznał Dawid.

- Miał na imię Jusef - powiedziałam cicho, z urazą. - Skrzywdziłeś go?

Moje pytanie rozzłościło duchy narodu i zewsząd napłynęły ku mnie w rozmigotanych, czarno-białych stop-klatkach. Wizja ojca czytającego mi głębokim głosem poezję Khalila Gibrana, buty żołnierzy, taczka oraz anielska twarz Aiszy; siostra Mariannę i osierocone dzieci; wybuchy i krzyki, wieczna udręka i wycie ludzi skończonych. Podałam się wspomnieniom gęstej od zdarzeń przeszłości; napełniły mnie melancholią, którą wołałabym zastąpić gniewem.

Schylił głowę, jakby zrozumiał udrękę ciągłej niesprawiedliwości i niekończącą się bezdomność wygnańców.

- Tak. - Broda mu zadrżała.

Chciałam go nienawidzić, bo kochałam Jusefa. Jednakże w smutnej twarzy Dawida widziałam cień oczu mamy, nosa taty oraz jego własną zagubioną tożsamość.

- Czy masz coś mocniejszego niż kawa, Amal? Alkohol?

- Piwo.

- Może być.

Patrzyłam, jak pije. Biła z niego bezbrzeżna samotność. Samotność kojona „czymś mocniejszym niż kawa”. Emanował smutną godnością człowieka nawykłego do samotnych posiłków przy stole nakrytym dla pięciu osób. Nie żałosny, nie silny, po prostu człowiek, którego ledwie znałam, z

nieprzewidywalną zdolnością do popełniania błędów, do dobroci, miłości i nienawiści. Mój brat.

Zapałam się w kanapę i moją uwagę przykuła warstwa kurzu na stoliku. Tak bardzo pragnęłam jeszcze raz zobaczyć Jusefa. Co zrobiłby tu z Ismaelem i ze mną? Troje rodzeństwa z kołyski nieopisanej tragedii. Każde z nas oddzielone od pozostałych, lecz na zawsze prześladowane szeptami wydartymi z ich świadomości.

Dawid był moim bratem, a zarazem Izraelczykiem walczącym w izraelskich wojnach. Tylko jego skrucha mogła odkupić tę sprzeczność. Lecz to, czego chciałam się dowiedzieć, mogło zmienić wszystko.

Przycisnęłam rękę do blizny, czując jej fałdy i wgłębienia, i przypomniałam sobie świst kuli, która rozorała mi brzuch. Musiałam sięgnąć do wnętrza moich wspomnień, usłyszeć, co Dawid ma do powiedzenia.

- Czy to ty go torturowałeś w więzieniu? - spytała Amal.
- Nie - odparł szybko, jakby zdziwiony, że go o to podejrzewała.
- Ale ty pobijeś go w punkcie kontrolnym, tak?
- Tak - szepnął.
- Dlaczego?

Dawid spuścił wzrok i spróbował wyjaśnić usilną potrzebę zmanifestowania swojej władzy, gdy okazja temu sprzyja.

Ten eliksir niekwestionowanej przewagi i podniecający dreszczyk bezkarności.

- Nie sposób tego wytłumaczyć. Miałem dwadzieścia lat i dali mi władzę nad innymi ludźmi, Amal. Byłem wściekły. Czuję przez skórę, że on jest związany z tym, co ukrywali przede mną rodzice. I w głębi serca obawiałem się, że mogę być Arabem. Gdy trzymałem w rękach karabin, rozsadzała mnie furia i poczucie bezkarności. - Spojrzał na pustą szklankę. - Mogę jeszcze jedno?

Nalała, patrząc, jak piwo wpływa do szklanki, i przypomniała sobie wodę, której nalała Jusefowi, gdy Amin przyniósł go zakrwawionego.

- Byłam jedną z garstki osób, które wiedziały, dlaczego Jusef znalazł się wtedy na punkcie kontrolnym, normalnie byłby w pracy - zaczęła Amal.

Dawid podniósł wzrok.

- Szedł na spotkanie z dziewczyną. Wiem, bo krążyłam z jego listami miłosnymi między wioską Bartaa a Dżeninem.

Miłość Jusefa i Fatimy sięgała głęboko w przeszłość, wykraczając poza ramy zwykłych zalotów. Początkowe zauroczenie ustąpiło miejsca żarliwemu pragnieniu Jusefa, aby stać się godnym Fatimy. Zwlekał ze ślubem, dopóki nie pozyska środków na jej godne utrzymanie. Gdy skończył studia i zaoszczędził trochę na posadzie nauczyciela, poprosił wuja Darwisza, aby zamiast ojca

wystąpił w jego imieniu, w myśl uświęconej tradycją ceremonii oświadczyn. W dzień, kiedy stanął na drodze Dawida, szedł uprzedzić Fatimę o planowanej wizycie komitetu zaręczynowego.

- Huda zawsze chodziła ze mną, a potem dzieliłyśmy się łupem. Jusef płacił nam w piastrach, po jednym za doręczony list, a Fatima odsyłała nas do domu ze słodyczami - ciągnęła Amal.

Szły do wioski wysadzaną drzewami aleją wśród zapachów agawy, odurzającego jaśminu i cedru. Podczas jednej z takich wypraw znalazły Wardę, jednoręką lalkę, dla której zbudowały dom.

Dziewczynki biegły w podskokach, zbierając po drodze owoce i daktyle z drzew, wkładając kwiaty za paski oraz kłócąc się i plotkując, jak to podlotki mają w zwyczaju. Prawie w połowie drogi odpoczęły pod „bliźniętami”, parą cedrów o grubych pniach, jedynymi drzewami ocalałymi spośród gatunków przywiezionych z Libanu jakieś trzysta lat wcześniej.

Pod „bliźniętami” lub drzewami oliwnymi za domem Wardy Amal nadużywała zaufania brata i Fatimy, czytając ich listy.

Na ich podstawie odgrywały z Hudą sceny miłosne.

Amal: Ach, kocham cię, Fatimo. Huda: Ach, Jusefie, ja ciebie bardziej. Amal: Nie, Fatimo, ja cię uwielbiam.

Śmiać im się chciało z tych ckliwości wynurzeń dopóty, dopóki listy nie zaczęły ich niepokoić niepojętym pożądaniem oraz intymnością, jakich nie śmiały ogarnąć. Raz, nieprzytomne z ciekawością Huda i Amal postanowiły odegrać treść pewnego konkretnego listu. I zszokowane odskoczyły od siebie szybciej, niż zdążyły dotknąć się językami.

- Fúj! - wykrzyknęły obie z obrzydzeniem. - Ohyda!

Po tym incydencie przestały czytać listy w przekonaniu, że nabito je w butelkę, a list, który usiłowały odegrać, napisano w ramach kary za ich wścibstwo. Tak więc Huda i Amal zajęły się ważniejszymi sprawami, skupiając uwagę na domu Wardy i pobieraniu opłaty za doręczanie korespondencji.

Amin przyniósł sponiewieranego Jusefa do domu, po czym został z nim aż do późnego wieczoru. Dalia siedziała nieopodal, błądząc w labiryntach zdekonstruowanej rzeczywistości i haftując z Um Abdallah na balkonie, który oceniał wejście do domu, uginając się pod ich ciężarem.

Mimo ograniczeń narzuconych przez żołnierzy arabskim mieszkańcom Huda i Amal zachowały dziewczynskie zwyczaje: grały w klasy w uliczkach, w gry karciane, wymyślane podczas klaustrofobicznych godzin policyjnych, i bezskutecznie uczyły się robić salta. Wróciła im również skłonność do wścibstwa, i gdy Jusef dochodził do siebie po pobiciu w punkcie kontrolnym, co chwila

przerywały zabawę, by podglądać jego i Amina przez południowe okno. I widziały świńskie czasopismo pod niewinną okładką książki w rękach kolegi Jusefa.

Udały oburzenie (doskonale świadome tego udawania), po czym na zmianę zajmowały pozycję przy oknie, niby to doglądając Jusefa, który spał zamroczony bólem.

W pewnej chwili Huda wróciła spod okna z oczami jak spodki i porcją najświeższych wiadomości.

- Twój brat się obudził. Chyba rozmawiają o tej gazecie.

Zajawszy miejsce przy oknie, skwapliwie nadstawiły uszu, lecz słyszały tylko strzępy rozmowy. Była mowa o „tym Jahudim” i w pewnym momencie, ku niedowierzaniu i konsternacji Amina, Jusef oznajmił: „To mój brat, Ismael”.

Huda usłyszała te słowa i rozplakała się, gdy Amal przykazała jej surowo dochować tajemnicy, choć żadna z nich nie miała pewności, na czym owa tajemnica w ogóle polega. Ale nie powtórzyły nikomu tej rozmowy, nie tyle z lojalności, ile dlatego że po prostu nie wiedziałyby, co powiedzieć. Przecież Ismael nie żył. Wszyscy o tym wiedzieli!

Dawid słuchał. O, jakże pragnął cofnąć czas. Postąpiłby inaczej. Uściskałby Jusefa i nazwał go „bratem”. Czy to uczyniłoby jakąś różnicę? Czy Jusef poślubiłby Fatimę i został w Palestynie? Czy odmieniłby się bieg historii? Tyle pytań się nasuwało. Dawid ciągle nie znajdował na nie odpowiedzi. Obecnie zwrócił się ze swoim smutkiem, wielkim jak jego życie, do swojej siostry Amal.

- Czy wówczas po raz pierwszy dowiedziałas się o moim istnieniu? Podsluchując Jusefa i Amina? - spytał.

- I tak, i nie. - Próbowała mu wyjaśnić, że dla niej żył jedynie we mgle cudzych wspomnień. - Przyszłam na świat całe lata po twoim zniknięciu. Dla mnie nigdy nie byłeś rzeczywisty, nawet kiedy dowiedziałam się o odkryciu Jusefa.

Dawid wciągnął powietrze, połykając słowa, których nie czuł się na siłach wypowiedzieć, i zamiast nich uwolnił westchnienie.

- A teraz? - spytał z lekkim naciskiem. - Co?

- Czy wciąż jestem dla ciebie abstrakcją?

Nie, pomyślała. Oczywiście, że nie. Jesteśmy relikdami niespełnionego dziedzictwa, spadkobiercami królestwa skradzionej tożsamości i wewnętrznego chaosu. Złączona z Dawidem pokrewieństwem, samotnością i brakiem korzeni Amal pokochała go instynktownie, wbrew sobie, temu, co zrobił i kim się stał. Miała ochotę chwycić go w ramiona i rozgrzeszyć z wyrzutów sumienia, które nie dawały mu spokoju. Zająć miejsce przy jego stole i podzielić jego samotność. Lecz na jej ustach pojawiło się tylko jałowe: „Nie wiem”.

41. PODARUNEK DAWIDA

2001

Dwudziestego stycznia 2001 roku Dawid z niedowierzaniem i nabożeństwem przeczytał list, którego nie otworzyłam od dnia, kiedy Huda wręczyła mi go trzydzieści trzy lata temu w szpitalu, gdzie dochodziłam do siebie po ranie postrzałowej. Do dziś nikomu nie pokazałam tego listu. Nawet w 1983 roku, kiedy FBI i CIA wtargnęły do mojego życia z żądaniem informacji, nie zdradziłam im jego istnienia. Nie w celu zatajenia dowodów na cokolwiek prócz człowieczeństwa Jusefa - lecz dlatego, że należał do mnie.

Teraz pokazałam go mojemu bratu Dawidowi, który zdawał się postrzegać go jako dokument historyczny, akademicki przedmiot badań na użytek sądu bądź muzeów i prywatnych kolekcjonerów. Takie bezosobowe spojrzenie Dawida na mój rodzinny skarb sprawiło, że omal nie schowałam listu z powrotem. Jednakże pierwsze zgięcie odsłoniło datę; nieprawdopodobny traf chciał, że poznałam

Dawida i otworzyłam list tego samego dnia roku, gdy Jusef napisał go trzydzieści trzy lata temu.

I w tej nierzeczywistej chwili usłyszałam głos ojca:

Łez strumień zrosił moją pierś, Gdy dni miłości wspomniałem; Spłynęły nawet na mój miecz, Tak czułe cię kochałem.

Tęsknota skryzalizowała się w nieruchomym powietrzu mojego pensylwańskiego domu, gdzie siedziałam z bratem, który dorastał w innym świecie, zaledwie kilka mil od Dżenin. Patrzyłam, jak moja ręka wysuwa się w stronę Dawida, i ujrzałam naoczne świadectwo przecięcia się czasu, gdyż z takim samym ociąganiem wysunęła się ręka Hudy przed trzydziestu trzema laty z tą samą kartką, zapisaną tymi samymi słowami.

Kiedy Dawid czytał słowa Jusefa, jego początkowo zdawkowe zaciekawienie ustąpiło miejsca jakimś osobistym emocjom, i zaczął płakać. W jego łzach dostrzegłam, choć nie w pełni zrozumiałam, przebłysk zagubionej tożsamości.

- Czy kiedykolwiek coś podejrzewałeś? To znaczy, zanim Mosze ci powiedział? - spytałam.

- Czuję, że nie jestem do końca koszerny. - Uśmiechnął się, rozbawiony przypadkowym żartem, unosząc tylko lewy kącik ust, jak Jusef. Na zewnątrz wiatr ze świstem zakolysał gałązkami „Starego Klonu”, omiatając nimi szybę. - Zaczęło się, kiedy miałem dwanaście lat, przed bar micwą, gdy mój kuzyn Han zarzucił mi

w czasie kłótni, że nie jestem „prawdziwym Żydem”. Podszuchał, jak jego rodzice w rozmowie nazwali mnie „gojem”, który nigdy nie będzie jednym z „naszych”.

Wstrząśnięty incydem Dawid powtórzył wszystko matce, która uściskała go czule i rozwiała jego wątpliwości, dorzucając uszczypliwie, że „Han jest i zawsze był głupi”. Na tym stanęło, lecz Dawid dowiedział się po wielu latach, że jeszcze tego samego dnia poszła do rodziców liana i tak im nagadała, że zaniemówili z wrażenia.

Dawid z uśmiechem opowiadał o ich minach, kiedy matka tak ziała wściekłością.

- Musieli być wstrząśnięci, bo wuj pokrył praktycznie cały koszt bar micwy - dodał ze śmiechem.

- Jak miała na imię twoja matka?

- Jolanta. Jola. Od łącińskiego viola - fiołek. - Znów się uśmiechnął. - I to był jej ulubiony kolor.

Odmalował Jolantę jako ciepłą, ujmującą osobę w strojach niczym łąka, pełnych kwiatów. Była niska; zaokrągliła się z wiekiem i miała „najdłuższe rzęsy, jakie w życiu widziałas”. Zawsze nosiła sukienki do kolan, latem z krótkimi, zimą z długimi rękawami, do tego pantofle i torebka pod kolor, jeśli zaś na ukwieconej sukni nie widniały odcienie różu bądź fioletu, przypinała do niej bukietek świeżych fiołków, które hodowała w domu.

- Uwielbiała gotować i karmiła każdego, kto do nas przychodził. Brzmi to może niewiarygodnie, lecz zawsze gdy wracałem z kolegami ze szkoły, na stole czekały na nas ciasteczka. W święta urządzała uroczyste kolacje i zapraszała tyle osób, ile mogło się u nas pomieścić, plus jeszcze parę. Organizowała te spotkania, a potem z radością stała przy garach.

Mówił o niej z autentycznym oddaniem. W moich oczach była taka, jaką chciałam widzieć mamę: kochająca, uważna i czuła. Była zaledwie siedemnastolatką, przerażoną i słabą, gdy alianci wyzwolili jej obóz. Całą rodzinę straciła w czasie Holokaustu. Jak na ironię mama - ta, co urodziła Dawida - również ocalała z rzezi, która pochłonęła niemal wszystkich jej bliskich. Tyle że to drugie było wynikiem pierwszego, co utwierdziło mnie w gorzkim przekonaniu, iż cenę żydowskiego Holokaustu ponieśli Palestyńczycy. Żydzi wymordowali rodzinę mojej matki, bo Niemcy wymordowali bliskich Jolanty.

- A twoja matka? Jaka była? - zapytał Dawid. Mroczny cień wezbrał we mnie, stając się bronią, gotową odeprzeć każdą obrazę jej pamięci. Żyjące własnym życiem wieczne pocieranie palcami wnętrza dłoni, zaciśnięte zęby, zatwardziała samotność, sumienność i stoicki charakter wypadały niekorzystnie w porównaniu z ukwieconą czułością Jolanty, z dodatkami pod kolor i ciastkami na stole.

Pytanie Dawida było wezwaniem do boju. Dalia i ja przeciwko Jolancie i Dawidowi. Dalia i ja przeciwko całemu światu. Dlatego odsłoniłam fundamentalną prawdę o sercu mamy; doszłam do tej prawdy w czasie porannych refleksji i teraz otworzyłam bramę osobistej fortecy, którą wzniosła w zмовie z przeznaczeniem.

- Kochała ponad miarę - powiedziałam.

Słowa wyfrunęły z moich ust z własnej woli, tak jak prawda wypycha się naprzód, gdy ją sobie uświadomisz, i tak jak powietrze wyrywa się z płuc tonącego, kiedy go wyławiają.

- W dzieciństwie uważałam, że jest zimna. Ale z czasem zrozumiałam, że po prostu nie pasowała wrażliwością do świata, w którym się urodziła - dodałam. Smutek ofiarował Dalii podarunek ze stali; schowana za tą tarczą, kochała bezgranicznie w odosobnieniu własnej samotności, z dala od dramatycznych burz swego losu.

Dawid słuchał z uwagą, wdzięczny za opowieść o kobiecie, która go urodziła.

- Tamtego dnia w 1967 roku, kiedy myślała, że zginęłam w czasie wybuchu, który zniszczył kuchnię, gdzie ukrywałam się z Hudą i małą kuzynką Aiszą, utraciła coś najważniejszego - podjęłam. - Kropla przelała czarę. Latami bez końca gryzłam się myślą, czy mogłam ją ocalić. - Oczywiście gdybym nie pojechała z siostrą Marianną do Betlejem, zostawiając matkę w szpitalu polowym z demonami, które już zaczęły na niej żerować. Gdybym została, okazała jej czułość, czy wszystko potoczyłoby się inaczej?

Z metalowego pudełka, gdzie trzymałam list Jusefa, wyjęłam jedwabny szal mamy i haftowany gors jej ulubionej thobe, bezduszne relikty jej krótkiego pobytu na ziemi. Owinęłam je folią, dzięki której przez te wszystkie lata przetrwał jej zapach. Dawid zanurzył twarz w rzeczach mamy i wciągnął go w płuca.

- Rzadko się kąpała. - Uśmiechnęłam się, nagle i po raz pierwszy urzeczona tym, co tak mnie kiedyś raziło. I w tej samej chwili zrozumiałam, że Dalia, Um Jusef, niezmordowana matka, która dawała znacznie więcej niż sama kiedykolwiek otrzymała, była studnią bez dna, z której od lat czerpałam siłę. Musiałam pojechać na drugi koniec globu, męczyć się i pławić w bólu i osamotnieniu, aby w końcu zrozumieć, jak jej wytrwały duch wciąż zasilał moją wolę i determinację.

- Co się z nią stało? - spytał Dawid.

- Wkrótce po wojnie 1967 roku popadła w demencję. Ale nie umiałam wytłumaczyć Dawidowi, że był to istny dar od Boga.

Dalia dojrzała w młodości, przeczesując mrok swych nocy w poszukiwaniu utraconego syna i ganiąc się za to, że nie umiała go odnaleźć. Nie kochała dla

przyjemności spełnienia lub wdzięczności. Kochała wbrew własnej woli. Nocą spała niewiele, leżąc na macie do powrotu ojca, by następnie zza kotary udawanego snu upewnić się, że zjadł, co dla niego przygotowała. Wkładała niebywałą energię w codzienną rutynę sprzątanania, gotowania, haftowania, prania, składania, sadzenia - i modliła się pięć razy dziennie. Kiedy Ammo Darwisz potrzebował wózka inwalidzkiego, w tajemnicy sprzedała drugą bransoletę z kostki i zostawiła pieniądze na jego progu. Powiedziała mi o tym w sekrecie. Czuwała nad nami wszystkimi, bacznie i dyskretnie, twardej i kryjąc w sobie swą tajemnicę, ilekroć ktoś zbliżał się do niej z czułym podziękowaniem. Niestety, nie miała serca z lodu, lecz z płynnej lawy, a zaciśnięte zęby i roztrzępotana dłoń rzadko zdradzały burzę emocji. Być może powodem, dla którego matka jakby wyłączyła rzeczywistość, nie było nieprzerwane pasmo tragedii, jakie dotknęły Palestyńczyków, tylko bezmierna miłość, nieznajdująca wytchnienia.

- Kiedyś żałowałam, że nie jest inna. Może taka jak Jolanta - powiedziałam, wspominając Dalię i to, że kiedyś uważałam ją za samolubną, twardą i zimną matkę, która trzymała mnie na dystans.

- Kochałem Jolantę. Była jedyną matką, którą znalazłem. Ale w imię macierzyństwa za wszelką cenę pozwoliła mi żyć w kłamstwie, które wyrządziło wiele zła - przyznał Dawid, jakby chciał uchronić Dalię przed niekorzystnym porównaniem. Urwał i napił się piwa. - Ona mnie też kochała, nie mam co do tego wątpliwości. Ale miłości nie da się pogodzić z oszustwem.

Zacisnął rękę na szklance i z uwagą odstawił ją na stół, jakby chciał zaznaczyć miejsce zdrady.

Miłości nie da się pogodzić z oszustwem. I nie można wtopić jej w egzystencję okupioną walutą cudzej udreki - udreki mojej matki.

- Gdy opowiadałeś o Jolancie, o wylewności jej uczuć, zazdrościłam ci - wyznałam. - Ale wbrew temu, przy czym trwałam w swej młodszej głupocie, nie mogłam mieć lepszej matki niż Dalia.

42. DAWID, MÓJ BRAT

2001

Przynajmniej wiedziałaś, kim jesteś i skąd pochodzisz - zauważył, prosząc gestem o następne piwo.

- Muszę skoczyć do sklepu - odparłam. - Pojedziesz ze mną?

- Jasne.

Jazda samochodem była trudna; musieliśmy oswoić nowe otoczenie, aby poczuć się tak swobodnie jak w domu.

- Piękne miasto - powiedział Dawid.

- To rzeka Delaware.

- W Izraelu nie pada tyle śniegu. - W Izraelu.

- W Libanie tak. - W Libanie.

Po powrocie do domu i kolejnym piwie mój odnaleziony brat dojrzał do tego, aby opowiedzieć mi o trudnej wyprawie z Jolantą do jej rodzinnego miasta w Polsce.

- Nie licząc dnia jej śmierci, widok obozu zagłady, w którym straciła wszystko, był najsmutniejszym dniem mojego życia - wyznał.

- Doparzę kawę. Może masz ochotę na jeszcze jedno piwo? - zaproponowałam.

- Poproszę. - Spojrzał na mnie, a ja odwzajemniłam jego spojrzenie bez przygany we wzroku.

Opowiedział mi o wyznaniu Moszego. Ile go ono kosztowało.

A teraz po latach brał się w garść „czymś mocniejszym niż kawa”.

- Próbowałem udawać, że ojciec zabrał tajemnicę do grobu - wyznał, pociągając łyk ze szklanki. - Ale jego słowa zalewały każdą chwilę ciszy, każdą godzinę bezsenności.

- A Jolanta?

- Czulem się przez nią oszukany - odparł. Rysa w monolicie oddania. Z Moszem sprawa wyglądała inaczej. - Nie byliśmy z ojcem blisko - dodał. - Ale on wyznał mi prawdę i dlatego mogłem to jakoś przeżyć. Opowiedział mi wszystko, nawet to, czego nie musiał. Nigdy nie czulem się z nim bardziej związany niż wtedy.

Na łożu śmierci Mosze odsłonił przeszłość i błagał syna o wybaczenie. Opowiedział o swoich marzeniach, o marzeniach Żydów o ojczyźnie. Wyznał tajemnice Irgunu*, prawdę o potwornościach towarzyszących wysiedlaniu Palestyńczyków. „Miłosierdzie stanowiło luksus, na który nie mogliśmy sobie

pozwoić", powiedział. Opisał twarze, które go prześladowały. „Zbyt wiele twarzy, synu”. Opowiedział o Arabce, której bransoletki na kostkach dźwięczały, kiedy podawała mu jagnięcinę.

* **Igun - nielegalna żydowska organizacja zbrojna, stosująca metody terrorystyczne.**

O tym, jak nauczył się kochać jej arabskie dziecko i jak zaczął pić, by zagłuszyć jej „ibni, ibni”, które wciąż miał w uszach, jakby to było wczoraj. „Słyszałem ją, ale się nie zatrzymałem”, szepnął do Dawida. Nie oszczędził mu żadnego wspomnienia, słodkiego ani gorzkiego, dopóki w końcu nie odpłynął w ciemność.

Pamiętne chwile z czasów Al-Nakby, kiedy to moja rodzina straciła dziecko, a ziemię ogarnęła wojenna pożoga, odżyły w moim domu w Pensylwanii pięćdziesiąt trzy lata później. Ale tylko ja doczekałam spotkania z Ismaelem, naszym brakującym ogniwem, i musiałam dźwigać brzemię udręki całej naszej rodziny.

Zapadłam się w sofę i przymknęłam oczy, tak jak zamykam książkę po przeczytaniu ostatniej strony. Ale Dawid chciał dodać coś jeszcze.

- Wiem, że nie tylko ty uważasz mojego ojca za terrorystę - powiedział. - Robił złe rzeczy, ale nie był złym człowiekiem. Był moim ojcem, Amal.

Nie odpowiedziałam. Ważyłam słowa Dawida, niemal czując w dłoniach ich ciężar, i łzy napłynęły mi do oczu.

- Rozumiesz, o co mi chodzi, Amal? Rozumiem.

- Opowiem ci o wszystkim. Z czasem - odpowiedziałam.

- Jeśli masz na myśli Jusefa, to wiem - odparł.

Ktoś zatrąbił pod domem. Przyjechała taksówka, żeby odwieźć Dawida na lotnisko.

- Nie jedź - poprosiłam odruchowo.

- Nie chcę jechać - odparł natychmiast. Wymieniliśmy rozpaczliwe spojrzenia, szukając w swoich oczach dowodu na obopólną chęć załatania rozdartego przeznaczenia. I coś zrodziło się między nami. Coś łagodnego, miękkiego.

Dawid przełożył lot na następny dzień.

- Wypijmy za nowe początki - poprosił.

Nim zdążyłam podnieść szklanę, do pokoju weszła Sara. Widziałam po jej minie, że nie mogła się doczekać powrotu, odkąd wyszła z domu, i przepełniła mnie radość na jej widok.

- Habibti, poznaj mojego brata Dawida.

VII BALADI (mój kraj)

43. DOKTOR ARI PERLSTEIN

2002

Przeszłość zdawała się snem. Nie wiem, kiedy jej upiory przestały mnie nękać, ani kiedy moja dziewczynka stała się kobietą. A ja chłodną matką, na podobieństwo Dalii.

Kilka miesięcy temu odkryłam, że postarzałam się nieodwracalnie. Moje nagie odbicie patrzyło na mnie z lustra, niezgrabne widmo ciała, zniekształconego upływem lat. Lata poszerzyły mi talię i uczyniły skórę wiotką. Moje piersi obwisły niby zwiędłe kwiaty, a włosy oprószył śnieg.

Tylko blizna na brzuchu się nie postarzała. Rozorana skóra była młoda i napięta jak zawsze, zabalsamowana okrucieństwem, owym niezatartym inkaustem pamięci i formaliną czasu. Przejechałam ręką po skrawku zakonserwowanej młodości, jak robiłam to wiele razy w życiu. Lecz teraz towarzyszyła mi zwietrzała, szczątkowa nostalgia, a słowa Sary szybowały nad moimi myślami niczym ważki nad wodą: „Mamo, jadę do Palestyny. Chcę, żebyś też pojechała”. Pojawiły się również inne głosy. Oddychaj, dziecko. Przeganiałam je oddechem, ale wracały.

- Nie chodzi tylko o tę ohydłą politykę i niesprawiedliwość, mamo - mówiła Sara; oczy jej się zaczerwieniły i wypełniły łzami. - Chcę wiedzieć, kim jestem.

Jej odwieczne zmartwienie: tak mało rodziny. Tak mało poczucia przynależności. Tak mało matki. U podstaw decyzji Sary o wyjeździe do Palestyny leżało jedno wielkie „tak mało”. Lecz była nieodrodną córką swojej matki i patrzyłam, jak chowa emocje i ogłasza zdecydowane postanowienie, popierając je wyzywającym spojrzeniem. Cokolwiek czujesz, trzymaj to w środku.

- Zastanowię się - odpowiedziałam, nie chcąc ulec pokusie, żeby porwać ją w ramiona.

I zastanawiałam się. W gruncie rzeczy nie myślałam o niczym innym, aż do chwili gdy stanęłam przed lustrem i powzięłam decyzję powrotu do Dżenin po trzydziestu latach wygnania.

Po czterogodzinnym przesłuchaniu i rewizji na lotnisku w Lod odprawa wreszcie dobiegła końca.

- Sara! - krzyknął męski głos.

Córka minęła mnie szybkim krokiem i padła w objęcia przystojnego młodzieńca. Zrozumiałam, kim jest, spostrzegłszy stojącego z tyłu Dawida. Sara i jej kuzyn Jakub korespondowali, odkąd Dawid pojawił się w naszym życiu.

Jakub miał dwadzieścia trzy lata, był młodszym z dwóch synów Dawida i bardziej przypominał ojca.

- Szalom, ciociu Amal - powitał mnie z serdecznym uśmiechem, na który nie byłam przygotowana. Ciociu Amal. Szalom.

- Witaj, Jakubie - odpowiedziałam i skrywając zakłopotanie, odwróciłam się do Dawida, który zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku. Stojąc tak, mała wobec jego rosłej postaci, czując dotyk, a nawet zapach Jusefa, znowu miałam dwanaście lat i tuliłam się do brata, kiedy nagi powstał z martwych w 1967 roku, a zielony żabot jego pożyczonego ubrania drapał mnie w policzek - tak jak teraz logo Nike na T-shircie Dawida.

- Dobrze cię widzieć, siostrze.

- Ciebie też, Dawidzie. Ciebie też.

Przed odjazdem do domu Dawida w Netanii chciałam zobaczyć Jerozolimę. Zatrzymać się przy sierocińcu i odnaleźć gabinet Ariego Perlsteina.

- Ale to zupełnie nie po drodze - zaproponował Dawid, a ja nie nalegałam. Miał „tak mało” wypisane na twarzy. Ten ból osamotnienia i lęk odwróconej tożsamości.

Ari Perlstein będzie musiał poczekać, pomyślałam, chociaż nie zapowiadałam się z wizytą. Przed wyjazdem z Filadelfii wytropiłam go przez Internet, ale krępowalam się zadzwonić. No bo w końcu co miałam mu do powiedzenia? „Jestem córką Hasana, pamiętasz go?”. Albo: „Cześć, zgadnij, kim jestem? Mała odpowiedź: wróć pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lub więcej lat wstecz. Druga odpowiedź: Ein Hod, coś ci świta? Cha, cha. Nie, serio”.

- Doktor Perlstein?

- Tak. - Z bezmiaru książek ściśle wypełniających ciasny gabinet profesora wychyliła się mała główka.

- Zechce pan poświęcić mi chwilę? Przyjechałam do pana z bardzo daleka.

- Proszę wybaczyć, w moim wieku pamięć bywa zawodna. Czy my się znamy?
- spytał tak życzliwie, jak to sobie wyobrażałam.

- Nie, ale chyba znał pan mojego ojca, Hasana. Hasana Abulhedżę.

Cały pokój - ściany wypełnione książkami, kilogramy kurzu, roztargniony, stary profesor - wstrzymał oddech, aż oczy Ariego, olbrzymie za dwuogniskowymi szklami, podskoczyły w cieniu krzaczastych brwi. Profesor z wysiłkiem okrążył zabałaganione biurko i ruszył w moją stronę, powłócząc nogą.

- Ja ellahi! - szepnął po arabsku i niecierpliwie otarł łzy dłonią całą w starczych plamach. - Hasan tu jest? - spyta! bez tchu, wyczerpany nagłym żalem za skradzioną przeszłością i powodowany przemożną chęcią, by dowiedzieć się czegoś o losach przyjaciela i go zobaczyć.

- Nie. Sądzymy, że zginął w 1967 roku.

Sądzymy, że zginął w 1967 roku. Nigdy dotąd nie wypowiedziałam tych słów, ani nie wiedziałam, że tak sędzę. Zapadło długie milczenie.

- Wyglądasz jak Dalia - rzekł wreszcie z dobrotliwym uśmiechem. - Siadaj, siadaj.

- Za drzwiami czekają pozostali, którzy też chcieliby pana poznać. Moja córka Sara, mój brat Dawid Avaram i jego...

- Dawid Avaram... Abulhedża? - przerwał zdziwiony żydowskim nazwiskiem.

- Nie, po prostu Avaram. To długa historia... Jeśli ma pan czas...

- Chwilowo jestem wolny - oznajmił triumfalnie.

I odsłoniwszy w uśmiechu źle dopasowaną sztuczną szczękę, zadzwonił do asystentki.

Ari nigdy się nie ożenił, poświęciwszy życie nauce, i wiódł samotne życie. Taki był wybór mądrego człowieka, który przeczytał więcej książek niż setki tych wypełniających całą przestrzeń jego gabinetu.

Ari był cudownym gawędziarzem, w czym przypominał Hadż Salema, który pewnie już nie żył. Siedzieliśmy oczarowani opowieściami o jego przygodach z ojcem, począwszy od pierwszego dnia, gdy spotkali się przy Bramie Damasceńskiej, do ostatniego, gdy mój ojciec pomógł jego rodzinie uciec do zachodniej części Jerozolimy, tuż po jej przejęciu przez Izrael. Opowiadał o brzęczących bransoletkach Dalii, o symetrycznie wywiniętych do góry wąsach Dżiddo Jehji, sięgających mu prawie do oczu, gdy się uśmiechał, o gotowaniu i ogrodnictwie Tety Basimy, o drzewach i sadach Ein Hod, o bezlitosnym barbarzyństwie wojny, nienawiści i przyjaźni, która ocaliła mu życie. A tam gdzie pamięć go zawodziła, ja podejmowałam przerwany wątek.

Trzy pokolenia zebrały się, by wysłuchać z góry przesądzonej, wydrwionej przez los opowieści, która sama cisnęła się na usta. Opowieści o rodzinie w dalekiej wiosce, nawiedzanej kiedyś przez cudzą historię i na zawsze uwięzionej między korzeniami a ziemią. O szalonej miłości i zamachowcu samobójcy. O dziewczynie, która uciekła przed swym przeznaczeniem, aby stać się słowem pozbawionym znaczenia. O dorosłych dzieciach, które przeczesują obłęd, by odnaleźć w nim własny sens. O prawdzie, co brnie przez kłamstwa, by wyłonić się z blizny na męskiej twarzy.

Emocje ogarnęły nas wszystkich w ciasnym gabinecie, gdzie światło wpadające przez małe okienko wysoko w ścianie stanowiło jedyny dowód na istnienie zewnętrznego świata. To światło coraz bardziej łagodniało, a to świadczyło, że czas nie stanął w miejscu, gdy mówiłam o młodym Arim i młodym Hasanie, dzielącymi się pomidorem w geście, który stał się podstawą wiecznej przyjaźni. Opowiadałam Dawidowi wiele historii o ojcu, a ta stanowiła ich zwieńczenie.

- Twój ojciec był taki szczęśliwy, kiedy Jusef przyszedł na świat. Chyba nigdy nie widziałem go szczęśliwszego i dumniejszego - powiedział Ari, przywołując obraz ojca znany tylko jemu.

Nagle znów stałam się dzieckiem, rozmyślając nad tym, czy tata cieszył się tak samo po moim urodzeniu - może bardziej? A może wcale, zgębiony perspektywą kolejnej gęby do wyżywienia w obozie dla uchodźców.

Ari wyrwał mnie z zamyślenia.

- Cóż on teraz porabia, ten twój brat Jusef? - spytał. W tej samej chwili w powietrzu rozniosły się dźwięki adanu. Wchłaniałam je przez skórę.

- Allaaaaaaho akbar, Allaho akbar... - napłynęło z kilku minaretów jednocześnie. Melodia ta, której nie słyszałam o wiele za długo, sączyła się do zamartwych zakątków mnie samej, wartka jak rzeka, jak woda na chrzcie.

- Aszhado an la ellaha Allaaaah, Aszhado an Moham-madun krasul Allah... - Siedziałam z zamkniętymi oczami, otwierając bramy bolesnej nostalgii i tęsknocie za utraconą rodziną, utraconą sobą, a pieśń wypełniła ciszę, która wezbrała na końcu pytania. „Cóż on teraz porabia, ten twój brat Jusef?”.

- Hajo ala salaaaaat. Hajo alal falah... - I rozdzwoniły się kościoły nad Grobem Pańskim, do wtóru moich najśłodszych i najbardziej gorzkich wspomnień. Wstałam, kiedy rytm islamu wskrzesił dołeczki Fatimy i jej błękitną diszdaszę, ubliżając tysiącowi niewypłakanych łez.

- Nie wiem - odpowiedziałam Ariemu, zaskoczona łagodnym brzmieniem własnego głosu. I chcąc uciąć dalsze pytania i uniknąć nieporozumień, dodałam: - Podobno to on był zamachowcem samobójcą, który wysadził amerykańską ambasadę w 1983 roku.

Sara gwałtownie chwyciła oddech. O tym nie wiedziała.

Jakub spowaźniał, jakby chmura zasnęła pogodne niebo. Tego się nie spodziewał.

Dawid w milczeniu dźwignął brzemień moich słów, nie chcąc, by padały tak blisko syna, w którego oczach zabłysnął błagalny wykrzyknik: „Przecież oni mieli być dobrzy. Dobrzy Arabowie. Nasi pokojowo nastawieni palestyńscy krewni. Nie terroryści!”.

Twarz Sary otworzyła się jak rana. Sary, pełnej niedowierzania, zaintrygowanej, złaknionej całej historii swego życia, zranionej przez matkę, która tyle przed nią ukrywała.

Byłam zbyt wyczerpana, aby stawić czoło takiej reakcji.

Rozdarta pośrodku błękitna diszdasza zamajaczyła na obrzeżach mojego mózgu, gdzie już dawno zgasła światło, i zawisała nade mną jak chmura. Odwróciłam się i w twarzy córki ujrzałam Madżida, zaraz jednak przymknęłam oczy, zbyt słaba, aby poczuć cokolwiek jeszcze. Przerazona, że odnajdę w głębi siebie gniew brata. Ze jego gniew może być także moim gniewem. Przerazona, jak zawsze.

Ale tym razem mój mechanizm obronny nie sprosta! stłamszonym wspomnieniom i miłościom, które rozgorzały za murem z lodu niby pochodnie, domagając się łez, na jakie zasługiwały. Smutku i wściekłości. Uczczenia pogrzebanej pamięci cierpieniem.

- Laaa ellaaha dla Allan - zabrzmiało na koniec adanu i w oczach Ariego ujrzałam zrozumienie.

Ariego, chłopca, którego dzieciństwo i prawa noga ucierpiały nieodwracalnie za sprawą zjadłości nazistów. Kulejącego malca, którego jedyny przyjaciel zabrał do arabskiej wioski, by odetchnął świeżym powietrzem, nieskażonym strasznymi wspomnieniami rodziców, ofiar obozów zagłady, którzy z wysiłkiem podjęli trud ułożenia sobie życia na nowo. Ariego, zaszczutego chłopca, ściśniętego w wozie, gdy Arabowie szukali Żydów, każdego Żyda, żeby zemścić się za rok 1948. Ariego młodego mężczyznę, który patrzył, jak rodzice zapadają w bolesne jak śmierć wspomnienia, pozostawiając mu pamiątki swego życia, broszkę z osiemnastoma perełkami i półki pełne książek.

- To jej broszka. - Pokazał mi. Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć, sześć... osiemnaście ślicznych perełek.

Ariego, mężczyzny, który nie mógł się ożenić, bo tak jak ja, miłości bał się bardziej niż śmierci. Bo dla znienawidzonych i prześladowanych drugą stroną miłości jest strata nie do zniesienia.

Ari - „Żyd antysemita”, jak nazywali go rodacy; „mój przyjaciel”, jak nazywał go ojciec - rozumiał. I okrył moje słowa całunem współczucia, „...który wysadził amerykańską ambasadę w 1983 roku”. By osłonić moje słowa, by osłonić mnie i wspomnienie Jusefa przed lodowatym dotknięciem prawdy zawartej w tym wyznaniu. Ujrzałam to w jego twarzy. Nasze spojrzenia zetknęły się i splotły, aż dwie ciężkie łzy spadły niczym kotwice, a ich ciężar przygniótł mnie do krzesła, nim zniknęły na czerwonej, kamiennej podłodze.

Ari, młody Żyd na zdjęciu ślubnym moich rodziców, poprowadził mnie dalej ostatnim wspomnieniem o ojcu, każąc usiąść na pożyczonym przez niego wozie, zaprzężonym w wołu, którym przewiózł Perlsteinów na drugą stronę Jerozolimy, nim podbito wschodnią jej część. Wyruszając na tę ryzykowną wyprawę, ojciec schował pod ubraniem flagę z prześcieradła z namalowaną ręcznie gwiazdą Dawida, którą Perlsteinowie mieli machać po izraelskiej stronie, by nie wzięto ich za Arabów i nie zastrzelono. Jechali nocą, wśród patroli zdecydowanych na wszystko mężczyzn, broniących tego, co zostało z roku przed Żydami, którzy w mundurach świeżo ustanowionego narodu trzymali wartę po drugiej stronie, rozjątrzeni własną złością i determinacją.

- Rodzice bali się drgnąć czy choćby otworzyć oczy - zaczął Ari - ale ja podglądałem przez szparę w wozie. Gdy jordański żołnierz kiwnął na twojego ojca, przeszło mi przez myśl, że Hasan uknuł zasadzkę, aby zdradzić nas w ostatniej chwili. Strach przerodził się w podejrzenie i powziąłem plan zdrady, nim zostanę zdradzony. Sięgnąłem po nóż, ukryty przez Hasana na wierzchu pod kocem, „na wszelki wypadek”.

Ari urwał. Wciągnął wraz z oddechem bolesne wspomnienie i wypuścił je w słowach, kiedy drżące ręce Dawida sięgnęły do torby po butelkę, z którą się nie rozstawał.

- Ale nim zdążyłem wyskoczyć, ruszyliśmy dalej. I zrobiło mi się wstyd swojej nieufności.

Popatrzył na mnie z ukosa zza grubych szkielec i ciągnął dalej:

- Przez resztę drogi dygotałem, wstrząśnięty własną pomyłką, tajemną zdradą przyjaciela, który ryzykował życie, żeby mnie uratować. Zdradą, nim sam zostałem zdradzony.

Kolejne godziny, a może minuty, zatarły się w mojej pamięci. Lecz niebawem Hasan stanął i wskazał nam ukrytą ścieżkę na drugą stronę, wręczywszy mi flagę, którą własnoręcznie wykonał, malując tę samą niebieską gwiazdę, która powiewała nad gruzami jego kraju.

Objął mnie, a jego ostatnie słowa brzmiały: „Obyśmy się jeszcze zobaczyli, bracie”. „Wybacz”, odrzekłem i po-czołgałem się za rodzicami.

Ari umilkł, jakby chciał powiedzieć: „To wszystko”. W dolinie tej przepastnej ciszy stałem się dzieckiem w ramionach ojca, które pytało o Ariego Perlsteina i patrzyło, jak ręce ojca zamykają książkę, a wraz z nią świt. Nie. Nie wszystko.

- Straci! dom, ziemię, syna i tożsamość przez żydowskie państwo, a mimo to ryzykował życie, by uratować mnie i moją rodzinę.

I tyle.

Kątem oka dostrzegłam ulgę na twarzy Jakuba, gdy tak oceniał wartość swoich arabskich krewnych pod kątem ich zasług wobec Żydów. Irytował mnie, chociaż Sara chyba naprawdę go polubiła.

Wyszliśmy stamtąd u kresu sił. Byłam znużona opowieścią. Znużona przeszłością.

W drodze do Natanii poprosiłam Dawida, aby nieco zboczył z trasy.

- To trochę nie po drodze - rzuciłam z irlandzkim akcentem, naśladując Jacka O'Malleya, który wyrzekł te same słowa, kiedy dawno temu wiozł mnie do sierocińca. Nikt nie zrozumiał aluzji, a mnie już nie chciało się tłumaczyć, o co chodzi. Potem opowiem Sarze wszystko o O'Malleyu, sierocińcu, Kolumbijskich Siostrach i Hajdar, dyrektorce. Huda i ja opowiemy jej o domu Wardyza trzecim drzewem oliwnym, obok bliźniaczych cedrów na drodze do Tajbeh, i przenocujemy z dziećmi na dachu jak przed laty. W głowie mi się zakreśliło, taka byłam pewna siebie. Ziemia zdawała się mnie witać z otwartymi ramionami.

Mimo zamieszania dobrze było tu być. Czulałam, jak słowo wyzute z nadziei i sprowadzone do niemych liter odzyskuje znaczenie. Tutaj byłam Amal, nie Amy.

- Lubię, jak nazywają cię Amal, mamó - powiedziała Sara, gdy następnego dnia znalazłyśmy się w Dżeninie.

Aw Khilwie, objazd „trochę nie po drodze”, gdzie biblijny kamienny mur rozsunał się niby kurtyna na Górze Oliwnej, stałam na legendarnej ziemi z widokiem na Jerozolimę, jak z Jackiem O'Malleyem w dzień pożegnania z Dżeninem. Teraz tam wracałam. Czas zataczał koło wstecz.

Obecnie była to stara wieś z murami wzniesionymi z tajemnic i drzewami wyrosłymi z krwi. Wokół Jerozolimy i na Zachodnim Brzegu Jordanu osady na każdym wzgórzu - z wypielęgnowanymi trawnikami i czerwonymi dachami domów, schodzących w głąb dolin jak wysypka ziemi - stanowiły rażący kontrast z rozsypującymi się domami Arabów w dole, gdzie wylewano ścieki z osad, a osadnicy często wyrzucali śmieci.

Wysokie, o wiele za wysokie budynki górowały nad miastem. Apartamentowce tylko dla Żydów, fortyfikowane osady, nowoczesne hotele oraz importowane krzewy stały jak straż więzienna, górując nad łukowymi drzwiami i oknami miejscowych kamiennych budynków, będących przykładem najwybitniejszych osiągnięć architektury.

Lecz bez względu na gorliwą „semityzację Jerozolimy” Stare Miasto zdawało się zimne. Wręcz okrutne. I, koniec końców, niewarte uwagi.

Jak to się mogło stać?

- O rany - powiedziała Sara. - Ale pięknie. Nieprawda, miałam na końcu języka. To tylko kamień. Czemu godność i honor tak zależą od kamienia i ziemi?

Pokolenie za pokoleniem wybebeszą ziemię, wykuwając z jej trzewi pomniki na dowód swej obecności w imię pogoni za ulotnym marzeniem i nadawaniem znaczenia całkowicie przypadkowym faktom, po to by osiągnąć nieśmiertelność, grabiąc, depcząc i patrosząc nieśmiertelną glebę.

- To tylko kamień, Saro. - Myśli wyfrunęły mi z ust.

- Kamień symbolizujący historię, mamó - odparła, patrząc na mnie z niedowierzaniem, że bagatelizuję coś tak wielkiego. - To cudowne.

- Pokażę ci drzewo oliwne w Dżeninie, zwane Starą Damą, które kryje w sobie więcej historii niż mury Starego Miasta. I jest o wiele piękniejsze, pokorniejsze i bardziej autentyczne niż te rzeźbione kawałki skały - powiedziałam, wierząc we własne słowa, z chwilą gdy się pojawiały. - Poza tym - ciągnęłam, krwawiąc z miłości do tej doskonałej istoty, zrodzonej z mojego ciała - sama jesteś cudowna.

44. PRZYTUL MNIE, DZENINIE

2002

O Dzeninie ostatnio zrobiło się głośno w mediach: „Zagłębienie terroru”. „Wylęgarnia terrorystów”. „Gniazdo terroryzmu”.

Dzenin urósł od czasu, gdy wyjeżdżałam stąd prawie trzydzieści lat temu.

Lepianka postawiona na lepiance. Kamień zamiast cegły. Nazywa się to „przyrostem pionowym”. Jedna mila kwadratowa ONZ-owskiej jałmużny, na której mieszka czterdzieści pięć tysięcy mieszkańców, cztery stłoczone pionowo pokolenia uchodźców.

Kiedy przyjechałam, wyczuwało się wokół aurę pośpiechu. Wszystko zdawało się przemykać. Nawet dzieci bawiły się nerwowo. Zabrakło starców, którzy siedzieliby na odwróconych wiadrach i grali w trik-traka, widoku stale towarzyszącego mi w dzieciństwie. Młodzi mężczyźni, wypłukani z marzeń, biegali po uliczkach z karabinami przytroczonymi do pleców. Przygotowywali się na nieuniknione, gromadząc prowiant i budując zasadzki oraz barykady przed nadciągającą burzą. Wściekłość i opór podążały ramię w ramię, maszerując prawa-lewa, prawa-lewa, aż po granice jednej miii kwadratowej wybujałego w górę obozu dla uchodźców. Zamachowcy samobójcy zaciskali pasy z ładunkami wybuchowymi, kochankowie ściskali dłonie, małe dziewczynki kolana, matki zaś ukrywały dzieci jak najniżej się da.

Był dzień trzydziestego pierwszego marca 2002 roku.

Dwudziestego marca zamachowiec samobójca zabił siedmiu Izraelczyków w Galilei w odwecie za zabicie trzydziestu jeden Palestyńczyków dwunastego marca, będące zemstą za zabicie jedenastu Izraelczyków jedenastego marca w rewanżu za zamordowanie czterdziestu Palestyńczyków ósmego, i tak dalej.

Podczas gdy w gabinecie Ariego odbywaliśmy podróż w przeszłość, w czasie teraźniejszym izraelskie czołgi forsowały kwatery Jasira Arafata w Ramallah. A gdy ten tkwił w dziupli pod gruzami byłej siedziby z widokiem zasłoniętym lufą czołgu, pan prezydent George W. Bush oświadczył, że Arafat powinien „zaprzestać terroru”.

Później, w domu Dawida, Sara poprosiła wuja o wyciszenie „tego rozbuchanego ego z ptasim mózdzkiem”, jak to ujęła.

- Pomyślałby kto, że prezydent Stanów Zjednoczonych weźmie pod uwagę logistykę tego przedsięwzięcia. Ale gdzie tam. Gość tyle razy powtarza „terror”,

że zaczynam myśleć, że to choroba. Nieuleczalny tik słowny. Terrorterrorterrorterrorterror! - burknęła z rozdrażnieniem.

Moja córka.

Następnego dnia przyjechaliśmy do wyższego Dżeninu. Dżeninu bardziej zatłoczonego. Dżeninu zdecydowanego, wściekłego i tętniącego życiem. Nie biernego, pogrążonego w oczekiwaniu i zdanego na wolę Allaha Dżeninu mojej młodości. Podążając krętymi uliczkami, trzymałyśmy się z Sarą za ręce, słońce drżało na strużkach ścieków. Muzyka lała się z domów pod nasze nogi i słyszałam Fajruz, której głos piał się jak wolność w stronę i głąb nieba.

Za ciebie się modlę, miasto modlitwy. Ja bahijat el masakin. Ach, różo wszystkich miast. Nasze oczy biegną ku tobie każdego dnia... by ukoić ból twych świątyń

I zatrzeć meczetów żal...

Przystanąłam i rozłożywszy ramiona, dotknęłam ścian po obu stronach ulicy, przesuając dłońmi po kamieniach wyższych, bardziej ściśniętych budynków.

- Zawsze tak z Hudą chodziłyśmy tymi zaułkami - powiedziałam do córki.

- Nie masz pojęcia, jakie to wzruszające znaleźć się tu, gdzie dorastałaś. Nie mogę się doczekać, aż poznam Hudę i posłucham opowieści sprzed lat - odparła z przejęciem Sara.

Kolejna piosenka. Trafiała prosto w serce, najpierw zawodzeniem fletu, a potem słowami.

Unadikum. Wzywam cię na pomoc, chwytam się rąk twoich

I całuję ziemię pod twoimi stopami...

Oddaję ci światło mych oczu... Biorę na siebie część tego, co cię gnębi. Przed ojczyzną otwieram serce... Szydziłem tyranom w twarz, sierota, ja, Nagi i bez butów.

Unadikum. Wzywam cię na pomoc, w ręku niosąc mą krew...

Przed nami dzieci śmiały się z dwu dorosłych kobiet, wodzących dłońmi po przeciwległych ścianach. Stado gduczących kurcząt zatrzepotało beużytecznymi skrzydłami, próbując umknąć grupce goniących je malców. Pewne rzeczy się nie zmieniły.

Starzy umarli, młodzi się postarzelili, domy stały się wyższe, uliczki ciaśniejsze, dzieci przychodziły na świat, potem szły do szkoły i goniły kurczęta, a drzewa oliwne ugiwały się pod ciężarem owoców. Mimo to obóz dla uchodźców w Dżeninie wciąż trwał, mila kwadratowa ziemi, na zawsze uwięziona w niekończącym się roku 1948.

Za moimi plecami rozległ się głos z przeszłości:

- Jesteś w Dżeninie.

Serce eksplodowało mi wspomnieniem miłości. Wspomnieniem życia.

- Czy zawsze musisz stwierdzać rzeczy oczywiste? - spytałam, patrząc w tygrysie oczy Hudy. Padłyśmy sobie w ramiona, śmiejąc się przez łzy.

- Przytyłaś - oznajmiła.

- Ty też - nie pozostałam jej dłużna.

- Zawsze musisz stwierdzać rzeczy oczywiste? - odparowała kpiąco.

Przyciągnęła Sarę i objęłyśmy się we trzy, po czym ruszyłyśmy do jej domu.

- Zostałam tylko ja i Mansur, mój najmłodszy - rzekła bez tchu, gdy podążałyśmy pod górę, w stronę małego domku nieopodal miejsca, gdzie spędziłyśmy dzieciństwo.

- W zeszłym miesiącu Izraelczycy zabrali Osamę. Dżamil, jeden z moich bliźniaków, często do nas zagląda, ale przeważnie nie wiemy, gdzie przebywa. - Umilkła, by zaczerpnąć tchu, i podjęła: - Jest w partyzantce. - Otworzyła metalowe drzwi domu. - Żydzi zabili jego brata Dżamala, gdy miał dwanaście lat. Dżamil nigdy się z tym nie pogodził. Siadajcie, zrobie herbatę.

Piękne oczy Hudy lśniły w twarzy wyrzeźbionej latami zmiennej pogody oraz utratą dziecka. W jej oczach nasza wspólna przeszłość splatała się z wyższym, bardziej tłocznym Dżeninem teraźniejszości. Te oczy przechowały ciągłość naszej przyjaźni, lecz bezskutecznie szukałam w nich potwierdzenia, że wróciłam do domu. Czy tak bardzo się zmieniłam? Nie sposób było podjąć wątków zarzuconych dawno temu.

- Mansuuuuur! - zawołała Huda. Po chwili zjawił się wysoki młodzieniec; musiał pochylić głowę, aby przejść przez drzwi. Omiótł nas przelotnym spojrzeniem, ani miłym, ani niegrzecznym. Ramiona mu zwisały jakby pod ciężarem dłoni, obficie zachlapanych farbą we wszystkich kolorach.

- Habibi, to Amto Amal. Nareszcie wróciła. A to jej córka, Sara - powiedziała.

Uścisnął nam ręce, spojrzał obojętnie i wyszedł, tak jak wszedł, bez słowa, schylając w drzwiach głowę.

- To mój mały Mansur. Artysta! - oznajmiła Huda, wychodząc z maleńkiej kuchni z trzema szklankami gorącej herbaty i ciastkami na tacy. - Ale nie gniewajcie się na niego. Mansur nie mówi. Przestał, kiedy miał sześć lat.

Później tego samego dnia Sara i ja patrzyłyśmy, jak Mansur tworzy fresk upamiętniający ostatniego szahida*, który wysadził kawiarnię w Jerozolimie. Malował zamaszystymi, płynnymi ruchami na murze, który przywita nadchodzącą inwazję. Niebawem ze ściany wyłoniła się nieugięta twarz o wielkich oczach, wyglądających spod ciasno zawiązanej kefli w pozbawiony przyszłości rok 1948, w wolność buntowniczej śmierci, eksplodującej w huku zbędnej chwały.

* Szahid - męczennik.

Mansur, mimo że do nikogo się nie odzywał i rzadko obdarzał kogoś spojrzeniem, cieszył się w obozie wielką sympatią. Zdawało się, że wszyscy go znają. Ludzie zatrzymywali się, by podziwiać jego pracę, poklepać go po plecach lub pomodlić się chwilę za chłopaka i jego talent.

- Ma zdolności, nie? - powiedziała Sara.

Lecz chodziło o coś więcej niż talent plastyczny. To było jego milczenie. Cisza tak gęsta i namacalna, iż zdawała się istnieć na granicy materializacji. Malował z głębi jej brzmienia i chroniła go na podobieństwo niewidzialnej tarczy.

- Wkurzam się, jak pomyślę, co mu zrobili - oświadczyła Sara.

W czasie podwieczorku Huda przedstawiła nam skróconą wersję jego porwania w wieku sześciu lat, gdy zabrano go z opaską na oczach izraelskim dżipem i oddano po tygodniu za okup w wysokości pięciuset dolarów.

- Spośród wszystkich moich dzieci zawsze był najwrażliwszy. I najbardziej mnie potrzebował - dodała.

Ammo Darwisz stał się ukochanym patriarchą w obozie. Widziałam to po liczbie osób w jego domu, z których większość rozpoznała mnie, gdy weszłam do środka.

- Czy mnie oczy nie mylą? - zawołał jeden z moich kuzynów i podszedł, żeby mnie uściskać.

- Chwała Temu, który sprowadza naszych bliskich do domu z obczyzny - dorzucił drugi. - Chwała. - I wszyscy podnieśli się z ożywieniem, żeby mnie powitać, ale odczekali z szacunkiem, aż wuj uczyni to pierwszy.

Podeszłam do Ammo Darwisza i oparłam się o wózek, by utonąć w jego wyciągniętych ramionach.

- Ja habibti, ja Amal. - Wuj się rozplakał. - Przynosisz do tego domu tchnienie Hasana i Dalii, kochana. Przynosisz mi radość, piękna córko. - Trzykrotnie pocałowałam go w rękę, dotykając nią czoła.

Im dłużej siedziałyśmy tam z Sarą, tym bardziej serce wzbierało mi miłością i wspomnieniami. Ammo Darwisz zrobił się stary i kruchy, ale tryskał energią.

- Dawno nie widziałam go tak szczęśliwego, Amal - szepnął do mnie kuzyn.

Dopiero trzeciego wieczoru w Dżeninie, drugiego kwietnia, dowiedziałam się, że Hadż Salem jeszcze żyje.

- Co dzień na zmianę zanosimy mu jedzenie, jak nasze matki. Tutejsze dzieci znają go innego niż my. Nie jestem pewna, kiedy przestał opowiadać. Zdaje się, że to następowało stopniowo. Dziś przeważnie struga patyki małym scyzorykiem, którego celowo mu nie ostrzemy - wyjaśniła Huda.

Postanowiłam odwiedzić go następnego dnia rano.

Wieczorem zostaliśmy w domu. Obóz leżał skąpany w mroku; światła pogaszono bądź ukryto za zasłonami w oknach. Izrael wszczął kampanię przeciwko pobliskiemu Betlejem i w okolicznych miasteczkach stacjonowały setki żołnierzy.

Huda i ja siedziałyśmy na workach z piaskiem w blasku świateł i gadałyśmy o starych czasach, odgrzebując perełki wspomnień, które niemal puściłyśmy w niepamięć. Tamtej nocy dom Hudy stał się małym przyłaskiem szczęścia na jednej mili kwadratowej lęku i niepewności.

Mansur siedział naprzeciw nas oparty o stertę worków z piaskiem i szkicował, uśmiechając się czasem. Udział Sary ograniczał się do trzech słów: „Opowiedzcie coś jeszcze”, a Huda i ja przerzucałyśmy się faktami z naszego wspólnego życia, smakując je teraz na nowo wraz z naszymi dorosłymi dziećmi. Dom Wardy, naszej jednorękiej lalki, łażenie po drzewach, gra w klasy, świerszczyki Jusefa, samotność ojca, świt, mama, Hadż Salem, konkurs plucia na odległość, wojna. Uśpiony instynkt siostrzany kazał nam spleść ręce, jak to robiłyśmy od zawsze, i podążyłyśmy razem na skraj wspomnień. Sara oparła mi głowę na ramieniu i mnie objęła, co nie zdarzyło się, odkąd sięgałam pamięcią. I choć powietrze na zewnątrz było ciężkie, pulsując nadchodzącą śmiercią, płonęłam z miłości, której odmawiałam sobie i dziecku w moich ramionach. Przyszło mi do głowy, że odnalazłam dom. Ona zawsze tam była.

- Powierzmy noc woli Allana i spróbujmy odpocząć. Niech Allah nas chroni i strzeże mojego chłopca Dżamila, gdziekolwiek teraz jest - powiedziała Huda i przymknęłyśmy oczy, oparte o poduszki i o siebie nawzajem. Minęły godziny, lecz zdawało się, że dopiero co usnęłyśmy, gdy przez pogrążony w mroku obóz przetoczył się okrzyk: „Żydzi idą! Żydzi idą!”.

Żydzi idą.

W tej samej chwili w progu zamajaczyła rosła postać i do środka wszedł młody mężczyzna bez koszuli. Światło latarni w jego dłoni podkreślało zarys mięśni pod brązową skórą.

- Jumma, nie śpisz? - szepnął do Hudy. - Mansur, bracie, gdzie jesteś? - Zapalił światło. - Spokojnie. Żydzi będą tu dopiero za godzinę.

Za godzinę.

Moja przyjaciółka ze łzami w oczach objęła syna. Obsypała go żarliwymi pocałunkami, tak aby każdy skrawek jego twarzy zaznał jej matczynej miłości. Wiedziała, że po upływie tej godziny Dżamil może do niej nie wrócić. Widok tego pożegnania kazał mi objąć córkę i obie odwróciłyśmy nasze oczy pełne łez od sceny, w której nie miałyśmy prawa uczestniczyć.

- Mansur, bracie. Jeżeli coś się stanie, masz się zaopiekować matką - powiedział Dżamil. Mansur milczał, lecz odpowiedź była jasna.

Gdy Dżamil skierował się do wyjścia, zdarzyło się coś niezwykłego. Trwało niespełna trzydzieści sekund, i chyba tylko ja zwróciłam na to uwagę. Kiedy się odwrócił - w zawiązanej z tyłu kraciastej, czarno-białej chuście na głowie, z czerwonymi rewolucyjnymi opaskami na rzeźbionych ramionach - jego czarne oczy spoczęły przypadkowo na Sarze, i to spojrzenie osadziło ich oboje w miejscu. Niema prośba, błaganie. Nagła miłość, która chce się narodzić. Pragnienie, na które nie mogło sobie pozwolić żadne z nich. Oaza między dwojgiem nieznajomych, kusząca oboje.

- Żydzi! Żydzi! - usłyszeliśmy i czar prysł wobec konieczności ucieczki do schronu. Mansur zgasił światło, zapalił kolejną latarnię i uściskał brata. Dżamil pocałował Hudę w czoło.

- Allah jihmik ja inni! - krzyknęła, modląc się o jego bezpieczeństwo.

- Chalto Amal - rzucił beznamiętnie Dżamil - po której imię nosi moja siostra - dodał, stwierdzając rzecz oczywistą. I nie spojrzał więcej na stojącą obok mnie dziewczynę.

Patrzyłam, jak jego obecność muska skórę mojej córki niby pieszczota. Niby przeprosiny, żal nieuchronnego końca. Pocałunek przed śmiercią.

Dżamil sięgnął po jedyny obrazek wiszący na ścianie, po czym ucałował go i odwiesił zdjęcie Dżamala, swego bliźniaka, na zawsze dwunastoletniego.

A potem zniknął.

O drugiej nad ranem rozległ się ryk nadjeżdżających czołgów, niczym pomruk drapieżnego kota. Siedzieliśmy blisko siebie. Metalowy imbryk wystygł. Mansur zapadł w ciszę, nie przestając rysować ani na chwilę. Huda odwróciła matę w stronę Mekki i modliła się bezgłośnie.

Z czasem napływały inne odgłosy. Chrapliwy ostrzał artylerii. Gwizd pocisków z helikopterów. Huk bomb zrzuconych z powietrza. Grzmot eksplozji. Kakofonia militarnej potęgi, przetykana płaczem małych dzieci, gdy żołnierze chodzili od domu do domu. Odgłosy zniszczenia i śmierci wznosiły się i opadały przez dziewięć dni, które spędziliśmy w możliwie najniższym położonym miejscu. W dziurze pod kuchenną podłogą.

- Pamiętasz? - Poczulałam na sobie wzrok Hudy.

- Pamiętam.

Wiedzieliśmy, że pobliskie budynki walą się jeden za drugim. Od wycia buldożerów, przypominającego odgłosy orgii smoków, ziemia drżała, więc obmyśliliśmy plan ucieczki, na wypadek gdyby nadjechały. Huda spakowała rodzinne fotografie i wraz z identyfikatorami ONZ schowała je pod ubraniem.

Sara i ja upchnęłyśmy pod bluzkami nasze amerykańskie paszporty. Nie ściągałyśmy butów.

Podczas tego zamieszania nie odstępowałam córki, zakochując się w niej, jakbym dopiero co znów wydała ją na świat. Rozmawiałyśmy przez dziewięć dni, rozpracowując słowa, które nie miały dotychczas racji bytu. Gdy śmierć padała z nieba, a naboje grzęzły w ścianach domu Hudy, Sara i ja obierałyśmy się z kolejnych warstw bólu i rozgoryczenia, które dotąd pielęgnowałyśmy w sobie, i odnajdywałyśmy wspólną tęsknotę za Madżidem mimo - a może z powodu - zgrozy, która nas ogarniała.

- Tak strasznie chciałam wiedzieć. Rozmawiać o nim z tobą, wiesz? Czemu nie chciałaś nawet rozmawiać? - Łzy błysnęły w jej oczach. Oczach Madżida. Bezdenne, czarne źrenice; leniwe łuki w kącikach i brew, co potrafi się unosić jak uśmiech. Kobięca wersja Madżida w twarzy naszej córki. W zakamarkach pamięci nie odnajdywałam całości, tylko jego fragmenty. Zmarszczkę. Bliznę. Wicherek u nasady karku. Niebo i Morze Śródziemne złane w jeden i ten sam odcień. Ale pamiętałam jego zapach. Rosę potu po pracy i po miłości. Po tylu latach Madżid pachniał błękitem.

- Przepraszam, Saro. - Otworzyłam dłonie i rozluźniłam zaciśnięte szczęki. - Bałam się... bałam się tego, co mogę poczuć. - Złożyłam swoje serce w otwartych dłoniach.

- Pamiętasz, jak jedenastego września runęły dwie wieże?

Uniosła brwi.

- Tak. Pamiętam, że cały następny dzień przesiedziałaś w pokoju i nie poszłaś do pracy. Wydawało mi się, że bardzo to przeżywasz i, szczerze mówiąc, nie rozumiałam dlaczego. Co to ma wspólnego z moim ojcem?

Znów usłyszałam głos Jusefa, pełen wściekłości i żalu przed dwudziestu laty.

- Twój ojciec zginął w ten sam sposób. Izrael zbombardował nasz dom w przeddzień wyjazdu Madżida do Stanów.

- Słowa jakoś przeszły przez moje serce i usta. Nie czułam gniewu ani rozpaczy, tylko ból. Smutek, w który mogłam spowić serce, żeby się ogrzało.

- Boże! - Przytuliła mnie z całej siły.

- Płakałam trzy tysiące razy. A potem użalałam się nad sobą, samotną kobietą, której nie oddano hołdu, jaki oddaje się żonom poległych, z szacunku dla ich straty, straty ich dzieci. To było takie wzniosłe i godne. Takie wzruszające i lojalne. I byłam jak w lustrze, tak niewiele warta wobec bohaterskiego życia mojego męża. Gardząca własną stratą. Z FBI deptającym mi po piętach. Przeszłość nie pozwalała o sobie zapomnieć. Ale jedenastego września stanęłam w obliczu ostatnich chwil życia twego ojca. Widziałam go w każdym, kto próbował

wyskoczyć z okna i kogo wyciągano spod gruzów. I nagle ujrzałam siebie tak, jak jeszcze nigdy nie było mi dane: pocieszaną, zrozumianą i kochaną.

Sara płakała. Z poczucia winy, bo wtedy bardzo ją irytowało moje zachowanie.

- Tak mi przykro, mamó. Nie miałam pojęcia. Byłam taka nieczuła. Nie rozumiałam.

Spojrzałam na córkę i wiedziałam, że słońce zajdzie i wszędzie ponownie, i że kocham ją miłością sięgającą głębiej niż czas, dalej niż Bóg.

- Ciii, habibti. Nie musisz się usprawiedliwiać. Nie byłam zbyt dobrą matką. Powinłam ci wszystko powiedzieć, porozmawiać z tobą już dawno temu. To ja przepraszam.

Nagły hałas na zewnątrz sprawił, że podskoczyłyśmy, Huda ocknęła się ze snu. Znow miałam jedenaście lat w dziurze pod kuchenną podłogą. Skulona znow mamrotałam modlitwę. Mansur rysował. Sprawdziliśmy papiery, paszporty. Zawiązaliśmy buty, gotowi do natychmiastowej ucieczki. Rozprostowaliśmy nogi; skurcz mógł kosztować życie. Ale nie wstaliśmy, kule bez trudu zbłądziłyby tu, wpadając przez okno. Nadal tkwiliśmy skuleni w mysiej dziurze, a strach płynął nam z serc jak ptaki w podniebnym locie. Ćwir, ćwir.

W życiu nie widziałam Sary tak przerażonej. Krew na przemian to odpływała, to uderzała jej do twarzy. Odgarnęłam córce włosy z czoła i ucałowałam je. Ucałowałam jej twarz. Żeby odpędzić, strach. Żeby znow odzyskała spokój.

Kule, czołgi i helikoptery powróciły do swego świata kul, czołgów i helikopterów. Zapadła cisza i my też nie odzywaliśmy się ani słowem. Czasem rozlegał się pojedynczy krzyk lub płacz, pewnie żołnierze robili ostatni obchód. Cisza, nie licząc ćwierkania pojedynczych ptaków.

W końcu zaległa na dobre. Odetchnęliśmy, zapędzając ptaki w kąt, i zaczęliśmy szeptać. A potem rozmawiać.

- Czy to była miłość od pierwszego wejrzenia? Kiedy zakochałaś się w moim tacie? - spytała Sara, ale ja nie potrafiłam tego określić. Miałam poczucie, że go zawsze kochałam. Jakże wskazać tę pierwszą chwilę miłości? Kiedy, w którym momencie nocne niebo przybiera błękitny odcień?

- Nie wiem, habibti - odpowiedziałam szczerze, ale jej mina żądała czegoś więcej. Historii.

- Cóż, chyba po drodze z lotniska. Kiedy dotarliśmy do obozu, wysiadł ze swojego fiata z pełnymi garściami cukierków dla dzieci, które go otoczyły. To był taki rozczulający widok... -1 wspomnienie mojego męża, błękitu, miłości i straty miękko osiadło mi w gardle, a z oczu litościwie popłynęły łzy.

- Opowiedz mi jeszcze, mamó.

Cisza nie trwała długo. Usłyszeliśmy kolejne wybuchy, przerywane wymianą ognia.

Koszmar szalejący za ścianami domu Hudy umocnił więź miłości i przyjaźni między nami.

- A wiesz - zaczęła Huda - Fatima napisała mi o tobie i Madżidzie. Była taka szczęśliwa. - Huda utkwiała wzrok w podłodze. - Ale list dotarł wiele miesięcy później, gdy... kiedy już...

- Masz go jeszcze?

- Pewnie. Tutaj, ze wszystkimi ważnymi papierami - odrzekła Huda, wyciągając plik dokumentów z kieszeni na piersi. Wyjęła złożoną pomarańczową kartkę, a ja przypomniałam sobie pomarańczową papeterię, którą Fatima trzymała w kuchennej spiżarni, szczególnie zachowany wśród wspomnień z Libanu.

Rozłożyłam ją i zaczęłam czytać o tym, że Falastin rośnie jak na drożdżach. Ze Jusef za dużo pracuje i martwi się, i że się cieszą z mojego przyjazdu. W liście była mowa o Madżidzie i o mnie; Fatima gratulowała sobie „nosa”, przekonana, że nasz związek to od początku do końca jej zasługa. Właśnie dowiedziała się o swojej drugiej ciąży i dodała: „Nie uwierzysz, ale Amal też spodziewa się dziecka. I też ma urodzić we wrześniu!”. Pisała, jak bardzo tęskni za Hudą i swoją rodziną w Palestynie. „Kiedyś”, dodała na zakończenie.

Inszalla. Ja Rabby, kiedyś będziemy razem. Wszyscy. Jusef, ja i dzieci, Amal i Madżid ze swoimi dziećmi oraz Ty i Osama ze swoją gromadką. Marzę o tym dniu.

Kochająca Fatima

Siódmego dnia zabrali Mansura. Żołnierze przestrelili zamek w metalowych drzwiach i wpadli do środka. Podczas gdy dwóch przetrząsało dom, trzeci kazał Mansurowi rozebrać się do bielizny. Odwróciłyśmy wzrok, na próżno chcąc ocalić resztki jego godności. Założyli mu opaskę na oczy, skuli kajdankami. I gdy go zabierali, spośród rysunków zaścielających podłogę, milczenie spowiło go jak płaszcz.

- Allah niech będzie z tobą, synu - powiedziała Huda. Nie płakała. Chyba zabrakło jej łez. - Mansur wróci. Zbiją go. Ale zawsze wraca do domu - rzuciła bardziej do siebie niż do nas.

„Zawsze” to dobry punkt zaczepienia.

Zebrałyśmy rysunki Mansura. Świat taki, jakim go widział. Huda modląca się, Sara w moich ramionach, Dżamil zwycięski na barykadzie, profil Sary oraz my wszyscy pochyleni nad stołem, z aniołem śmierci czuwającym nad nami.

Została nam tylko odrobina wody, prawie skończył się chleb. Co się stało? Nie miałyśmy odwagi odsunąć od okna worków z piaskiem, aby wyrzeć na zewnątrz, bałyśmy się też podejść do drzwi z przestrzelonym zamkiem.

Ale panowała cisza, już od pewnego czasu. Niedługo przyjadą z megafonami i pozwolą nam wyjść. Ale nie przyjechali, a my dopiłyśmy wodę i zjadłyśmy resztę chleba. Myślałyśmy, że przecież ktoś musi się zjawić i uprzątnąć zwłoki, których trupi zapach kazał nam oddychać przez chustki nasączone wodą różaną.

Smród stał się nie do zniesienia. Sądząc po śladach, które zrobiłyśmy na ścianie, od bombardowania minęły dwa dni, jednak przez dziurę w drzwiach nie widziałyśmy kompletnie nic. W powietrzu wisiała chmura pyłu ze zburzonych domów.

Zlizałyśmy ostatnie krople wody różanej, tłukąc butelkę, by nie uronić ani jednej, i poszłyśmy spać.

- Świat dłużej na to nie pozwoli - powiedziałam do Hudy.

- Świat? - burknęła sarkastycznie, z nietypowym dla siebie rozgoryczeniem. - Odkąd to „świat” przejmuje się naszym losem? Za długo cię nie było, Amal. Lepiej idź spać, bo gadasz jak Amrikija. - Ja, jak Amerykanka! Ale ona zasłoniła sobie chustką nos i przymknęła oczy.

Nazajutrz o świcie słońce wstało nad pogorzelskiem. Usłyszałam warkot dużego pojazdu. Karetka Czerwonego Krzyża. Zostawiłam wiadomość, że wrócę z prowiantem z darów, i wyszłam, zasłaniając twarz przed światłem i kurzem. Wkroczyłam w nienaturalny bezruch, cmentarną ciszę, w której nieuchwytnie jęki zaginionych dusz i słowa niedopowiedzianych historii pełzają pod nogami jak mrówki.

Myślałam, że już po wszystkim. Ze tamci odjechali. Panował taki spokój. Myślałam, że to samochód akcji humanitarnej.

Myliłam się.

Była to izraelska ciężarówka wojskowa. Ujrzałam, jak hamuje na rumowisku, gdzie jeszcze przed kilkoma dniami stały setki domów. Wiozła sterty martwych ciał, rzuconych jedno na drugie jak kłody drewna. Zatrzymała się, by zabrać okaleczone zwłoki Palestyńczyka, nadziane na pręt sterczący z częściowo zburzonego budynku. Miał kraciastą chustę i czerwone opaski na rękawach. Symbole śmierci na tym wozie z drewnem.

Dotarło do mnie, co zrobiłam. Ostrożnie, nie poruszając głową, podniosłam wzrok i zobaczyłam snajperów. Żydzi jeszcze tu są.

Na dźwięk odbezpieczanej broni przerażona odwróciłam głowę i poczułam na czole lufę karabinu, by następnie ujrzeć młodą twarz żołnierza stojącego przede mną.

I zostaliśmy tylko my dwoje, naprzeciwko siebie.

Oto jesteście. Widzę jego szkła kontaktowe i pot spływający po czole.

Czuję niewytłumaczalny spokój. Muszę okazać śmierci należny szacunek, nim ujmie moją dłoń. Ale on nie strzela.

Szybko mruga powiekami. Kropla potu skapuje mu z czoła i spływa po twarzy, żłobiąc szlak na gładkiej skórze policzków, które nie wymagają jeszcze regularnego golenia.

Władza, którą sprawuje nad życiem innych, ciąży człowiekowi w tak młodym wieku. On dobrze o tym wie i najchętniej zrzuciłby ją ze swoich barków. Jest przystojny; na pewno ma dziewczynę, niespokojnie czekającą na jego powrót. Wolałby być z nią niż ze swoim sumieniem. Ze swoim ciężarem, czyli ze mną.

Wiem, że zabijał. Wie, że ja wiem. Ale nigdy dotąd nie widział twarzy swojej ofiary. Moje oczy, oczy pełne matczynej miłości, ale już właściwie martwe, przygniatają go, podobnie jak brzemień władzy, i chyba się rozplacze. Nie teraz. Później. Gdy stanie twarzą w twarz ze swymi marzeniami i przyszłością.

Żal mi go. Żal mi chłopca, którego zmuszono, by został mordercą. Żal jego młodości, zdradzonej przez przywódców w imię symboli, flag, wojny i władzy. Przez chwilę myślę, że to mój bratanek. Ale nie. Uri nie ma wątpliwości co do swej misji dla kraju. Ten żołnierz nie jest moim bratankiem.

Dziwne. On jest przystojny, a ja pełna miłości.

Czy tak Jusef postrzegał Dawida? Oczami pełnymi miłości?

O, Dawidzie! Bracie, teraz widzę cię tak wyraźnie. Żyłeś obcy we własnej skórze. Szukałeś mnie łąkami, nie poddając się, choć każdy trop prowadził cię do grobu lub powalających wiadomości prasowych. Twoje serce znajdowało otuchę tylko w kieliszku. Uchwyciłeś się ostatniej nadziei, że ja, twoja siostra, pokonam otchłań twojej samotności z determinacją tych, co szukają własnego miejsca. A gdy mnie odnalazłeś, nie podeszłam dość blisko. Wyznałeś swój wstyd i swoje grzechy, a ja przycupnęłam tylko na grzędzie własnego bólu i trwałam tam w milczeniu. O, bracie! Czuję odmianę, nadchodzi odrodzenie. Weźmie początek od twego przebaczenia. Przyjdę do ciebie, kiedy to się skończy. Jeszcze trochę. Świat dłużej na to nie pozwoli. Ogrom tego spustoszenia nie mieści się w głowie. Izrael nie może tego zatuszować. To niedopuszczalne. Świat musi się w końcu dowiedzieć. I wszystko się zmieni. Niedługo przyjdę do ciebie i poproszę o wybaczenie. Jesteś moją rodziną, synem Hasana i Dalii, wnukiem Jehji i Basimy. Ojcem dwóch synów. Chcę porozmawiać z żołnierzem, który celuje we mnie. Ale co mogę mu powiedzieć? I czy słowa złagodzą ten konflikt życia i śmierci, tak w tej chwili zbliżonych do siebie?

Przymykam oczy; życie przesuwa mi się przed oczami i nabiera wyraźnego kształtu. Popęłniłam tyle błędów. Za mało kochałam. Nie kochałam dość.

Słyszę przeciągły okrzyk; wiem, że to Huda, i ze zgrozą wytrzeszczam oczy na widok mojej córki, maszerującej niemal pod nosem snajperów.

Zapominam o żołnierzu i lufie przystawionej do głowy.

Umiem fruwać. Przysięgam, że frunę do niej.

Rzucam się na Sarę, uszczęśliwiona, że mogę ją przygnieść swoim ciężarem.

Radość mnie rozpiera. Rozpiera mnie euforia, bo Sara nie ściągnęła na siebie uwagi strzelców i leżymy bezpieczne pod chmurą pyłu.

Gdzieś w oddali muezin zaczyna wzywać wiernych do modlitwy. Adan napływa z nieba jak bukiet smutnych lilii. Allaho akbar przenika stęchły odór zniszczenia. W jego echu słyszę spętaną pieśń Orientu. Patrzę w przerażone oczy córki pod sobą i ogarnia mnie ciepło. Tracę zmysły z miłości do niej. Mojej kochanej dziewczynki.

Sara.

Najcudowniejsza pieśń mojego życia. Mój dom.

Zmęczenie nie pozwala mi się ruszyć. „Kocham cię”, szepczę do niej.

Śnię o starości wśród szczebiotu wnuków, które moja córka kiedyś urodzi.

VIII NIHAJA O BIDAJA (koniec i początek)

45. ZA MIŁOŚĆ CÓREK

2002

Amal zginęła.

Chociaż opuściła swe ciało i zaszklily się jej oczy, Amal umarła, nie zaznawszy śmierci. Szczęśliwa, że uratowała życie córce. Odeszła z miłością w sercu i spokojnym umysłem. Umarła szeptem, jakby sama śmierć pochyliła głowę nad pękniętym sercem i nie chciała zbecześcić matczynej czułości, obwieszczając swoją obecność. Jakby zaśpiewała Amal kołysankę.

Oto dzień, gdy dwudziestoletnie życie Sary zostaje wywrócone na nice w poszukiwaniu odpowiedzi, celu i woli, aby wzmocnić wspomnienie o nim. Albo umysł za jego sprawą.

Leniwa mgła tamtego dnia.

Otchłań ich pragnienia.

Apokaliptyczny pył, falujący w powietrzu niczym wodorosty.

Sara nie wiedziała, co skłoniło matkę do opuszczenia domu. Czy naprawdę przyjechał samochód Czerwonego Krzyża?

Oczy Sary ledwo otworzyły się ze snu, kiedy wyszła na poszukiwanie matki. Śniła o swoim recitalu skrzypcowym w przededniu dziesiątych urodzin, gdy zerknęła na widownię i zobaczyła pełną dumy twarz matki. Pamiętasz, mamó?

Ale we śnie grała dla widowni złożonej tylko z dwóch osób, Amal i Madżida, których gromkie oklaski wypełniły salę aż po dach. Madżid miał jej twarz. Całe życie próbowała odtworzyć jego rysy z własnego odbicia. „Jesteś taka do niego podobna”, powiedziała kiedyś do córki Amal. Pamiętasz, jak mi to mówiłaś, mamó? Ja tak. Miałam wtedy pięć lat.

We śnie kłaniała się im obojgu. Nagle zobaczyła dziadków Dalię i Hasana, wujka Jusefa, Fatimę, kuzynkę Falastin, pradziadka Jehję i prababcię Basinę, Ein Hod i konie ciotecznego dziadka Darwisza oraz wszystkie twarze i opowieści, którymi przesiąkała podczas pobytu z matką w Dżeninie. Przodkowie też zaczęli oklaskiwać ją, owoc swego ziarna. Sala huczała brawami, z bujnym krajobrazem Ein Hod w tle. Oklaski przeszły w grzmot - ciężarówka Czerwonego Krzyża? - który wdarł się w sen i ujrzała profil matki stojącej na zewnątrz, a widok stał się bardziej rzeczywisty. Zeszła z estrady, idąc w stronę Amal i Madżida, który zamiast jej twarzy miał teraz twarz Żyda pod izraelskim hełmem. Zmierzała w

stronę matki między mglistą uludą recitalu skrzypcowego a wstrząsającą ruiną Dżenin. Lunatycznym krokiem, jeszcze w oparach snu.

Potem rozległ się krzyk i obudziła się, czując na sobie ciężar matki.

Jesteś najładniejszą z mam.

Sara nigdy nie zapomni ostatnich chwil życia Amal. Co najmniej dziesięciu minut, może godziny, wieczności, która trwała za krótko. Wciąż odtwarza ją w pamięci i opisuje w listach do zmarłej matki, które zamieszcza na stronie internetowej, aby czytał je cały świat:

Spoglądasz na mnie z góry. Słowo „kocham” formuje się w rozchylonych ustach, spieczonych z pragnienia, lecz nie wychodzi z nich żaden dźwięk. Chcę Ci powiedzieć, że wiem, że przychodziłaś nocą do mojego pokoju, gdy myślałaś, że śpię, aby mnie przytulić. Wiem, że mnie kochałaś. Chcę Ci powiedzieć to także. Twój oddech był zawsze pełen smutku i miłości. Chcę Ci to powiedzieć, ale się boję, bo teraz wiem, że kochasz mnie ponad własne życie. Zastanawiam się, co myślisz. Potrzebuję Twego przebaczenia. Potrzebuję Ciebie i błagam Boga, żeby Cię nie zabierał. Nie teraz. Nie w ten sposób.

Przeznaczona dla Sary kula snajpera trafiła Amal i wysączyła z niej życie ciepłą, brunatną strugą, która zalała ten sen Sary i każdy następny. Oblężenie trwało jeszcze tydzień, i przez cały ten czas Sara miała na sobie krew matki. Żołnierz, który celował w Amal, wyszarpnął Sarę z jej martwych objęć, chociaż się opierała. Prosiła, żeby ją zastrzelił. Mimo szoku dostrzegła jego zdumienie na dźwięk angielskich słów. Wlokąc Sarę z powrotem do domu Hudy, rzucił w przestrzeń łamaną, nieporadną angielszczyznę, że „on nie może już strzelać”.

Dał Sarze i Hudzie swój termos z wodą, a za dwa dni przyniósł następny i wytłumaczył im, gdzie znaleźć ciało „tej kobiety”, gdy już „otworzą” obóz. Zostawił dość prowiantu i wody, by przetrzymać oblężenie, ale za mało, aby zmyć z ciała córki matczyną krew.

Kiedy zniesiono oblężenie, do obozu przybyli dziennikarze. W ślad za nimi pojawiła się żywność i woda, a ci, którzy ocalili, przystąpili do poszukiwania najbliższych, a także swoich zmarłych, dobytku oraz woli przeżycia. Wśród zburzonych domów walały się podręczniki, buty nie do pary, sztucce, a także inne sprzęty codziennego użytku. Hadż Salem nie przeżył. Uciekający sąsiedzi próbowali go zabrać, lecz nadjeżdżający buldożer nieustępliwie parł naprzód i zrównał z ziemią dom starca, kiedy ten jeszcze był w środku. Na wieść o tym Sara rozplakała się i napisała do zmarłej matki:

Czy wiesz, mamo, że Hadż Salem został żywcem pogrzebany w swoim domu? Czy teraz opowiada Ci swoje historie w niebie? Żałuję, że nie miałam okazji go poznać. Ujrzeć jego bezzębny uśmiech, dotknąć krokodylej skóry. Wyprosić,

tak jak Ty przed laty, trochę opowieści o naszej Palestynie. Miał ponad sto lat, mamó. Życ tak długo i zginąć pod buldożerem. Czy to właśnie znaczy być Palestyńczykiem?

W kwietniu, miesiącu kwiatów, Sara na zawsze została w matczynych ramionach. To miesiąc, kiedy matka z córką na nowo zakochały się w sobie i rozmawiały przez całą noc, gdy za ścianami, wśród których znalazły schronienie, szalała zawierucha. Miesiąc, gdy Amal wreszcie znalazła dom w oczach córki. Na stronie www.aprilblossoms.com Sara zapisuje wspomnienia tego miesiąca, w którym wszystko się zaczęło i do którego wciąż powraca. Miesiąca, od którego Sara kocha i nienawidzi.

Sara wróci do Pensylwanii. Zrobi to na pewno, bo już napisała za dużo i jej nazwisko trafiło na izraelską listę osób stanowiących „zagrożenie dla bezpieczeństwa”. Próżno szukać kryjówki na ziemi, gdzie nawet cienie się wykorzenia. Ale serce Sary nigdy nie opuści Dżenin.

Huda krążyła po obozie jak lunatyczka. Miejsce, gdzie się urodziła, gdzie była wykorzystywana i terroryzowana, kochana i uwielbiana, ponownie uległo zniszczeniu. Wśród ruin widniały rozproszone szczątki ludzkiego życia. Huda błądziła tam i z powrotem, byle cokolwiek znaleźć. Choćby damski szlafrok, wciąż wiszący na ścianie zrujnowanej łazienki. Był to szlafrok jej przyjaciółki i sąsiadki. Zawsze coś. Ale zostawiła go tam, gdzie wisiał. Zobaczyła ludzką dłoń z palcami sterczącymi z ziemi. Ktoś pogrzebany żywcem. Ostrożnie obeszła znalezisko, mamrocząc fatihę za duszę nieszczęśnika. Dziewczęcy bucik. Wszędzie walały się podręczniki, podarte, ze śladami czołgowych gąsienic. Lalka bez jednego ramienia. Podniosła ją z ziemi i ostrożnie przysiadła na piasku z jednoręką lalką w dłoniach. Spojrzała na nią. Spojrzała uważnie. Wskazówki zegara w jej sercu ruszyły wstecz i znów stała się małą dziewczynką. Uśmiechnęła się ze smutkiem. Przejechała palcami po głowie lalki, wygładzając jej splątane włosy ruchem, który wyzwolił łzy. Płakała, zawodząc cicho, lamentem serca, które wciąż pęka. I przymknęła oczy w modlitwie: OAllahu, pomóż nam dźwigać to życie.

Krzyczała dopiero na pogrzebie. Zawodziła nad ciałem przyjaciółki z dzieciństwa, jedynym, które mogła pochować. Dżamila nigdy nie odnaleziono. Serce podpowiadało jej, że syn zginie, ale czy mogło ją na to przygotować? Krzyczała więc, śląc pierwotne wołanie w eter, a miłość i śmierć dzieci zniekształcały jej twarz. Wbiła palce w ziemię, czerpiąc garściami swój ból, i rzucała ją w górę, na siebie. Siedziała obsypana ziemią i płakała.

Dawid też tam był. Stał cicho obok Hudy ponad siedmioma długimi rzędami mogił. Dobrze się znali, bo to Huda przekazała mu nazwiska i pogłoski, gdy przyjechał szukać rodziny. Ale teraz nie rozmawiali. Nikt się nie odzywał.

Garstka pozostałych w Dzeninie mężczyzn wykopała groby. Dzieci patrzyły zaciekawione, gdy spowite całunami ciała opuszczano w dół. Kobiety sięgały po wykopaną ziemię, smarowały nią twarz i podniosły śpiewny lament, którego nie słyszał świat.

Dawid płakał bezgłośnie. Stał nad ciałem siostry, do bólu trzeźwy, i strasznie chciał się napić. Choć nie wydał żadnego odgłosu, jego rozpacz wisiała nad grobami jak deszcz, który nie może spaść. Łzy wzbierały w jego samotności, której utopić, ukołysać i dotknąć nie było sposobu.

Ari nie stał. Przykucnął nad grobem Amal, przygnieciony żalem.

- Weź to - szepnął cicho do niej. - Zawdzięczam życie twojemu ojcu. Przekaż mu, że nigdy nie miałem lepszego przyjaciela. -1 Sara zobaczyła, jak wrzuca do grobu broszkę z osiemnastoma perełkami.

Broszka pani Perlstein spoczęła wraz z tobą, mamó.

Kiedy upływ godzin zesłał na nich zmęczenie i suchość w gardłach, zawodzenie ustąpiło miejsca płaczliwej ciszy znużonego cierpienia. Ari dokuśtykał do tłumu żałobników i odmówił muzułmańską modlitwę za zmarłych. Wyrecytowali fatihę, unosząc złączone dłonie do ust.

- Twój dziadek nauczył mnie modlitwy - rzeki potem Ari do Sary.

- Szkoda, że go nie znałam.

- Opowiem ci wszystko, co pamiętam. Znałem go, odkąd był małym chłopcem, i byłem przy nim, kiedy ożenił się z twoją babcią Dalią. Mogę nawet opowiedzieć ci o twoich pradziadkach, Jehji i Basimie. Jeśli chcesz, zabiorę cię do Ein Hod i oprowadzę, byś poznała swoje korzenie. Nie byłem tam od czasów młodości. Niezwykła sprawa wrócić tam dziś z wnuczką Hasana. Jeszcze jak niezwykła. Wyświadczysz mi ogromną przysługę. Dziadek Hasan się ucieszy, gdziekolwiek jest. Mam wobec niego dług wdzięczności.

Opowieści z Dzeninu przeciekły do sąsiednich wiosek. Widok chłopca nadzianego na pręt, z rewolucyjnymi opaskami i w kraciastej chuście na głowie. Historia starca, stuletniego hadża, zmiażdżonego pod gruzami zburzonego domu. Palestyńska Amrikija, która zginęła w obronie córki. W dzieciństwie uniknęła śmierci od izraelskiej kuli i zginęła od tej przeznaczonej dla dziewczyny. Jej historia odbiła się szerokim echem, aż Muna Dżalajta zadzwoniła z płaczem do Kolumbijskich Sióstr: „Amal zginęła w Dzeninie”. Opowieść obiegała świat, docierając aż do serca Elizabeth, która na ramieniu męża płakała nad kobietą i jej

córką, które wspierali i kochali. Angela Haddad i Bo Bo też oplakiwali starą przyjaciółkę. Ale ta historia również minęła niepostrzeżenie.

Gdy Izrael wreszcie otworzył obóz, ONZ się nie pojawiła, podobnie jak amerykańscy kongresmani, którzy objeżdżają cele samobójczych ataków, deklarując niesłabnące poparcie dla Izraela. Dżenin pochował pięćdziesiąt trzy ciała, w tym Amal, lecz los setek mieszkańców pozostał niewyjaśniony.

Według oficjalnego raportu Organizacji Narodów Zjednoczonych, przygotowanego przez ludzi, których noga nigdy nie postąpiła w Dżeninie i którzy nie zamienili słowa z żadnym z poszkodowanych bądź oprawców, nie doszło do żadnej masakry. Amerykańska prasa postawiła kropkę nad i: Nie było masakry w Dżeninie. Zginęli tylko bojownicy, twierdzi Izrael

Zamordowali Cię i pochowali w nagłówkach gazet, mamó.

Jak mam wybaczyć, mamó? Czy Dżenin może zapomnieć? Jak udźwignąć taki ciężar? Jak żyć w świecie, który od lat przymyka oczy na taką niesprawiedliwość? Czy to właśnie oznacza być Palestynką, mamó?

Niemy krzyk wezbrał jak mgła wokół serca Sary. Nie sposób ująć go w słowa. Czasem bierze się go za polityczny lub humanitarny imperatyw, by nagłościć, zapobiec. Czasem to po prostu gniew. Ale w cieniu samotności - jedynie bezgłośny szept płynący z głębi jej istoty, niewątpliwe pragnienie jeszcze choćby jednej chwili z Amal, aby odpowiedzieć na jej ostatnie słowa: „Ja ciebie też”.

46. BOŻE SKRAWKI

2002-2003

Po paru tygodniach Ari dotrzymał słowa i zabrał Sarę do Ein Hod. Poprosili Dawida, by pojechał z nimi, i we trójkę przeszli przez wioskę. Dookoła ustawiono nowoczesne rzeźby. Kilku artystów, głównie francuskich Żydów, malowało w plenerze widoczki, a mieszkańcy przechadzali się w szortach i letnich sukienkach.

- To twój dom rodzinny. - Ari wskazał na okazały kamienny budynek z pięknym ogrodem i sadem, w którym owocowały drzewa.

- Możemy zajrzeć do środka? - spytała Sara.

- Zapytajmy. - Ari zapukał do drzwi.

Na progu stanęła ładna Żydówka po trzydziestce. Widząc, że przybysze zjawili się na poszukiwanie palestyńskich wspomnień, nie pozwoliła im wejść.

- Wiem, o co chodzi. Musicie zrozumieć, że to jest teraz nasz dom. - Podkreśliła słowo „nasz”. - Poza tym moje dziecko śpi. - Z tymi słowy zatrzasnęła im drzwi przed nosem i niedoszli goście odeszli z kwitkiem.

Sara zrobiła zdjęcia stajni, gdzie mieszkali kiedyś Ganusz i Fatuma. Obiecała cioteczemu dziadkowi Darwiszowi, że odwiedzi miejsce jego najczulszych wspomnień. Trzech spośród jego synów, kuzynów Amal, zginęło w walce. Pozostali trafili do więzienia, a Darwisz nie mógł odżałować, że nie umarł. Przeżył jednak na swoim wózku - najniżej jak się da.

Dawid i Ari odnaleźli grób Basimy w miejscu dawnego cmentarza, górującego niegdyś nad wioską. Większość nagrobków usunięto, lecz w trawie zachował się krzak nakrapianych bielą czerwonych róż.

- Mniej więcej tu ją pochowaliśmy - powiedział Ari. - Dalia posadziła te róże.

Nadeszła Sara. Podczas ostatnich wspólnych dni Amal opowiedziała jej o grobie i różach, więc mając żywo w pamięci tę historię, od razu zrozumiała, czego szukają.

- Odmówimy fatihę za prababcię Basimę?

- Naturalnie - odparł Ari.

- Nauczycie mnie? - spytał wreszcie Dawid.

- No jasne.

Nim zapadł wieczór, Sara pojechała nieco dalej, na wybrzeże Hajfy. Obiecała Hudzie zrobić zdjęcie morza. Huda całe życie nie zrealizowała dziecięcego marzenia, by posiedzieć nad oceanem, „tylko posiedzieć, bo nie umiem pływać”.

W Dżeninie Sara odnalazła wreszcie rodzinę, o której marzyła. Huda zastąpiła jej matkę. Cioteczny dziadek Darwisz zapewnił jej wielu kuzynów, bliższych i dalszych. Lecz najbardziej pokochała Mansura.

Rok po śmierci matki wciąż była w Dżeninie, nadal pomagała przy mozolnej odbudowie obozu dzięki dotacjom bogatych państw arabskich. Podjęła pracę we francuskiej organizacji pozarządowej i mieszkała u Hudy. Wuj Dawid często przyjeżdżał w odwiedziny, podobnie jak Jakub. Grono tak odmiennych od siebie ludzi odnalazło się nawzajem we wspomnieniach straty i nadziei na wytchnienie, tworząc coś na kształt wielkiej rodziny.

Po śmierci siostry Dawid przestał pić. Oto co napisał na stronie Sary do Amal, www.aprilblossoms.com:

Już nie piję, siostrzyczko. To Twoja zasługa. Nigdy nie będę w pełni żydem ani muzułmaninem. Palestyńczykiem ani Izraelczykiem. Dzięki Twojej akceptacji wystarczy mi być człowiekiem. Rozumiałaś, że chociaż jestem zdolny do wielkiego okrucieństwa, jestem również zdolny do wielkiej miłości.

Sarę deportowano w końcu do Stanów Zjednoczonych, gdzie podjęła pracę w agencji informacyjnej Al-Dżazira. Kuzyn Jakub pojechał razem z nią i podjął studia na uczelni Amal, uniwersytecie Tempie. Wydawało się, że ma zdolności matematyczne, jak stryj Jusef.

Podczas swego pobytu w Dżeninie Sara wystąpiła o wizę dla Mansura; pokochała go jak brata, którego nigdy nie miała. Osama wyszedł z aresztu i oboje z Hudą namówili syna do wyjazdu. Tak więc Sara krótko po powrocie do Pensylwanii wysiała mu bilet, by dołączył do niej i Jakuba i zamieszkał z nimi w odnowionym przez matkę starym wiktoriańskim domu, gdzie dorastała.

Dawid napisał o tym do zmarłej siostry na www.aprilblossoms.com:

Dowiedziałem się od Hudy i Osamy, że Mansur studiuje sztukę i pracuje na pół etatu z Sarą. „Dobrze mu idzie”, powiedziała Huda. „Pisze cały czas. Patrz” - pokazała mi plik listów. „Patrz, co tu napisał” - i przeczytała mi fragment, w którym opisał swój zachwyty światem poza okupacją. Nie wyobrażał sobie, jak wspaniale jest żyć poza obozem i chodzić wolno.

Często odwiedzam Hudę i Osamę. Gotuje pyszne potrawy i oboje trzymają mnie w ryzach, kiedy chcę się napić. „Lepiej zapal fajkę”, nalega Osama i palimy razem muaasal. Tytoń miodowo-jabłkowy jest najlepszy.

Wczoraj też tam byłem i Osama zauważył, że nasze dzieci mieszkają u Ciebie w Pensylwanii jak rodzeństwo. Amerykanka, Izraelczyk i Palestyńczyk. „Nopopatr”, wtrąciła Huda. Wżyciu nie widziałem tak pięknych tygrysich oczu.

„Właśnie”, odpowiedziałem, wdychając aromatyczny dym.

Twój kochający Dawid. Twój kochający Ismael

47. JUSEF, TWARZ PALESTYNY

2002

Planuję to. Widzę. Przeżywam. Doprowadzę to do skutku. Zabiję. Jeszcze jak. Ale nie mogę. Wiem, że nie dam rady. Miłość przybyła do mnie we śnie i przycisnęła usta do mojego czoła.

- Liczy się tylko miłość, najdroższy - mówi. - Nasza nie zgasła nawet po śmierci, bo mieszkam w twoich żyłach.

Moja kochana żona. Moja piękna Fatima.

Próbuję znowu zapaść w sen i odnaleźć ją raz jeszcze.

Wiem, że nie mogę zbezczęścić tej miłości zemstą. Choćbym życzył im wszystkiego najgorszego, nie splamię ojcowskiego imienia kłamstwami, które będą szerzyć. Nie zostawię Amal samej na świecie. Próbowałem. Żeby ochronić żonę i dzieci. Zapewnić siostrze rodzinę i miłość. Próbowałem, ojcze.

Teraz zabrnąłem za daleko. Czy mogę zawrócić? Koła poszły w ruch.

- Nie zrobię tego - mówię.

- Nie robi tego. Tchórz. Ale i tak będzie na niego - odpowiadają.

Będzie na mnie.

Przeżyję ten ból, ale go nie sprawię. Przełknę wściekłość, niech strawi mi trzewia, ale nie zostawię po sobie śmierci.

- Rozumiemy, bracie - mówią drudzy.

Ktoś inny wiezie bombę do ambasady amerykańskiej. Odpowiedzialność spada na mnie.

I widzę w telewizji to, co widziałem w ciemności. Żyje we mnie w obumarłych latach, które nie mają końca. Moja twarz obiega cały świat.

- Świat wie, jak wyglądasz, Jusefie - mówią i wręczają mi kulę. - Jeśli cię znajdą, zrób, co należy.

Mam w kieszeni pistolet i jedną kulę. Ja, ich terrorysta, noszę przy sobie śmierć, szukając pracy w ponurych zakamarkach życia. W Basrze jestem robotnikiem. W Kuwejcie noszę kamienie. W Jordanii prawie zebrzę na ulicy. Potem zostaję woźnym w szkole. Ależ los jest uparty i trwa przy swoich nawykach. Śpię w pokoju pod biblioteką. Ależ los jest miłosierny. I wszędzie jestem sam z książkami ojca, kulą, Miłością i pamięcią o niej, przeszłością oraz wspomnieniami tego, co się miało wydarzyć.

Piszę wiele listów do Amal. Oblepiam nimi brudne ściany. Ale co spadnie na jej głowę, jeśli nawiążemy kontakt i mnie nakryją? Och, Ismaelu. Tak długo dźwigam twoją bliznę na swoich barkach, że wsiąkła mi w skórę. Zobacz.

Przeczytałem wiadomości kwietniowe i zapłakałem. Płacę mrokiem i miłością. W bibliotece, gdzie mieszkam: www.aprilblossoms.com.

Najdroższa Amal z długą samogłoską nadziei.

Czasem powietrze nabrzmiwa westchnieniami wspomnień. Powiewem wiatru oliwnego lub jaśminem we włosach Miłości. Bywa, że niesie ciszę martwych snów, a czas nieruchomieje jak zwłoki i spoczywa w łóżku obok mnie.

I zasypiam w oczekiwaniu, że to, co należy, nadejdzie z własnej woli.

Bo zachowam człowieczeństwo, choć nie dotrzymałem obietnic.

...i nie wyszarpią mi z żył Miłości.

POSŁOWIE AUTORKI

Choć bohaterowie tej książki są fikcyjni, Palestyna bynajmniej, podobnie jak tło opowieści i wymienione w niej postaci historyczne. W celu dokładnego przedstawienia faktów i miejsca akcji korzystałam z wielu publikacji, wymienionych poniżej, i niekiedy cytowanych w tekście. Jestem ogromnie wdzięczna historykom, którzy nie przestają dociekać i głosić prawdy, często ponosząc z tego powodu daleko idące osobiste i zawodowe konsekwencje.

Napisanie tej historii i doprowadzenie do jej wydania stanowiło żmudny proces, którego początki sięgają 2002 roku. Najpierw ukazała się pod tytułem *Blizna Dawida* (*The Scar of David*) nakładem małego wydawnictwa, które niebawem zawiesiło działalność. W tym czasie jednak przełożono ją na francuski i wydano nakładem Éditions Buchet/Chastel pod tytułem *Les matiens de Jénine*. I za sprawą Marca Pa-renta, mojego wspaniałego wydawcy z Buchet/Chastel, dwa lata po pierwszej publikacji powieści moją agentką została Anna Soler-Pont z Pontas Literary & Film Agency, która od razu tchnęła w powieść nowe życie. W wyniku jej starań książkę przełożono na dwadzieścia języków i Bloomsbury zaoferowało się wydać ją ponownie w języku angielskim. Serdecznie dziękuję Annie i Bloomsbury, że dostałam od nich tę drugą szansę. Składałam szczególne wyrazy wdzięczności Alexandrze Pringle, która uwierzyła w tę opowieść na tyle, aby wziąć ją na warsztat bez względu na niecodzienne okoliczności. Chciałabym podziękować też Antonowi Muellerowi, mojemu wydawcy, za literackiego nosa oraz profesjonalizm (i cierpliwość wobec mojej osoby), które okazały się tak korzystne dla książki. Dziękuję również Janet McDonald za fantastyczną korektę.

Ziarno niniejszej opowieści pochodzi z opowiadania Ghassana Kanafaniego o palestyńskim chłopcu, wychowanym przez żydowską rodzinę, która znalazła go w domu zagarniętym w 1948 roku. W roku 2001 otrzymałam korespondencję od doktor Hanan Ashrawi, która przeczytała mój esej na temat wspomnień z

dzieciństwa w Jerozolimie. Brzmiała następująco: „Bardzo poruszający tekst - osobisty, palestyński i ludzki. Wygląda na to, że potrafiłaby Pani napisać świetną biografię. Potrzeba nam takiego głosu. Czy kiedykolwiek brata to Pani pod uwagę?“. Jednym słowem, to właśnie doktor Ashrawi obudziła we mnie wiarę we własne zdolności literackie. Rok później pojechałam do Dżenin po doniesieniach o masakrze w tamtejszym obozie dla uchodźców, do którego nie wpuszczono nawet dziennikarzy ani organizacji humanitarnych, zamieniając go w militarną strefę zamkniętą. Potworności, jakich byłam świadkiem, pchnęły mnie do napisania tej historii, a upór, odwaga i wytrwałe człowieczeństwo mieszkańców Dżenin posłużyły mi jako inspiracja.

Dzięki nagrodzie Fundacji Leeway pokonałam trudności finansowe, z którymi zmagalam się w trakcie pisania. Dziękuję tej wspaniałej organizacji oraz innym podobnym instytucjom, które cenią i wspierają inicjatywy artystyczne. Miłość i pomoc przyjaciół pomogły mi przetrwać przyływy zwątpienia we własne siły, zwłaszcza w obliczu piętrzących się długów i odmownych odpowiedzi od wydawców. Jestem dozgonnie wdzięczna Markowi Millerowi za jego bezwarunkową przyjaźń i lojalność. Jestem również wdzięczna za miłość oraz pomoc edytorską wielu osób, zwłaszcza Marne Lambeth za trzykrotne przeczytanie rękopisu na różnych etapach jego zaawansowania, i Davida Mowreya, najlepszego przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miałam, za wszystkie soboty, kiedy bezwstydnie wpadałam o świcie na śniadanie.

Dziękuję następującym osobom, których wspaniałomyślność, rady oraz słowa zachęty wpłynęły na proces tworzenia i tok powieści (nawet jeśli nie były tego świadome): doktor Evalyn Regal, Glorii Delvecchio, Karen Kovalcik, Peterowi Ciampie, Yasmin Adib, Beverly Palucis, Marcie Hughes, Naderowi Pakdamanowi, Anne Parrish, Williamowi Kowalskiemu, doktorowi Craigowi Millerowi oraz Ananowi Zahrowi.

Osobą, która wywarła duży wpływ na proces powstawania powieści - chociaż spotkaliśmy się tylko raz, przelotnie - był nieżyjący już doktor Edward Said. Poskarżył się kiedyś, że brakuje w literaturze palestyńskiego głosu, a ja wzięłam sobie jego rozczarowanie bardzo do serca. Walczy! o sprawę palestyńską mądrze, z wielkim hartem ducha i zaraźliwą pasją, która w rozmaity sposób zainspirowała wielu z nas. Dla mnie był postacią heroiczną, i choć wszyscy wiedzieliśmy, że jest chory, wierzyłam, że pokona śmierć. Niestety. Żal po jego odejściu, jaki odczuły tysiące z nas, bije z kart tej powieści.

Przede wszystkim zaś dziękuję Natalie. To, że jestem jej matką, dostarcza mi najwięcej radości, a cud bezwarunkowej miłości, którą daje i przyjmuje, to balsam dla mojego serca.

BIBLIOGRAFIA

Benvenisti Meron, Sacred Landscape: The Buried History of the Holy Land Since 1948. Berkeley: University of California Press, 2002.

Chomsky Noam, Fateful Triangle: The United States, Israel, and the Palestinians. Wydanie zaktualizowane. Cambridge,

MA: South End Press, 1999. Finkelstein Norman G., Image and Reality of the Israel-Palestine

Conflict. Wydanie nowe i uzupeinione. London: Verso, 2003.

The Rise and Fall of Palestine: A Personal Account of the Intifada Years. Minneapolis, MN: University of Minnesota Press, 1996.

Fisk Robert, Pity the Nation: The Abduction of Lebanon. New York: Nation Books, 2002. Gibran Khalil, The Prophet. New York: Alfred A. Knopf, 1923. Imulkais of Kinda, The Sacred Books and Early Literature of the East. Vol. 5. Ancient Arabia. Przel. F.E. Johnson z poprawkami Sheika Faizullahbhai. New York and London:

Parke, Austin and Lipscomb, 1917. Karmi Ghada, In Search of Fatima: A Palestinian Story. London:

Verso, 2002.

Khalidi Walid, *All That Remains: The Palestinian Villages Occupied and Depopulated by Israel in 1948*. Washington D.C.: Institute for Palestine Studies, 2006.

Before Their Diaspora: A Photographic History of the Palestinians, 1876-1948. Washington D.C.: Institute for Palestine Studies, 1991.

Palumbo Michael, *The Palestinian Catastrophe: The 1948 Expulsion of a People from Their Homeland*. New York: Olive Branch Press, 1991.

Rumi Jalal al-Din, *The Essential Rumi*. New York: HarperCollins, 1996.

Said Edward W., *The Politics of Dispossession: The Struggle for Palestinian Self-Determination, 1969-1994*. New York: Vintage, 1994.

Slyomovics Susan, *The Object of Memory: Arab and Jew Narrate the Palestinian Village*. Filadelfia: University of Pennsylvania Press, 1998.

O AUTORCE

Susan Abulhawa przyszła na świat w rodzinie uchodźców wojny sześciodniowej 1967 roku. Jako nastolatka wyjechała do Stanów Zjednoczonych, gdzie dorastała w rodzinie zastępczej w Karolinie Północnej. Skończyła Pfeiffer University i uzyskała tytuł magistra w Instytucie Badań Neurologicznych Szkoły Medycznej Uniwersytetu Karoliny Południowej.

Jest założycielką fundacji Place Zabaw dla Palestyny (Playgrounds for Palestine www.playgroundsforpalestine.org), organizacji pozarządowej zajmującej się budową placów zabaw dla dzieci na terytorium okupowanej Palestyny i w obozach dla uchodźców, a także autorką artykułów w „New York Daily News”, „Chicago Tribune”, „Christian Science Monitor” oraz „Philadelphia Inquirer”, jak również innych wydawnictw i antologii.